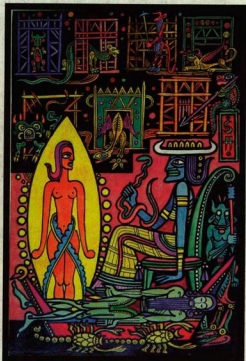


Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadomienia ludzkości
/.../
Dzieło sztuki — mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



a

4

4 (82) 2000

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



AKCENT nr 4 (82) 2000

Cena 8 zł



M. Pietrzela: *Hit na kit* • Z. Masternak: „*Pornografia*” –
trójgłęb w orle • M. Malicki: *Ogryzki z NY* • T. Zubiński:
Opowiadanie z deszczem • S. Blejwas: *Czesiu! Jak się mamy!?*
• J. Święch o M. Głowińskim • Lubelskie święto teatru

akcent

nr 4 (82) 2000

akcent

literatura i sztuka

Wydawnictwo Literackie
ul. Krakowska 10
00-262 Warszawa
tel. 22 625 42 00
www.wydawnictwoliterackie.pl

Wydawnictwo Literackie
ul. Krakowska 10
00-262 Warszawa
tel. 22 625 42 00
www.wydawnictwoliterackie.pl

kwartalnik

Redakcja wzięta

MOWICA ADAMCZYK-GARBOŚKA
LECZKOŚLAW LAMEŃSKI
WALDEMAR WĘŻELSKI (sekretarz redakcji)
DOMINIK OPOLEKI
KRZYSZTOF FACZUSKI
TADEUSZ SZKOLUT
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelny)
BOHDAN ZADURA

Kwartalnik
Janina Hanak

Szkolnictwo i literatura
Zdzisław Kozłowski

Konstytucja i literatura
Janina Hanak

Stale współpracują:

Urządka M. Borko, Marek Daniłowicz, Kate Delany (USA),
Stanisław Dłuski, Ewa Dunaj, Italo Ferr, Michał Głowacki,
Magdalena Janowska, Alina Kochanek, Irzida Kovács (Węgry),
Marek Kusiba (Kanada), Jerzy Kuski, Jacob Łukaszewicz, Wojciech Młynarski,
Dariusz Mrowca (USA), Mirosław Ojeda, Wiesław Oszajca,
Mikołaj Różalski (Ukraina), Irene Śliwańska, Andrzej Szmajewski,
Sergijusz Szmajewski, Jerzy Świątek

Czasopismo wydawane przy wsparciu ekonomicznym

Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

oraz

Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Marszałkowskiego w Lublinie

Numer 4/2000 zrealizowano przy pomocy finansowej

Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Lublinie

PL ISSN 0208-6220

NR INDEKSU 352071

© Copyright 2000 by „Akcent”

a

rok XXI

nr 4 (82) 2000

akcent

literatura i sztuka

WYSTĄPKA

Wojciech Tomaszewski, Międzywojewódzkie i międzykrajowe / 127
Wojciech Tomaszewski, Jan z wierszy / 128
Janina Hanak, 128

PROJEKTY

Wojciech Tomaszewski, Międzywojewódzkie i międzykrajowe / 127
Wojciech Tomaszewski, Jan z wierszy / 128
Janina Hanak, 128

kwartalnik

Na pierwszej stronie okładki:
Stanisław Hiszpański: *Brzeży Itali* (cykl *Exordia*)

Na czwartej stronie okładki:
Stanisław Hiszpański: *Zępcie doktor do piekła* (cykl *Legendsy sumerjskie*)

Adres redakcji:
20-112 Lublin, ul. Grodzka 3, III piętro
tel./fax (081) 532-74-69

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skróćów.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają
urzędy pocztowe, „Ruch” SA, „Jed-Press” i „Ars Polona”.

Cena prenumeraty krajowej na rok 2000 wynosi 36 zł.
Pieniądze można przysłać przekazem pocztowym pod adres redakcji,
podając wyraźnie adres prenumeranta
i zaznaczając na odwrocie przekazu „prenumerata Akcentu”.

W USA „Akcent” rozprowadzany jest przez następujące kolejarnie:

Polish American Bookstore, „Nowy Dziennik” – Polish American Daily News,
21 West 38th Street, New York, NY 10018

Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Way, Palo Alto, CA 94306

Meta Puzac, „Polonia” Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, IL 60618

W Francji sprzedawcą prowadzi:

Librarie Polonaise (Kolejarstwo Polska), 123 Bd St. Germain, 75006 Paryż

Wydawca: EDYTOR PRESS Ltd
20-081 Lublin, ul. ka. St. Stanisła 20

Oddano do druku w grudniu 2000 r.
Druk: Multidruk S.A., Lublin, ul. Unicka 4

Cena zł 8,-

AKCJUM

MAREK PIETRZELA

SPIS TREŚCI

(fragmenty)

- Marek Pietrzela: *Hit na kit* (fragmenty) / 7
Ewa Mazar: *wiersze* / 22
Jerzy Świąć: *Michał Głowicki, czyli o literaturoznawstwie bez granic i uprzedzeń* / 25
Tadeusz Chabrowski: *wiersze* / 32
Henryk Kozak: *Kamień* / 36
Sławomir Buryła: „*Życie nie jest bezpiecznym wyspą.*” *O debiucie Henryka Gryńberga* / 43
Piotr Mamcarz: *wiersze* / 53
Tadeusz Zubicki: *Opowiadanie z deszczem* / 56
Stanisław Stamać: „*Odziani w ogień, po własnych popiołach, stąpamy do nieba.*” *O poezji Tadeusza Śliwiaka* / 68
Stanisław Chłczyński: *wiersze* / 74
Zbigniew S. Masternak: „*Pornografia:*” *Innyjeb w arte* / 76
Agnieszka Reszczyk: *wiersze* / 81
Waldemar Michalski: *Galicyjskie korzenie twórczości Adama Zielińskiego* / 83
Krzysztof Rudowski: *Punkt obserwacyjny* / 88
Grażyna Iwanicka: *wiersze* / 96
Danuta Mostwin: *Przechodzenie granic nieprzekraczalnych* / 100
Danuta Kosik-Kosińska: *wiersze* / 105
Miciej Malicki: *Ogryzki z NY* / 108
Stanisław A. Błejwas: *Czesiel! Jak się mamy?!* / 119
Stefan Szczygłowski: *wiersze* / 124

PLASTYKA

- Paulina Toporowicz: *Mitologia w ilustracjach S. Hiszpańskiego* / 127
Stanisław Popceł: *Sny z wiatry milczenia. W dziesiątą rocznicę śmierci Jana Popka* / 134

PRZEKROJE

Tematy polsko-żydowskie

- Katarzyna Węcławska: *Poezja Śluckiego – echa judaizmu*; Arkadiusz Adamczuk: *Lublin, którego nie ma*; Katarzyna Węcławska: *Lów o literackich związkach polsko-żydowskich*; Sławomir Buryła: *Tematy do przemyśleń*; Robert Kuwałek: *Życie żydowskie na Lubelszczyźnie w okresie Wielkiej Wojny* / 141

MUZYKA

Ludwik Gawroński: *Opera „Chłopi” według Reymonta / 153*
Krzysztof Batka: *Woo Woo robi Oov Oov, czyli nowa stara twarz Wojtki Wąglewskiego / 158*

TEATR

Bartek Kruk: *Lubelskie święto teatru / 160*

FILM

Slawomir Bobowski: *Realizm i filozoficzny uniwersalizm „Aktorów prowincjonalnych” Agnieszki Holland / 168*

PODRÓŻE

Wojciech Zalewski: *Dayakowie i Batakowie, rozważania pątnika / 178*

ROZMOWY

Realty zadzwiał – z współtwórcami Teatru im. S. I. Witkiewicza w Zakopanem rozmawia Grzegorz Walczak / 184

NOTY

Stanisław Chyczyski: *Nowaka poeta religijna / 187*
Elżbieta Cichła-Czarniawska: *O literaturze i sztuce XX wieku – z okazji jubileuszu Tadeusza Klaka / 189*
Elżbieta Stoch: *Dawne lubelskie adaptacje „Pana Tadeusza” / 193*

MAREK PIETRZELA

Hit na kit (fragmenty)

2. Przełom z goryczką

Przełamał z wiatrem dawny świat – pełen cukierników-amatorów, który wywarali potoki łukru. Niczym kamifura zmiknęli wazeliniarze ze swoim smarem doskonalym na odskiski przełożonych. Do lasów wyczołali się bartnicy z hektolitrami krzepiącego miodu. Na zawsze zabrakło ptasiego mleka. Strąk dojnych jaskółki był bardzo dekuzyliowy. Nowe czasy przyniosły nowe tendencje. Ostatnio zdumiewająco szybko warstwa produkcja goryczy. We wszystkich latyfundiach zakładane są plantacje piołunu. Nawet dzieci uskarżają się, że zamiast „pyska” jest solanka. Na popieszych kursach zdobywają dyplomy mistrzowie dodawania do wszystkiego dziegciu. Ponury meteorologdy zaś zapowiadają ciągle zachmurzenie przechodzące w opady. A wiatr historii wieje nam wszystkim w oczy.

Czy nie warto odwołać się gdzieś od powyższych decyzji i poprawić suplement do teraźniejszości?

4. Dewaluacja starego kalendarza

Po... (myśli) się nam kalendarz. Plany na bieżący rok opracowujemy przy końcu lutego, a budowlani kończą każdy poprzedni miesiąc 5. dnia następnego miesiąca. Przyszła nawet zgłupiała do reszty. W zime u papufata Gacwiskich tygrys domagały się spacerów, zwierzęta rozpoczęły załoty daleko przed terminem. Niek, tylko niedługo będzie trzeba przejść na kalendarz dziesięciny miernicy przy użyciu komputera zharmonizowanego z fizami księżycą.

6. O dalszy rozkwit

W związku z niedostateczną koordynacją pracy wiceli komisji powołanych do rozwiązania szczególnych i wglonych problemów, niniejszym uprzejmie prozę o powołanie specjalnych superkomisji do spraw rozbudowy produkcji i dalszego rozwoju zespołów. Tylko rozkwit struktur komisyjnych gwarantuje dalsze pogłębianie narych procesów.

Z góry uprzejmie dziękuję. Łączę wyrazy poważania. MP

9. Dolarku kochany!

Przyjdź do nas ranym światem albo już o zmierzchu gęstym jak buraczna marmolada. Zdecydujmy najpiękniejszy, uratuj nas od siermięgi tego skansenu, który psia raz, pusposzące i straszny wiatrem wyjąłym w szarobach dziurawego płotu. Twarda walułka, wybaw nas od smutka ośrodkowych pragnień, przeczczonemgo brzoźnienia, budy wstępną w oko, ucho i rozum.

Waszmgonku najdotęzsy, daj nam superelegancję, zrównoważenie i spokój

tygo ducha, jako dajesz tamnym, którzy nigdy nie zaznali nawet pragnienia i laknienia szczeniaka.

Devizą najzależniejszą – otwiera sezon technicolorowego świata, kolumbii piktersz romach, otoci i w plamie otwarta gęba ładaj hamburgery i inne codziennie ziemi na nowo obiecanej.

Bądź nam w portfelu, wypełnij konto. Zaszycie mnie, spuść delikatny szelst do portfela.

11. Dzieła sprawiedliwości

Cholezy jedne! One mają pamotanico, a my byle co, w stereo i superkolorze oglądają sobie komfortowo serialiki, sąpi, tok szczy, milionerów, Szackipry i inne zdziły. Jak bym mogła, to bym pieprzyła w ich telewizoryczko, żeby im omalmo te brązowe, nigdy nie ruszane kaski w dębowych tegalach.

Pieprzone Antki nie są wcale lepsze! Obok dużego kaktusa z Meksyku postawili sanjo, takie wido, że lebi bob. Siebie siedzą i pomo, Titanika albo inne Rambo oglądają, a ich nciej przez cały rok żre smalec z cebula i chlebem jak Rusiek, żeby szmal za święte dać rodzince w mieście. Wnuczek włączy kolumny głośnikowe, rabia przeboje na cały fuł i słuchemy się nie trzymając, bo ma ojca nie do parady, wznikała w policji, ciska go nie obowiazuje, a gładki jak pierdździek się cieszy, że wrzeszcie otok z duszy dopisze. Skurczybniki, jak myślę o nich, głowa lupie i szczypie w skroni.

Zobacz! Wszyscy gdieś zdobywają towar, turecki kozuszek Marczakowa dorwała za bezen, pół darmo męzulek jej odpalił z lekkim sercem, burzio, a nie byle lamaga jak u mnie w rodzinie. A wiesz jakie u niej w lodówce zapasy. Salami, jaki kawior ona jada?! A dziecko? Ma już narty najlepsze i fundamencie pod wille zalane na lepsze czasy. Na koncie oczywiście więcej złotych niż u mnie brudu za pamiocznik. Takich magnatów bym chyba, jakby kto pozwoził, zębami szarpala. Rwali i jeszcze raz rwała!

Przeży! Kupisiakowa idzie jak jakaś Onasis, w futerka miucikim i lecitkim niości. Jej Franek przywiózł z podróży słuchowcy trzy taśmę magnetowidy, robota, mikrofał. Może sobie kpić, że ja w szmatkocie stalam za łachami. Jego to nie dotyczy! Jak widzę jego morderstwo zadolowonco bułam, że wtedy chwytła mnie suchy skowyt, że tylko wyłabym jak ranny wilk!

Myślisz, że bym nie chciała mieć koronkowych majtek z Tajwanu, takich sekski, a nie byle jakich szmat? Z przyrzecznością oczywiście i do tego sweter jak z żurmalą i kurtkę dzinsową na misiu ze sklepu „Walesa” w Turcji. Wtedy jak ta lala, podpindrowana, odpiciowana, każda dziura pod materiałem schowana. Od razu do hipermarketu byśmy pojedźmy i 20 jogurtów, cztery kielki szynki naraz. Bez względu na cenę. Toyote najowszy typ za drobiazdek, 72 tysiące bym kupiła, jak lapówkarna Zena Boersa.

Pieprzona szmenda jedna sekretariczka z partera! Nikt się nie domyśla, że za rulanio ma takie chody. Do Zosi dwa słowa, a Zosia gotowa. Niczej ją szlag! Skąd tyle wzięła? Pamiętam jak jeszcze w perrelu do Grecji pojedźmy, w Kijowie dzinsy sprzedawała. Już mi się ze wściekłości ogryzicie i to tego sweter jak ja wtedy plakała po śmierci Breżniewa, pochłapywała, aż kucharka przymioła jej gorącą, wyparzoną szynkę, późnej Bkała do komoedki, gdy przyjechał do nas Clinton. Teraz pewnie już jej tytuło audi kupi. Nahańdował w się samochodami. Najpierw fiaty na polonocy, polonocy na warburgu, warburgi na fondy, a fondy za merce. Tunio musi też jej przywieźć kampera na wido. Kiedy siebie zobaczyła w telewizorze, aż podskakiwała i popisywała.

Takak ładna! Aż dusza we mnie się burzy, bym wzięła taką pitulindę i ciąg-

nęła za włosy po całym placu Wyzwolenia. Wtedy róg bym jej utemperowała!

Chociaz morda mi się całą szczeniakią śmiechła i ładaj łubę, a pajaka i młuchę boję się skrzyżować, to jednak oddech ledwie łapie z wściekłości, nie mogę ścierpić, gdy koleżaneczka Bossa do samego doścoś mówi – a czegżeś to pan w propu stół, jakby na weselu przyzwał prosił, albo i co gorsza, pan siada, bo za pion docnotwami nie placą, ojoojoo – tak zawodzi i baka, i pyka przy ludziach, grzywe do tyłu zarzaca, żeby obnażła jakby to była jakaś hard porno! Ale się nieśle trzyma, bo u kosmetyczki i fryzjerzeczki każe jej już mieć bywało, kilogramami wazelinę kupuje i funduje ekstra sprężynki. Nie?!?

Skąd cholera Minsiek będziesz siedzieć i nie robić, tyli byś słuchał jak z człowieka leje się zół i nic nie pomagał, jedynie pokujesz – dobijasz mnie, dobijasz Sabinko, czego masz taki grubny głos – po co to powtarzasz, lepiej zarob parę tysięcy, jak to potrafiła prawdziwi faceci!

12. Gdyby nie wy, to...

(do wygłoszenia o stosownym czasie)

Parzywie i garbate szczyście moje. Gdzie przeklęty los rzucił ciłowiczka? W samo wasze bagno, moczary, przepastną otchłań bręi, a może nawet! Dośłownie, co krok zrabuje, to już się zapadam, coraz głębiej, po kolana, po pas, po szyję, aż do utoży tuż oraz. Pod moja stopą ten grząski grun trzęsie się jak malinowy kisiel, rdzy niby galaretki, posypywana cukrem, aż

A tak ładnie się zapowiadanie. Rodowód należyty – w zyciosach pisiałem z damą „syn małorolnego chłopca” z wiodolniejszej rodziny, bez magnackiej zamożności, wychowany na lebidzie, jarkowcica A, karzewciana najgorszych pragnienia sprawiedliwości, chęcia krzewienia ała, karzewciana najgorszych pozostalości poprzedniego ustroju, romantyzmnie stalnowojakiej pieśni na uszach „My zetempę, my zetempę, reakcji nie!”

Starałem się o każdy mój słuszny krok. Wyżęony umysł huczał jak mlyn, gdy kulem wreszcie, rozdziła i ustopy. Zasilinone paluchy przewracały tysiące książek śmierzdzących myślami fitatami. Propedeutyka, palusiki uniesione w górę, higiena, zawsze z proda, przysposobienie, alert i czujność, żeby w usmiechu, poręczeniu tuż przed.

A droga przede mną jawiła się prosta i jasna jak promień słońca, niby strzelili, radosna chęć władzy i przywództwa pędziła mnie już od wczesnego dzieciństwa. Wierzęłem w swoją dobra gwiazdę, która oślepiała ozolomionego młodzika bardziej podnieczonego wzniosłym hasłem niż kolankami nastolatka. Ministrant, zastępowy, grupowy, przewodniczący, przyboczny, prowadzący, a także. Mój głos przeżył się, rósł w siłę i ton, porażał i ogłuszał, teńił, walczył o uwagę, zdobywał postach wiotkich uszu i przychylności delikatnych malowizn, że tylko.

Przedem mną były awanse, kariery, świat pstrych neonów, delegacji, dewiz, limozyn, kobiet pachnących jak mokry jaśmin, puszyste dywany przed gabinetami, pierzaste skrzydła lici i palm, podwójnie, a nawet potrójnie wycyzłone drzwi, toasty, mianowania i burza braw podano. Wszystkie oczy zwracały się na mnie, podziwiali mądrość, godność i prezentację, gdy

Śpię, kulawy nos, paskadny, szpetny przypadkiem zmieszał mnie do was. Gdyby nie wasze morderstwo znieprawione, nienazarte ślepia wpatrujące tylko w lity plach, aby. Gdyby nie wstrętne wasze gniepie lby, wszystkie lapy lewe i skrócone do własnyc kieżeni, lepkie naczki i pragnienie, żeby tylko cół przeciżnik przez pot, zachłamećć kawalek białych, przembimbach, gdyż.

I znowa pysk otwiera cholerny cymbal na dzyrcze, który zawsze zapomnia,

że ja codziennie ze wzgórz zjeżdżam czarnym audi z wyłączonym silnikiem i z pewnością przypapie go na chrapaniu trzęącym szymbami, az.

Wasza wszelaka mać! Gdyby nie to dno, w które mnie wbiło głową w dół, gdyby nie tuższa swoloca, podłóże małych ślepych pehel, kadłata tępa nie-nawiló, to porzeczylim w górę niby balon wypuszczony z świcię, ze zmarów, spod waszych macek, anoniomów, permanentnego szczucia, uchwiał, wniosków i mynch.

Jako dyrektor spółki klepył bym sobie sprzedawał, przedsiębiorczy niezwykłe stałym się, boazeria bym konsekwentnie handlował, pośrednikiem bym był i cesał dziesiątki tysięcy złotych, jakimś sponsorem, superjakowym bossem, panikiem z olbrzymim kontem i stałem prawnikowi, z beemką i trzema komórami w każdym ręk, aj ci em company bym jakies był, ponad Sukin parzywa wasza raz i z wami nie pilnym tej wrędnej księżyćkowi, grunwaldzkiej, kapońcówki albo w ostateczności stołowej, tylko sobie na boczu w gabcieku z porządym towarzystwem oraz. No pijmy w ten dżab, morię dajcie chłopczy, bo swój ja dyrektor, az.

13. Cwane Podlasie

Niby nie, przykucnęło Podlasie, skuliło się pod brzoźkami, zawieruszyło w kartofliskach, pomiędzy żytami przedziera się do dobrobytu, z własną kamienicą wyszadaną fajansem i zdobioną szczytnymi astrami, a popiskuje z ci-cha, przytupuje nieśmiało i nastawia ucha, aby wyczuć jak z każdej strony wieje prawdziwy wiatr, umorusane to nasze Podlasie, pomiędzy miedziami kombinuje jakby tu wyjść na swoje, przyciągać przystanek pod własną chałupę, bo i niegłupie ono. Paradnie jedzie w wymalowanej bryce środkiem gościńca do nowego kościoła, a rozgląda się jakby chciało oczy pogubić i-loch z piasku oraz zamurzyć i przemyć je w Bugu, ciągle dzikie i nieskoro do takich przyjaźni, takie cwane.

14. Przedsmak

M...

Najpiękniejsze są pory i krajobrazy przejściowe, kiedy niespodziewanie babie lato przechodzi w śnieg, a dolina pachnie w pełne nadziei wierzże. Niby jest godzina 24, a stała się już zerowa. Niedziela zawałaha się w ponie-dzialek. A pogranicze? Pogranicze doszło do kresów. Tu brzeczina daje przed-smak Wschodu, a Zachód dopiero zachodzi.

15. Porzuczona ściana

Daleko za lasem i krajem ciągną się kresy. Ludzie żyją bągniennie i piasz-czy. Z rzadka tylko polskaje kresowe jezioro. Wśród zapajników i ugo-rów znaleźliśmy porzuczoną ścianę. Wydawało się, że pasuje do Polski. Odra-pana, pełna zamalowanych napisów, sprzecznych haseł i wezwań do lepszego jutra. Przetrzała wrednymi kornikami, ruszoną próchnem, smutna jak opusz-czona doszpecznie wieś bez kota, ciągnąca i skrzypienia stania. Tyko z dala smutno, nostalgicznie wyl piesz jakby bojąc się zapomnienia. Leżąca na wschodnioeuropejskiej platformie ściana wydawała się być drzwiami do wyciętego lasu.

16. U kresu

Wspólny był nam kres. Tu polskie wrony zatwacały, a diabeł zaciągając ze wschodnim przysięstwem pocztowie mówił – dobranoć. Bagna, kanały, wzgó-

rza i doliny były przepasane sosnami i olchami. Mieszanka europejskich am-bicji z bizantyjskimi twarzami jakby wyciętymi ze starej ikony. Leniwie płynął zdradliwy Bug. A kiedy podeszliśmy do naszego dno, odpadała wargazona ściana wschodnia. W każdej chwili mógł runąć dach pobawiony jednego pod-parcia. I tylko radowała świeżość wiatru widaćego znad tamtych stepów...

20. Wyjść na swoje

Bizancjum płasła po butkach. Zaciąga w pieśniach o kazaczokach i iskry w lekko skośnych oczach. Ławni nad wybielałą ikoną i starym różańcem unity. Kryje się wśród znajomków z cichą myślą, aby jakos przetrwać, aby tylko wyjść na swoje.

24. Ciężar przekleństwa

(opowiadanie białego rzemieślnika)

Niebieskie tęczówki oczu oplecione siateczką zmarszczek na zmęczonej twarzy wypływały już jak kwiat lotu w jaskrawym słońcu. Spieczane wargi kleiły się niby dwa duże filimaki. Tyko głus był pełen siły, dziwnej, wibrującej energii, drzał jak liście osiki:

– Pragnalem zostać księdzem, ale po śmierci ojca ktoś musiał zająć się gospodarstwem, aby utrzymać sześciorgo dzieci. Wróciłem więc z seminarium i zaprzęgam się do pracy. Taka przypadła mi służba. Szybko pojąłem, że robota może być prawdziwą modyfikatą. Kiedy już wydawało się, że poddam wszystkim obowiązkom rodzinnym, nagle przyszedł huragan historii. Słowne dni wtedy były. Coś dudniło jakby ciężką burza szła. Wojna uderzyła w nas gorzej niż grom. Po pewnym czasie dotarli do nas Niemcy. Spojrzeli na moje bary – Er ist gut! – zrozumiałem, że dobrze obracając mięjs kondycje. Skuliłem się pod tym wyrokim.

Trafilem do okrutnego gospodarza mieszkającego w dolinie niewielkiej rzeki w Brandenburgii. Kiedy tylko trafilem w transportie do swego nowego pa-na, ujrzałem jak znezał się nad koniem, który wspier chciał wypić wodę, zanim miał wyjechać w pole. Nie pozwolił zwierzakowi zaspokoić pragnie-nia. A gdy siwek uparcie parł do przodu, wtedy podziurzył mu pod brzuch pło-nący wiecheć słomy i zabrawiał złowieszczy śmiechem. Przez płecy niby szorstki lód przesła mi fala zimnego prądu. Wstrząsnąłem się. Helmut chwycił dżęk i zaczął bić konia, a echo niosło jakby odgłos sflunowanego głuchego hębna.

Podobnie i mnie gospodarz męczył, przeladował i nie pozwalał choćby na chwilę spokoju. Całymi dniami musiałem wyrzucać gnój. Oraleń niemiecką ziemię. Kiedy kłókałem i potrozbawałem choćby chwilę spokoju na modlitwę, Helmut zjawiał się, by zaśpiewać sprostą marszową melodię – Arsch! – wy-krzykiwał w moim kierunku obraźliwe słowa. Mój pan i władca życia miał dobry argument. Prawie zawsze w rękę nosił widły. Zagryzałem wargi, aż czułem mdły smak krwi. Tęskniłem za krajem Podlasia, widokiem leniwie przeciągającej się w dżimku korywie Krzmy.

Przyszła kolejna niedziela. Pragnąłem bardzo pójść do kościoła, jak zawsze w święto, aby przetrzeć to, co wydawało mi się konieczne, bliższe sensu całego życia.

– Dzisiaj będziemy pracować. Ist gute Wetter – usłyszałem od sztydyczno u-mięchniętego gospodarza. Zrozumiałem, że jest dobra pogoda.

– Muszę iść do Kościoła. Ich muss zum Kirche – nieskładnie mówilem po niemiecku.

— Ja ci dam kościół! Pokażę ci modlitwę! — Helmut schwył za kolek i już zamierzając uderzyć mnie z całej siły. Wtedy wydało mi się, że całą swoją energię skoncentrowałem w oczach i uszczelniałbym całą siłą wzroku pchnął głowę napastnika. Kolek wypadł mi z ręki. Zaklął cicho, co wydało się nieprzyjemnym skowytom. Ruszyłem do drzwi.

— Natychmiast masz iść na łękę i zgrać siano, a ja ze swoją Helgą przyjadę — Zęby to był twój ostatni dzień! — cały swój ból chyba zamknąłem w tych słowach, aż przeraziłem się tej niesławnością. Wydawało się, że jest bardziej konkretna niż czerwieciany mój obrob, o który się oparłem. Schwyliłem za widły i ruszyłem w kierunku rzeki. W nozdrzach miałem zapach wspaniałej smażonej słoninki z cebulka. Głód niby ciężki kamień zamart mi w głębi brucha i ciągnął smażeniem przypominając, że nie dla mnie zostanie przeznaczony dzisiejszy obiad. Z tym lakonizmem, z pracownym losem, ze swoją słabością walczyłem na łące. Widziałem wdarłem się w klebaste belce suszonych traw i nożem je na miejsce, skład będą zabierane na wóz. Ciepłucha woń smaczną traw odarzała. Przypadałem się wróbiłem skaczącym po debie. Nie nie zapowiadało burzy. Kiedy już przystępowałem olbrzymie wale siano, zza węgłka ułyszalem nastalający się grzechot. To na wybojach podskakiwał wół. Niemal czulen mdy zapach spoożonego szkwa. Zamim sprasa drzew wypadł zaprzęg i ukazała się ruda szczeniina Hundscherka, ułożym z niego rozpustny rechet, który odbił się od szpaluru młodych debów.

To była orgia. Żeby miał niemal w całości odłonięto spota małych tusieniek warg, a w ich cieniu pozostawała twarz. Rżał jak stado oświec. Kpił ze mnie pokazując kłonicowatym paluchem. Błyskawicznie pociemniałem głębiak nadzieje na spotkanie z boskością

— Boże! Niech no spokojnie!!! — wyrzuciłem z siebie to życzenie niby jakiś wielki ciężar.

Wtedy jakby nadziei zmienił dzień i czas. Nagle z bezchmurnego błękitu wypadła jarząca się kula i ciągnąc za sobą szczył trask dopadła zaskoczonego rudziecia. Wówczas ujrzałem całą czern Helmuta. Błyskawicznie pociemniałem jakby usmałił go węgiel. Z rak wypadły mu widły. Koń też padł i z uniesionymi do góry nogami wyglądał jak zepsuta makabryczna zabawka. Słonec nabierało odświeżającego blasku. Widziałem trupa biel tarczy. Całe niebo było czyste. Żadnej chmurki.

— To ty! Ty jego zabiłeś! — w dolinie niósł się przeciągły szwyt Helgi. Aż w gębie zwał się potężny bocian. Ruszyłem jego śladem. Biegłem jakby pędzonny widokiem okrądnego wyroku. Bałem się objawionej niedawno niesamowitości mojej. Ruszyłem do pociąga. Kupiłem bilet do Szczecina. Na dworcu pojawili się zandarmi, którzy zaczęli przechadzać się po hali dworcowej. Już ciężki podjeżdżał do mnie, ale spojrzałem na nich i wysiliłem całą swoją wolę, aby ich odepchnąć. Odczuli ciężar mojego wzroku i nerwowo zakreślił się obok drzwi, otworzyli je i odeszli w kierunku centrum miasta. Jeszcze raz zdumiała mnie ujawniona siła. Przez nikogo nie niepokojony dotarłem do celu.

Staruszek ledwie dyszał wspominając historię sprzed kilkudziesięciu lat. Jakby wyrażał z siebie ciężki kamień.

— Już dawno spowiadałem się z tego i ostatnio też przypomniałem to księdzu. Nie mogę pogodzić się z przekonaniem, że zabiłem Helmuta gwałtownym przekleństwem. Gdybym mógł wywołać tamte słowo — rozdrapał nie do końca zabliznioną ranę duszy — Najgorsze, że nie było żadnej kary, w życiu ułożyło mi się całkiem dobrze — zamilkł. W szpitalnej ciałej sali XVIII-wiecznego budynku mur ciepłiwie wchłaniał ludzki ból i żal.

35. Dyrzygent

W istocie dyrzygent jest tylko zamaskowanym gołębiarzem. Co pewien czas wymachuje ramiionami, aby zerwać stado do lotu. Co chwila słychać wrzuceniemy topot. W powiewach wiatru wibrują skrzydła. Spada miękką piłą, który jak balsam okleja uszy. Pozbawiony muzyków i wprowadzony poza budynek dyrzygent zdaje się kierować jednokierunkową ulicą obłoków. Wywołane od sterowania chmurę tylko udają, że zważają na batutę. Wypuszczają deszcz, aby bidalek nie marzył o bisowaniu.

39. Cień I

Pani Doktor pośród domowych relikwii trzyma okupacyjną gazetę z nazwiskiem jej ojca, czernięjącym wśród wykazu rozstrzelanych. Złotybur. Kątyn przychodził do niej częściej niż koszar jednej nocy. Kątyn był w niej zaciekniętymi ustami, twardym milczeniem, kłopotami z życiorysem pisaniem ciągle od nowa. Odzywał w szynkach, braku awansów, stalowych oczach porucznika czekającego na cichy placz lekarzy. Ze względu na tę czarną wirwę we wschodniej historii nie otrzymała paszportu na wyjazd z okazji sympozjum w Wiedniu. Zaproszenie poszło do szuflady. Osaczyły ją ploki, szepty i nagłe rewizje. Przyszli obłąd, gorący jak prażony piasek. Z nocy na noc.

40. Cień II

Pan Władysław nie wspominał nigdy o przeszłości ojca, który przetrwał Kozielski dzięki twardym dłoniom i złytem zegarkowi. Gruby naskórek na rękach był przepuszką do obozowej piekarni, bowiem emkawudziści oceniali człowieka po odciskach. Wkrótce za złotą dozę (otrzymaną od Piłsudskiego) kolejarze schowali i wywieźli ojca pana Władysława w parowozie. Wrócił do domu jak należy.

Pomimo donosów, poncz sekretarzy partyjnych oraz kuratorów w PRL, pan Władysław uczył dzieci o czwartym robotarce Polski, o Katyniu. Na wszelki wypadek nie wspominał jednak o ojca. Pamięć nie pozwalała mu na pełną wierność.

41. Umarła wies

(mogą to być wymarłe Sugry nad Bugiem albo inna następna miejscowość) Choc ploty padły na kolana, żadna ich drewniana miedziana nie przywróci ludzi. Stara studnia uschnie z pragnienia, a wszystkie ścięta porosna, trawa, mchem, krzewami i zapadną się w martwą ciszę, nie potknie się na nich nawet przerażony zając. Zarosną bliżny w kątym krajoznictwie, przybędzie pokryzy i piasku w nieskończony klepsydze umarłej wsi. Po bokach w ponurej tyralierze nadciąganie step. Nawet cmentarze zgina pod ciężarem zapomnienia. Na mapach przybędzie pustych przestrzeni.

48. Okno matki

Okna matek pozostawionych w samotności nawilżone są oparami łez. Zamiast słońca zastępuje je tęsknota. To z jej powodu usycha nawet wybijająca pelargonium. Matki ustawicznie wpatrują w zbieżną nadejścia dziecka. Zamiast syna lub córki pojawia się jednak zdradziecki mrok. Nawet we śnie otwarte okno chłodzi zaprasza synka. A rano mama mówi — kiedy patrzyła na kwitnący stół i wiem, że już nigdy jak o nie rozbłysną, wtedy czuję, iż oczyszcza same płaczą. Smutek to być może szlachetniejsza odmiana tamtego życia.

49. Tuż-tuż

Rozróżność naszego świata objawia się w bezliku barw, nieskończoności kształtów i przenikających się kul oraz wirujących płaszczyzn. Najbardziej intryguje w dzwonim powietrzu, kiedy nie przebrzmiało serce miosiężnego dźwięku, zapowiedź czegoś niepokojącego. Wydaje się, że rychło może nam zagrozić nagła i zła chwila. Przryk zaskoczenie. Mammy w sobie zakodowały gen katastrofy Tuż-tuż.

50. Słodziotka herbatka

Kiedyś dziadkowie żyli pełną parą, przestrzenia, oblokami i przelotem dzikiego ptaka. Teraz namiastkę tamtych przeżyć przynosi serial. Kolejny odcinek ze starymi bohaterami, punkiem kulminacyjnym i listą wysłuchanych aktorów. W rolach głównych namiastki miłości, podłość i kilka zgónów. Do tego między chłapski wariety radość z ocenku głównej bohaterki. Na happy end roman, zdrada, podłość i pijemy słodziotką herbatkę. Coraz bardziej młda.

52. Prawdki

Po latach zamętu i polowania na haki trudno powiedzieć kiedy rzeczywiście odkryto prawdki. Główna hipoteza głosi, że docent prowincjonalnej uczelni wskazał na konieczność ich istnienia. Grupa ortodoksyjnie nastawionych członków Klubu Miłośników Gładzonego Kamienia skrytykowała te „wsteczne poglądy”. Niespodziewanie w przedostatnim tygodniu w milczeniu pewna wyuczka odnalazła w naszych górach stwory emitujące drżwie promienie. Świat wtedy przybrał wspomnianą barwę niezapominając.

Na szczęście, dzięki przenikaniu i wścizaniu, prawdki trafiły prawie pod każdy horozont. Lubiły jasnica sytuacji, wystarczyło, że ludzie spojrzeli sobie głęboko w oczy, a już za miły moment, po pomieszczeniu unosiły się jak motyle wytwory rozpoznały nawet produkcję prawdziwego ekstraktu. Najchętniej kupowały po serdecznie, którzy nie przewidzieli groźnych następstw użycia beprofesjonalnego dobra. Podobnie jak w milionach dziesięcioleciach zastosowanie prawdy, pigłka i dobra było bowiem ryzykowne. Parlament nakarał nawet wprowadzenie akcyzy na te archaiczne, jego zdaniem, wartości.

54. Choćby

Losie mój, unieś mnie, choćby na stopę, na lekki powiew szczęścia, na odrobinę lotu, mińskiego zrenierania skrzydeł, przestwił radośniejszego słońca, choćby na promienna, nawną chwilę.

Gdyby można nie zastąpić w brudnej maziu poniedziałków i wtorków, a przesunąć się nieco do przodu, odrobina w bok, choćby nawet lekko na skos. Aby tylko nie zapasć w czarną otchłość, by nie zastąpić w milczeniu i bezradzici. Aby tylko nie zamrzeć w beznachu na dziurawej krze, która wstępuje pod szarą kielip.

55. W Tobie nadzleja

Szanowny Niezidentyfikowany Obiektka Latacy. Z wielkim uznaniem odnośmy się do Twoich przyślotów oraz do sygnałów odebranych w Wenezueli, USA i Rosji. Myślimy jednak, że najwięcej mogli by uczynić dla dobra naszego narodu cierpiącego ludz płacącego za innych i pragnącego jeszcze jednego funduszi. Wyciągamy więc do Ciebie Kochane

UFO proszalną dłoń i zwracamy się to, żebyśmy wreszcie wyszli na swoje. Złoto dla Ciebie jest to pestka, płatyna jeszcze bardziej. Skoro wszystko po-trafiz, zaś nam jest nad nami Umiłowany Obiektka i pozwól, aby nigdy nam nie żywało naszej narodowej godności, ziemi, kandydatów na prezydenta i swoich inwestorów. Sypnij nam też codziennym luksusem, bo tylko Ty UFO potrafisz, bez warunków wstępnych, odpowiednich wniosków, biznesplanu i pogórka, z dobrego niezidentyfikowanego serca używać Mammy Dobrobytu XXI wieku

Przećnij już od wieku dziesiątków lat liczymy na to, że doczekamy się czegoś zupełnie nowego. Poza tym, Szanowny Obiektka, prosimy, abys wypracował nam o co w tym wszystkim chodzi, skoro lewica jest prawica, a prawica pogubiła licę, komunistę został kapitalista, a multimilioner głuch, a żyłność, zaś na naszym jedynym jednokierunkowej odbywa się ruch o wielu zró-tach, czy to normalna schizofrenia narodowa, czy też odrodzenie dewianta? A może łaskawie wyjaśnisz nam nierozszyfrowalne UFO, kto teraz zapłaci za dziesięciolecia niebezpiecznych eksperymentów zwyczajaj zagrabających życie i czy znowu będą nowe przywileje dla jeszcze lepszej cily? Umiłowany UFO, mi też mamy prawo na Ciebie liczyć, skoro uznajesz sprawiedliwość wszechświatową i logikę jak cicie lasera. Zamień nam obietnicę lepszego jut-ra na znośne dzisiaj bez drakońskiego darwinizmu i swobodnych praw buszu.

A jak już nie możesz nie zrzucić, to weź nas w umiłowane macki i unieś w tamten świat, gdzie ludzie nie wyją na ludzi, a szczęście nie jest poderznaną lapówką i ocalaniem od cynicznego losu. Możemy Ciebie UFO przyjąć też do honorowego grona najlepszych Polaków.

Za Spółeczny Komitet Przywitania UFO (takie małe ORMO kosmiczne - palaczka obojętne osoby) - niezidentylne podpisy.

56. Lepszy nadmiar

Wydawało się, że do nas mrugało okiem jezioro obrotnie zmierzwiąną broda krzewów. Obok, na leśnej polanie przystanek słońca. Światło gęstniało w cytrynowej żółci. Dokoła, wśród drzew migotały w promieniach czarne diamenty - jęzry lepkie od dojrzałego soku. Tak jakby życie podarowało nam jeszcze jeden wymiar - lepszy nadmiar.

Znad stawu nadchodzi wiatr. Idzie zamaryncze po szwiarach, puzę się w topolach. Jesień oczeka wzrosami i kipi jarzabiną. Wielkie zbory hojnej natury. Tylko wieczorne cienie drzewiaste w oczekiwaniu. Widny gisza rzuca się do uszu. Nikt jednak nie korzysta już ze słowniczka milczenia. Cicho-sza.

57. Rzuty

Na pierwszy rzut oka - porządek, na drugi - bezpieczeństwo. Wtedy jako ślepcy trzymamy się białej laski. Biała laska jednak zbyt krótka. Ona nie jest laską. Palka stała się złym doradcą.

Zjemy wspomnie pod wspólnym dachem, którego w istocie nie ma. Kiedy pada deszcz, wydaje się, że to ży wzruszenia. Także to mamy wzniośle chwile.

58. Kulawy połonez

W naszej ziemi na pozór wydające się urodzajną szkalifami wyjęcia, bezradni jak ślepe kocięta, dziecko we mgłę i aforsy przed sądem. Po omacku w lepkiem mroku szamotaliśmy się w rymie kulawego połoneza. Podtrzymy-wały nas na duchu dziarskie okrzyki, krótkie zaklęcia i obietnice międzyludzkiej pomocy. Niewdzięczny tajemniczy seram pozostawał poza naszym zasię-

giem. Szukaliśmy jednak ziemi bajecznej. Głębokie poczucie odpowiedzialności tamowało nam oddech.

Kiedy opadła szczelna mgła, okazało się, że szamotaliśmy się na wzgórzu otoczonym aż po bezkres moczarami. Za siedmioma bagnami, za siedzioma torfowiskami...

61. Rozkwit skanseniku

Teraz w naszym skanseniku żyć nie umierać. Zachłystujemy się wolnością dla skrzypienia żurawia i turkotania żelazników. Nasze grupy folklorystyczne popiskują z cudzoziemską i wjął z ładnym akcentem. Oczekujemy na duży kapital. Kiedy skończono taryfata da nam dziesięć dolarów napwiku, kupiliśmy garść gumy balonowej i nagminnie zjemy ją przed lusterkami. Ładnie to, po europejsko wygląda. Przygotowujemy obligacje dla naszej fabryki sztachynych pawich piór. Rozpiera nas dzwina energia. Tera nie nie doskwiera.

63. Gdyż potrzeba pikanterii

bo jak już zdołędę spory zszalał, to nie będę się cackać, na Canary i Maladwy pojedaz oraz sobie popływam na desce. Tam się wyżyję za wszystkie czasy. Przecież kiedyś nasi faceci potrafili za kilo jabłek zaszało w Tajlandii jak

gdyż tak sobie cicho pomyślałam, lubudu na całego poszłam, wszak dyskusja o honorze kończy się powyżej stawki 100 dolarów. Nie miłszego niż zieleone srebrniki. Utworzyłam więc sobie biuro matrymonialno-towarzystwe, jako jednostka jak najbardziej przedsiębiorcza i z reputacją mam swój region. A jak! Dałam ogłoszenie, założyłam przynęty z katalogiem i czekałam aż coś i mi skapnie. Lawiny nie trzeba rozpędzać, aby tylko ruszyły, a później to i

i po tygodniu przyszła pierwsza klientka. Chrapy u niej chodzą jak u klaczy, nosek zmysłnie faluje, usta zagryza i się marszczy. - Wiem, co chcesz, pitulindo - sobie pomyślałam. Psychologia życia to mi mówiła. A blondaska daje mi ofertę jak ta lala. Tylko do mnie mrugnęła i zakatwila sprawę. Wystarczy raz się wsłuchać w ciało, aby później pochłaniać całe koncerty, albo

gdyż później trafiała do biura jedna z tych smutnych nauczycielek, które są tak bardzo nieokultyskie, że aż strach. Raz spojrzaliśmy i żył trzymałam rękę na pulsie. Ta rudaska przychodziła co kilka dni na seanse. Tak się rozgadala, aż wszystko wypiewka o rodzinnych dewiacjach od dziada-pradziada. Czulał, że była naśladowana jak butelka lejdejska. Wszystkie jej opowiadania nagrałam na trzy kasety. Kiedy załozę pono-klub, będę puszczać tam ciche zwierzennia mojej samicki. Razem z reklamą podspokę. W następnym epoce zaś liczy się dogaby pomyśl na górę szucha, nawet.

lecz nie mogłam nawiązać moich kontaktów osobistych. Postanowiłam więc umieścić w katalogu krótką wzmiankę o nadzwyczaj miłych, luźnych spotkaniach towarzyskich. „Dobre widzieli obcokrajowcy” - dodałam. Liczyłam, że w pierwszej kolejności sama dorwę się do najłepszego towaru. Mogą być surowce wtórne, czyli kawalerowie z odzysku (rozwiędzani i wdowy). Najważniejsze, to wziąć sprawę w swoje ręce, które trzeba trzymać na wierzchu kółderki, aby

gdyż teraz nie jestem już taka głupia jak przed laty, kiedy to cała moja wies się śmiała, że podczna poroda polozna obciąża mi za drugi peppek. Wszystkie baby i chłopcy w gminie się cieszyły, nie mogłam też z tym deficytem chodząc po normalnej plaży. Kiedy zestałam pamięnka, matka prowadziła mnie jak lilijkę na zabawy i w oknie stała świecąc w oczy cytynową żarówką latarki. Pil-

nowała jakby się spodziewała, że kiedyś rozwinę skrzydełka oraz

zawiozłam im do wioski Arniego, muskularnego Murzyna z Senegalu. Wszystkim chłopcom opadły szczęki (powiedziły), a babom otworzyły się pyski. Co oni mi nie wymyślali. Opowiadali jak w Lublinie nam nazytłam na stołach w kilku knajpach, nikt nie wierzył, że dziewczwito straciłam bardzo późno, w wieku 27 lat. Zbyt późno, aby

więc teraz wrzeszczę wyważalam koniunkturę, a to dzięki temu, że mam dobrego nosa, pokąnego jak widać, z haczykiem. Znajomi mówią, że jego długość jest wprost proporcjonalna do temperamentu. Pies ich drapał, swoje wiem. Czuję jak bębić ciała i

że „Bliski Kontakt” - nazywał firmę. Znam facetów, więc wiem, co ich podgrzewa. Towarzystwo oferty z „atrakcyjnymi blondynkami”. Wrzeszczę ja zbiorę sobie fimitankę z tego miłczaka, którego nadmiar pomiewiera się po świecie. Nieustannie i niesprawiedliwie dotąd niewiele użyłam. Mam w sobie taką spóźniona potrzebę pikanterii. Najważniejsze, to dobrze się ustawić, aby skoro pokrycie amerykańskiej klaczy polskim ogierem kosztuje 10 tys. dolarów, to o czym tu w kraju mamy myśleć? Jak o tym wspomnie, to jasna i ciemna krew mnie zalewa. Gdzie tu sprawdźliwie! Niekiedy więc we mnie dusza się buntuje, jakis szum się w niej zrywa, coś czystego chciałabym przeryć, wielkiego oraz

jeśli nie ma róż by bez kolców. Początkowo sądziłam, że moje ciche biuro nie jest znane bliższym osobom. Ujawniliam tylko przeciw numer skrzynki pocztowej. Płotkarze jednak szybko opowiedzieli kuzynom o moim hobby i biznesie. Kiedy w niedzielną szlam środkiem chodnika jako przedsiębiorczka jednostka, usłyszałam śmiechy dobiegające zza kiosku. Znajomi, ot choćby Łagowka, przestali ze mną rozmawiać. - Dzwię się tobie! - powiedziała matka chrzestna. A ja zawsze byłam higieniczna, umyta wzdłuż i wszerz, wypyciana jak ta lala! Wyczuwałam, że zaodnosne babzylete sobie ze mnie kpią, a nawet szydza. Obiecалаm sobie, że jeśli kiedyś nie stanę się masą upadłościową, otworzę kantorek wymiany dewiz, a wówczas będzie toją i workę złota, zaś roznika po łapach będzie mnie całował i

albo wczoraj Towarzystwo Optiki nad Zwierzętami przysłało mi ulotkę o tym, że bezpłatnie oferuje środki antykoncepcyjne dla suk i kotek. Wtem kto w tym lapska maczał, czyja to była inspiracja! Fochy cioty! Ależ piękny dowcip im wyszedł! W tych prymitywnych warunkach i bez przestrzegania zasad BHP muszę myśleć głównie o swoich klientach. Martwię się, bo ostatnio popytrochę wygasła, bezrobotni nie myślą o kaka. Nawet stali klienci dopytują się, kiedy poma będzie zakazane. Brrr. Jako osoba partnersko nastawiona do wszelkich stosunków międzyludzkich ostrzegam więc wszystkich - albo język będzie za zębami, albo prosto z mostu wygnane o wszystkich wazszych ciemnych sprawkach, amiołczki. Moja karteczka jest zasobna i szczerogłowa. Na kasetkach mam parę dobę nagrą. Na to mnie stać, a nawet.

66. Jakby kurz

Bibliotekarka opierała się o framugę drzwi i płakała. Chciała otrzeć oczy z łez, ale nie mogła oderwać rąk od niesionych książek. Nieporadnie więc tylko poruszała łokciami.

- Co robisz?

- O co pani Jaszu chodzi? - dyrektor niemal nie poruszał ustami. Widąc było, że zagryza zęby. Nie wiadomo, że strachu czy z wściekłości? Szybko przeliczł kolumny liczb w dzienniku szkolnym.

- Musimy to zniszczyć - wskazała na nartę księzek i nogą przesunęła worek z pełną opawadą.

- Jak to zniszczyć?

- Byli dziś rano chyba z milicji i kazali mi spalić. Wszystkie Sienkiewicz i Mickiewicz. Myślałam, że choć to zostanie. Przed rokiem zniszczyłam przedwojenne druki. Ale tego, to... Ja nie.

Szloch zatamował wszelkie słowa.

- Jak to w ogień? Jak można?! Gdybyś mógł ojciec!

- Pani! Jasiu! Już się nie bójdzmyż mazać. Trzeba wziąć się w garść. W razie czego, jak wróca tamci, to powie im pani, że spaliłiśmy. Ja potwierdzę i pokazę miejsce po ognisku. A teraz trzeba worek z książkami powiesić na strychu w najbardziej ciemnym miejscu. Da pani radę?

- Co mam nie dać? Nawet gdyby, to na.

- No dobrze już, rozumiem, że tej rozmowy nie było.

- To się wie.

Mijały lata. Ludzie przylży się jak struny, lénili w słoicu sztucznym blaszkiem, metalicznym głosem nucili dziarskie piosenki. Działo się to do czasu. Historia zrobiła szpagat. Nagle zszarzał sztuczny dynamizm. Powracała odwaga, szczerść i trochę lepsze dni.

Janina zastukała w lekko otwarte drzwi.

- Proszę! Śmiało...

- Panie dyrektorze...

- A co się pani urodziło?

- Mi jeszcze nie - kobieta lekko zarumieniła się i spuściła wzrok - Ale...

- Komi?

- Nie, ja o czym innym. Chciałabym...

- Czy mam coś pani pomóc?

- Chciałabym zdjąć worek z książkami.

- ?...

- No, ten z Mickiewiczami i Sienkiewiczami.

- Wisi?

- Wisi i czeka...

- Doczekał się. Można zdjąć. Pójdę za panią.

Unióś się z krzesła i dziarsko ruszył do prozd. W jego oczach widać było radosne iskierki. Wziął pęk kluczy, które złożyły się starym miosiadzem. Podrównał metalem pogwizdując jakiś znany marsz. Schody najpierw zakrypił ostrzegawczo, ale później nie protestowały przeciwko wchodzącym osobom. Na strychu szarała ciemność. Trzeba było przyszycać oczy do akamitnego chłodu. Zdawało się, że z belek opływa się cisza. Delikatne firanki pajęczyny przyklejały się do włosów i rwały na czole oraz nieprzyjemnie opadały w kierunku ust. Wreszcie dyrektor z bibliotekarka dotarli do ciężkiego worka. Książek jakby przybyło. Po kilkumsta minutach oboje byli na dole. Bez zbędnych słów rozpakowali pakumek. Kłody pojawiły się na twarzych brązowych obwolatkach znane srebrzyste litery, nie mogli ukryć wzruszenia. Jakby kurz dostał się pod powiekę.

67. Przed wielką chwilą (unimot)

Nadchodzi chwila, kiedy nawet wichura na pratalińskich ląkach wstrzymuje oddech. Na nowo otwarty słownik milczenia przerzuka kartę za kartą. Można zerknąć z siebie warstwie po warstwie, rok po roku, przycięć po przycięciu. Ciche wzruszenie rzuca się do gardła. Bez suchego szloch. Narasta łomot

serca. Chyba nim wyluszone ryby w Bugu wzbijają się także do nieba i po przebicciu taflę z pluskiem opadają w głąb. W leńszej oprawie, obok woalu zielonych wógrze płynę szmaragd trefki.

Tak jakby na chwilę przed spadaniem gwiazdy, przed szybowaniem duszy z rozpostartymi skrzydłami. Kiedy od zaru modlitwy do Matki Przczystej skuty unita poczał, że przepalają się kajdany, dojrzał przerazenie Kozaków cudem na jawie tak oczywistym jak jaskrawość tamtejszego słońca. Gdzie nad Bugiem, w ciemnym gaju olšovym bija ożywcze wióra, ziara takt szczera jak blask wybornej kryzki, kedy umyła brodziez: krwawodżoby czy kluczy przepłoszona okiem starorzeza lyska? Labeńdy niemy przylęka nad oczkiem starorzeza. Wiatr gwizdzie smutny marsz w galci graba i sznie kładzie, gdzie strumień leńszy niesie litanie. Dojrzewa brzemieniu nadziej. Nadchodzi długo wyczekiwana chwila. W cichym rozmoledniu zastęga mgła. I wiatr przepysuje różnacie zaplątanych jarzęb. Już blisko.

68. Oblawa (unimot)

Wielki smutek przed sobą pedzą Kozacy. Cicho! Sza! Po ludzkie dusze jadą, coraz szybciej pedzą. Po kluczy, nie tylko do cerkwi, a także do serc gnębionych ludzi. Z batami, nabajami. Na unitów oblawa. Krok stuła o krok. Po-przoda ich zastają. Spodniąją wszelkie proby o rycłną siłę. Będą batorycy wiernych. Krwawą obłostę wiozą, ostre kule niosą. - Won, kalakui! - pokrzykują na przdzie. Przed nimi wiruje puchata zamiec. Toczy się jak walec. Łoć niepotrzepe gęstej smięga. Obok kryje się zimorodek. Kozacy ślępa śmieć chca przywlec. Bez zbędnego maku słów wiozą krową zapowiedź. Jadą po jek rannych, płacz głodnych dzieci i męzcziem. Pedzą Moskale...

69. Żal organowej muzyki (unimot)

Panie! Moskale znów zabrali unickie organy! Wypruli serce naszej świątyni. Wcześniej muzyka nas uskrzydlała i lekko niosła pieśń wprost do Stwórcy. Ona porwała, przynosiła nadzieję i mknęła w przestworze. Tak słodko było na duszy, tak miłe dżoło serca. Organj zabierały jęki i skargi śniepanych nabajkami, błagaly Pana, by już Kozacy nie ciągli naszych ciał. Podnosiły nasze prośby i modlitwy, wysoko ponad szmaragd Buga, ponad przepastne lasy, kępy sitowia, kobuzia i cyranek, czernię i remiza. Kto teraz zagra "Serdeczna miłość"? Kto kłodej rozmieni na dźwięki, jak ma rozbrzmieć bez muzyki pieśń? Przeczysta Dziewic! Matko ruskiego kraju! Teraz cisza oczekiwania zarasta nam uszy.

Panie! Moskale chcą zaraz zabrać naszą monstrancję! Panie! Tęgo glana pogrzeby już nie umiemy! Kozacy nie zakobują nam serc. Nie damy klucza od naszej świątyni. Choć w lesie dęby pamiętne nadal rookładają ramiona jakby chciały nas śnieć galczkami, to nie odjeździemy do nich. Przeczenie mówię, że musimy tu zostać, choćby nawet drzewa rozszachały się z zalu, choćby nawet śnieg zaborwł się krawmo. Nadchodzi tęten kom. Cicho! Sza!

70. Tak śpiewa dusza Podlasia...

Sucholubne Podlasie wdrapuje się na wyższą galęz. Z dżobem trzmiełojada i oczami puchacza chichotko popiskuje nad przydrożną miedzą, sunie pomiędzy wrzecionami usychających sosen. Śnieżyni oczodolami lypie na martwy dysk kłyszcyca, który usiłują przelonć chmury. Trzepocze skrzydłami niełota, który liczy na to, że może jednak za chwilę zerwać się do pękatego nieba...

Podlasie - niekiedy swójskie z pogwizdami, popiskami kłębi się pomiędzy

EWA MAZUR

Mądrość przedmiotów

Przedmioty są mądrzejsze ode mnie
Wystarczy, że w łazience postawisz swoją wodę po goleniu
I już się robi ciasto

17 kwietnia 2000

Sytuacje niemożliwe

Oboje kochaliśmy się kochać
W sytuacjach niemożliwych
Zaczęłam piwowa
Brawurowo
W sali kinowej tuż po reklamie Marlboro
Potem poszło
Bramy
Wielkie ciemne sale kawiami
Albo przeciwnie
Jasne kandelabry
Lśniąca biel restauracyjnego obrusa
Srebrem do ziemi
A my
Chichocząc obwąchiwaliśmy swoje palce
Zlizywaliśmy lepka sól
Unosząc do ust kieliszki z winem
W windzie
Na przyjęciu rodzinnym
W kuchni
Kolekcjonowaliśmy miejsca chwile sytuacje
Na granicy prawdopodobieństwa
Przyjazne ławki na molo
Bariera balkonów
Drzwi do urzędów
Szybciej
Bezczelniej
Lapczywiej
Adrenalina ostatniego lotu
Błękitne iskry w moich włosach
twoje oczy wywrócone
Napięte drzenie mięśni
Gotowych do następnego wysiłku

22

Sól sól drzenie kolan i muzyka
Wszerechobecne i wystrzone zapachy
Potem okazało się
Ze potrafimy tak tylko ze sobą
Inna kobieta kocha cię po bożemu i jest ci dobrze
Inni mężczyźni potrzebują bezpiecznie przystani i ja to rozumiem

Michał Głowiński

Literaturoznawstwo bez granic. Fupz

Miasto w którym chciałabym
Zamieszkać
Nie istnieje
Chodzą po nim
Piękne kobiety
I umarli – wszyscy tacy młodzi
Z kanałów nocą
Wynurza się zatopiony prom
I dźwięk trabki
Rudewa się srebrem po dachach
Jak światło księżycza
Miasto w którym chciałabym
Zamieszkać
Nie istnieje
Bo zdradziłam je
Przed wielu laty
Dla kapyrsu
Nie wiedziałam wtedy
Że łatwo opuszcza się tych
Którzy kochają
Ale potem
Całe życie
Zamieniam się w powrót
Niemożliwy

7 stycznia 2000 r.

Wiem tej nocy nie zasnąć
Jest już jutro i czas pędzi przed siebie
Mogę liczyć godziny ale nie starcza oddechu
Na tę szybkość
Półki
Lękko
Ciepłe mrowienie skóry
Citra
W zamkniętej kapsule płynę
Na spotkanie
Twojego głosu
Wiem

23

Następnej nocy nie zasną także
 Będę szła
 Przez miejsca ciemne i znane
 Aż nagle
 Peknie ład pod stopami
 Morze i niebo wielką czernią
 Położą się na powiekach
 I wtedy spojrzysz na mnie
 Światłem

21/22 grudnia 1999 r.

* * *

i po co to takie rzeczy pisać obraża się matka
 jeszcze ktoś ci uwierzy i znowu będę musiała
 sąsiadom się tłumaczyć lepiej zacznij żyć po bożemu a wtedy
 wszystko się jakoś ułoży zrobimy w domu remont

dobre twarze ze listy dobre sny zle pogody

Ewa Mazur



Stanisław Hiszpański, *Królowa Nauzycy (cykl Odyseja)*

JERZY ŚWIECH

Michał Głowiński, czyli o literaturoznawstwie bez granic i uprzedzeń*

Pragnę na wstępie wyznać, iż czuję się wielce zaszczycony tym, że mogę wziąć udział – na prośbę Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego i Rektora tejże Uczelni – w procedurze związanej z nadaniem profesorowi Michałowi Głowińskiemu tytułu Doktora Honoris Causa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na wyróżnienie to, będące marzeniem wielu uczonych, profesor Głowiński zasłużył jako badacz o imponującym dorobku naukowym, osiągając sukcesy na miarę nie tylko krajową, ale i między narodową. Zajmuje on od lat pozycję, jaka w różnych dyscyplinach wiedzy przysługują wielu badaczom, tym o najwyższym autorytecie, inicjatorom przedsięwzięć, które na długie lata określają kształt i perspektywy danej dyscypliny. Fakt, że dyplom doktora honorowego profesor Głowiński otrzymał z rąk Rektora Wszechnicy Krakowskiej odbitur jako nad wyraz trafny dowód uznania dla Jego osiągnięć ze strony Uczelni, która w swych dziejach wyróżniła osobę tym tytułem uczonych reprezentujących najwyższy poziom wiedzy i cieszących się wysokim uznaniem w środowisku nauki. Zatem mogę tylko z największą aprobatą i satysfakcją, jaką sprawa wybór tak szczęśliwy, odnieść się do decyzji Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego, by zaliczyć profesora Głowińskiego do szeregu doktorów honorowych tej zacnej Uczelni.

Funkcja recenzenta w przewodzie honorowym zmusza do świadcząc przesądziwszy toksem procedury i temu obowiązkowi pragnąłbym z całą powagą i należnym poczuciem odpowiedzialności wyrazić, świadom zaręczam, że w tym przypadku pełna i wyważona charakterystyka i ocena dokonań Kandydata wykracza poza możliwości zadania, jakie zostało mi zlecone. Z konieczności przede wszystkim się ograniczyć do skrótej prezentacji dokonań profesora Głowińskiego, akcentując głównie te Jego zasługi, które w środowisku polonistycznym, a także wśród wielu przedstawicieli innych dyscyplin uchodzą za najbardziej czytelny znak obecności Profesora w humanistyce współczesnej.

Profesor Michał Głowiński należy do tej generacji badaczy, której początki przypadają na okres stopniowego ale energicznego wyzwalania się literaturoznawstwa spod presji metodologii marksistowskiej, co w tamtym czasie, a była to połowa lat pięćdziesiątych, dokonywało się pod znacznym wpływem strukturalizmu (w tej wersji, jaka znana jest z założeń i dokonań szkoły praskiej oraz rosyjskich formalistów). Należał do grona najbardziej utalentowanych uczniów profesora Kazimierza Budzyka, który w składowości Głowińskiego, Aleksandra Okopien i Janusza Głowińskiego opublikowali już, w 1957 swoje nieludnie studenckie dzieło *Wprowadzenie z teorii literatury*, w podstawie dla ogłoszonego w parę lat potem, a następnie wielokrotnie wznowianego *Zarysu teorii literatury*, podręcznika, o którym bez zadnej przesady można rzec, że wychowało się na nim kilka pokoleń polonistów. Odtąd nazwisko Głowińskiego zaczęło się pojawiać coraz częściej w kontekście nowożycie pojętej wiedzy o literaturze, popularizującej – w najlepszym tego

*Tekst prof. Jerzego Świecha jest „czystą wstulką w sprawie sadzenia profesorowi Michałowi Głowińskiemu tytułu Doktora Honoris Causa Uniwersytetu Jagiellońskiego”. Chcąc zachować jego pierwotny charakter drukujemy go w wersji oryginalnej.

słowa znaczeniu – jej zdobycze na Szerzy użytek (po Zarysie, kolejnym dziełem ze zwoją, z dołączeniem Teresy Kostkiewiczowej, stał się, powszechnie znany i niezbędny dla każdego polonisty, *Słownik terminów literackich*, jeden z najlepszych leksykonów tego typu w piśmiennictwie światowym). Głowiński miał zatem szczęście nie uleć pokusom „jedynie słusznej” i „produktującej” metodologii, za to od początku dał się poznać jako zwolennik badań zarotaryzowanych na autonomiczny charakter docelnych dzieł i swobody rodzajów procesów, jakim w trakcie ciągłych przekształceń dzieła je podlegają, a zatem jako teoretyk literatury, którego zainteresowania ciążyły coraz wyraźniej ku dyscyplinie, wtedy będącej dopiero w Polsce *in statu nascendi*: poetyce historycznej. Pierwsza samodzielna książka Głowińskiego *Formyka Twisima a polska tradycja literacka* jest mimo znacznego upływu czasu (napisana w roku 1960, wyszła w 1962) pozycją wciąż żywą, co po tylu latach da się powiedzieć o niewielu dziełach z dyscyplin tak dynamicznie się rozwijających. Jest to właśnie rozprawa z zakresu poetyki historycznej, pierwsza – a co należy z naciskiem podkreślić – wyznaczająca i precyzująca metode badania gatunków literackich (tu poetyckich) i ich historycznym rozwoju, która wychodzi od rozpoznanych cech strukturalnych gatunku, by następnie śledzić ich przekształcenia i zmiany w ramach systemu, który już wtedy – a jest to ważne założenie – jawi się Głowińskiemu jako swoisty analogon do systemu języka (*langue* według terminologii F. de Saussura), czyli jest poddany działaniu społecznych konwencji, zmienianych w zależności od ich historycznego i kulturowego uytuowania w czasie. Kluczowymi kategoriami, jakim oddać będzie się posługiwali autor – a badania Jego w tym zakresie okazały się wzorcowe dla innych – będą także pojęcia, jak tradycja, system, gatunek, konwencja, proces literacki, czyli i wszystko, co składa się na wyposażenie nowoczesnej poetyki wiedzy o literaturze w jej skrydle, by tak rzec, socjologicznym.

Ogłaszając w pięć lat potem kolejne studium z poetyki historycznej *Powieść melopodiska*, Głowiński dawał do zrozumienia, że lansowany przez niego projekt poetyki historycznej nie dotyczy wyłącznie powieści, ale powieść stanie się oddat obiektem szczególnych zainteresowań Głowińskiego i po latach, jakie nastąpiły po opublikowaniu przywołanego wyżej studium nazwisko autora pojawiając się będzie w rządzie czwolowych teoretyków powieści, na co wpłynął międzynarodowy rozgłos, jakim zaczęły się cieszyć Jego kolejne dzieła i rozprawy, figurując w najważniejszych bibliografiach światowych. To dzieła, to – by wymienić najważniejsze – *Porządek, chaos, zwyczajność* (1968), *Gry powieściowe* (1973), *Stylie odbioru* (1977). Należą one, obok dzieł dotyczących rozprawy o szkicach i artykułach Głowińskiego, do kluczowych pozycji we współczesnej nauce o literaturze i teorji powieści, tak podstawowych, jak ich nieobecność w bibliografii sama już dyskwalifikowałaby danego autora, a wszelkie nowe projekty badawcze i pomysły nie mogą, pod groźbą przysłowowego błądu w szańcu, obejść się bez uwzględnienia prac Głowińskiego. Czemuż zatem zawadzająca im to swoja obligatoryjność? Liczy się oczywiście kluczowe stanowisko Głowińskiego w kwestii badań teoretycznych, traktowanie gatunku w ramach obowiązującej konwencji, co pozwalała określać zaręzy systemowych prawidłowości narzucał ich wartość wszelkich innowacji. To przede wszystkim Głowiński narzucił taki sposób konceptualizowania zjawisk literackich, który umiemy je w ściślejszym związku z procesami komunikacji społecznej, to właśnie on stał się jednym z najbardziej wpływowych rzeczników uprawiania historii literatury z pozycji odbiorcy, tj. czytelnika i publiczności, szeroko argumentując tezę, że proces percepcji dzieła także podlega w danym czasie prawidłowościom systemowym („style odbioru”), to autor *Powieści melopodiskiej* narzucił tak dotąd nieprzekonane, że literatura wywołana z procesów społeczno-kommunikacyjnych o szerszym zasięgu, procesów, których swoistość polega na tym, że odnozą się do strukturalnych wyznaczników dzieła, takich jak narracja, fabła, behater, styl, język – nie konstytuując się w żaden, godny

tego miana, obiektu badawczy. Głowińskiemu udało się rzecz niezwykle rzadką: sformułowania jego autorstwa, typu „monolog wypowiedziany”, „odbiorca wirtualny” czy „zimitetyzm formalny” stały się w nauce terminami obiegowymi.

Ale imperatywem, by tak rzec, charakter propozycji Michała Głowińskiego ma jeszcze inny i nie tak znów trudny do uchwycenia powód. Otóż teoretyczne ambicje i wyjątkowo predyspozycje, jakie w tym zakresie ujawnia Profesor, były ciągle w parze – a przecież nie zawsze tak bywa – z pasją bypowego historyka literatury, tj. badacza, którego uwaga bowa w pełni zająkopolona dopiero w momencie jej skierowania na jakiś konkretny obiekt, powiedzmy: na sekret dzieła, który w konfrontacji z innymi dziełami czyti zeń twórcy jedyny i niepowtarzalny. Mówiąc najkrócej i z komicznością czyni uspraszając, Głowiński wykazując zainteresowanie, co, w o dziele i w procesach literackich stanowi argument na rzecz powtarzalności zjawisk, a więc tym, co w pojedynczym obiekcie da się wydobyc jako znane prawidłowości zjawisk wyższego rzędu, jest w równym stopniu, a bywa, że i bardziej, załączystnowym nieredukowalną konfiguracją cech swoistych dzieła i właśnie do nich szuka klucza. Długiego lista autorów i dzieł, które brał na warsztat jest długa i urozmaicona, obok czolowych a też i drugorzędnych autorów powieści melopodiskich znajdujemy w tym szeregu Nalkowska, Breze, Romana Jaworskiego, Gombrowicza, Białoszewskiego... Zauiste, Głowiński nie jest specjalista „od epoki”, otworem stoi przed nim, to, co tworzy współczesność, współczesność jako forme, styl, język.

O interpretacjach dzieł literackich przez Głowińskiego, a poświęcał im zawsze sporo uwagi; należałoby przede wszystkim powiedzieć tyle, że ukształtowały one w znacznej mierze wyobrażenie współczesnego badacza literatury jako kontynuatora najlepszych tradycji naukowych już nie tylko w zakresie literaturoznawstwa, ale i całej humanistyki. Głowiński nie sformułował w tym zakresie żadnego wyraźnego *credo*, wiadomo jednak dobrze, że jak wiele sobie cenil dokonania poprzedników i chętnie z nich korzystał, przede dzięki takim jak on badaczom zachowana zostaje ciągłość tradycji naukowych nauki dyscypliny. Mam tu na uwadze podobnie, często zmielbywanych przez nadmierną pokusę ulegania przejściowym modom, by za warunek poprawnej interpretacji dzieła uważać wyczerpującą analizę na temat kontekstów historycznych, kulturowych, socjologicznych, ale zawsze rozpatrywanych z punktu widzenia swoistości dzieła, która ostatecznie wytyka się jednoczącej wykładni. O erudycji Głowińskiego, a bywa ona imponująca, nie da się nigdy powiedzieć, że jest odwrana od potrzeb opinii i interpretacji poszczególnych fenomenów. W połączeniu z nowoczesną metodologią, a o malo którym szczerym można powiedzieć, że jest tak jak Głowiński *in conversatione* w zakresie wywołanego, co do zasady, literaturoznawstwa (przez wiele lat kierował działaniem tłumaczeń dzieł literatury naukowej w „Pamiętniku Literackim”, będącej najładniej do takiego zadania przystosowany), da to efekt, o jakim należałoby wspomnieć: w wyniku Głowińskiego poświadczone dziełom pisarzy od Norwida do Białoszewskiego i Aleksandra Ziemnego. Do książek, dających najlepsze wyobrażenie o Głowińskim-interpretatorze, można np. zaliczyć tom złożony ze „skiców” – w istocie bowiem są to w większości rozprawy *stricte naukowe* – poświęcone Leśmianowi *Zadziwiar przedmiotowy* (1941), który doprawdą zdaniem wielości perspektyw, inwencji, pozwalająca za każdym razem znaleźć konstytuować przedmiot obserwacji, który w wyniku takich wielostronnych oglądów uwolniony nieprzezwyciężone dalek złoza znaczeń, choć „leśmianologia” stanowi przecież obszar nieźle sponderowany. Tak jest, powiedzielibyśmy, że wszystkim, czego dotknąć się Głowiński: opierając się na dowiadczalnych poprzednikach realizując zawsze zamiar, który niedoświadczalnie okazuje się oryginalny, jego własny i odkrywczy. Nie przecnie na marginesach literatury, lecz zawsze w jej centrum i właśnie tu dokonuje istotnych przewrótowiczności i rewizji.

Bowiem tak jak w literaturze, tak i w literaturoznawstwie istnieje ustalony kanon, paradygmat, złożony z określonych podejść i tradycji badawczych, które okradają się mniej lub bardziej podatne na zmiany, te zaś są wywołane przez potrzeby aktualizacji wiedzy wedle współczesnych standardów naukowych. Otóż miejsce Głowińskiego wdziałym wśród tych niezliczonych uczonych, których prace są nie tylko pomnażaniem wiedzy, ale przede wszystkim ciągłym przewartościowaniem tej i tradycji kanonicznych. Podam dwa przykłady. Tom rozpraw *Mity przeobrażenia* (1990) należy do tego kręgu śmiałości symbolicznych w kulturze, uprawiając w nich źródło subiektywnych, lecz obowiązujących członków danej społeczności w odzwierciedleniu o nich samych i o tych, z którymi się nie identyfikują (tj. Głowiński bierze na warsztat popularne w XX wieku mity: Dionizosa, Narcyza, Prometeusza i in., pokazując na ich przykładach, na jakie pytania współczesności one odpowiadają, jakim duchowym potrzebom starają się sprostać, co ostatecznie sprawia, że tworzą one wielkie mity cywilizacji. Widzi zarazem dobro, jako rolę w tym procesie odgrywa literatura, włączona jako wyjątkowo do źródeł kulturowej identyfikacji, tworzenia symbolizacji wspólnoty (do roli literatury jako źródła historycznych symboli będzie jeszcze autor wielokrotnie wracał). Przykład drugi: obszerny tom prac poświęconych krytyce literackiej okresu Młodej Polski (epoką ta Głowiński nigdy nie przestał się interesować) *Ekspresja i empatia* (1997). Tutaj swoim ambicje badacza zmierzają do ostatecznego przyznania krytyce literackiej statusu pełnowartościowej dziedziny twórczości, mającej to samo – a czasami i większe – znaczenie, co pozostałe gatunki literackie. Spraco o takim charakterze byłby wyłomem w ramach obowiązujących hierarchii wartości danej dyscypliny, arbitralnie rozstrzygającej sprawę rzekomo centralnych i peryferyjnych gatunków, zakładającej określony rodzaj relacji, jakie między nimi zachodzą, podczas gdy taki narzucony porządek wymaga ciągłej rewizji założen dla dobra owej dyscypliny.

Wypada tu sprostować niejako przy okazji fałszywe, a pokutujące tak i ówczesne przekonanie o Głowińskim jako teoretyku literatury, inspirowanej przez krytykę (co jest akurat prawdą), a raczej zespół młodych badaczy o takim właśnie nastawieniu, bez przy tym nie zawsze właściwie traktowanym ze względu na wartość swoich propozycji teoretycznych, odwracanych rzekomo od materiału na jakim pracuje, dzieł, które przy tym, powtórzę: opaczny pojmowaniu miałyby spaść do roli drugorzędnej. Otóż Głowiński formułuje swoje zadania jako historyk literatury, co trzeba z odpowiednio mocnym naciskiem podkreślić, gdyż począwszy od swego pierwszego, wspomnianego studium o Tuwimie, a skończywszy (jak dotąd) na procesach krytyki i mitologizacji czyni przedmiotem swego zainteresowania przede wszystkim historycznoliteracki z całym bogactwem, włączając w to styl, repertuar gatunkowy, konfigurację prądów i „imzów” słowem czymż to, co każdy wyspecjalizowany w swej dziedzinie (epoce) historyk czynić powinien. Tyle, że Głowiński przejawia w tym względzie dyscyplinę, przygotowanie teoretyczne i świadomość metodologiczną, jaka dla wielu dzisiejszych historyków może stanowić jedynie wzdór godny naśladowania. Jest jednocześnie tak, że historyk literatury tworzy w osobie Głowińskiego jedność z historykiem współczesności. Rozdaje się wątpliwość, czy w jakim sensie można był historykiem *tout court* i historykiem współczesności Głowiński rozstrzyga w trybie praktycznym, stosując po prostu te same kryteria w ocenie i analizie dzieł współczesnych, co w każdym innym przypadku. A nadrzędnym kryterium jest tutaj integralny związek dzieła z epoką, z jej duchem czy – jak wolimy – stylem, hierarchią wartości, językami, jakimi ta epoka „mówi”. Od ponad dwudziestu lat nazwisko profesora Głowińskiego kojarzy się coraz bardziej z badaniami nad dziedzictwem literackim, kulturalnym i światopoglądowym Polski Ludowej, co zapoczątkowała seria publikacji, które, choć noszą na sobie niezmiywalne piętno autora,

stanowią w jego dorobku naukowym blok odrębny. Jego pobieżna charakterystyka wymaga przede specjalnej uwagi.

W trwającej dyskusji na temat spadku po PRL-u, rzeczywistych i pozornych zdobyczach, jakie w tej dziedzinie przyniosła lata 1944-1989, głos Głowińskiego zdecydowanie wyróżnia się na tle chęci. Obecnie mi jest całkowicie podjęcie, które umownie można by nazwać lustracyjnym: dokonywanie pospiesznych ocen i uogólnień na temat postępów poszczególnych osób (pisarzy), niegodnych zapamiętania byłych funkcjonariuszy władzy, terrorystycznych zapędów aparatu państwowego, co nie znaczy, by tego porównawczego aspektu rzeczywistości realnego socjalizmu nie dostrzegał, a rolę jego lekcecebił. Wolało nie. Zajmują go jednak przede wszystkim zjawiska i natury ogólnej, prymat ideologii we wszystkich dziedzinach życia, a w ówczesnej literaturze, ukształtowanie się wzorców zachowań na linii: pisarze – władza, terror partyjnej demagogii, wciągającej się bezceremonialnie do języka, a więc totalitarna nowomowa, socjotechnika, zresztynie prowadzona przez ośrodki sterowania opinią publiczną... Wymieniam tu jedynie część spraw i zagadnień, jakimi zajmie się Głowiński, nie po to, by oceniać, choć nie podoba mi być w pełni neutralnym, lecz by lepiej zrozumieć, ujmując mechanizmy zniekształcenia, gdyż to one przede wszystkim pomagają lepiej zrozumieć ówczesną rzeczywistość i przez nią – literaturę. Nie przeczę, że badawca świadcząc w tamtych czasach upiorny widział działania mechanizmów literackich, skłonnych – to prawda – ideologia, ale nade wszystko produkujących określone konwencje, których los bywa często gorszy, niż się to powszechnie wyjawia. Dobre przeczytać kolejne książki na ten temat: *Rytuał i demagogia* (1991), *Pamięć 1863* (1995), *Diaski Ulisses-a* (2000), by się przekonać, na jakim materiale operuje autor i jaki punkt widzenia wyjawia się najbardziej przy takim oglądzie stosowy.

Metodyczna i w pełni wyważona charakterystyka tych prac, powiadze nie znanych, nie mieści się w ramach mniejszych uwag, pragmatywny jednak zwrócić uwagę na fakt, który pozorne dzieła, gdyby skonfrontować do tychczasowych kierunek zainteresowań Autora literatura „wysoka” z poronienymi artystycznie twórcami socrealizmu. Skąd ta zmiana? Obszar zartozwanych niewątpliwie się zmienił, nie ulega natomiast redukcji generalna dyskusja badawcza, jaka zawsze przywleczła pracą profesora Głowińskiego, że oto wartościowym koźmi, co jakich dochodził badawczy miarę się stopniem świadomego ryzyka, jakie podejmując wchodził w konflikt z tradycją badawczą, z ustalonymi standardami zachowań w dziedzinie pozornie uwolnionej od cenzury, ale przecież mającej także jakies swoje fałszy. Tak było, *sit comparan licet*, z krytyką literacką, tak jest też z dziedziną twórczości na długie lata odsunięta na badawczy margines, wbrew przekonaniom Autora, że „historyk literatury powinien zajmować się również sztuką adekwatną „a socrealizm zasługując przecież na poważny opis już chociaż z tego powodu, że wchodzi w tak radykalny konflikt z wszystkimi, co w tradycji europejskiej było i jest wartością” (*Rytuał i demagogia*). Zatem i tym razem mamy do czynienia ze wspomnianymi już wcześniej działaniami „antykamonicznymi” w nauce, do czego Głowiński zawsze przywiązywał ogromne znaczenie. W sposób szczególnie wyraziście tendencja ta doszła do głosu w całej serii prac Autora, której początek dala *Nowomowa po podaniu* (1990), a po niej kolejno *Marxowe gadanie* (1991), *Przemowa po podaniu* (1996), a wreszcie *Końcówka* (1999). Wymieniam te tytuły i daty nie tylko dla pedantycznej precyzności, lecz by pokazać, z jakim nieustępliwym uporem dążył Głowiński przez lata problem, który nie doznał się dotąd głębszej i tak systematycznej, jak właśnie u niego – refleksji, jak poważnie traktował zadanie, którego nigdy przed nim nie ustalano, nawet podobnie, rozważając. Przedtem jednak wypada zwrócić uwagę na fakt, że w tym

Głowiński jako teoretyk i socjolog literatury zawsze przywiązywał duże znaczenie do badań nad językiem, językiem w jego społecznym

funkcjonowaniu, z właściwym mu sposobem artykułowania wartości i stanowiska myślowego, interesowały go różne społeczne dyskusje, które z całym swoim ideologicznym i światopoglądowym zapleczem stanowiły substrat mowy literackiej, udzielając jej swego obszaru. W każdej z prac autora ten aspekt jego zainteresowań jest wyraźnie obecny, niekiedy wręcz wysuwa się na czoło. Język literaturny nie jest bowiem nigdy oderwany od procesów komunikacji społecznej i od aksjologii. Badania Głowńskiego nad nowomową znacznie poszerzają ów obszar, charakteryzują bowiem stan języka w epoce, kiedy podlegał on szczególnie szkodliwej i bolesnej w skutkach manipulacji ze strony aparatu władzy, wskazując się bez kontroli, że strony użytkownikom mowy do właściwego obszaru dół życia, wyściągając swę pięćno na ludzkich wyborach i decyzjach, podcinających bez jasnego zdawania sobie sprawy, że są one wcześniej zaprogramowane w języku, jakim Władza chciała i potrafiła przemawiać do swych Obywateli. Temu słowno miały służyć te, tak skromnie przez Autora nazwane „komentarze do sków” rozporozwzeczniających przez komunistyczną propagandę PRL-u, ukazające rozmiar totalitarnego zniekształcenia od strony, która dopiero Głowński potrafił zobaczyć i opisać w tak imponującej historycznie skali. Jego wieloetapowe dzieło poświęcone groźnym nadzuchom, jakim w pewnych warunkach historycznych może podlegać język, pozostanie zawsze dziełem pionierskim i z pewnością na długie jeszcze lata – niezastąpionym. Porównywane z okupacyjnym dziennikiem Victor'a Klemperera i jego Lingua Tertii Imperii, dzieło Głowńskiego jest przede wszystkim kompletnie odrobnym, a w gatunku swym – bezprecedensowym.

Gdyby po tym skrótychym przeglądzie prac naukowych Głowńskiego pokusił się o najbardziej ogólną charakterystykę sylwetki Uczestnego, to tym, co narzuca się już od początku i towarzyszy całej Jego karierze naukowej jest wyobrażenie, jakie może powziąć obserwator, że oto mamy do czynienia z badaczem, przed którym cały obszar literaturoznawstwa stoi otworem, uczynnym, który nie zamyka się – co częste – w ramach jednej, arbitralnie wykreślonej specjalności, lecz z brawurą przemierza rozmaite obszary wiedzy o literaturze i zjawiskach ją otaczających, jak gdyby nie istniały granice i bariery między polami dociekań naukowych, między językami, z których każdy zadrzotnie broniony swego prawa do wyłączenia. Nie ma metody, rozumnie pojętej, wolnej od ideologicznych obciążeń, której by Głowński nie testował, jeśli tylko stwarzała ona okazję do ustanowienia nowej, skutecznej perspektywy badawczej. Do żadnej nie żywi uprzedzeń. Nie ma takiego scenariusza zachowań badacza wobec literatury, który byłby mu obcy lub objętny, poważnie traktuje każdy i wnosi doń swój własny, jakie łatwo rozpoznawaliśmy wkład! Głowńskiego nie podobna pomylić z kimitkówek, innym. Współczesna wiedza o literaturze, nowoczesna refleksja metodologiczna zawiązująca się tak wale, że wszelkie polnietwory w tej mierze, nie wyłączając mniejszych swag, muszą sprawić wrażenie sądów nazbyt pospiesznych i niedostatecznie uzasadnionych.

Uwagi to poczynione musiałyby zostać uzupełnione, chociażby w sposób marginalny, o sprawy, które same mogłyby stanowić wystarczający powód do głębszej refleksji. Chodzi o poświadczenia w inny sposób niż same tylko publikacje obecności Michała Głowńskiego w krajowym i międzynarodowym życiu naukowym, jako profesora Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, z którym od początku jest związany i to tak ścisłe, że znany wszystkim polonistom skrót IBL odrobnio niekiedy kojarzy się z osobą Profesora, członka Polskiej Akademii Nauk, wielu krajowych i międzynarodowych towarzystw naukowych, laureata wielu nagród naukowych, wychowawcy i nauczyciela całych pokoleń polonistycznych, mistrza, którego uczniowie sięgnęli już po najwyższe tytuły i stanowiska naukowe, redaktora... Sumiennie wyliczenie zasług Michała Głowńskiego na tym polu nie jest doprawdy rzeczą możliwą nawet w ramach skrótegożnego zestawienia najważniejszych tylko przejawów jego aktywności. Jest też i inny Głowń-

ki, który słotunkowo niedawno ujawnił przed nami swoje dotąd nieznane oblicze, oblicze nie uczonego, o którym tyle już wiemy, lecz świadka i uczestnika najbardziej potwornych doświadczeń, jakich doznała ludzkość naszego wieku, jednego z tych, których losy na zawsze będą świadczyły o tym, czym był holocaust, fakt szczególnie przejmujący i porażający wyobraźnię, jeśli relacja o nim zostanie wysnuta ze wspomnień dziedzictwa, które upłynęło w jego złowrogim cieniu. Książki Głowńskiego, *Czarne sezony* i *Przywilezia* i *figury*, zwłaszcza ta pierwsza, pozostaną na zawsze wśród tych świadectw historii spuszczonej z łańcucha, jak się kiedyś wyraził Jerzy Stempowski, których nie wymazze ludzka pamięć.

Wniosek przedłożony Senatowi Uniwersytetu Jagiellońskiego, by profesorowi Michałowi Głowńskiemu nadać tytuł Doktora Honorowego tej Uczelni jest nie tylko w pełni uzasadniony, jest on też wyświadczeniem pomocy dość powszechnego w kręgu Jego kolegów, przyjaciół i uczniów, by w ten symboliczny sposób wyrazić Mu całą wdzięczność za wszystko, czego dla nauki i środowiska naukowego w Polsce dokonał.

Łódź, 17 maja 2000

Jerzy Stempowski

Profesorowi Michałowi Głowńskiemu, który od lat zyczycy „Akcentem” swojej współpracy, serdecznie gratulujemy! (przyp. red.)



Stanisław Huszpanki: Przyjęcie byłychym narodem (rysunek)

TADEUSZ CHABROWSKI

Magister Witalis

Głowa magistra Witalisa o barwie przypiekaney marchwi, z rozdmuchanym zagłem wlokami na podobnie, lśniącą świętokradzkimi olejami, nabrzmiała jak ogrodowa dynia od skupienia łapczywie wyjada powietrze w pawilonie, kaprytne atomy, które przestały wiedzic co będzie dalej.

Ogromnymi oczami, z których wyparowuje mgła, Witalis spogląda na witraż obsypany złotem i czeka na cud, który ma się zdarzyć, w białym płaszczu jak na ambonie mnich oświadcza ojczyźnie i światu, miałem w sercu tyle przestrzeni dla was, Pirenejski słów pokryte sypkim śniegiem, wielki ocean westchnień, pamięć, którą mogliście ugniatć jak glinę, moje sny.

A teraz już nic, tylko wiatr, suche powietrze, które wysusza skórę, trzepot ptasich ogonów nad głową, od lat tutaj się po innych krajach, żeby zmęczyć w sobie niewyżyty szal, od niewypowiedzianych słów bóla wargi, nie chcę zapamiętywać nieokreślonych dni, głuchych telefonów, pobielonych smutkiem skroni, ucha nagle wybitego ze snu.

Wszyscy, których znalazłem niech wiedza, ze łzami moimi się nie napija, ze przedej w kieliszkach wiozów im skwaśnieje, ze ich chwackie nigdyś dziewczyny odrzuna jak kurzy puch w zaświatwy, znam próg świadomości obroniony kolcami, żaden pies go nie przeskoczy.

Czyste idee, worki płotek, chorągwie dymu, zagorzale dysputy o diamenty wartości, miód w powietrzu będą zawsze kusily umysly i żadne trzęsienia ziemi, rozpeknie się planet, rude ogniki w oczach boga dwadziestego pierwszego wieku, nie odczująć nas od wałenia się w kosmosie, wyśledzą nas i podnieją nas w powietrze.

Witalis czyta swoje myśli

Zaułki, impasy, korzystać jak na Jasnej Górze, labirynt z półgłosek, widma na ścianie i już nie wiem, co jest bliżej a co dalej czy na wyznach mogę znaleźć Boga?

Pocieszycielka ludzi, sama strapiona, miała białe długie szaty, niebieskie oczy i pełne usta dobracie, wszystko zgłasza na pełnej zakłopotania twarzy.

Natura ludzka jest niezmiernie słaba, ledwie garść podstawowych prawd można wynieść z pożaru, woła i wysięk jak gołab obczwładny w czasie burzy.

Żyje poza sferę dobrych i złych praktyk, na manowcach wyobraźni, z palcami umaczanymi w krwi istnienia; rzeczywistość jest jak sen, sen w głowie szaleńca.

Jackson Pollock

Prześląście wierzyć w przypadek a ja wierzę: kubel rozbełtaney farby wylanej na płótno może wylicić więcej zmysłowych kolorów, schludnie zaokrąglonych kresk, zgrzytliwych plam, nie rymujących się ze sobą bieli niż wszystkie aksjomaty euklidesowej geometrii.

Nawet kropka karminu precedzona przez tnioko i rozmazana cukiernik na kredowym papierze może udziwnić malarski gest, lśniącą grudkę doklejonej folii.

Serafin

Serafin był zakonnikiem a teraz nim nie jest, nieprawidłowość czasu przeszłego spowodowała, że z lekkim sercem wyfrunął z fortecy, poszybował przez odpryski promieni do słońca.

Rychło jednak wywinął koziołka, żadna z metod poezji nieczanego, nie sprawdziła się, orędownicza opieka Najświętszej Panny nie chromiła go już przed blakającą się w jego ciele rozkoszą, w dziedziących ramionach szukał ukojenia.

Bóg, który od czasu do czasu próbował jeszcze utrwalić w jego sercu prawo, zapisane kiedyś w klasztorze na skórze fioletowym atramentem, zaczął tracić ciepłość, mrucał bezlitosne maksymy.

Serafin jak robociarz upił się czerwonym winem, odpowiadał: „Juz nic nowego nie wymyślił na planecie, dusza jak śledź w wodzie kołocz się po świetle, w gestej mgłę trudno dostrzec Twój Majestatyczny Nos i Wszystkowiedzące Oczy”.

Bóg groził: „Chwackość twoja mnie śmieczy, jak nietoperz będziesz wisiał głową w dół, obłkany jak księżyc, będziesz ociekal potem, śmiechem śmierci krztusił suche gardło”.

Serafin: „Juz wykopałem kwadrat głęboki na łokieć, zły los, którym mnie straszysz mieszam z winem, jak diament guz w mózgu czerwieni fanopcję motch myśli, po klasztorze rozbiegane białe myszki drapiąc pazurkami podłogę mącą ciszę”.

Koza z gipsu

Nie dotykaj kozy Picassa z gipsu, wszystko w niej przypadkowe i nieoznaczone: gliniany garnek do mleka zamiast wymiona,

palmowa gałąź zamiast grzbietu, koszyk wiklinowy w miejsce brzucha i rogi z suchych korzeni sosny.

A przecież dla artysty, który ja upinał pokaleczonymi palcami, miała stać się metaforą odpadków wyszczeklonowanych z podmiejskiego usypiska, namaszczoneym fragmentem w świątyni sztuki.

Tadeusz Chabrowski



Stanisław Hołupański: *Święta Trójca* (cykl *Eneida*).

Serafin

HENRYK KOZAK

Kamień

Jesteś wreszcie! Już się martwiłam, że przesiedzę tę noc w fotelu. Sama w tym nieszczęsnym domu, trzęszącym, postępującym w starość i zgrozy, odwiezianym przez duchy z całej ulicy. Miałas przyjść o czwartej, a jest już piąta.

Och, wybacz! Zapomniałam, że przecież ty dzisiaj obchodzisz dwudziestę drugie urodziny. Muszę dać ci prezent. Przypomnij mi. Najlepiej rano, kiedy będziesz wychodził już z domu. Mówisz, że nie masz? Dam ci, bo po pierwsze lubię cię, a poza tym stać mnie na rozdawanie prezentów.

Jak ty właściwie masz na imię? Anka? Ladne! Moja siostra też ma na imię Anna, chociaż wreszcie w rodzinie mówią na nią Aniela. Jest o rok młodsza ode mnie... Nie widziałam jej już pięć lat. Choruje biedaczka... Muszę się do niej wybrać... Może latem?

Przyniesi mi dziecko aspiryny i sok. Mamny winiowaty? Dziękując ci, dziecinco. Właśnie to dzisiaj powinienam zwołać cię do domu. Nie należy pracować w dniu urodzin. To wielkie święto, ale cóż, boję się zostać sama...

Marię, twoją poprzedniczkę, zawsze zwołałam w dniu jej urodzin i w święta do domu. Wiesz, co się z nią stało? Tak, zamarła biedaczka. Przejechał ją jakiś kierowca pijący. Sieda sobie chłodnikiem do domu, do męża... To straszne zginąć przez takiego bydlaka. Miała tylko pięćdziesiąt lat...

A ja popatrz, żyję. Wkrótce też będę miała urodziny. Za miesiąc skończę siedemdziesiąt osiem lat. Pochowałam męża, brata. Nie pamiętam już ich twarzy, głosów, jak się śmiał, czy w ogóle się śmiał... Syn wyjechał i też już umarł, a wnuki nie odwiedzają babki, grandmother... Oni tam nie lubią starych ludzi.

A ty lubisz starych? Odpowiedz szczerze! Tę nie lubisz? No, dobrze. Umówię się, że nie muszę odpowiadać na głupie pytania. Jesteś madra dziewczyna. Wiem od szefowej agencji, że studujesz aż dwa fakultety. Bezdziesiątka nauuczycielki czy sędzina? Ja przez czterdzieści dwa lata uczyłam dzieci. Twoich rodziców także. Oczywiście, że ich pamiętam. Kazia i Karolina. Och i przepaszam! Kazik i Katarzyna!

Zastanawiam się, co ja ci powinienam podarować na te twoje dwadzieścia drugie urodziny. Marii dawałam pinięzadze, a pół roku temu, na pięćdziesiąte urodziny, dostała ode mnie hektar ziemi. Tak, cały hektar, nad jezorem. Jak ona się cieszyła. To był mój najbardziej udany prezent, bo dałam go w odpowiednim momencie... Ja urodziłam się w czerwcu, w samo południe. Moja mama, Michałina, często wspominała ten dzień. Było upalnie i pachniały jałmierz. I wieszysz bardzo się cieszyli, bo byłam pierwszym dzieckiem, które urodziło się w rodzinie po wojnie. A wieczorem do pokoju, w którym leżałam, wpadł mój kolorowy ptak, papuzka albo kanarek i usiadł na łóżeczku nad moją głową. Wszystkie moje ciotki orzekały, że czeka mnie bogate, kolorowe i długie życie...

Pomyliły się biedaczki. Nie było bogate ani kolorowe. Często byłam głodna, samotna, bałam się... Papuzkę ojciec oddał proboszczowi w dniu mojego chrztu. Matka przypuszczała, że przytrafiła zła rzeki, z dzielnicy zamieszkałej przez Żydów...

Ty, moje dziecko, miałas pewnie szczęście dzieciństwo i beztrudną młodość. To widzę. Masz już chłopaka? Śpijcie ze sobą? Przerzucasz, mówisz jestem wciwiska. Dam ci radę: nie śpijiesz się z zamężnięciem. Skończ studia, rok popracuj i dopiero wtedy, jeśli ciagle będziesz go kochać, daj się poprowadzić do ołtarza.

Ja mojego Janka poznałam na odpuszcie u świętej Anny, w lipcu trzydziestego dziewiątego roku. Wieczorem tańczyłam w nim za placu Wolności „Ostatnią miedziałę”, trzymając się za ręce śpiewaliśmy, że „szczęście trzeba rwać jak świeże wino”. Posłuchaj: „puszka w sercu, w daszły mrok i tak do końca, za rękami rok...” Piękne, prawda?

Przejechał na wakacje do swojego stryja, właściciela majatku Styrzyniec. Był studentem trzeciego roku Politechniki Łwowskiej, i ja dopiero co ukończyłam Państwowe Gimnazjum im. Emilii Flater i wybrałam się na studia do Warszawy. A poznałam się z nim mój brat Staszek, studiował na tym samym kierunku... Ale pobraliśmy się dopiero w czterdziestym trzecim roku. Dwadziestego siódmego czerwca w kościele św. Anny. Kiedy wychodziliśmy ze świątyni, ładny rzęsyty, gwałtowny deszcz. Pomyślałam, że deszcz w dniu ślubu to zła wróżba. Byłam już wtedy jedyną z rodziny na świecie. Siostra przepadła gdzieś we wrocławskiej zawierusze, odnalazła się dopiero w lipcu czterdziestego czwartego, rodzice zmarli na tyfus w zimie czterdziestego roku, a brat Staszek zginął z rak. Sowietai już w październiku trzydziestego dziewiątego. Poszedł się bic z bolszewikami. Którejś nocy chłopci, Ukraińcy, rozbroili jego oddział złożony z takich jak i on studentów-żołnierzyków i oddali w ręce czerwonoarmistów. Rozstrzelali go w Jabłecznej, na łacie nad Bugiem, skąd tak wspomniały widok na klasztor prawosławny. W pięćdziesiątym siódmym roku przewieziono go na nasz cmentarz i złożono w boku rodziców...

Czy ty nagrywasz mnie na magnetofon?! Pani Wandeczka z agencji wspominała, że czegoś została dziennikarka. Zarumieniła się, znaczy, że cię przyłapałam... A nagrywałam sobie.

Maria znała wszystkie zdarzenia z mojego życia. Czasami nawet to ona mi je opowiadała, a ja słuchałam, jakby dotyczyły zapamiętanej obecni mi osoby. I współczulałem tej kobiecie, a tak zdarzało się, że zaplakałam. A przecież nie zdarzało się, zebym zaplakała! Nawet gdy zmarli rodzice i gdy zginął Staszek, i gdy przywieźli mojego Janka...

Drugiego marca czterdziestego piątego roku, o świecie. Całą noc przestałam w oknie z przecuciem, że stało się coś strasznego. W południe pojechałam rowerem do Styrzycy, niby po ziemniaki i makę, ale ja wiedziałam, że jest w AK, że jedzie na akcje. Już w czterdziestym drugim strzelano na warszawskiej zsonie do starosty białskiego Kuhlha. Wtedy udało mi się uciec i później, gdy zrobił posterunek policji niemieckiej w Sworach i w Worocin. Wiedzieli, że kupował broń od niemieckich lotników z białskiego lotniska... Mój Janek. Chwały, przygarbiony, ciagle zamysłowy, rzadko śmiejący się... Odnazczyli go po śmierci Krzyżem Walecznych.

O tu! W tym oknie stałam. Rozwidniało się!

Przez całą noc wiatr tułł okniemiami i skrzypsiały konary wiązów do drugiej stronie ulicy i nagłe wszystko ucichło. Udzyszałam warkot wojskowej ciężarówki, a po chwili dostrzegłam światła reflektorów. Toczyła się powoli po bruku, jakby ponad miarę obciążona.

Wiedziałam, że wiozę swojego Janka. Z szoferki wyskoczył gestapowiec Soroka, kolega mojego ojca, przed wojną był wartownikiem w fabryce samolotów na Woli. Gdy weszli Niemcy, okazało się, że należy do SS, wielu swoich sąsiadów i przyjaciół, wysłał do Sobiboru, a walec rozstrzelał w Grabarce...

Otworzył! Prędej! Schnell! Zabierać swojego bandytę! – walił kolbą pistoletu w drzwi werandy, a ja stałam za firanką i bałam się otworzyć drzwi. Z naczepty zeskoczyło kilku granatowych policjantów, znalazł ich dobrze, bo mieszkali niedaleko, w pozwoydkowych domach na placu Wolności. Chwylić mojego Janka za ramiona i nogi, ściągnąć z samochodu, położyli na zmarniętej, przysypanej śniegiem ulicy. Jeszcze wtedy myślałam, że żyje. Wybiegał z domu, a Soroka, kiedyś Janek, teraz już Hans, zaczął na mnie wrzeszczeć, że to moja wina, że powinniśmy go pilnować, że mam szczęście, bo mnie też powinien rozwalić...

Byłam wtedy w czwartym miesiącu ciąży. Co z tobą dziecko? Placzesz? Zostaw już ten magnetofon, a zajmij się obładem, bo zgłębiam!

Przechowałam go następnego dnia, wieczorem. Wkrótce dowiedziałam się, że to Soroka zastawił na niego pułapkę w Jędrzejówce. Janek miał tam dostarczyć granaty, które kupił na lotnisku od Niemców...

Chciał go tam od razu powiesić, ale Janek wybłądzał, żeby pozwolił mu przed śmiercią zobaczyć mnie i Hansa Soroka zgodził się. Pod warunkiem, że dobiegniesz do niej – powiedział. Zalażył mu sznur na szyję i przywiązał od ciężarówka. Żył jeszcze siedem kilometrów, dopiero jechał polną wyboistą drogą. Zmarł na zarosniętych zarość, półtora kilometra od domu...

Zamknij okno, dziecko! Wznow będzie burza, widziałam błyskawicę. I wyłączał telewizor, bo jeszcze ściągnę pionury. Szyszysz! Już grzmi i to całkiem blisko. Chłopaki też już uciekają do domów. Wala buciurami o bruk jak żołnierze. Mogliby go już wrzeszcze zalać asfaltem.

Ciągle mam dobry słuch. Nie muszę wyglądać za okno, żeby wiedzieć, kto idzie ulicą. Po krokach poznaję. Wiem, kiedy idą zakochani. Ona podbiega, on ją goni, potem na kilka minut cichnie bruk, a to oznacza, że się całują. Pomijam ptakiów. Ich to każdy rozpoznaje. Strasznie krzyczą. Dawniejś śpiewali spróżnie piosenki, dzisiejsi ordynarnie przeklinają, a są tacy jeszcze młodzi...

Bieł to ludzi przemieszcilo się tą ulicą. Słyszałam, jak uciekali i jak nagle urwał się odgłos ich kroków. Czasami padał tylko jeden strzał, innym razem cała seria... Tłuki się żołnierze, całym oddziałami, czwórkami, miarowo, ze śpiwem. Słuchalam „Katusze” i „Lit Marleen”, „Jabłkočka”, „Hai li, hai lo”. Z naszymi nuciłam „Wojenke” i „Błkima chwastek”.

Potem przez długie lata wchodziły się tedy cholery piewszomajowe. A ile przeszło konduktów pogrzebowych! Kiedyś nawet do ślubu chodzili pieszko i do dzisiaj pamiętam odgłos kroków młodej pary.

Ja, moje dziecko, całe życie przestawałam w oknie. I wciąż go widzę. Leży biedak na tych kamieniach. Słyszę gardłowy rechot Hansa. Nie zdążył uciec, powisłszy go w lipcu czterdziestego piątego roku, niedaleko stąd, w Radziwillowskim parku, ale to zadna pociecha...

Przyniś mi fotografii Marka. Słoi na biurku, w jego pokoju. Znalas go? Niece? No tak, wjechał w osiemdziesiątym wieku, kiedy ty byłaś jeszcze przesyrolakiem. Ale twoi rodzice znali go, są rówieśnikami mojego Marka...

Byłam u niego dwa lata temu. Mieszkał w Ridgewood, niedaleko Nowego Jorku. Miał piękny dom, trzy sypialnie, nowa, młoda żona, Z Halinka rozwiódł się, bo nie nauczyła się angielskiego i prowadziła samochodo. W końcu nauczyła się, ale też nie wróciła do kraju. Mieszka z synami, a moimi wno-

kami, na Brooklynie. U niej też byłam. Oni wszyscy stali się już Amerykanami.

Nazwyczaj się Mobyksy, a nie Michalski. How are you – missis Mobyksy, how do you do – missis Mobyksy – slyszalam bez przerwy. Na spacerze, w markecie, w telefonie.

Niecieł mu się tam wiodło. Miał firmę, która przynosiła mu rocznie ponad sto tysięcy dolarów dochodu. Zatrudniał tylko Polaków i Ukraińców. Płacił im marnie, a pracowali dla niego po czterech godzinach na dobę.

Jak on się tam zmienił. Kiedy upominałam się o tych zapracowanych, zmęczonych rodaków, którzy przyjechali, żeby zarobić na mieszkanie w bloku czy samochod, drżących, że ich wyrzuci bez powodu i bez zapłaty, śmiał się, że kształtują ich charakter. Tu jest Ameryka, mamó! – mówił.

– Znasz język, solidnie pracujesz – masz pieniądze. Lenisz się, pijesz, posługujesz się tylko polskim – nie masz tu czego szukać, wracaj, bo mozesz skończyć na chodniku, w tekturowym domu jako włóczęga, bezdomny, boom...

Umarł mój Marek, zapracował się na śmierć. Tygodniami nie wychodził z samochodu, przemierzał dziennie setki mil. Zamierzał kupić młodej kianie jeszcze większy dom, w bogatszej dzielnicy.

Synowa zadzwoniła już po pogrzebie. Od trzech dni nie żyje, a ja ciągle myślałam o nim jak o żywym. Ze właśnie wstaje, albo zabiera swój piękny trawnik przed domem, dwoini do synów, może zamawia bielizę do Polski...

Czasami zastanawiam się, dlaczego mój Janek nie ostrzegł mnie, że z naszym synem jest aż tak źle, że jest śmiertelnie chorey. Pewnie nie chciał mnie martwić. Tak jak wtedy, w styczniu sześćdziesiątego piątego roku. Ale mnie wtedy nastraszył. Opowiem ci, cheesz?

Siedzimy sobie przy stole w kuchni i rozmawiamy. Ze zima ostro i śnieżna tego roku, że za mało kapiałam węgla, że powinniśmy sobie kupić ciepłesze buty i kożach, że w sadzie żające poobryzały niek papierosów, że zaraz przyjdzie sąsiadka, a skończyła się kawa, i poavinam coś upiec, może szarlotkę, bo dawno nie kosztował domowego ciasta.

Często przychodził. Siadał w fotelu lub na łóżku, ale najczęściej przy stole w kuchni. Robiłam mu herbatę i rozmawiałam. Do rana. Do przebudzenia. O wartykimi. Tak jak rozmawiała mój z żoną, gdy się kochały, gdy są szczęśliwi...

W pewnej chwili niespodziewanie powiedział, że tym razem przyszedł po Marka. Nie: do Marka, tylko: po Marka. Przerzuciłam się! Marka nie ma, przecież wiesz, że studuje, teraz jest w akademickim, w Warszawie, a przyjeżdża dopiero za tydzień, gdy zda wszystkie egzaminy – tłumaczyłam mu. On jednak powtarzał: przyśrodekłem po Marka. Jest mu źle, kupiła go dziewczyna, chce unrzeć, zabiorę go ze sobą.

Zegar ścienny, który został mi po rodzicach, piękny, prawda, zaczął bić czwartą i wtedy nagle usłyszałam stukanie do drzwi. Najpierw ciche i delikatne, ale z każdą chwilą coraz bardziej natarczywe i gwałtowne. Wybiegłam na werandę.

Na schodach stał Marek.

Spojrzałam do kuchni.

Janek siedział przy stole i uśmiechał się, ale tak jakob bezradnie i smutno. Widziałem mówić: że przyjdzie, razem odjedziemy – zdawał się mówić.

To zdarzyło się dwadzieścia siódmego stycznia sześćdziesiątego piątego roku o czwartej nad ranem.

Delikatnie zamknęłam drzwi do kuchni i struchlałam za stuchą, przykucnęłam za fotelom.

I nie wpuszcilałm go do rodzinnego domu. Kiedy po kilkunastu minutach odzwalyłam się podejść do okna, wchodził właśnie do domu sąsiadki.

Wiem, że uratowałam go wtedy. Dlaczego Janek nie przyszedł rok temu, nie powiedział mi, nie wiem. Być może wiedział, że moja matczyzna moc nie sięga za Atlantyki.

Następnego dnia Marek zartował sobie, że pewnie kogoś miałam.

W wakacje przyjechał z Haliną, swoją drugą miłością, Cieszyłam się, że znów jest szczęśliwy i zakochany, że zapomniał o tamtej dziewczynie, przez którą tak cierpił.

Pod koniec wakacji przyszedł do mojego pokoju z kwiatami. Przepraszam mamus – powiedział – ze wrocy w styczniu, tamtej nocy, chciałem umrzeć. Dwa dni, nieprzytomny z gorączki leżałem w pokoju, w akademiku, sam, bo wszyscy wyjechali już na ferie i nagle postanowiłem, że jeśli już mam umrzeć, to w domu. Zwiędłem się z kłosa i pojedechałem na dworzec – mówił trzymając mnie za rękę. – Na szczęście był jeszcze pociąg do Tarnopola. Za Międzyzrzecem, niedaleko Stryczyca wysockołem z wagonu i powlokłem się do tej leśniczówki, gdzie zabił ojca, ale kiedy zobaczyłem zabite deskami okna, zrozumiałem, że jest już niezamieszkała. Poszedłem więc dalej, przez ośmieszoną pola, aż wyszedłem na warszawską szosę. Stąd zabrał mnie jakiś kierowca ciężarówki. Gdy zobaczył, w jakim jestem stanie, podwiózł mnie aż pod sam dom. To cud, że nie umarłem na polu, w drodze. A kiedy rano obudziliem się u Burdów, byłem już całkiem zdrowy...

Kobiety w mojej rodzinie są stateczne, cierpliwe, roztropne. Poważne! Wiesz, co mam na myśli. Ty też bądź taka.

Niestety, wychodzą za mąż za zapalczywych, impulsywnych romantyków, którzy zbawiają świat, walczą o wolność i honor zamiast siedzieć w domu, uprawiać ziemię, pisać książki albo uczyć dzieci, lecząc chorych, budując domy czy fabryki.

Pewnie dlatego zostajemy wdowami i umieramy samotnie i opuszczone. Ojciec w bitwie z kozakami Budionnego pod Siczpówkami stracił prawą rękę. Brata rozstrzelali czerwonoarmistki Stalina w trzydziestym dziesiątym, męża zamęczył Niemcy, może Anieli wywieźli Słowacki na Syberię... Nie wrócił.

A upominalam ich, ostrzegałam, prosiłam, Bóg nie pomoże! Ile śmiechu byłoby w tym domu, gdyby mnie postuchali. Jakie wesole wigilie, imieniny, urodziny, rocznice ślubów, komunie dzieci. Kilka razy w roku rozlegałyby się sto lat!

Marka też błądzałam, żeby dał sobie spokój z polityką. Na próżno! Przez całe dziesięciolecie, regularnie dwa razy w roku, przychodziła bezpieka i przekszkwała dom. Przed każdym PRL-owskim świętem zatrzymywała go na czterydzieci osiem godzin, nie zważając że jest chory na serce. A w styczniu osiemdziesiątego drugiego weszli do na osiem miesięcy. A przecież i tym razem to ja miałam rację. Przyszła wolność, ale już nie dla nich...

Pewnie myślisz o mnie, stara rodzina. Wiesz, głodzę, że dla nauczycielka emerytka. Ale przecież nie mogę zapomnieć o swoich. Co by sobie o mnie pomyślały?! Na przykład Janek! Może siedzi akurat teraz przy mnie i słucha. Szkoda, że nie może wymluczyć się, usprawiedliwić...

Wkrótce spotkamy się i wtedy dopiero wygram ci, mój ty bogowniku!... Pamiętajsz Aniu, co tu się działo przed czterema miesiącami?! Te tłumy, które przewalili się przez moje podwórko? Zadepali mi ogród, zmieszczyli żywyploty, wylamali papierówki, wyposyili synogarlice i kosey.

A wszystko przez starą Burdżicę, sąsiadkę, że, kiedy uratowała Marka. Przyszła w poludnie, trzeciego marca i zapytała. Zosta, czy ty widziałas dzisiaj swoje okna na werandzie?

Głupie pytanie, codziennie od siedemdziesięciu siedmiu lat na nie patrzę – burknęłam, wusszyłam ramionami i nadal gapię się w telewizor, a ona

tym swoim skądkłowym głosem krzyczy mi do ucha: Michalska, na waszej szybie ukazał się wizerunek Jezusa. Chodźcie, zobaczcie sami. Stoi z wyciągniętymi ramionami, jakby chciał przemówić.

Zglupiała baba – pomyślałam, ale mówić: co też Burdowa błądzi. Wyszłam jednak z nią przed dom. Zachodzące za wieżowiec przy Padewskiego słonec ledwie muska werandę. Widzę na szybie jakiego wrota, fioletowe, różowe, ale postaci Chrystusa nie. Przywidło ci się, Wanda. Wtedy ona do mnie z krzykiem, że jeśli Jego nie widzę, to pewnie jestem niegodna i obrażona pobiegła na ulicę.

Pół godziny później w szybie wpatrywało się kilkanaście osób. Sąsiadów i przechodniów, policjant, uczniowie wracający ze szkoły. I wszyscy widzieli postać Chrystusa. Ktoś zapalił znicze, wkrótce pionoło ich kilkadziesiąt, a w ciemnocem cala ulica rozbrzmiewała jej religijnymi pieśniami.

Następnego dnia niektórzy rozebrali ploty, żeby zapewnić oglądającym lepszy dostęp do okna, postawili niewielki krzyż i wezwali księdza z parafii św. Anny.

Ksiądz, rōwienicł Marka, długo wpatrywał się w szybę, następnie poprosił zebranych o modlitwę za tych, co Jezusa noszą w sercu i za tych, co widzą Go w każdym stworzeniu i w każdej rzeczy. Bo wszystko jest dziełem Stwórcy i w każdej roślinie, przedmiocie, w każdej żywej istocie jest Jego, Jezusa Chrystusa, cząstka.

Wkrótce wieść o cudzie rozniósła się na całe województwo. Przyjeżdżali starzy i chorzy, matki z słomnymi dziećmi, kobiety przwoływoy swoimi mężów, mężczyźni swoje chore żony. Byli dni, gdy przed werandą i na ulicy modliło się ponad sto osób.

I wielu odjeżdżało wyleczonych, z mniejszym bólem, spokojniejszym sercem, z oczyszczoną duszą i z jaśniejszym umysłem.

Wanda zmarła pod koniec marca. Nagle, we śnie. Ludzie orzekli, że Bóg wezwał ją do siebie, bo spełniła swoje ziemskie zadanie. Ujrzała i pokazała Chrystusa ludziom.

– Ty także ta przychodzisz, prawda? Modlił się czy z ciekawości? A twój rodzice? Tylko mama! Ojciec nie wierzy w cuda? Ja także nie wierzyłam. Często wpatrywałam się w szkiełko w okno na werandzie. Nieważnie. A tak chciałam Go ujrzeć, bo czułam się gorzka, pominięta, niegodna poznania tajemnicy Boga. Kiedy pytały mnie, dlaczego Bóg wybrał mój dom, aby ukazać się ludziom, odpowiadałam, że nie wiem. że często modłę się, żeby pomogł mi to zrozumieć. W niedziele przychodziły całe rodziny, dzieci zapalały lampki, zostawiały kwiaty...

Az przyszła Wielkanoc. Piękna była, pamiętam? Słoneczna, ciepła, nagłe zazieleniły się drzewa, w ogródkach przed domami zakwitły narcyzy, a w sadach mirabekli...

W Wielkanocny poniedziałek, nad ranem, obudzili mnie straszny hałas. Kilka minut leżałam nieruchomo, zastanawiając się nad przyczyną rumoru. Białam się wstać, byłam przecież sama w tym moim kochanym starym domu. Marję, jak ci już mówiłam, zawsze w święta zwalniałam, szła na noc do swoich.

Wreszcie zrozumiałam! To nie złodziej narobił takiego hałasu, to szyba z okna na werandzie rozszarpała się po schodach i na podłozie tysiącami kałków.

Przeżona – bo co powiem ludziom, którzy rano przyjdą pomodlić się – wybiegłam na werandę. Powiedzą, że nie dopitnowałam, albo oskarżą, że to ja ją rozbiłam.

Usiadłam na stoleczku, zaczęłam zbierać co większe tafle szkła i układać na fotelu.

I wtedy spostrzegłam leżący pod ścianą kamień. Ten właśnie. Spójrz, z bruku, po którym chodzę już prawie siedemdziesiąt osiem lat. Chwycałam go w dłoń. Był ciepły i lekki. Odrzuciłam go i przerażona spojrzalam na swoje ręce. Były czerwone od krwi. Ale to nie była moja krew. Pobiegłam do kuchni, umyłam dłonie pod kranem i dokładnie je obcierałam. Nie miałam najmniejszej nawet ranki. Wrociliam na werandę.

Z wnętrza kamienia sączyła się kropkami krew i wsiąkała w deski. Po-
dejdź, zobacz! Nadal widać czerwone plamki. A w nocy świeca.

W południe przysłał Maria... Następnego dnia zawołałam szklarka. Mał Marii postawił nowy płot, posadził zywopłot, kilka jabłoni i wini. Krzyż kazalam zostawić.

Ładnie szybko zapomniał, niektórzy nawet wystrząsają się przynają, że przychodzili tu codziennie modlić się, omijają mój dom.

A jeszcze inni śmieją się z tych, co tu kłęczeli, palcami ich wycykają. Za to, że uwierzyli!

Podęjdź do mnie, moje dziecko. Pokażę ci ten kamień. Popatr! Widzisz na nim te czerwone pręgi? To skamieniała krew. Mojego Janka, mojego brata Staszka... Tkwił sobie w bruku do Wielkanocnego poniedziałku obok podobnego kamienia. Noca przechodził człowiek, wyrwał go i rzucił nim w moje okno. I stał się ciał. Kamień ożył. Popłynęła z niego krew

No dobrze, idź już. I zostaw ten magnetyfon, a zajmij się obiadem. Po obiedzie, jeśli zechcesz, możesz wyjść na dwie godziny. Burzy już dzisiaj nie będzie. Tylko wróc przed dziewiątą.

O jedenastej przychodzi Janek. Dzisiaj zapoznam cię z nim. Boisz się? Nie powinnaś. Przychodzi do mnie, nie do ciebie. A wkrótce przyjdzie po mnie.

Jeśli spodobasz mi się, jeśli cię polubi, zapiszę ci ten dom. Wnuki go nie chcą, szostka nim ma co zrobić ze swoim, dość ma kłopotów też z sobą i ze swoimi choroibami, więc po cój jej mój...

Nie zostawię go przecież tym złodziejom z zarządu miasta. Na pewno by go sprzedali, a pieniędzmi podzieliłi się. Labiam twój kamień, dobrze się ucyla, a i mój Marek podkochali się w niej.

Tak, zapiszę ci ten dom. Pod warunkiem, że go nie sprzedasz, że zamieszkaż w nim po mojej śmierci, że wychowasz tu swoje dzieci.

Juz ci mówię, że temu domowi najbardziej brakowało śmiechu. Tu nikt nigdy się nie śmiał.

A ten kamień też ci podaruję. Wylóżysz go do szkatułki i ukryjesz na strychu. Będzie strzegł ciebie, tego domu i twój rodzinę. A ja z Jankiem i Staszkiem czasem zajrzemy tu do was. Może Marek odnajdzie drogę... Żeby posłuchać, jak się śmiejecie...

Henryk Kozak

SLAWOMIR BURYŁA

„Życie nie jest bezpieczną wyspą.”

O debiutanckim zbiorze

Henryka Grynberga pt. *Ekipa „Antyгона”*

„Zostałem pisarzem zmarłych...”

Jeśli zasadnie jest stwierdzenie powtarzane niekiedy przez badaczy literatury, iż istnieje pewna kategoria pisarzy jednego tematu, to z całą pewnością twórczość Henryka Grynberga można do niej zaliczyć. W rozmowie, która w 1998 r. przeprowadził z autorem *Zydowskiej wojny* Michał Cichy, czytamy: *Nie ma ważniejszego tematu w ogóle dla ludzkości, dopóki się nie stanie coś straszniejszego niż holocaust, a mięmiy nadzieję, że się nie stanie. Holocaust jest wielką nauką i przestroją dla cywilizacji, w której żyjemy. Punktem zwrotnym. Historia Żydów jest wyprawy bardzo szczególnej, ale każdy może wyciągnąć z niej wnioski, bo ona nigdy nie rozegrała się w próżni i dotyczy wszystkich innych, którzy biali w niej udział!*

Ale stwierdzić, iż podstawowym tematem jakiegoś artysty jest holocaust, to jednocześnie powiedzieć dużo i niewiele. Tak sformułowana wypowiedź należy od razu uściślić. Grynberga w sposób szczególny interesują jedynie pewne aspekty zagłady. Wskazuje na nie w jednym ze swych esejów zamieszczonych w *Przewidzie nieartytycznej* przy okazji autorskiego komentarza do debiutanckiej *Ekipy „Antyгона”*. Było to opowiadanie o *ekipie, która ekskamowała ofiary zbrodni hitlerowskich w Policie, i właściwie nigdy już tego tematu nie poruszcim. Ekskamacja w sensie literackim stała się nowym głównym zadaniem!*

Domniósł tenmyki ekskamacji zostaje dodatkowo wyekspozycja poprzez nadrane miejsce, jakie w zbiorze Grynberga zajmują wspomniane opowiadanie tytułowe. O jego centralnej pozycji decyduje też niezwykle ważna dla całości tomu postać Antygoni. Jeśli spojrzemy na nią od strony interesującej nas problematyki ekskamacji, to wypadła stwierdzić, iż postać z tragedii Sofoklesa staje się jeńskim odpowiednikiem „straznika grobów” i jednocześnie spina w jedną całość wszystkie utwory zamieszczone w młodzieńczym cyklu Henryka Grynberga. Ujawniają motyw wyboru drogi życiowej, pisarz podkreślał: *Zostałem pisarzem zmarłych, bo żywi mieli drogi własnych pisarzy. Zostałem strażnikiem wielkiego grobów, których nie ma poza naszą pamięcią. Czasami, aby ich nie bezczestować, i nie mogą narzekać na brak roboty. Złapie mi się, że po to żyję, a czasami nawet, że dlatego. I że dlatego nie popębnim dotychczas samobójstwem z obrzydzenia do świata, w jakim wypadło mi żyć?*

Ta sytuacja bycia „straznikiem grobów” spaja nie tylko dziesięć opowiadań, które weszły w skład debiutanckiego zbioru, ale organizuje całą twórczość autora *Zwycięstwa*. W tytułowej *Ekipie „Antyгона”* Wlak z grupą trzyczęstiu „Negrow”, dokonując ekskamacji pomordowanych Żydów,

¹Wspomniany temat: Z *Henrykiem Grynbergiem rozmowa* Michał Cichy, „Gazeta Wyborcza” 1998, nr 225.

²H. Grynberg, *Otworzyłi temat* [w:] *Temat, Prawda nieartytycznej*, Warszawa 1994, s. 198.

³Jw.

pojmie, iż dokonuje profanacji za sprawą swych pracowników, widzących w tym zajęcia przede wszystkim środek do zarobienia pieniędzy, profanacji tym straszliwej i odrażającej, że dotyka kocha, który nie może się jej przeciwstawić, aż absolutnie bezbratni. To właśnie m. in. z „milczenia grobów” bierze się protest Grynberga i przyjęcie przez rolę „strażnika”, obrocy zmarłych, którym nawet po śmierci odmawia się spokoju, ale też i świadka prawdy o lozie, jaki ich spokał. Strategia pisarza wydaje się być obliczona na przełamanie owej sfery zapomnienia, czy też – mówiąc precyzyjnie – świadomego wypierania z pamięci tragedii holocaustu. Często bowiem, jak w przypadku mieszkańców wsi Radoszyca, zagrada skrywa się za eufemistycznym określeniem: potem, kiedy – sugerując jakiejś przełomowej wydarzenie, ale nie nazywając go wprost – dokonuje jednocześnie jego objaśnienia, oświetlenia, a w konsekwencji przedstawia je jako coś, co się stało bez naszej wiedzy i udziału.

„Mamusiu, dlaczego ja nie jestem dziewczynką?”

Upstrajając w *Sielankę-Siąj* – opowiadaniu otwierającym *Ekspiry „Antygona”* – symbolicznego początku drogi pisarskiej Henryka Grynberga, wypada stwierdzić, iż zagadnienie tożsamości jest jednym z tych, które pojawiają się najwcześniej w jego utworach. Próba odpowiedzi na pytanie o to, kim jestem. Polakiem czy Żydem? chrześcijaninem czy zynawca religii moich ojców?, człowiekiem, który może mieszkać tam gdzie ma na to ochotę i zyc tak jak mi się podoba, czy kimś naznaczonym przez historię, kto ma wobec nich dług do spłacenia? – to jedne z najistotniejszych wątpliwości, które stale towarzyszą bohaterom prozy twórcy *Buzującego* w *Niemcach*. Znamiennie również, że pytanie, które stawia mały chłopczyk w opowiadaniu *Sielanka-Siąj*, ma bardzo konkretny wymiar, choć w przytoczonym poniżej fragmencie nie jest on wprost wypowiedziany.

- Mamusiu, dlaczego ja nie jestem dziewczynką?
- Bo jesteś chłopcem.
- Ale dlaczego? Ja wolaliby być dziewczynką.
- Ja też bym wolala, byłbyś był dziewczynką. Może byłbyś wtedy grzechotką?
- No to dlaczego w takim razie jestem chłopcem?
- Bo boćci cię takim przyniódli.
- A ty nie miałeś nic do powiedzenia? – trzysaje się Siąj.
- A co miałem powiedzieć?
- Ze chcesz dziewczynką?
- I miałam ciebie nie wzięć?
- No pewnie!
- To przecież by ciebie nie było, Siąj?
- Ale byłoby dziewczynką?
- Ale ta dziewczynka to nie byłaby ty.
- No to co?
- Ach, jaki on głupi, ten Siąj!⁴

Czytając ten „naïwny” i niewiny dialog, doskonale zresztą korespondujący z nastrojem całego utworu, jak i konwencją gatunkową sielanki, uchwycą już w tytule, pamiętając o kontekście zagłady. Ja chcę być dziewczynką, bo będąc chłopcem, będąc obrzany, mam mniejsze szanse przeżycia, jestem przeznaczony na śmierć. Głupiutki i dziecinny Siąj, jak to próbuje przedstawić jego matka, wypowiada jednak prawdę, która w niej samej musiała budzić przerażenie. Chroniąc przed nią dziecko i siebie, chce obwiesić wszystko w niedorzecznej historii. Wizja holocaustu pojawia się w opowia-

daniach z *Ekspiry „Antygona”* jakby na drugim planie, w podtekście, w nieopatrznie wypowiedzianych zdaniach, które jednak naruszają błogostną i harmonijną opowieść. Oto jedna z sąsiadek na widok matka ze zdziwieniem stwierdza: – *To Abramek ma już takiego chłopaka? Mój Boże, jak ten czas leci – wędrycha Janicka. – Niebrydkie dziecko i wcale niepodobne na Żytko?*

W pisarstwie Henryka Grynberga zagadnienie tożsamości uzyskuje swe dopełnienie w innym wymiarze. Pamięć o dwudziestowiecznej gehennie narodu wydaje się być dla autora *Zwycięstwa* pierwszą i ostateczną przyczyną poszukiwania własnej tożsamości. Nie religia czy tradycja, tak mocno przecież obecne w świadomości Izraelitów, ale zagrada staje się dla Grynberga, artysty i człowieka, źródłem jego określenia się, iż „istniejemy dzięki naszym stwierdzeniom pisarza w *Przełomie* krytycznym, iż „istniejemy dzięki naszym wrogom”, można powiedzieć, że bohaterowie opowiadań z debiutanckiej *Ekspiry „Antygona”* w jego zagabieniu w świecie pomagają wszechobecne widmo shoah. Wspomnienie straszliwej zraza narodu, której jest częścią, sprawia, że wędrowka z aparatem fotograficznym bez celu po ciastkach i w granicy rzeczy obcych ma ulicznymi Jerolimym nabiera zupełnie innego wymiaru. Temat poszukiwania przez jednostkę własnej tożsamości pozwala podzielić utwory zebrane w *Ekspiry „Antygona”* na dwie części. Te spośród nich, których akcja dzieje się w izraelskich kibucach, na te zabytkowy Jafy czy Nazareta, ujmującej przede wszystkim stan zagabienia, wyobcowania jednostki oderwanej od własnych korzeni. Naturalnie niejako odwołanie te grupy utworów, które nazywałibyśmy „opowieściami izraelskimi”, stanowią opowiadania z „miejsca urodzenia” – w zamkniętym tomku utworze pt. *Haniel Byn*, przyjaciół Lukimisa, będącego jednocześnie wyrazicielem myśli i poglądów samego autora, zwraca się w następujący sposób do głównego bohatera, który po latach przybywa na miejsce, gdzie zamordowano jego ojca:

- Trzeciś nie wiem, po co ci to wszystko i czego właściwie chcesz?
- [...] Nie łapiesz zagabienie o tym raz na zawsze, żeby to zszedł wreszcie trefli i już?

Odpowiedź Lukimisa jest znacząca:

- Spójrz na drzewa
- Nie rozumie.
- Trzeba tuż wycofać jak najwyżej do słońca, a jednocześnie korzeniami głęboko uwić w ziemi. Trzeba brnąć przykład z ziemi.⁵

Jest to część niezwykle rozbudowanego w prozie autora *Dzielnictwa* zagadnienia „nieobecności”. Pozostając jednak przy tekstach zamieszczonych w *Ekspiry „Antygona”* trzeba stwierdzić, iż mamy tutaj pośrednio nawiązanie do problematyki tożsamości, której realizację stanowi dziecko matki matrzeń z *Sielanki-Siąj*, by być dziewczynką. Nietrudno też zauważyć, że obecność wynikająca z faktu, iż jest się anonimowym członkiem społeczeństwa, uwalnia od lęków związanych z „byciem Żydem”, daje też poczucie bezpieczeństwa. Dotyczy to w równym stopniu lieterackich kreacji Grynberga, co i jego samego jako człowieka.⁶

⁴ Tamże, s. 98.

⁵ Zob. D. Krawczyńska: W poszukiwaniu tożsamości. O „Buzującym w Niemczech” Henryka Grynberga, „Wiedźma” 1992, s. 123.

⁶ H. Grynberg: *Niewolnicy* [w:] *Legat, Ojczyzna*, op. cit., s. 177.

⁷ W rozmowie z Józefem Wroblem autor *Święta kontynuacji* w następujący sposób określa swoją sytuację na emigracji: *Moja amerykańska spuścizna nie mały pogotwie, kim jestem. By-*

⁴ H. Grynberg: *Sielanka-Siąj* [w:] *Legat, Ojczyzna*, Warszawa 1999, s. 101-102.

du na samotność i opuszczenia, o których przypomina o bohaterowi: „był [...] milczeniem i obojętnością”¹⁸. Pisząc z dużym uznaniem o znakomitej książce Jolanty Brach-Czajny *Szczeliny śmierci*, Henryk Grynberg powraca do tematu samotności Żydów w okresie wojny, widząc w tym jeden z najważniejszych rysów ich sytuacji w „epoce pocybów”, ale też w przywołaniu spodu okupacji hitlerowskiej.¹⁹ Przerazająca scena, która jednocześnie bardzo dobrze zsumaryzowała nam upiór lasu jako synonima opuszczenia, znajdujemy w opowiadaniu *Hamlet*. Mały żydowski chłopiec, którego nie chce przejąć do siebie zdan z polskiej rodzin, ma być pozostawiony sam w lesie. We wczesniej prozie Henryka Grynberga z przywołanym już „milczeniem i obojętnością” oraz „milczeniem lasu” koresponduje „milczenie Boga”. W sposób symboliczny objawia się to poprzez fakt, iż w tytulewym opowiadaniu imię Najwyższego niemal w ogóle nie jest wspomniane. Charakterystyczne, że pobozny Żyd, jakim jest dziadek całego bohatera z *Sielanki-Słaj*, w odpowiedzi na pytanie o sens tego, co się dzieje, stwierdza jedynie „Bóg tak chciał i dzięki niemu będą Jema”. W *Ekspie „Antygona”* milczenie Stwórcy zostało w sposób metaforyczny ukazane w obrazie „ciężkiego deszczu”, który tłumnie unoszące się ku niebu góry morderowanych Żydów.

Słaj, Wiak, Lukim...

Jednośloność i konsekwencja z autorskiego punktu widzenia zachowana jest również w kreacji głównego bohatera. Wiele przemawia za tym, że mamy tu do czynienia z kilkoma różnymi postaciami. Noszą odmiennie nazwiska, wydają się pochodzić z różnych środowisk społecznych. Dzieli ich mogą także miejsca, w których aktualnie przebywają: część opowiadania, jako się rzekło, rozgrywa się w Polsce, inne – w gorącym klimacie śródziemnomorskim, w izraelskich kibucach lub na tła ciętych żydowskich ulic. W tytułowym utworze pierwszoplanowa postać nazywa się Wiak i wraz z ekipą „Nęgrów” prowadzi prac ekshumacyjną, w *Niewopowiadaniu w Nazarecie* Lukim to turysta, podróżnik z nieodczujnym aparatem w rękę. Nie dajmy się jednak zwieść fałszywym tropom, jakie chwyają nas w toniku Grynberga. Przez cały czas mamy bowiem do czynienia z jedną i tą samą kreacją literacką. Przypomina on po trosze bohatera powieści inicjacyjnej przechodzącego drogę od życia beztrudnego obokojawca (*Niewzajemny*) do wtajemniczenia (*Niewopowiadanie w Nazarecie*, *Widziałem pożytkującą broń*, *Ekipa Antygona*), *Judy*) i przejęcia roli „straznika grobów” (*Pelomonowictwo*, *Hamlet*). Jak zwraca uwagę Bogumiła Kaniewska odnosząc swoje stwierdzenia do całej twórczości autora *Ścieżka ideologicznego*, da się w niej wyodrębnić dwa etapy w rozwoju świadomości bohatera, który ewoluuje od postawy wyraźnie niechętny swym żydowskim korzeniom do akceptacji i utwierdzenia się z kulturą i narodem pomordowanych.²⁰ W *Ekspie „Antygona”* przemiana ta przebiega od zamieszczęgo jako pierwsza *Sielanki-Słaj*, do zamykającego tom *Hamleta*. Dorastaniu duchowemu odpowiada tu dojrzenie fizyczne bohatera.

Tym, co nadaje całości zbioru charakter zamkniętej i przemysłanej konstrukcji literackiej, jest też motyw powrotu do „miejsca urodzenia”. Otwierają tomik krótkie „opowiadanie-sielanka” przynosi opis świata, który łączy się z sobą Słaj, kraj dziecięcych zabaw i smół, świata pierwszych

¹⁸ W *Opusztoszonych trawach* znajdujemy następujący fragment: *Nie było i lasu powrotem. Nie było górzni ani do kogo wrócić, a w lesie nie można było pozostać, był on milczeniem i obojętnością. Atakował się i cieni i drzew [H. Grynberg: Opusztoszona trawa, op. cit., s. 28-29].*

¹⁹ Zob. H. Grynberg: *Nowocześnie w cyfrę [w:] Prawda nieustraszczonej, op. cit., s. 252-256.*

²⁰ Zob. B. Kaniewska: *Grynberg: cykl gro kowocznyc [w:] Teje, Świat w granicach „Ja” - O narracji pierwszoplanowej*, Poznań 1997, s. 123-126.

przejazni, na polu realnych zdarzeń. Opowiadanie zamyka obraz „wzrostu zakładanego nieprawy podobna iłością tobołów”, w którym mamy do czynienia z nieznanymi Słaj wraz ze swoją najbliższą rodziną. Podróż, jaką odbywa bohater tej prozy, ma swój własny porządek: prowadzi od „miejsca urodzenia” (*Sielanka-Słaj*, *Opusztoszona trawa*, *Pelomonowictwo*, *Ekipa „Antygona”*, *Grób*) do „krajów pomarączkowych lasów” (*Niewzajemny*, *Niewopowiadanie w Nazarecie*, *Widziałem pożytkującą broń*), by ponownie przywieść nas do jego rodzimych stron ukazanych w opowiadaniu *Hamlet*. Jednak kolno, jakie zachodzi między widzenie z Hillem, Wiakiem oraz Lukim, nie oznacza powrotu do świata, który opuściliśmy wraz z małym Słajem. „Nie tutaj” nie pomaje i nie wiem właściwie, gdzie jestem” – mówi pierwszoplanowa postać z *Hamleta*. Mieszkańcy Radoszyń nie pamiętają bądź z trudnością przypominają sobie syna Abrahama, drobnego żydowskiego handlarza, który prowadził interesy z tutejszym dziedzicem. Nikt też nie pamięta (nie chce pamiętać), kto zamordował Abrahama. Poszukiwanie prawdy w tym, co się stało, które jest zarazem próbą odnalezienia mordercy, uświadamia przybyłemu w to miejsce synowi o jego korzeniach i jednocześnie powinościach, jakie ma do spełnienia.

W utworach takich jak *Niewzajemny*, *Widziałem pożytkującą broń*, *Niewopowiadanie w Nazarecie* bohater jest przybyszem zwiadowcą i bez celu po świętych miejscach chrześcijaństwa i judaizmu. W opisywaniu swoich przodków czuje się bezpamiętnie, gdyż jest kimś anonimowym. Przejmując rolę turysty, kogot z zewnątrz, nie musi się identyfikować ze straszną historią tego kraju. Nie uwalnia to jednak bohatera od nekających go wątpliwości: „Skąd jestem, jak dawno przyjechałem? Kogo mam tutaj, a kogo tam? Nikogo? A więc zostaje? Nie?... Jak to? Jak to możliwe?...”²¹ To duchowe rozdwojenie głównej postaci zostaje zerwane z chwilą powrotu do ziemi, która kryje prochy pomordowanych ch w Chelmnie, Treblince, Belżcu. Bardzo dobrze awa przemianę kondycji bohatera oddaje tytuł jednego z opowiadań: *Pelomonowictwo*. Stałe się on pelomonowicem zmarłych, ich obrońcą przed żywymi. Jego egzystencje – podobnie jak w całym zbiorze – określa sytuacja bycia pomiędzy Należądo do grona ocalałych, tych, którym się udało przeżyć zagładę, jest jednocześnie widoczem przybywającym ze świata duchów. Przedstawia to nowela *Grób*. Narrator-bohater odwołuje się w niej „względnie z brązinka”, które miało być miejscem jego wiecznego spoczynku. *Przejdźmy tam – mówię po latach – żeby doglądać tego grobu. To jedyny grób z całej mojej rodziny... Dobrze jest mieć jakiś grób, którego można doglądać. A to jest przecież mój grób? Co charakterystyczne, a bohatera ratują od śmierci w komorze gazowej ci, którzy dają już są duchami przebywającymi „na miejscach wielkich straceń i wrót polskich mogi”²². I znowu pojawia się kluczowa i jednocześnie spajająca cały tom problematyczna nieobecność.*

W opowiadaniu *Hamlet* znajdujemy następujący akapit: *Jestem synem Abrahama, wysłał Lukim, tym, którego nie przyjęto na ofiarę. Nie pamiętam, w ostatniej chwili rozleci się góra?... Było to pewnego dnia, gdy czołwiczek, katemu mnie powierzone, nie widział już mojej ręki, jak wyczołwiczek prowadził mnie za rękę na drugą i trzecią wień, i zachwał mnie, żeby*

²¹ H. Grynberg: *Widziałem pożytkującą broń [w:] tegoz, Ekipa „Antygona”, op. cit., s. 103.*

²² H. Grynberg: *Grób [w:] tegoz, Oczyszczony, op. cit., s. 128-129.*

²³ W opowiadaniu tym znajdujemy następujący fragment: *Ogładim odciski palców na śliskich kamkach gazowych. Zaprobli wszystkie komory gazowe, wszystkie szlonyne groby. Abrahama nie będzie uczynił, żebyśmy nie byli wyczołwiczek wyczołwiczek, żeby nie starczyło miejsca ani wsiółch żyć [H. Grynberg: Pelomonowictwo [w:] tegoz, Oczyszczony, op. cit., s. 120-121].*

niecna jedną miąsę. ocalić pamięć o ofiarach, którym często nawet po śmierci odmawia się prawa do istnienia jako Żydów. Pisał krytyk: *tylko pamięć w całej swej nagoci i całym swoim okrucieństwie, obowiązek stałego rozpamiętywania tego, czym był holocaust, dociekania jego przyczyn i następstw. Jest może jedyną rękopiją, że zło nie znajdzie swej drogi powrotnej do miast Boga i miast Sprawiedliwości.*¹²

Slawomir Buryła

¹² M. Zaleski, *Formy pamięci. O prowadzaniu przeszłości w polskiej literaturze współczesnej*, Warszawa 1996, s. 185.

II Ogólnopolski Konkurs Małych Form Literackich im. Stefana Żeromskiego w Nałęczowie

Jury pod przewodnictwem prof. dra hab. Jerzego Szwajca, po wnukowej lekturnie 217 prac, na posiedzeniu w dniu 17 listopada 2000 r. postanowiło przyznać trzy równorzędne nagrody następującym autorom opowiadań:

Ewie Graczykowej z Gorzowa Wielkopolskiego,
Agnieszce Klos z Rawicza,
Henrykowi Cyprianowi Konkowli z Berlina.

Ponadto jury postanowiło przyznać dwie równorzędne nagrody za esej:

Ryszardowi Jasińskiemu z Tulpic,
Markowi Kowalikowi z Zawiercia.

Przyznano także nagrodę za dziennik dla
Anny Czujkowskiej z Lublina.

Jury postanowiło przyznać nagrodę specjalną Burmistrzowi Nałęczowa za pracę, której akcja inspirowana jest szczególnym klimatem duchowym Nałęczowa. Autorem pracy jest

Stanisław Leon Popek.

Jury z satysfakcją odnotowało imponujący zasięg terytorialny konkursu i znaczną liczbę nadesłanych prac. Ze względu na rozmach i sprawny przebieg konkursu szczególne wyrazy uznania należą się jego organizatorom: Muzeum Stefana Żeromskiego w Nałęczowie oraz Towarzystwu Przyjaciół Zakładu Leczniczego „Uzdrowisko Nałęczów” w Nałęczowie. Pion drugiej edycji konkursu – w odczuciu jury – upoważnia do stwierdzenia, że impreza ta powinna być kontynuowana.

Wtedy król, postąpił
wtedy król, postąpił

Ze sobą!

PIOTR MAMCZAR

* * *

Pochowałem siebie.
Bez placu, bez szaleństwa.
Spokojnie patrzyłem
jak upadają wytarne buty
i skórzana kurtka.
Wraz z nimi ja
spadłem na dno szafy,
na dno grobu bez kwiatów,
bez nagrobka, bez zniczy.
Nie używany, sterczący kurz
chroni mnie przed kąsaniem moli.

* * *

Terroryci przebrali się
za partyzantów. Partyzanci
za bojowników. Bojownicy
za Czeczeńców, Bośniaków,
Irlandczyków, Basków,
za polskich robotników.
Ja, za kogo się przebrze?

* * *

Arbuz jest kulą,
czekającą na dobre
emocje.

Wie co się dzieje
bo udaje, że spi.
Wszystko widzi.

Urodziny

Rozwarstwiam się.
Po raz kolejny umarło
coś mojego.

Umarle przykryto
 dynem z papierosów meble.
 Naczynia zzieleniały,
 wyszło błoto na dywanie.
 Tapczan, wygnocionym
 ale już zimnym kocem
 obnażając kształty prezentów,
 Portfel, kaczka i rękawiczki
 wyciskają łmiona. Artur i Marta
 Prezent – książka „Jak wytrzymać
 z współczesną kobietą” autorstwa Krzyśka i Agnieszki.
 Smak wina przypuszczalnie
 od Majki i Asi.
 Nie wyczuwam prezenta
 od Zwierzera Arka Kremzy.

Wiadomości TV

Dzisiaj ogłoszono koniec
 wojny w Czeczenii.
 Partyzanci rozmyli się
 w szarych szmurkach.
 Bojownikom wywieszono
 do ciepłych krajów.
 U nas i u nich
 padało. Ma padać dalej!
 Terrorystom wykopano płytkie groby.
 Musiało się cholernie źle kozać
 w tej zarannej słuwie.

* * *

Niski wzrost, ciężka waga,
 garbaty. To właśnie daje mi
 przedyspozycję zażytej
 puszki. Nieważny sens, ważne
 opakowanie – cierpię
 z powodu opakowania coca-coli.
 Nigdy nie będę miał
 ładnego opakowania.

Zdarzenie czołowe

Nie ma różnicy
 między częściami ciała.
 Wokół czerwone plamy,

skrzypy krwi, poskręcane
 włosy lonowe.

Za dużo!

Ćma wciąła w kłoz.
 Tłuczce skrzydłami po szkle.

W tłumie maszeruje się rąziej:

* * *

Indianin jest szybki
 i sprawny.
 Indianin wie wytrzymały
 i mocny.
 Indianin nie da wytchnienia
 ofierze.
 Wie, że
 jelić biega w kółko.
 Wprawnymi posunięciami
 zapędza go w róg.
 Zwierzęc ocieka,
 kopyta krwawią,
 pada z wycieńczenia.
 Indianin pochyla się.
 Odbiera życie
 spojrzaniem.

Piotr Mamczarz

Książki nadesłane

Wydawcy różni

- Ryszard Jabłotnicki: *Spław kaneleto*. Wyd. „Obserwator”, Poznań 2000, ss. 142. Biblioteka „Czarna Kultura”, t. 34.
- Tadeusz Pruszyński: *Król troli*. Powieść. Wyd. Fundacja Debiutu Autorskiego Łódź 2000, ss. 192.
- Jaruzna L. Cunnelly: *Ogion rajskiego paska*. Powieść. Wydawnictwo Haras i Suszczyński, Kraków 1999, ss. 277.
- Maciej Dajnowski: *Opowieści parnasalryjne*. Wyd. „Złotą Sowa”, Kraków 1999, ss. 75. Biblioteka „Stadium”, t. 18.
- Jacek Kotarski: *Porty Kobiety Publicznej*. Wydawnictwo „Złotą Sowa”, Kraków 1999, ss. 51. Biblioteka „Stadium”, t. 27.

Uważa prosił
dywizji w papierosów zacię
Natrętna zasłabła
wzruszenie kłosa na dywizji

TADEUSZ ZUBINSKI

Opowiadanie z deszczem

— Leje, leje, cholera końca nie widać, wieścięć się, przeciez ja muszę... zaczął, ale nie dokończył. Za okupacji to nie dzwignę. Ludzie zaczynają o czymś mówić, nagłe przerywają, jedni spuszczają oczy, wielu szybko odala się. Trwała wojna, zatem ten zwyczaj nie raził, nie prowokował, chyba wszyscy rozumieli, o co w tym chodzi. Właściwie miał dobre papiery, niebieską kęskę z „U” (z tym „U” jak obwarzonek, z którego wyrwano od góry kęps), znał trochę ukraiński, znał dobrze Lwów, był na Huculszczyźnie, zatem nie jest źle. Kontrola za Krakowem, w zderzeniowym wagonie Ostbahna, który śmierzdzał, podniecał i odurzał, niczym tani portowy burdel, przetrzał się, objął churtopaję podpici zandami, zapamiętanie stado golenów. Blachy im jęczały na pniach, jak blaszane piszeczki i jak dębowe deski wyrwane z trumny. Legitymowali, ale jakos bez przekonania. Jeden, zdając się gorliwszy, zagadnął po ukraińsku o cel podróży, obracając w palcach długą i zawile jego kęskę. Zapytany na wszelki wypadek odpowiedział po niemiecku: — Szukam sanatorium dla chorej krewniej. — Zandam pokławił głową pod hełmem jak wiktoriański nobel, jakis kwas, może silna wprawa na grube wargi, a blacha na piersi podkoczyła — Ja, ja, naturalnie — kwasiwo uśmiechnął się ciemnymi zębami, jednak zwrócił dokument, skrzywiony, jakby żalował, że nie może go za to zastrzelić. Dojechał w nerwach, oczy chwał, a wózek szaro było i mgły, góry jak to góry w deszczu smuły się i oddalały. Jakas sińców je dopadła i pomarzczyła. Zaczekało za kolnierz. Wszystkie pensjonaty podobne do siebie.

Starsza kobieta, może lepiej dama, stylizowana swirzwa z niebieskim polskiem, dystyngowana i wielkomięska, przy kalwaryjskiej komodzie, skąpiona, z ceremonialnie należnym powołaniem lekturze, czytała książkę oprawną w safran w pawiovy deszcz, ze złoczymi brzegami, namuszająca skojarzanie z modlitewnikiem kłórej z orientalnych religii. Ten, który wydawał się najbardziej podejrzany, ciemnowłosy, zamasztyr mężczyzna po czterdziestce, palił w kącik papierosa, junaka, których miał nie wiadomo skąd jakiś zapas, i na zmianę otwierał i zamykał męte oczy. Udawał, że nie go nie interesuje, poza kolacją, którą poza nadchodziła. Nad nim wisiała po domuw fotografii, mała, zbragowała — dziewczynka, jakiejś lat, z lokardą, przystępna buzia, nawet jak się dokładniej przyjrzeć — inteligentna. Starsza-kosulogająca, zębiczna, modliła się piskliwie, przykucnięta przy obrazku Chrystusa w Ogrójcu, Chrystusa z obliczem surowym i znaczącym, tyłek objętym co zacięciem. Po prostu to był Chrystus piętnego roku okupacji i tak Chrystus powinien cierpieć w milczeniu. Modlitwa starszuszki chciała naraz (wtedy oni dzieli), aby zaraz spotęźnić, to było jakby jakaś osobista gra z Panem Bogiem.

Starszek suchy, przeziębiony, ostrosny, przypominał ściepającego drapieżnego ptaka na emeryturze, co jedynie wyglądał na rasowego kuracjusza, z płem na kolanach drzemął w fotelu twarzą ku ścianie. Los albo przypadek wyposażał starszuka w twarz zeszcłą i okrutną — twarz nie na te czasy. Gałęzie walły o ściany pensjonatu, ciągle i natarczywie, jakby starzy się robić wszystko, ale ludzie o nich nie zapamięli. Ciurkało po zwrętych parapetach, jakby ktoś z garści sypał zwir. Mokre listki bżów świeciły przy parkanie koszar, równie dobrze mogły to być nie bży a różnocięki, z tej odległości nie sposób rozpoznać. Na dole, pod blaszanym dachem wiaty, na ciężarówkę z karabinem maszynowym zwróconym do tyłu ladowali się żołnierze. W mundurach, zieleń o niebieskim odcieniu, i w wypolerowanych deszczem ciężkich hełmach, co najmniej ze dwa plutony, podjechały kolejne ciężarówki. — Jadą dranie na akcję, oficie coś kryształ i machnął ręką wykonaną pistoletem. Stojąc na stopniu odjechał z ostatnią ciężarówką. Dalej i niżej, za koszarami, płynęła rudawa rzeczka przyziomna wierzbami. Padalo równo, pyło nierówno, wodną rdzą. Kaluze lśniły jak spoccone kofiszeki zady, które ludzie zakopali w ziemi. Bębnały krople, rząsiące. Góry, o których tyle dobrego słyszał, zakryta niebieska korbka, trudno było się dopatrzyć konturów. Wiadomo, że były jakiejś góry, ale jakie właściwie one były?

W pensjonacie, w zapachu nobilowej stęchlizny, ten który przejechał południowym pociągiem z Warszawy wśluchiwał się w deszcz i tykanie zegara. Usłyszał, że oszłone, wysokie drzwi uchylają się. Odwrócił się, pomarszczone cienie wędrowały po korytarzu, w drzwiach migwały, brzęczały kolorowe szybki w oszłych barwach, jak w fotoplastykonie, przyszło białymi iskrami jak pierzem. No tak, przed drzwiami stała zarządzająca pensjonatem, z dłońmi na podłok. Taką może przyjmują nasze matki, kiedy przychodzą do nas w snach aby nas przestrzec przed czymś strasnym — skojarz, tym bardziej było to uzasadnione, gdyż ona była w wieku jego matki. Zarządzająca, krewna właścicielki, wychodzi, że uboższa i mniej zaradna. Sprawdzono na mur, właściciele od pięciu lat siedzą w Londynie. „Pensjonat pod Herbanią Różą”, ktoś nieznamy, może tylko nie rozpoznany, przysłał tydzień temu wiadomość — zaproszenie. Jak się spieszyście, pokaże ci ostatni śnieg. — Spieszył się, nie wszystko od niego zależało, z papierami też się grabzali, on się spieszył, ale czy zdążył? Powinien zapłacić kogoś tutaj o ten śnieg.

Nobilśwa, wysoka pani w mdłych, jakby na zapas wódnych szarosiach i z wzięwłymi koronkami, wyglądała na wdowę, miłym tonem, w którym mało żerdzocięco, powiedziała, bo nie było to usprawiedliwienie. — Przerażam, że tak długo to trwało, ale pan rozumie, proszę za mną, teraz nie nam nie przeszkodzi — z przesadną ceremonialnością, którą niektórzy poczującej za elegancję w najlepszym stylu, a która jest co najwyżej wykalkulowaną taktyczną praktycznością.

Starszarkowy pład osunął się na stopy. Dystyngowana dama przy komodzie wolno zjadła szklę z nosa i zamknęła książkę. Z usmiechem, który był niejaki, tym samym nie pasujący do niej, zwróciła się do zamastycznego omiatając po niekilkim spożerzeniem krótkowidza. Ta oznaka krótkowzroczności przysadwała jej spożerzenia wyniosłości i nieokreśloności. — Zauważył pan, panie Witoldzie, jak się zacięmemo? Z naszych spacerów wyszły naci.

Pan Witold aha! papierosa w popielniczkę z zielonego kamienia, strzyknęło mu w lokciu, a mimo to spokojnie odparł: — Cóż można poradzić. Takie

czasy nastąpi, pani Agato, ja to myślę, że to kara Boga, jeszcze wleciał do nas bolszewicy, a wtedy lepiej będzie tym, co na cmentarzu. Pani jak zawsze crytala niemiecka poezję?

— Jak zawsze poezję, niemiecką, dzisiaj Rilke — z wewnętrzny umiarkowanie przytaknęła.

— Pani się kiedyś dotęra, pani Agato, Rilke to nie jest autor na te czasy, niech pani poczta Heinego, ileż w nim żalu — przestrzegł pani Witold marszcząc czoło cichszym tonem.

— Heine. Ależ pan prowokuje los — skarciła go pani Agata z tajemniczą miną.

Postępująca-żebraćka wstala z kolan, z przekrwionymi oczyma, obrażona na zapas, jakby doznała olśnienia, że Chrystus i tak nie wysłucha jej modlitw.

Przeżył do czegoś, co równie dobrze mogło być kantorkiem, kancelarią jak i zapuszczonym salonikiem, to niedzielnianowiano było na pewno zagraczone i smętne. Na patefonie dogorywała ostatnia fraza popularnego tanga „Jaka piękna jest moja dziewczyna”, a na biurku nudziła się szklanka zimnego kompotu z rabarbaru. Na szklance ślady szminki.

— Ciekawa jestem, czy nasz pensjonat pana ktoś polecił, czy może był pan u nas przed wojną? — zapytała śniadymi wargami, zajmując miejsce na fotelu, który był karykaturą i zabitym zarzkiem. Z łuficą ciągnęła strużka chropowatej, zielonkawej wilgoci. Deszcz rzęzał, ale nie ustawał. Donieki z pelargoniami, jeden kaktus, przycupnięte na parapecie i lekkie zapach wakacji, narastał zapach fermentującej, ledwie co ściętej trawy, dla krolików. Farba na parapecie, kiedyś biała, szczybiała w lizajach. Z kuchni ktoś, raczej kobieta, lekko i płytko pokasywał. Ogólne zmęczenie i zobojętnienie. Z kuchni też woń gotowanego mleka, jak w ochrone. Z korytarza, z zapleczka woń pleśni, ziemniaków i mokrego kurzu. Ze szpar, spod okna zaciągało cudownie wilgotną, świeżkową korą, jak balsamem.

— To trochę tak, jakbym oglądał po raz setny ciagle ten sam film — rozważał, tak tylko że zakończenia nie sposób przewidzieć. Ale cóż, to chyba dobry znak, takie spowolnienie rytmu życia, jakby poza czasem, nawet ci Niemcy pod biekim, dosłownie na rzut kamieniem, to też plus, starszy ładnie nie wzbudza takich podejrzeń — pocieszał.

— Czy to takie ważne? — zapytał i zaczął go korcić, żeby zapytać dlaczego ono mu się tak przygląda?

— Na, w zasadzie ma pan rację, teraz każdy gość jest na wagę złota, ale z drugiej strony my zawsze staraliśmy się poznać bliżej naszych gości, to pewna tradycja i to dużo ułatwia — dotknęła włosów zaczesanych w surowy wrzół z tyłu.

— Dobrze, rozumiem, przed wojną bywali tutaj moi znajomi, wynieśli pochlebna opinię o tym zakładowie, wierzyli to pani, czy mam podać dalsze szczegóły?

Wąska, jakby przywzdoła, dmienią, z pierścienkiem na serdecznym palcu, przistała czoło. Poprawiała się na krzesle, zapropionowała jak gospodyni, rutynowo, zatem wcale nie zachęcająco. — Najprie się pan czegoś, może być herbatka?

— Mogę, proszę o herbatę — zgodził się.

— To dobrze, że chce pan herbaty.

Przedklnął parkrocznie ślinę, od dłuższego czasu mietłowił w ustach gorycz. To od tego przypadkowego kieliszka bimbru. Z samego rana, w chłodzie i mgłach ciepłkich, jakby ktoś natnął rzępy, i lepki, jak pościel kochan-

ków, w pociągu wlokącym się, przy oknie, wypije jeden kieliszek. Taki jeden naprzatł się — Panie ładny, panie młody, panie wojskowy, dla towarzysztwa, no, do dna, śmiało, Polaku-rodaku — ośliniośmy odmówił kieliszek pod brodę. Musiał, nie chciał zwariować na siebie uwagi, odwalni, awantura gotowa, przyjdzie ładarnam spisie i trop zostanie.

Ktos, kogo nie zapamiętał, cień bardzo nie crowski, przyniósł herbatę. Pogryzął się w układowi tego, co musi powiedzieć, powiedzieć tylko tyle, ile powinien. Długo i dokładnie potem mieszal żyłeczka miody, szeroki koch barwy kawy z mlekim, jak piwocini, albo brudne mydliny, kożuch po pastyle sacharyny, niestety dużo nie dalo się zrobić. Ale odróżnił smak miejscowej wody, rzeczywiście woda zdecydowanie lepsza od warszawskiej! Przypomniał sobie, że słyszał, że na ostatniej odprawie, a pulkownik, częstowano prawdziwą, zrzuowaną angielską herbatą Liptona. No, no, ale tylko dowodził, obstawia moka.

Mogę polecić patefon, niektórzy wolą przy płytach rozmawiać, to czasem pomaga — zapropionowała po raz drugi i znacząco spojrzala w stronę drzwi. — Nie, patefon nie, nie żebym nie lubił muzyki, nie w tym rzecz, ale trochę mnie pobolewa głowa, pan rozumie, wczoraj w Warszawie, awantura, a dziś już w górach, cisnienie swoje robi.

Zamruwała, skubnęła szkrzydło nosa. — Rozumiem, oczywiście że rozumiem, jak mam się do pana zwracać? — W jej niebieskich oczach, młodziec od całosci twarzą, dostrzegł błyski, jakby lęku czy zmieszania, które teraz tłumil „urzędowy” uśmiech.

— Moje nazwisko Niebysz, zwoyżajnie, Niebysz i tyle. Powinno wystarczyć. — Wystarczy mi, panie Niebysz. Słusznie, takie teraz czasy nastąpi, że musimy się wyzywać starych nawyków. Zatem, panie Niebysz, ogólnie wzięt, o co pana chodzi, a teraz proszę o szczegóły.

— Tak mi przyszło do głowy, czy dawno zmilk śnieg w tych stronach? — wyskokrzył.

— Śnieg, myśle, że dwa tygodnie temu, ale nie jestem pewna, jak pana to bardzo interesuje, radzę z tym do kieregoś z furmanów, oni takie rzeczy wiedzą — nie strapiła się, jodynie wydawało mu się, że usmiechnęła.

W kilkunastu zdaniach, które nie były w pełni jego zdaniem, wysłuszył, o co mu chodzi. O starą panią z Warszawy, którą wygłędzi zdrowotnie, i te inne zmuszając do wyjazdu na prowincję. Na pewien czas. Przy „te imię” wymownie odchrząknął.

Zarządzająca słuchając niby rutynowo, w dłoni obracała ołówek i pila swoją herbatę, jednak nie spuszczała oczu z Niebysza. — Starani się nadażyć za tym, co pan mówi, trochę to zwile, już mam pytanie — do kiedy? Na jak długo? I najważniejsze, dlaczego i imię? — wyjdła duży notes w czarnych okładkach, może mniejszy format rejteru i odchrząknęła nasafkę wiecznego pióra.

— Po koleci, kiedy, od kiedy? A to zależy, kiedy wróde do Warszawy, widzi pani sama, zapani mnie deszcz i zbliża się godzina policyjna, jakbym było przemocować u pani, w pani pensjonacie — poprawił gładzą krawat — tylko jedną noc, dokumenty mam w porządku, oczywiście placę, ile się należy, cała stawkę.

— Pan wie, że nie wolno mi tego zrobić, ale zrobić, przemocować pana, tę jedną noc. Jeszcze jedno, jak pan będzie regulował należności? — wyrzynie nie chciała, aby jej dziękował.

— Mogę w dolarach, chciałbym zapłacić z góry, za pół roku. Chciałbym

być dobrze zrozumiani. Wie pani, ta obecna komunikacja. Pół roku z góry to są sens.

– Wiem, drogo teraz ludziom żyć i zbójcy na drodze.

– Władnie, tak jak szanowana pani raczyła zauważyć, zbójcy na drodze – zgodził się łapieżnie hamując powrotem, które miało swą wagę. W tej samej chwili za ścianą zaatakował telefon.

Zarządzająca wstala. – Przeczysz, jakie ten telefon był umówiony.

Bezgłośnie zwarł szczyki i też wstali. Poszedł tam, gdzie go zaprowadzono.

Dzwał w pokoju zimnym, ale spokojnym, w świeżej, szeleszczącej pościeli. Spalwe, ile pomieszczeń mieści się w tym budynku Zimno, ale to był inny rodzaj zimna, taki soczysty, para klebnymi wyskakiwała z ust. Zamknął oczy, twarz spięta, bardzo zaprawną papierosa, ale jeszcze bardziej nie chciało mu się wyrzucić z listewki pościeli i grabiec w szafce za papieroska. Słodkie uczucie lenistwa. Ostatecznie, nie musi palić, papierosy nie są zdrowe, to brzydki nałóg – przypomniał sobie słowa Elzbiety. – Tam, za oknem, już są prawdziwe góry – pomyślał i z ulgą zasnął. Cały czas padał deszcz i drapał wiatr. Straz na dole całutką noc kołatała się w mlecznym dymie, jak widma w kokonie.

Ciemność, jak przodzierana pozewska, pękła na dwoje. Otworząc naraz wszystkie okienknie, tak na alarm, w okamgnieniu noc przeskoczyła w dzień. Deszcz padał słabym, ciurkającym skropem w barwie słabej herbaty. Deski podłogi wymyły do białosci i nagle ściany jak w klasztornej celi. Pająk-smętek przystąpił porożka mafina. Człowiek z kienkartą na ramię Nieszysz poczną żołnierski głód i pełny pęcherz, to drugie było tak, jakby pod brachem nosił wielkie, gorące jajo. Śniadanie zjadł szybko, na starym, spranym adamaskowym obrusie. Sam, pastu jakosi, zarządzająca długo patrzyła przez okno, deszcz padał dalej. Co tam było: kawa zbobowa, cukier brzy, piczywo doskonałe, takie „przobojenne”, kiebasa i margaryna. Niechęć, najadł się. Zapomniano w wiałówkę – kanapki i pieczona wółwiną w sosie chrzanowym i trzy jabłka, delikatosowe – twarde, rumiane i słodkie. Przechłone i pocenak padało, okna ganka obrębna komata deszczowa szła, ciagnęło już z kątów nie wilocinia a zguzłina. W reumatycznej szwie wyszły przed pensjonat. Na podjeździe, pod rozłożoną lizanią deszczem budą dorochi, fajkę ómil góral z góraliskim nosem, w serdaku i czarnym kapeluszu, góral jak się patrzy, taki jak z początku reklamującej przedwojenne Świątka Gór. Kary koń wierzal podława, lewą nogą, jakby dźwiał korytem i deszcz, i grunt, i krecpi w piegiem łbem, wyraziłym łbem konika szachowego, zły na deszcz. W jego wielkich, dobrych oczach przeglądały się trzydniowe opady.

– Na koleje – zaordynował i skoczył pod budę. Góral spojrzal sinymi oczami, jak zbudowy odorem padliny spęł i szarpał łeciami.

Ruszył w wątkach wierzającej ulęwy, strumyki pienistej wody burzyły się w wykrotach, jak małe gejczy. – Many jeszcze trochę czasu, ziąb taki, warto by się czegoś napić, gospodarzu, pod ten tufel na dwoje – uzupełnił półocenice sprawdzając czas na zegarku. Góral z zassa nie dowierzał obcym, wytarł swój zegarek, wielki, jak rozdeptana cebula, z dwugłowym, zarłoczym austriackim celem z brokiem. Na broleku, jakby inaczej, pysznił się cyosor, sam jāsine Pan Franciszek Józef I, w białych kobocbrodach, jak gości puch, rumienicł się niczym rdzawo, popołudniowe słonce po sytm obidzie, kawce i cygarka – virginia. – No, może być, many czas – przytaknął

rozczarowany. Po pięciu minutach podjechali pod stację, zatoczyli koło. Powietrze z deszczem drgalo, kometalo, piękny koń zaparkalsk, woda w kaluży miała kolor płynnego bursztynu. Góral batem upstrzonym czerwonym pomponem (która to czerwili deszcz zbrukał) wskazał na sztyl – no, już my na miejscu, panie miastowy.

Zgadza się, był przed bufcem, ale jednak nie tym Buffet i „Nur für Deutsche”, każda litera jak zmokła wrona najczonia spiczastym gotykiem. Na schodkach dwóch młodych oficerów Luftwaffe czerliasto się przy wejściu. Nareszcie, długo to trwało, otworzyli drzwi, wygramolili się, mieli porządnie w czubie – buchnęło impowity głosami, klebami seledynowo-burzej, kwaśnej pary.

– Gdzieś mnie ty człowieku przywiódł? To przecież lokal dla Niemców, dawaj z drugiej strony.

– Jak to, a pan nie Niemiec? – zdziwił się szczerze góral, do tego stopnia, że fajka wypadła mu z ust na podolek.

– Ja, skąd, co wy baco, z byka spadliście, ja jestem szczerzy Polak, znaczy się Ukrainiec – poprawił się. – Skąd wam przyszło do głowy, czyż Niemiec?

– odpowiedział Niebysz, odruchowo macając portfel w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Góral wciągnął na powrót fajkę, jak inni upychają okulary na nos, pomiędzy mocne zęby, spuścił nastrożoną brew. – Him? Wy nie folksdojce? To co wy robiliście w niemieckim kuratujmie, jak wysic nasze człowiek? Coś mi się krzywo widzi!

– To „Herbaciana Róża” jest niemieckim zakładem?

– Ano, gorze, dla folksdojczów, trzyma ja farbowana Niemra, wysiudala dawnych właścicieli do Oświczimia, latwo jej poszło, wiadomo, oni byli starozakonni – góral part z prawdą jak koń, któremu pod ogen podstawiąa plonący wiecheł słomy.

– Ja tu czegoś nie rozumiem, z tego, co wiem, to właściciele uciekli we wrzesciu na Wschód. Oni nawet żyją.

– Nie, to nie całkiem tak, panie, coś wam się pokiebiłbasilo, wy mówicie o czym innym – o pensjonacie „Chińska Róża”, jest, ale dalej, za rzeką. Ale my tam w deszczu czegoś nie wozimy, lichy mostek, rzeka w każdej chwili może znieść, strach jechać. Wystarczy dwa dni poleje i koniec... nikt z naszych za rzekę nie pojedzie, wedy my do tej drugiej rzygi gości odstawimy, taka jest umowa – z ust górala zaleciało surowym mięsem.

Niebysz obsunął się na siedzenie. – Kurwa mać, ale kretyn ze mnie, myślałem róża to róża, nie sprawdziłem, czy to nie dzwina, że ten góral postępuje się tak dobra polszczyzna – syknął.

Domyslił góral cmochnął na konia, brzygnęło butą wodą, po budzie pociekł cały strumyk deszczowej wody, szarpałto, skrzywnęło.

W pociągu, w smrodzie biedy i strachu, z mamiacką zaciekotnością, jakby to miało go załonić, wpatrywał się w bujny biust przystojnej blondynki w czarnym żakiecie, która sapając patrzyła na deszcz za oknem. Raz, przed samym Krakowem, poczną kolonicie w zółdaku, gdy do przedziału typnał rybis spojrecznikom zandarn, postal, ale nie wszedł! Jakby tego było mało w Krakowie naprzeciw usadowił się z miną kontrolera człowiek lat czterdziestu kilku, blondy, średni wzrostem, z brzuskiem. Nie wyglądał specjalnie groźnie, ale irytował. Co mi, nerwy mnie zęjerają, jakby buchnął albo aptekarz – rozwałzał Niebysz, ale z ulgą odcetchnął, gdyż blondy wysiadł w Radomiu. W Radomiu też lało i perony jarzyły jak schody w porządku

kamienicy przed Wielkąną. Jakas formacja kolaborantów, Litwini, może Lotysze, maszerowała na miasto.

Na dworcu w Warszawie z megafonów dudniło: – Das Oberkommando der Wehrmacht gibt bekannt...

Wagony o wyglądzie głodnych, ociężałych zwierząt ślizgały się na wypozerowanych szynach. Złapał pierwszą ryksę, odwrócił jakąś panusią w komiowym kapeluszu rodem z wodewilla, z razerami, z wstążeczkami. Kazał się zwinąć bezpodrobnym do Elzbity. Trochę ryzykował, ale czas pilił. Ona jedyna ze znanych mu miała słaby kontakt na Pulkownika. Elzbieta i jej ogromne, zielone oczy, o długich, dziczymi rzęsach, były jednakowo zaskoczone, zaś usta wystraszone. – Przywiołeś ze sobą deszcz, jeszcze wczoraj była taka piękna pogoda. – Ja muszę widzieć się natychmiast z Pulkownikiem, o tego zależy życie wielu ludzi! Koniecznie dziś – naciskał z „markotycznymi” wypiekami. – Widzę po twoich oczach, że czujesz się za coś winny – mówiła to bez goryczy, a jej słowom towarzyszyło czule spojrzenie. Kochali się, mieli się potrać. – Nieważne, może i tak, ale umów mnie z Pulkownikiem. – Wstała, podeszła do okna, deszcz nie ustępował. – Postaram się, no to teraz idź i czekaj na telefon.

Doczekał się szybciej niż się spodziewał. Nie zadzwoniła, lepiej, sama przyszła. Zuch dziewczyna, umówiła go we wtorec podobnie następnego dnia. Nawet blisko, dwie ulice od jego mieszkania, trochę się zdziwił, a trochę wciążył. Czy Niemcy będą czekać, muszą, przecież nie podał żadnych adresów. No, a jak go śledzili, mogli, a on mógł ogona nie zauważyć?

Noca, została, byli razem. Za ścianą sąsiad kaszał i wiercił się jak potępien. Musieli uważać, podobno ten sąsiad to donosiciel, zatem, co ich bardzo dęczyło, rozmawiali o głupstwach. Deszcz bębnił jak w za długo opowiadanej bajce i chłustał co pewien czas szpatynicznie. Dachy mrucały pomrukami dachówek. Jej zdzenie rozszereżył się ogromnie, wystąpiła na nich jakaś zieloność, zdawały się tlić. Patrzył na nią jak na zjawę. Dużo się usmiechała i na kartce napisała, że go bardzo kocha.

Pulkownik (stopień i pseudo jednocześnie) w dużym, jasnym pokoju rozgranym dymem papierosowym i kaflowym piecem (mogli chwilę temu lekko przepalić, może palili tajne dokumenty), chodził wokół okrągłego stołu. W brązowym garniturze w prążki, podobny garnitur przed wojną nosił Witos. Wysocki, ale nie na tyle aby zwracać na siebie uwagę, tęgi, wygotłony, wiadomo, Niemcy nie lubią zarosta, zarost dekonspiruje i kojarzy się z zydostwem. Pachniał, jak każdy przedwojenny starosta, lawendą. Tak już było, że dla sprawy Pulkownik się świadomie postarzał, więc ta tuzna, niemodny garnitur, uczesanie z lat dwudziestych, zgarbione plecy, lysina wczesnego dziażdzenia, ciężki krok, tłuście ciemie pod oczami, dodatkowo sapał i cmokał, jak to u starych ludzi. W ogóle mieszkanie przypominało policyjną melinę, kwiatki wziędły, niemożliwe, aby tam mieszkały dzieci. Chociaż wyeksponowany był obraz Matki Boleskiej Bolesnej w dumnym niebieskim płaszczu, z wymalowanym bobincem porajającym sercem, sercem przebitym siedmioma złotymi mieczami. Bardzo po katolicku i stosownie po mieszczańsku. Niebysz wszedł ze spociętałą twarzą i niepewnym krokiem, ale zaraz się przemiłował pod ciężarem spojrzenia przeloznego, przecież był oficerem do zadań specjalnych. – Panie Pulkowniku, porucznik Bystry melduje się w trybie alarmowym. – Niebysz wyprzył się. Broda do góry, człoło dostatecznie zmnarszczone aby ukazać troskę i powagę, może spojrzem Wiedził, że Pulkownik docenia takie gesty, nawet jakby udawał, że nie

Choć tym razem nie do końca się sprawdziło. Gdyż żółtawa, nalana twarz Pulkownika pociemniała gniewem. Sapał, kiedy codził słowa. – Co wy, poruczniku Bystry, ze stawaś spudnicę? Co wam strzelilo to głowy? Dekonspirujcie całą siatkę. Stawiacie mnie w trudnym położeniu. Poza tym wyglądam pan, jakby spędzł pan noc w poczekalni, zwraca pan, poruczniku, na siebie uwagę.

Niebysz skrzywił się jak człowiek większej wiedzy w stosunku do ignoranta. – Zupełnie tak samo ja rugalem tego górala, kiedy mi oczy na świat otworzył. – Udał, że nie pojmuje o czym mówię przelozny, literatura, a kto mu zlecał pisanie odczyt? Muszą być z patosem i bigłem, z pieprzem i solą, muszą mobilizować do walki, zresztą wy wiecie sam najlepiej, macie doświadczenie literata sprzed wojny – zastrągał Pulkownik i znacząco podnosił brwi, co miało podkreślić, jak bardzo się dziwi pytaniu.

– No, co takiego nadzwyczajnego stało się? Meldujcie i bez zbędnej literatury, nie mam czasu – Pulkownik usiadł, lepiej określić tę czynność jako opadnięcie, rękawy marynarki cofnięły się pod łokcie okazując ręce grube, tłustokóre, opryszczone maczkim piegow, jak cętki po zakoludze na celofanie. Mankarty zostały zapadły się w szare czeluste. Zamcał, zmarszczył brwi przydając wyrazu powągi. – Możecie usiąść – zgodził się łagodniejszym tonem, wydał wargi jak zmęczony Murzyn-silacz z landetnego cyrku, który przed wojną objeżdżał prowincję z walkami francuskimi. Deszcz bębnił o szyby i woda bulgotała przepychając się w rynnice.

Niebysz usiadł ostrożnie, jakby przystępował do egzaminu, bo tak w gruncie rzeczy było. Pochylił głowę, jakby mu bardzo ciążyła. – Muszę pilnie zameldować o tym, co się wydarzyło podczas mojej misji w górach – poprawił popioł do popielniczki, którą mu podsunął Pulkownik. Pogoda za oknem, musiała się zmienić, wiatru ubyło, to i deszcz się zmienił. Przeszedł w regularny rytm, słyszeli odgłos kropli uderzających o uchylony listek. – Tyka jak zegar w penjonacie – skojarzył z rozdrażnieniem Niebysz, Deszcz sphywał jak duszecz rosolowymy lekciekami, a szyby obłękły się na perlowszato, nocnym cieniućką bibalka. To było tak, jakby ów nabral przeczyszłości i wyżył się masą, przeszedł w inny stan skupienia.

Pulkownik zmęczonym wzrokiem dał znać aby mówić. Pochylił głowę, w tym ruchu było coś z ruchu kroku, naprawdę był zmęczony. I jeszcze ten monotonny deszcz i taka mgłoność szarości dopada człowieka zewsząd. Duszno i tyle niewiadomych.

Niebysz zrehabilitował swój pobyt w górach według własnych prze-myśleń i co najistotniejsze potrzeb. – To, że pemonat pod „Chinišką Różą”, ten wlaściwy, jest spalony, to rzecz nie podlegająca wątpliwości – zakończył z suchością w gardle. Podobną suchość, która drapie i pali, nabuwa się po piśkiskich wymiotach. Raz zakrzuszył się dymem, zupełnie jakby połknął garść porażącego siana.

Pulkownik nie wydawał się specjalnie zaskoczony, tym bardziej nie okazał wzburzenia. Milczał, jak przerażal milczenie, cicho powtarzał. – No, tak, to tak się sprawy mają.

– Panie Pulkowniku, moim zdaniem należałoby odwołać całą akcję, a tamta koefidentnik zlikwidować – dodał widząc, że Pulkownik zastanawia się i wciąż milczy. To milczenie było najgorsze, a jak on już coś wie, jak on może mnie sprawdzić, przecież organizacja musi mieć swojego człowieka tam,

w górach, może całą palcówkę. Wcale nie jest nieprawdopodobne, że w szlafdzie jest na mnie raport, teraz każdy każdego śledzi i co? – pościł się w myślach, przez dłuższy czas trzymał wypalony ulomek papierosa. – Nie możemy naraząc tylu naszych!

Polkownik uniósł dłoń wewnętrzną stroną, jakby pokazywał, jaka wielka i płaska, jaka podobna barwą do kawalka cegły. – Wystarczy, za dużo poruczniku mówicie, zwłaszcza za dużo jak na wasz rodzaj służby.

– Dlatego chciałbym jak najszybciej znaleźć się w lesie. Chciałbym walcząc z bronią w rękę, z okupantami! W mundurze, jak oficer, a nie jak szczer! Chce strzelać i zabijać – odsunął popielniczkę na środek stołu.

Polkownik nastroszył brwi, tym razem jak starosta, chuchnął zdrowo markowym koniakiem, czyżby marteli? Ramiona też nastroszył. Prychnął po chwili, jakby coś przykłał. – Znowu to samo, jeszcze jeden bohater, a kto będzie robił czarna robotę? Wychodzić z waszego gadania, że wyłącznie szczyry – skrzywił się, co miało oznaczać, że się laskawie uśmiecha, niby dostojnie, jak patriarchy. Pomyślał, spał, przypomniał sobie, że jest starym człowiekiem i rzekł tonem łagodnej perswazyi. – Może macie, może by pan, poruczniku, zniknął na jakiś czas, wyjechał na ten przykład do Radomia, że słów pana wnoszę, że puściły pana nerwy. Co pan o tym myśli?

Niebysz pokręcił głową. – Do Radomia, ach tak, nerwy mi puściły. Oczywiście, jeśli to rozkaz.

– Niech pan tę dobrą radę potraktuje jako rozkaz. Będziemy w kontakcie. Niedługo dostaniecie rozkazy.

Jak Niebysz wychodził, deptał po starym dywanie w korytarzu, kaszał i sięgał dłonią do zasawy, obejrzał się, jak zwierzę. Nikogo, w połowie drzwi uchylonych na kuchnię zobaczył na nagim stole (ani serwetki, ani obrus, ani ceraty) kromkę razowego chleba i brzęczały natrętnie muchy, wirujące w zatecznym powietrzu na kształt stoja, mieszając się z odorem miazgulek barzanej i zieleni. W bramie kamienicy panowała dusza, zbutwiała woń grobu i granatowy kaluże. Stróż, ostatni tak, z tamtej starej, dobrej Warszawy, przepasany skórzanym fartuchem palł sentymentalnie skręta i patrzył melancholijnie na deszcz. – Niech pan, panie wojskowy, uważa, na Sandomierskiej łapią – porządki Niebyszowi skubiąc różniste wiecznie waśów, powiedział to z taką otwartością, jakby się znał od lat. Przewodził miotło o jakiejś pół metra w głąb podwórka. Lało i padało, cięło po murach, przy studzienkach burzowych porobły się burawe wiry z pianką, jakby ktoś dolewał ciągle bawarki.

– Dziękuję, z serca dziękuję, albo Bóg zapłać, jak pan woli.

Po omdłowaniu się Niebysza do pokoju wszedł cicho, z jakimś zawodową skrótowością, raczej wsunął się, ktoś, kto zna ściany w przylegającym pokoju słyszał dokładnie całą rozmowę. Prosty trick ze szklanką. Ten ktoś, który nie lubił pokazywać twarzy, nie był zadwolony, że musiał się ponieść do takich tandemnych chwytności, dlatego otworzył wąsik skrzywił się nad bładą wróż. Ten ktoś stanął w kącie, w połowie zasysony szalił i cierpko zapytał. – Nie domyśla się niczego?

– Wydaje się, że nie – odparł Polkownik i wstał, aby szczer otworzyć lufkę, tyle tego dymu. – Na waszemu wypadku posłalem za nim ogon, strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Tak mi przyszło do głowy, że dopóki cała sprawa nie przyschnie, to lepij Bystrzego posłać do lasu zamiast do Radomia. – Polkownik otworzył szlafdzę w komódzie. Wszystko w porządku, pistolet obdzieczony był na wstaćwim miejscu.

– Do lasu, może na Kresy na ten przykład, sam chce walczyć, chce do lasu, chęć front m zbrydli. Sowieci przyszli na poważnie, tam będzie teraz bardzo gorąco – dedukował ten ktoś zwa szlaf.

Polkownik otarł wierzchem dłoni spoczone czoło, palcami wykręcał mlynka. – To bardzo trudna decyzja.

– A jakie mam inne wyjście? – zapytał ten ktoś, który nie lubił pokazywać twarzy i znał odpowiedzi na najtrudniejsze pytania. Dzwina, ale on też otarł czoło zbrietem dłoni. Minęła ciężka chwila, deszcz walił i sapał, nim wyjął chusteczkę z organdy, tak jak należały się zawodowemu oficerowi i tą chusteczką dokonczył wycierając nos, policzki i wargi.

Polkownik wstał, nie nie odpowiedział, tylko westchnął i zaczął gmerać, może poprawiać przy kłozku porcelanowym lampy naftowej. Wypoliwała żółć buszczyła się ze ścian, deszczowa mgła za oknem pasowała. Tyle tego było.

Wciąż nudnie mokro, pochmurno, z zielonkawym natłem, jak przez szkło oplecione kurzem i pajęczyną, chociaż obłoki przesświetlone, ulice ciemne i przynębiające, domy prawie zlewaly się w jeden dom, okna za padaly się w szarość, jak oczy starowie w topiel czarnej, bez skargi. Cóż, takie jest prawo życia. Rządkie, wielokroć rozjitzdzone błoto byzgało spod kół skrawkami i kępsami. Za pierwszym rogiem – niespodzianka. Znajomy, weterynarz podobno, a Żyd na pewno, na dobrych, aryskich papierach, wyglądał owsem, też raczej aryski, gdyby nie te olteiste oczy mocno osadzone, powinien nosić okulary, najlepiej przyciemnione, maskowaliby. Nazwisko aktualnie – Kozłowski, zdecydowanie optymistą, to było wiadomo, ten raz miało się okazać, że fantasta, dopadł Niebysza rozdawany. – Witam, witam, szybko niech mi pan da swoje ucho, wie pan co? – Na twarz Kozłowskiego kładły się rozbryzgały cierpkie cienie (jak w wszystkich tych, którzy ocalali z getta), ale oczy odmienne, oczy aż były radością i blizszymi nadzieją.

Niebysz dał ucho i sam się uśmiechnął, głównie do jakiegoś orientalnego zapachu, którym był owiany Kozłowski. – Co nowego u pana? Ale pan dzisiaj uradowany!

Kozłowski pysznił się lekko tarmosząc skrzydełko ucha Niebysza. – A, mam powody być uradowany, zaraz pan też będzie. Ja pan pierwszy mówię, niech pan koniecznie zapamięta, że ja też pierwszy. W tym miesiącu alnanci otworzą drugi front, to już koniec, do końca lata będzie po wszystkim, z Japonią też koniec.

– Wie pan jeszcze, gdzie ten front nam otworzą? – zapytał Niebysz z lekką pogodną ironią.

Kozłowski chusteczką wytarł mokrą twarz, mocował się z parasolem (jak ze spletanym ptakiem), który nie dawał się w żaden sposób otworzyć. – Zaskoczę pana, wiem gdzie, w Holandii, dokładnie w Fryzji, teren płaski, wygodny, równina, brak przeszkód naturalnych, zatem idealny do rozwinięcia broni pancernej, ja panu mówię, pójdą natychmiast na Hamburg, tam przystaną, bo muszą, a potem podciągają zaopatrzeni i na Berlin, muszą ubiec Sowieciów w zwycięstwie. Montgomery, to jest dopiero drugi drugi Wellington!

– Skąd te znakomite wieści?

– Pan będzie się śmiał, ale wiem to od jednego starego Żyda, tak, to ostatni polski cadyk, on wie i widzi! On ma kontakt z górą, pan rozumie, taką linkę, on tu na dole przywiązuje liscik, a tam na górze oni...? – Kozłowski

podniósł palec (palcem wywnął młynka demonstrując, jak oni tam na górze podciągają list) i żółtawe oczy zgłonięcone konia. Szara chmura śmiała deszczem, jakby ktoś wytrzymał ciężkie od podłogi, tramwaje dudniały, skulony rowerzysta przeciął ulicę, parskał dorobkarski koń, ktoś coś krzyknął do kogoś, trzasnęły drzwi, w bramie naprzeciwko stanął jeden z papierosem, miasto jakos jeszcze żyło. Żyło, owszem, ale nie gdzie i kullo się.

— Wolabym, żeby on, ten prorok albo kolega Pana Boga miał ukryte radio a nie bezporednią linkę do nieba, w tej wojnie zdecydowanie stawiam na technikę — pomyślał Niebysz.

— Pan mi nie wierzysz? Dlaczego mi pan nie wierzysz? — Kozłowski cofnął się o pół kroka, jakby to miało dać mu lepszą perspektywę w ocenie stopnia zaufania czy niewiary Niebysza.

— Wierzę, oczywiście że wierzę — dlatego pytam — a my, co z nami będzie? — My, tylko same dobre rzeczy — zakończył z emfazą Kozłowski i tylko po z lekką kackowatym krokiem rozszedł dobrą nowinę pomiędzy innymi pognębnymi.

Na zakęcie tramwaj zastrzytał umorusany jak piesak i chlupnęło burą wodą. Ludzie popychając rzucili się do świszczących drzwi, które chlupnęły jak skrzydła nietoperza. Śliszkie chłondki linii tłusły, deszcz dokuczliwie mżył rozbitym w niedostrzegalne drobiny wody. Miasto napezczniało i dusiło się, na wskrosz przesiąknięta deszczową wodą pod niebem barwy popiołu.

Znowu zaskoczenie, nagle podeszła do niego (kiedy on rozglądał się, w którą stronę iść, czy do Elżbiety, czy na wódkę?) nieznaną brunetka. Młoda, młoda, bardzo dziewczęca, chociaż dużo miała w sobie z męzkatki, prawdziwa dziewczyna z organizacji, o byszczących, orzechowych oczach, dość wysoka, szybka, z lekko zadartym nosem, w babeciej chustce i przydługim płaszczu. Ubrana tak, jakby w potpiuchę wstrzelała na siebie to, co jej pod rękę popadło. Nieznacznie, ale silnie przytrzymał go zaskoczonego za rękaw, szepnęła miśsiasty wargami niczym z reklamy przedwojennego filmu z Zabczyńskim, po których ściekiaki drobniautkie pęcheryki może może, może lez, może deszczu. — Nie wracaj do domu, adres spaloną, kocia! — Skoro się tylko na te sekundy zatrzymała, natychmiast jej piękna i gorzka twarz pokryła siatką kropel.

— Już spalony — też wyszedł z własną wątpliwością. A ona nic. On popatrzył te po na obmytą deszczem trasę skweru, na mokre, zalobne parasole czekających na przystanku tramwajowy.

— Ale chlapa — stwierdziła obojętnym tonem brunetka i poszła sobie jakas naburmuszona, chyba zła na ten wstęchobny deszcz.

Skąd ja znam tę kobicę? Musiałem ją przedtem widzieć! Nietopięte, ale tak się stało. Wyobraził sobie (zdumiewając, bo wszak nie było żadnego bezpośredniego powodu ku temu), iż ta dziewczyna, no, niech będzie młoda kobieta, jest jego anielsem stróżem. O twarz tejczowej, w której bląkała się, bo ona — ten aniol, wstąpił się za cały świat, tak jest natura aniolów-stróżów, przepastne, zatroskane oczy, o polysku ziaren palonej kawy. Wszystko inne, chusta, spódnica, chyba w paski, może w prążki, potoczący, żakiet jest takie samo i u dziewczyny, i u aniola. Zrobiło mu się jakoś chicho na duszy, jakby nigdy nie było wojny, jakby miał znowu siedem lat i od wierzchnia miła iść po raz pierwszy do szkoły, nawet jakby nie padało. Zdałoby się, że tak naprawdę miasto jest umowne. Nie było tych domów, sklepów, drzew, ulic, słupów i czego tam jeszcze, w pergaminowym powietrzu poczępym i przeladowanym faldami, zmarzczkami, brudami, licho wie

czym jeszcze. Kilka wron smutnych jak biedni ludźcie tuło się do siebie pod daszkiem śmietnika. Muzyk ze skrzypcami pod pałą i w płaszczu z podniesionym ostronokolierzem miał rozdeptane buty i spuszczone obrzmiałe, zniechęcone powieki.

Nagle Niebysz owionęła żelazista woń czarnej, ogrodniczej ziemi, skąd się ona wzięła, z grządką na podwórku? Z tej wyjeżdżającej z bramy naprzeciw ciężarówka z rurą na holz-gaz jak maczuga? Może być, że ktoś przeszedł kwiaty doniczkowe? Na wiosnę normalna rzecz. Zupełnie nie wiadomo, więc następną tajemnicą, lecz co tak silnego i oczywistego owionęło go na moment. — Straszne. Jakbym przez chwilę znalazł się w grobie — pomyślał. Przystanął, w butach chlupalo, ale to nic, kilka razy mocno wciągnął powietrze z nutą rozgłosu chleba i pleśni marów, desek, ryzosokóło, wiecieć, całego miasta, odychał całą pierśnią, jak odratowany cudem topielec.

Dziecko, blondynek, dziesięć, jedenaście lat, zdecydowany norydek, ale przecież dziecko, może było polskim dzieckiem. W krótkich spodkach, wielko- i nainwoki, marzenie pedofila, w białych pochlapanych błotem podkolanówkach przebiegł, blyskając kolanami, ulicę tuż przed hamującym tramwajem. Sekundy zdecydowały. Zastrzytał. Jęk, krzyk. Przejmawny aż zarzuciło, wydawało się, że unosi się w powietrze, iskry trysnęły snopem, jak spod tarzycy szlifierskiej, takie ziarniste i czerwone. Tramwajarz, stary człowiek z wazną sumą, niemal wpadł na przednią szybę fioletową, nabrzmiała ze strachu sumą. Na przystanku jakaś kobieta pisnęła, a druga przeczęgniała się, męczyną w eleganckim garniturze szpetnie zakłła. Blondynek skoczył za słup ogłoszeniowy, padł w kauluż, w tych niedawno białych podkolanówkach, na kolana i skullis się dygotając w szloch. Zarzucił ręce na głowę, jakby osłaniał ją o ciosu.

Szła, ale szło z wolna, z oporami na przejazdninie, deszcz dogasał i blednął, ryany wypływały zbiełała wodę, lapiąc powietrze posykwaly. Na progę kwitła wilgoć w odciśnieniach śladów, obok woda w rowie stała na lokieć głęboko. Niebysz pchnął drzwi cukierkiem, dzwoneczek zaśpiewał krótko jak metalowy słowik. W głowie miał totalną pustkę, jak w stodole przed zniwami, w żołądku uczaćcie, jakby zbudził się robak i zaczął ssać. W lokalu ciepło, muzycznie, pachniało cykorią i tytoniem, przy pianinie kłwał się tarczycznym mechanizm sowy, amnezyczny człowiek, który nie wiadomo dlaczego uśmiechnął się do swych palców i do klawiszy. Niebysz poczał dziwną, bo bezinteresowną sympatię do tego nieznanego człowieka. Pijany olbrzym z kozackim czubem przy rumaniej twarzy podniósł się potężny od stołka. Niebysz przypięszył, doszedł do kostura, usiadł na stołku, cerata zasmerzała, zachybotali się: on i ten stołek, poprawił i dopiero wtedy porządnie wytrzeć nos w chusteczkę, w ostatnią, jaka mu została z przedwojennego kompletu. Ten komplet — siedem sztuk to był pierwszy prezent, jaki otrzymał od Elżbiety. W tej samej chwili dopadł go ciępy nienalze i krzyki i radosny aromat waniliu od zaplaczka. Ktoś ocieniomy, niewzrastny wyszedł chęć i zabielił się koczulą lub bluzką.

— Coś gorącego — zamówił zwykłym, w cudowny sposób odzyskany głosem, nie patrząc do kogo mił.

Bydgoszcz, kwiecień 2006

Tadeusz Zabłocki

STANISŁAW STANUCH

„Odziani w ogień, po własnych popiołach, stąpamy do nieba”

(O poezji Tadeusza Śliwiaka)

*Nie ufam tym co dziś
nie przypominają smutnych siebie i wczoraj
bo nawet księżyc aby się odnieśli
potrzebuje na to dwadzieścia obłaski dni...*

Tadeusz Śliwiak

Tadeusz Śliwiak z zadziwiającą konsekwencją żegnał swoich przyjaciół, w sposób własny poecie, wierszami. *Serce ciężko chore na pamięć zatrzymuje się przy miłowych kamienicach nagrobków przyjaciół Bursy, Potwintowskiej, Cymbalki, Kobielat, Falkowskiej, Greczkowskiej, Dymny, Bruno, Sieduch, Heidenberg - i milosta obwieszona amuletami śmieci i rzęca się do ucieczki. Niepełna to lista, łatwo ją uzupełnić o Jerzego Krysztońca, Jarosława Iwaszkiewicza czy Rafała Wojaczka. Ale nie o korowód śmierci przecież tutaj chodzi, lecz o zastanawianie posłuszeństwo wobec staromodnego zwyczaju żegnania zmarłych: o posłuszeństwo nie pozwalające rozstaniom i pożegnaniom nadawać zdławkowej, a trywialnej formy. Tadeusz zawsze bardzo dbał o to, by temu co wzniosłe - oddać należną wzniosłości. Tym dźwięniejsze to posłuszeństwo, iż jego postawę życiową i poetycką w dużej mierze ukształtowały „czasy pogory”, doświadczenia roczników z pogmatzania lat dwudziestych i trzydziestych, zamierzonych dziełactwem w okresie okupacji hitlerowskiej, a młodzieżą w nie mniej brutalnej rzeczywistości lat czterdziestych i pięćdziesiątych.*

Tadeusz Śliwiak wyrastał wie w epoce, gdy śmierć była czymś powszednim. W dodatku jego domem rodzinnym przez wiecie lat była rodzina miejska w Łwowie. Tam mieszkał z rodziną i tam oglądał codziennie teatr śmierci. Nie tylko zwierzęcy. Nic wiec dziwnego, że w 1969 był współorganizatorem wycieczki do Łwowa. Pojechaliśmy tam razem z grupą ówczesnych młodych poetów. Tadao pokazał mi, oczywiście, ówa rzecznica opłiszona przez Czerwonię o rzębnia miejskiej ślawna już w światku literackim, przed która - jak na zamówienie - stał rząd brudnych ciężarówek, załadowanych byłym ciekakim w skwarze na wpuszczenie za bramę śmierci.

Tadeusz, wraz z rówieśnikami, zaczynał swoje świadome życie od podrobry niechętnych, wymuszonych: *zwybit, przesiedlenie, wywieźka, cyfryki emigracyjne*. To hasła wracające dzisiaj do mojego potocznej, wówczas jednak były w niej zadomowione. Były to określenia związane z tym rodzajem podróżyowania. Kiedy zamiast poczucia swobody, przeświadczenia o nieograniczonych możliwościach, prowadziły do przegrzebianych myśli o zmilkości celowniczego losu. Zakonieczanie wojny nie przyniosło krętu tym podrobrym. Przynajmniej nie wszystkim. Tadeusz oddzieleny z jaskkich powodów od rodziny - między wysiedleniem ze Łwowa w 1945 a przybyciem do Warszawy - związał się z grupą takich samych jak i on „beprzynornych” rówieśników okupacyjnych wszelkie zakamarki pociągów kursujących ze Wschodu, toczących niekto-

czące się walki z konduktorami i kontrolerami, a następnie koczujących w ruinach Warszawy i handlujących w Alejach Jerozolimskich oraz na Marszałkowskiej czym się dalo i na co był wówczas popyt, głównie papierosami oraz przedmiotami z kradzieży i przemytu.

Ten tuż powojenny, barwny, osobliwy światek nie został opisany - poza *Kamiennym światem* Tadeusza Borowskiego - przez żadnego z pisarzy polskich. A szkoda. Można się z nim zetknąć podczas lektury opowiadań Henricha Bölla czy Siegfrieda Lenza. Niki jakoś nie dostrzegł u nas podobieństwa zjawisk zachodzących wśród młodzieży polskiej i niemieckiej, w podzielnym świecie zimnej wojny.

Później, w latach dojrzałych, Tadeusz Śliwiak był namiętnym podróżnikiem i wiele o tym pisał, ale w jego wierszach próżno szukałbyś bedekerowej uciechy. Raczej dominuje w nich smutek i melancholia: *Wszystko, na co poryczyły jest ostatnie! wszystko co potracamy stopa! jest ostatnie! wszystko! urywa się jak most w Avinionie... Nie inaczej w wierszu Dadaist od Montmartru poświęconym pamięci zmarłej poetki krakowskiej Halny Poławitowskiej. Jakże teraz głęboko! do twego serca / ono teraz! jest własnością korzeni...*

W rozmowach ówczesnych podrobry, a właściwie w napomknięciach czy niedopowiedzeniach, często słychać się zdania: *skrzyż w zbrodni obserwowa- litym z matką jak pionie nasz dom, przesiedlono nasz podrobry tworzenia niemieckiej dzielnicy mieszkaniowej, wypędzono nas z „niemieckiego” Po- nania, zabrali i zburzyli nasz dom, nie mogliśmy tam zostać, bo te tereny przyznano zaostali republice ukraińskiej. To były normalne daleki między nami. A w późniejszych latach też nie było inaczej. Przemiany dokonujące się w powojennej Polsce wydziedziczyły wielu z rodzinną tradycją. Do tego - w planie psychologicznym - spowodowały się tzw. awans społecny. Również wybory ideowe, dokonywane gdy miało się 13 czy 16 lat, sprawowały się, w większym lub mniejszym stopniu, do przeciwstawienia się temu, co wymio- liło się z domu. Dziśjard tradycyjne poczucie nieowito historyczne pozwala tamtam czas upraszczać, mitologizować, zaklamywać.*

Człowiek z wierszy Tadeusza Śliwiaka to ktoś zaprawiony w roztaniach, jak w walikach, nie znajdujący stopa ludu, nieufny wobec wszelkiej stabilizacji. Jego zamiętanie nie było ustawicznie przenoszenie się z miejsca na miejsce, ale również troska o to, co zostawia się za sobą i obawa przed tym, co jeszcze może nadziej. Tyko ktoś mający za sobą długi praktykowanie bezmładzie może się tak pocieszać. *A co było tam obcięcie? zostawiamy mówkom na polsk... Albo tak przestrzegaj. W wieciek wiesz tylko ty! co da się w jednej rzęnieć! co da się objąć światłem świecy! co się po- mieści w jednej stronie... Charakterystyczne, że ktoś napiętnywo takim doświadczeniem, nawet do swego „włosobrodziego zegarka” zwraca się: *wyprawy choćby minuty! jakiej mogłoby brakuja! dla ostrzeżenia człowieka po kręgu jego ła, ida...**

W czasach naszej młodości, gdy odmówiła różnicie: *lufa erkanem...*, co może oznaczać, zarówno opisując niemiecką, jak i pierwszą dziesięciolecie trwającą w Polsce wojnę domową, czynny sceptycyzm jest refleksja: *dom tu był nie ma domu! wzięj go stąd pod bok! z jednej strony dom czarny! z drugiej strony ogień...* Mówi się o kimś, że sobie mierze nie może znaleźć, takim człowiekiem był Tadeusz Śliwiak i w dużej mierze bohater liryczny jego wierszy. Wyznac takiego bez-dom-nego siebie. *Moim domem! jest para ba- łowe i Ciapka! Opacielnie wszystkie domy! skoczyły się wszystkie ulice! do- takie wiecie i maszły zarosły niebo!m! uwolniliem może oczy od widoków do których byłby przyzwyczajone! uwolniliem rękę od kluczy uchwytny i poręczy! znajomości! czy! stała się niepotrzebna...* Owo psychiczne taliczo, tak cha- rakterystyczne dla jednego z nurtów poezji Tadeusza Śliwiaka, nie ma ukole- nia, gdyż nie jest to tragiczność papierowa, lecz realna. Jej granice wyznacza zarówno historia jak i los człowieka, który jakże często mogli (i nadal może)

czuć się jak: *Igła którą strząsał stogiem siana*... Podmiot liryczny niejednokrotnie widział, więc wie, że w dwudziestym wieku człowiek potrafi znieść jak kamfora. Kto wie, czy tutaj w tej świadomości wywodzonej z własnych doświadczeń, nie należy szukać przyczyn niemożności lub niedołężności do ustabilizowanego życia tak charakterystycznych również dla dorosłego okresu życia Tadeusza.

Tadeusz nigdy nie należał do skrajnych. I w życiu, i w sztuce starał się zachować dystans wobec polityki. Nie można jednak prawdziwie i do końca odciążyć tego, co pisal on (a także jego równieży, jeżeli nie uwzględnili się owej bezdomności, która rzadko bywała wyrażana w twórczości wprost, ale tkwiła w każdym z nas jak drażga. Niezależnie przódź zdanie: *odczini w ogień stąpamy po własnych popiołach do niebia* poeta pisał nie tylko o sobie.

Poznałymi się i zbliżył w momencie, gdy Tadeusz wchodził w okres stabilizacji życiowej. Kończył szkołę teatralną w Krakowie, pisał wiersze, odcini się, urzodziła mu się córka. Mieszkał z żoną na parterze przy ulicy Diekla, co miało być zaletą, iż wystarczyło zapukać w okno, aby którejś z małżonków wychyliło się, dając znać, aby nie mówić głośno. Bo w pokój pójść drzewko. Stalinizm trzymał się jeszcze mocno, mimo iż Józef Wisariłowicz już nie żył. Jesienią 1953 roku Adam Włodek¹, opiekujący się poczkującymi pisarzami skupionymi w Kole Młodych, zapropozował mi zagranie dyskusji nad debiutanckim tomem Tadeusza *Astrolabium z jodłowego drzewa* na zebraniu sekcji poezji odbywającym się w mieszkaniu jego przy dzisiejszym Klubie Literatów przy ulicy Krupniczej 22 w Krakowie. Tutaj wyjaśnienie dla nie pamiętających tamtych lat. Otóż w latach pięćdziesiątych Związek Literatów Polskich został podzielony na sekcje: poezji, prozy, dramata i tłumaczy. Cel był, podobno roboczy, kto wie jednak, czy w tym biurokratyczno-politycznym zabiegu nie szukał jedynie się źródła późniejszego, w latach 80. rozbitcia środowiska piśnarskiego. Wiązać powstawały bowiem sytuacje szkodliwe: np. o zrobie z kolegami wypowiedzianymi się równocześnie w dramacie, poezji i prozie? No, a jeżeli w dodatku taki jeden z drugim jeszcze tłumaczył, to trudno go było zmieścić w krótkiej z szafkadzie. A każdy kolejny z klasyfikacją w kręguach polityczno-biurokratycznych zawsze przemawia przeciw człowiekowi.

Propozycja Adama Włodka była dla mnie nie byle jaką nobilitacją, bo nigdy dotąd nie oceniałem publicznie czyjś utwór, w dodatku w tak znakomitym gronie. Adam zaś też nie był całkowicie bezinteresowny. Chciał opisać dwie pieczenie: a) podchwilił się na zebraniu sekcji poezji swoim podopiecznym; b) zapoznać zgromadzonych tam wybitnych poetów z innym młodym (czyli przysięgam że słowa), który – zdaniem Adama – zajął już miejsce w Grębie do związku.

Poemat o Koperniku Tadeusza Siliwaka natychmiast *Wiem Swierczem* Konstantego I. Galczyńskiego spodobał się nie tylko mnie, ale – co ważniejsze – również, jak ich nazywaliśmy, „starym”. Warto wytłumaczyć, że Tadeusz miał wówczas 25 lat, piszący ze sobą 22, zaś „stary” uczestnicy owego zebrania: Julian Przybos – 52, Jerzy Zagłoba – 46, Jalu Kurek – 49, Jan Bolesław Ozóg – 40, Wisława Szymborska – 30, Sławomir Ożwinowski – 43, a opiekujący się nimi Adam Włodek – 31. Od tego wieku zaczęła się nazywać – trwającą przez czterdzieści lat, bynajmniej nie siatkową – przysięgą, która Tadeusz wpraslił sobie sposobem podumowania, pisząc na ofiarowanym mi tomie poezji, w październiku 1981 roku, następującą dedykację: *Drogiemu*

¹ Był to początek naszej wieloletniej przyjaźni z Adamem Włodziem, długoletnim opiekunem Kole Młodych przy Okręgowym Związku Literatów Polskich. Niestety, jak wiele ciekawych postaci ówczesnego Krakowa nie doznałem się należnego miejsca w wspomnieniach. Szczególnie zaś zapamiętano uległa jego wielka rola w serdecznym „odrywanianiu i piekarnowaniu” młodych talentów.

kowi, weteranowi naszej Przyjaźni, co przetrwiała dziejowe huragany. Było to w stylu Tadeusza, bo widział on już wówczas, że nie warto pisać nie poza granicami.

Nieślugo po mojej – jak byśmy to dzisiaj nazwali – „promocji” debiutanckiego tomu kolegi, podczas specjalnego paranku w sali Teatru Powszechnego (jak przemianowano Teatr Rapsodyczny), w gronie swoich przyjaciół z teatru oraz krakowskich poetów, Tadeusz Siliwaki wspomnianymi i recytacją jego wierszy zebrał zmarłego właśnie Konstantego Ildelfonsa Galczyńskiego. Czym była dla nas z owych ponurych i szarych czasach pełna wyobraźni, liryki i kuglarskich sztuczek poezja mistrza Konstantego – trudno dzisiaj opisać.

W 1955 rygory systemu stalinowskiego zaczęły słabnąć, życie literackie stało się ogarnięte zostało powolnym zanikiem dyskusji, polemiki i krytyki. Na krakowskiej dziedzinie literatury, tyle iż jej symbolem nie były teatry, ale tacyki i Wydarzenia październikowe wyzwoływały w Tadeuszu, jak i w wielu z nas, na szereg lat niezwykłą energię przyswajającą się działalności w wielu dziedzinach: w kulturze studenckiej, w teatrze, w ruchu poetyckim, w wysiackich spotkaniach autorskich, słownych, z dziećmi, dla których napisał wiele wspaniałych i popularnych książek. W tym czasie należał on do organizatorów studenckiego klubu „Pod Jaszczurami”, powstającego przez kilka lat, ale w owym 1958 r. nabierającego już konkretnych kształtów. W ten sposób po przecieżnych stronach rynku krakowskiego funkcjonowały, przez wiele lat, dwie instytucje: „Pisownia pod Baranami” i „Jaszczury” oddzielające i pewna silna na grady i kondensacja najmłodszej kultury.

Wielkim marzeniem ówczesnych młodych artystów krakowskich było własne pismo, szczególnie po ukazaniu się w Warszawie „Współczesności”. Najpierw wiosną 1956 ukazały się „Skojce” założone przez Tadeusza z gronem pisarzy, dalszych studentów i grafików – współredagowane m.in. przez Jerzego Grotowskiego – przekształcone następnie w „Czarno na białym”, które w 1957 roku przyjęło ostatecznie nazwę „Zebra”. Z tytułem tym związana jest następująca anegdota. Tadeusza Siliwaka wezwano do Komisji czy do cenzury, gdyż odwołano się, że tytuł „Czarno na białym” należy zmienił na inny, gdyż może się źle kojarzyć z piśmieniem wydawanym pod tym tytułem przed wojną. *Pomóżcie wicie-rzecznicę, co wy nazwaćcie czarnym a co białym?* Tadeusz rozważał kwestionowaniem tytułu, który w jego pojęciu odawał istotę kształtu plastycznego pisma, bo młodzi malarze mogli umieszczać swoje prace na lamach pod warunkiem, że były one czarno-białe, doszedł do wniosku, iż trzeba zapropozować jakiś absurdalny „niepolityczny” tytuł, który funkcjonariuszowi i partyjnemu wyda się oby, bo nieuczciwymi. Powiedział więc: *Włodek, jego niech będzie Zebra, Zebra! Doskonale!* – ucieszył się nieoczekiwanie sam – *to kojarzy mi się z walką narodowowyzwoleńców narodów Afryki*. I tak zostało.

Dwutygodnik „Zebra” stał się dla grona młodych, po nowemu „młodych domem. Można tu było przyjść, spotkać ciekawych młodych poetów, proza-

¹ W kolokwium lat później Emil Orzechowski, na lamach „Zeszytów Przekształconych”, tak ocenił to pismo: „Zebra” stworzyła nie jako pismo zwykłej grupy zawodowej, ale z ambicjami założeniem przedstawiania na niej 16 (później 24) krakowskich twórczości, która by wychodziła naprzeciw nowym potrzebom młodzi artystów, w sposób zaspokajający się w sposób podziurkowaniem rzeczywistości. Pismo stworzyło się potocznie – bezinteresownie artystycznej, politycznej i literackiej polskiej i obcej – w środowisku młodych, ale nie tylko, bo także i tych wszystkich artystów, których praca przemawiała wówczas najmocniej do młodego pokolenia, odrywającego się od nęgi do tej pory, a zwiędniętych jej wierzchołki (...). Dzięki zainteresowaniu tworzącego nowego gwiazdkiem w literaturze Zachodu, Drakomatem i tłumaczem, ale przede wszystkim najwybitniejszego pisarzy (np. „Grzechy Siliwaki”) Michele de Obaldene’em w przeddzień ostatniowym Marjana Pandońskiego, dokonany specjalnie dla (...) wiersze z „Kłosa” w tłumaczeniu Adama Włodka, Condrarsa... „Słowy kłopotliwej” J. Kłosa, przez Paulinę, Berthara w przekładach Janu Zycha...

STANISŁAW CHYCYŃSKI

Płaczkorzeźba

ból nie przemija – można by mniemać
z oczu patrzących martwo na Zwłoki
zastygłe w pozie kłam zadającej
sprawom co w życiu nie cierpią zwłoki

czy płacze kamień rozum nie pyta
lecz współboleścią nie rządzą prawa
suchego ratio zobacz więc: mokro
mokro bez końca z lewa i z prawa

Sanitarium

kyrie elejson uzdrowienie chorych
zmów mnażca równo jedli cennie lody
vivat medicus! cad ukryty w dziecię'
odpady z kuchni profic zjedzą lody

skrop z oknem przez bandaży zaplot
wpływa do środka zimnych myśli struga
człowiek na kółkach już tydzień dla niego
drewnianą duszę anioł mieczem struga

(Pisanka)

gdź jest smutkiem świecy płomien
prosty sztywny jakby credo
gdy na grobie pamięć o nas
wypisano białą kredą

i są smutkiem noce poszłe
w otchłasn piekła całą serią
kiedy żadna dobra wróżka
nie błądziła z nami serio...

Taki obraz

Ze Izami w oczach nie widzisz Kaukazu.
Zmierzach, zmiana światła, pies do Boga wola,
różnice jeli – na krzakach, Beksiński
już to malował dwadzieścia lat wczemniej.

Ciał tutaj pełno – ale gdzie są dusze?
Ostatnie serie chyłkiem szją wieczór,
śnieg leży cicho, smętnie dymią wraki,
magia pozost: Gromy już nie gromy.

Chmury na wodzie

patrzysz chmurnie na wartkie tonie
bo nad Wartą wybrałem postój
w ciekłym lustrze mój bulat tonie
krzycząc wodzie: są kwadrans postój!

mówisz: zobacz – chmura jak okręt
może zmienić ona nasze losy?
miotam grzechy w zły fali okręt
jako puste przegrane losy...

Po drodze

wracam do domu gdzie dziewiąta muza
Biblię po dziadku uśpiła na zawsze
Pieta w tryptyku ma zamknięte oczy
siedzi zgarbiona z uśmiechem dalekim

skacze nad snami z Wielkim Wozem pędzi
kobyła nocy pogoniana batem
choćby synapsy mróz pokrywa szronem
rozgrzeje duszę śpięcym O-plank.

Na 55 minut przed

dzisiaj mam włosy jak dziki burzan
nad mokrym czołem zawisła burza
szczęśli latają wzrok błędny gorze
już nie jest dobrze a będzie gorzej

patrzę gdzie Ciało wisi na drzewie
(mody do niego wznoszono drzewce)
teraz mnie dręczą myśl tylko jedna:
„kazał mi tęczę” – blagam – – –

a jednak!

Stanisław Chyckiński

ZBIGNIEW S. MASTERNAK

„Pornografia”: trójzęb w orle

Gregorzowi Masternakowi

Łańcuch Gór Świętokrzyskich wyciąga się na widnokręgu. Objeżdżam się, stojąc na schodkach autobusu. Wybrazałem sobie, że kiedyś będę tak wsiadł, by opisać rodzinne strony na burzdo. Tymczasem jeszcze się na to nie zanośm. Póki co, nie wiedziałam za bardzo, co robić z wolnym czasem. Postanowiłem wykorzystać go na odwiedzenie co ciekawszych miejsc w Górach Świętokrzyskich i w okolicy, jeśli by rzeczywiste udało mi się je opisać.

Kupiłem bilet do Maloszy. Objazdy pociągami, w którym z trudem po-mięciłem namiot, ekspunek biwakowy i kilka książek Gombrowicza (by-łem w polowie *Pornografii*), ruszyłem zająć miejsce. Do wyboru miałem wszystkie siedzenia oprócz fotela kierowcy – autobus był pusty. Wybrałem miejsce potrodku. Wylałem z plecaka *Pornografię*, a plecak ułożyłem nad siedzeniem. Otworzyłem książkę na zaznaczonej stronie i pogrzeyłem się w lekturę – do Maloszy, miejsca urodzin jej autora, miałem godzinę jazdy.

Oderwałem wzrok od książki dopiero wówczas, gdy autobus zatrzymał się na dworcu w Opatowie. Pusty dotąd pojazd zapędził się podrozmi. Były to głównie starszaki objeżdżące siadki rozpachnymi od zakupów. Nasu-chały ich podseksytowanych głosów, które przekazywały mi w lekturze, przypominalem sobie, że jest środa – w tym dniu co tydzień odbywał się jarmak w Opatowie. Jeszcze niedawno byłem uczniem tutejszego liceum. Gdy chodziłem na węgry, lubiełm pisać się po targu. Obserwowałem ludzi, pod-słuchiwałem ich rozmowy. Tutaj przygotowywałem się do matury z języka rosyjskiego – przychodziłem rozmawiać z przekupkami z Ukrainy. Maturę zaliczyłem na piątkę (zdaniem nauczycieli zawsze byłem zdolny, ale za dużo czasu poświęcałem na treningi piłkarskie), a przy okazji zyskałem wielu przyjaciół wśród Ukrainców. Zaprosili mnie nawet na swoje ognisko. Zasma-kowałem odór w ukraińskiej kuchni. Tańczyć kozacka się nie nauczyłem – nogi ma się albo do tańca, albo do gry w piłkę nożną.

Przestarem ręką zmęczone oczy i próbowałem się skupić na lekturze. Starszy mężczyzna, który usiadł obok mnie, zaczął się niespokojnie wiercić. Po-myślałem z niechęcią, że ma ochotę na pogawędkę. A ja tymczasem wolałem przeczytać *Pornografię*. I to wcale nie dlatego, że byłem książką Gombrowicza zachwycony.

– Łoźmie się spytać – nie wytrzymał w końcu stary – gdzie panie młody jedziecie?

– Do Maloszy – odburknął przy z największą niechęcią, na jaką mnie było stać. Nie oderwałem trym z tym wzroku od książki.

– A jo do Podola – podchwycił nieczarony staruszek – Wymyśladem jeden pysznatek wczelní tot wos. Wrocóm z Łopatowa – ciągnął, mimo że nie zwa-żałem na niego uwagi. – Kupilem się na targowicy trochę kiełbasy – Podetknął

mi pod nos reklamówkę, lecz nie udało mi się zmusić mnie, żebym zjrzał do środka. Odlamał kawałek wędliny i zaczął jeść, ciakmiejąc bezczębnymi działaniami.

„I przez sekunde, oni i my, w naszej katastrofie, spojrzeliśmy sobie w o-czy” – przeczytałem zdanie kończące powieść. Zamknąłem książkę z nie-snakiem. Przekształciłem wiecznym piórem widaćjany na popielatą okładkę tytuł. Swoimi nieczywanym charakterem pisma napisałem nowy, który był jednocześnie moją recenzją: „Pornografia?”

– Co, nie spodobała się ksiuska, panie? – Staruszek znalazł nowy pre-tekst do rozmowy.

Potaknąłem chowając książkę do plecaka.

– *Pornografię* Witolda Gombrowicza pan czytał? – Miałem, wtpiąjąc by tak było. – Gombrowicz urodził się niedaleko od Podola, w Szyalocach.

Stary zaczął się tłumaczyć, że nie czytał, bo na wsi nie ma na to czasu. – Ale ta ksiuska to musi być jakies niezłe świństwo – ciągnął, gdy patrzyłem w szyćbę. – Godały raz coś lo ty pornografii w telewizorze. To ten, co toto napisał, to z Maloszy? I... to ta i nie dziwnego – zaczął się – że lo pierdołać pisie. Mom znajomego w Maloszycach. Panie, żebyś pan słyszał, jakie fun glupoty łopowiało! Jednego razu...

– Wasza wieś – przerwałem mu spostrzegłszy tablicę z napisem „Podole”, którą właśnie minął autobus.

„Świństwo” – w uszach ciągle brzmiała mi jego opinia na temat *Pornogra-fii*. Czytuję ujmę to trafniej? Powieść rozczarowała mnie. Nie, bynajmniej nie wyudanie erotyczne, na które wskazywał tytuł, było tego powodem. Przeciwnie, jedynie do scen erotycznych w książce nie miałem zastrzeżeń. Zwłaszcza że to te i rozdziały dzwiewito. Jakis przyjemny dreszczek błąkał mi się po ciele, gdy czytałem o całkowitym milczeniu Karola i Heni podczas zbliżenia, ich powolnych, jakby automatycznych ruchach. Czysta „pornografia” wydało mi się obniżenie przez Gombrowicza największej z narodowych świętości – bohaterskiej walki za ojczyznę. Gorzej, była to nawet „pornografomania”, bo książka była nieudolna pod względem konstrukcji. Chociażby jej zakoń-czenie. Wygląda na to, że Gombrowicz tak poplątał akcję, że nie widział już innego wyjścia na jej rozwiązanie, jak napisać słowo „koniec”.

Myslałem o moim dziadku, ojcu mojego ojca. Do lutego 1945 roku walczył z Niemcami w Górach Świętokrzyskich jako żołnierz AK. Po jej rozwiązaniu trafił w szereg WIN w Bieszczadach. Zginął kilka miesięcy później. Jego oddział stał się z jedną z watah UPA. Ukraińcy poszli w rozrypkę i Polacy zaczęli ich śigać. Dziadek dopędził ich watażkę. Nie zabił go, gdy ten przeprosił o błąd. To zaważenie się dla dziadka skńczyło. Koledzy znaleźli go siedzącego przy piuku drzewa. Miał rozpruty brzuch, z którego wyciągnięto wstrętność i owinięto dokoła pnia. Dziadek nocił na lewym przedramieniu wytatowanego ośła w koronie. Ukraińcem wyciął na mimo tyżub. Stary, ukraiński symbol z począgów chrześcijaństwa na tym terenie.

Jeszcze do niedawna poświęcałem i śmierć dziadka wydawały mi się bez sensu. A to przez ojca. Lubił pić. Miał chęć; obudził w mił nadzieję, po-krętywała go do jego ojca, bohatera. Ojciec kąpił z niego, mówił, że wolał-by wstać na wino niż do WIN-a. Opowiadał o bezsensie walki narodowo-wyzwoleńczej, bo z tego są tylko straty i przykład podawał powstanie warszawskie. „Zabawa w politykę zawsze się źle kończy” – dodawał. Od pewnego czasu uważałem się za patriotę. Podwiałem rękaw podkosztka. Na moim lewym przedramieniu od kilku tygodni dumnie rozkładał skrzydła

orzel w koronie. Jeszcze raz wspominałem dziadka, którego twarz uśmiechała się do mnie przez całe dzieństwo z fotografii na ścianie w pokoju rodziców i pomyślałem z niechęcią o *Pornografii*.

Gdy wysiedłem na przystanku w Maloszycach, zacząłem się rozglądać za kimś, kto wskazywał mi drogę do ruin dworku Gombrowiczów. Z powodu panujących upałów (mimo że był początek jesieni) wciąż była wydłubana. Spotrzeźłem niewielki bar przy szosie. Ruszyłem w jego kierunku. Na parking przed nim stało tylko jedno auto: łada samara na ukraińskiej rejestracji. Musiała być zepsuta, bo przechodząc obok poskakałem o wystające spod niej czepny nogi w czarnych „kobjochach” się sterczącymi na boki smieszonymi imitacjami ostróg.

Moją uwagę zwróciła dziewczyna stojąca na ławeczce przed barem. Pałła papierosa. Kiedy popatrzyła w moją stronę, pomyślałem, że to jakas miejscowa „Iwona, księżniczka do burgunda” (burgund – potocznie takie wino owocowe).

– Przepraszam – uśmiechnąłem się – któryś idzie się do ruin dworku Gombrowiczów?

– Ja nie pamiętam. – Odwzajemniła uśmiech.

Zaskoczył mnie ten jej rosyjski jeryk. Wpatrując się w nią milcząco zastanawiałem się, skąd się wzięła w Maloszycach. Wówczas doszedł mnie stąk młotła spod lady samary. Stało się jasne, jak tutaj dotarła. Od razu mi się spodobała. Była mniej więcej w moim wieku. Miała śniadą cerę, a jej oczy były lekciutko skośne, co pozwalało się domyślać domieszki azjatyckiej krwi. Włosy miała smolistej barwy i krótko ścięte, a ja raczej wolę długowłose blondynki. Ze względu jednak na dekolt jej niebieskiej bluzki (wielbiam dziewczyny w niebieskim), obnażającej ładnie zarysowane piersi, mimowolnie zacząłem wyobrażać ją sobie w roli Genei w scenie z rozdźwięku dziewiętego *Pornografii*. Pomyślałem, że chętnie wielbiłbym się w rolę jej partnera, Karola.

Uśmiechała się, gdy wpatrywałem się w nią jak urzeczony. Jednak wyglądało to na wyńczony grymas. Odniosłem wrażenie, że uśmiecha się jak dziwka. Jakby na potwierdzenie, a zarazem ku mojej radości, zaczęła obierać ze skóry niedziwnego banana i spytała:

– Ty chcesz zjaka?

Błądząc już myślami wokół rysujących się pod błuzką sutek, potakując kiwnieniem głową.

– No nie zdjes. – Przyszło mi na myśl, że mógłbym odegrać z nią swoją ulubioną scenę erotyczną z *Pornografii* wśród ruin dworku Gombrowiczów. W ten sposób sprofanować miejsce urodzin jej autora. W odwiec za zbezczeszczenie pamięci o poświęceniu dla ojczyzny młodego dziadka i jemu podobnych. – Ty pądziesz za mną? Daje padzi, pądzista – powiedziałem, gdy zerknąwszy ukradkiem w stronę lady samary kiwnęła potakującą głową. – Ja czepjes niekółko minut wjemus. – Wszedłem do baru. Kupiłem kilka butelek i butelkę wody mineralnej. Odliczyłem trochę pieniędzy potrzebną na powrót do domu, a za resztę kupiłem butelkę śliwicy. – Jak trafił do ruin dworku Gombrowiczów? – Wreżyłem pieniądze barmance, starszej kobiecie o regularnych rysach twarzy.

– Pójdź pan – kobieta obrzucała mnie badawczym spojrzeniem – do końca wsi. O tam – wskazała ręką, gdy popychałem zakupy w plecak.

Dziewczyna pałła następnego papierosa, gdy wyszedłem z baru. Pomyślałem, że nie będę miał jej czym zapłacić. I że mogę mieć kłopoty, jeśli się okaże, że właściciel wystających spod lady samary butów z ostrogami to jej al-

fons. Nic chciałem się już wycyfować; dziewczyna za bardzo mi się podobała, no i zależało mi na wytrwaniu rachunków z Gombrowiczem.

– Tjebia niczja karit. – Wziąłem ją za rękę i zacząłem prowadzić w kierunku wskazanym przez barmankę. Wyglądaliśmy jak para turystów. Uświadomiłem sobie w krótkim momencie, że nie wiem, jak ma na imię. Kąk tjebia zawut? – spytałem. I skąd pochodzi? – Ty otuda?

– Larysa. – Wyrzuciła niedopalki papierosa. – A z Kijewa. – Oddloniła w uśmiechu szereg równych, śnieżnobiałych włosów.

Ucieszyłem się, że jest Ukrainką – z sympatią pomyślałem o swoich przyjaciółkach, którzy uczyli mnie języka rosyjskiego. Patrzyłem na Larysę i przyszła mi na myśl jej imienniczka, najwybitniejsza ukraińska poetka – Larysa Kosacz (Lesia Ukrainka). Pomyślałem z ironią, że moja Larysa pewnie wierszy nie pisze. Dlaczego została prostytutką? Była ładna i pewnie biedna. Znajomi Ukrainki opowiadali mi o takich jak ona. Pewnie za jakiś czas wróci do kraju i na pytanie, skąd ma pieniądze, będzie odpowiadać, że pracowała u polskiego prezydenta jako sekretarka.

– Mienja zawut Karol – skłamałem, podając jej imię partnera Heni z *Pornografii*.

Dwie zmurszałe kolumny, wbijające się jak szpilki w czeraz szczybiec ciemniejąca gąbkę nieba – to wszystko co pozostało z dworku jamie państwa Gombrowiczów. Żeby tak chociaż do którejś z nich została przytwierdzona tabliczka informująca, że „Tutaj 25 marca 1904 roku przyszedł na świat Witold Gombrowicz...”

– Nam nada raszoli palukat. – Wyciągnąłem z plecaka namiot. – My jejo postawim zdjes. – Wskazałem miejsce między kolumnami, ostaciami po słazheckim dworku. Wziąłem w takim dworku, w Sandomierskiem, została umieszczona akcja *Pornografii*.

Zrobił się wieczór, kiedy skończyliśmy rozstawiać namiot. Zabraliśmy się do kolacji. Popijając bulki wodą mineralną dumaczyłem Larysie zasady inscenizacji sceny erotycznej z rozdźwięku dziewiętego.

– My budjem djełat wojo w malczanju, wołno, kák awtomaty – powtórzyła szcząc śliwicę, którą kupiłem z myślą o niej. – Do i wojo poniała. – Oddała mi butelkę, lecz niewiele w niej zostało.

Chyba jednak nie „wojo poniała”, bo w trakcie inscenizacji, siedząc na ma kolanach, zaczęła rytmicznie kołysać biodrami i krzyzcze:

– Bystynie, Karol, bystrynie!

Musiąłem skłoczyc przedzewcenię. Ciężko dysząc leżałem przytrzymany dłuższy czas w milczeniu. Byłem niezadowolony, że Larysa złamała ustalone reguły inscenizacji. Kiedy jednak przytuliła się do mnie prosząc: „Jzwini”, poczołowalem ją.

– Niczewo, Lariszocka – zapamiętałem ją, czując że ogarnia mnie senność, mimo że nie tknęłam śliwicy.

O świcie obudził mnie podejrzany szelest w namiocie. A właśnie po raz kolejny śnił mi się pan Fryderyk, główny pomysłodawca i reżyser aktów miłosnych w *Pornografii*. Wyglądał jak mój dziadek w partyzantskim stroju z fotografii w pokoju rodziców. Nie był zadowolony, że inscenizacja sceny, którą obmyślił, nie odbyła się zgodnie z regułami. Jakby profanacja miejsca urodzin autora *Pornografii* nie była z tego powodu ważna. Wskazując ręką na śpiącą Larysę powiedział: „To trzeba powtórzyć!” Obserwując strużkę światła wpadającą do namiotu przez uchyloną kotarę pomyślałem, że to samo powiedział po skończeniu akcji do Heni i Karola.

Wyczułem w namiocie obecność kogoś trzeciego. Niedobodzony, pomyślałem w pierwszej chwili, że to zjawili się pan Fryderyk o twarzy mojego dziadka i sam będzie chciał reżyserować swoją scenę. Jednak to nie na klęczak odwrócony do mnie plecami i grzebal w moim plecaku: zauważyłem musiejąc ostrogi przy butach intruza. Nie miałem wątpliwości, że to alfons Larysy. Gdyby był jej mężem, pewnie już bym nie żył. Obserwując, jak nerwowo przetrząsa zawartość mojego plecaka pomyślałem, że pewnie szuka pieniędzy. Nie mógł ich tam znaleźć. Kwotę odliczoną na powrót do domu schowałem do kieszeni spodni, które złożone w kostkę, służyły mi za podłogę.

Myslałem gorączkowo, że jeśli to alfons Larysy, to nie wykręcę się latwo. Wtedy mój wzrok padł na stojącą nicopodaił butelkę z niedopitą sliwownicą. Umieścił się na łokciu, by po niej sięgnąć. Zawałałem się jednak, bo intruz popatrzył w moją stronę. Udałem, że śpię. Nie przestawałem obserwować go spod półprzymkniętych powiek. Wyglądał na jakiejś trzydziście lat. Na dwóch zębach nosił modne wśród Ukraińców faksy, „złote”, czyli musiejące koronki. Wrócił do przetrząsania zawartości mojego plecaka. Szukał czegoś wartościowego, a w nim znajdowały się jedynie książki Gombrowicza, między innymi *Pornografia*. Alfons z wielką uwagą przyglądał się jej pokreślonej okładce. Kiedy znów spojrział w moją stronę gotów byłam sądzić, że nie spodobała mu się moja recenzja powieści. Nagle jego twarz wykrzywił grymas wściekłości. Byłem pewien, że zauważył, iż nie śpię. Podwałem się, by chwycić butelkę i ogryźć go. Ubiegł mnie jednak. I to on wymerzył mi butelka potężny cios w głowę. Jak przez mgłę dotarł do mnie przeraźliwy krzyk Larysy.

Słońce świeciło mi prosto w oczy, gdy odzyskałem przytomność. Rozglądając się po namiocie pomyślałem, że to już rano. Larysa i mój pogromca zniknęli. Po namiocie walało się rozbite szkło i książki Gombrowicza. Mój wzrok spojrzał na pokreślonej okładce *Pornografii*. Obmacując obolała głowę (butelka że sliwownica pękając zaowocowała wielką „sliwą” na moim czole) pomyślałem, że podobnie jak w *Pornografii*, po scenie erotycznej nastąpił akt okrucieństwa. Włosy miałem podziupane. Sprawdziłem palcem, że to nie krew a sliwownica. Przede mną leżało zakrwawione szkło. Skąd krew na nim, skoro skóra na głowie nie została przecięta?

Wybierając okruczy szkli z włosów rozpatmyślałem szczegóły całego zajścia. Spokoju nie dawał mi grymas wściekłości, jak pojawił się na twarzy alfonsa, gdy spojrział na mnie, trzymając w rękę *Pornografię*. Co było przyczyną tej złości, a wręcz nienawiści? Przecież nie moja recenzja książki.

Zacząłem się ubierać. Nalożyłem spodnie i stwierdziłem brak pieniędzy w kieszeni. Wkładając podkoszulek zauważyłem zakrzepłą krew na moim lewym przedramieniu – w miejscu, gdzie miałem tanaż. Obmyłem rękę wodą mineralną, która została z kolacji. Pomyślałem o moim dziadku, który polegił w Bieszczadach i o moim ojcu, który stwierdził, że wolałby wstąpić na wino niż do WIN-u.

Na moim ocle w koronie widniał wycięty kołowo tryzub.

Zbigniew S. Masternak

AGNIESZKA RESZCZYK

* * *

Polyskliwe sztytety łatwo

przerazają...

Zgrzyt

krok po kroku

Mysł jedyna:

przebiegając ląkę

ocalić

ciało.

Erotyki surrealistyczny

Naga

studuje piękno.

Ciało

uśmiecha się falistością linii.

Luźni kolan

schody do świątyni

palcami artysty rzeźbione.

Kolumny z betonu

udają ramiona.

Przełgła się

w oku.

Wieczność

ma kształt kobiety.

Lunatyk

Depcze własny cien

dopóki

oko zamknięte

zdejmuje mgłę

z obrazów.

* * *

Nikt nagiej nie wziął

w ramiona.

Tylko księżyc nocą
patrzy.

Ust jego nie stęgam.

* * *

Stając na lawce
z gwiazdami rozmawiał.
Milczały.

Dotykał drzewa.
Nie stało się ciałem
kobiety.

Z krzyżem tęsknoty szedł
pijany.

Stopy lunatyka
powierzły ulicom.

Rzucały kamienie.

O świcie

O świcie
moje ciało chce
do raju.

Tam szczelł traw
zapowiadając bosego.
Ewa podaje w skupieniu
dłoń.

Waż wskazuje nam drogę,
Nie wiedzając o Platonic
stwarzamy człowieka
zjednoczeni.

O świcie
moje ciało rodzi
lżę.

Agnieszka Reszcyk

WALDEMAR MICHALSKI

Galicyjskie korzenie twórczości literackiej Adama Zielińskiego

W biografii wielu polskich pisarzy dawne Kresy Wschodnie istnieją jako mityczny obszar „małej ojczyzny”. Dotyczy to dawnych i współczesnych autorów, a wśród nich m.in. urodzonego pod Kijowem Jarosława Iwaszkiewicza, pochodzącego z Czarnohory Stanisława Vincenza czy całej grupy pisarzy z „galicyjskim rodowodem”, a więc m.in. Leopolda Buczkowskiego (Brody), Andrzeja Kuźniwicka (Sambor), Juliana Strykowskiego (Stryj), Bruno Schulza (Drohobycz), Kazimierza Wierzyńskiego (Drohobycz). Do piątej tej dolaczcy w ostatnich latach także Adam Zieliński – prozaik, urodzony w 1929 roku w Drohobyczu, a wychowany w Stryju. Wydaje się, że można tu mówić o pewnych wspólnych cechach charakterów ich literackich postaci. Są to m.in.: otwartość na drugiego człowieka, zaufanie i gotowość dzielenia się ostatnim kawałkiem chleba, wiara w dobro i prawdę, które muszą zwyciężyć, tolerancja i wyrozumiałość wobec inaczej myślących i praktykujących...

Powiesci i opowiadania Adama Zielińskiego upewniają czytelnika, że opinia ta odnosi się także do jego bohaterów.

Adam Zieliński jest pisarzem polskim z austriackim obywatelstwem. Publikuje swoje książki równolegle w języku niemieckim i polskim. Studiował dziennikarstwo w Warszawie i Krakowie. W 1957, jako młody dziennikarz, zatrudniony w krakowskim radiu, nie godząc się na ówczesne polityczne uwarunkowania życia i pracy w Polsce, osiadł na stałe w Wiedniu. Twórczość literacką rozpoczął późno, po sześćdziesiątym roku życia, dokładnie w 1990 r. W swoich powieściach i opowiadaniach kreśli dramatyczne losy bohaterów uwikłanych w polityczne i moralne dylematy ciągle nabrzmiałej konfliktami Europy Środkowowschodniej. Jest autorem m.in. „reportażu z XX wieku” pt. *Gaiety wariat* (wydanie niemieckie 1990, polskie 1993) – o deprawacji komunistycznej i zmierzchniu czerwonym totalitaryzmem, powieści pt. *Niedaleko Wiednia* (wydanie niemieckie 1992, polskie 1993, angielskie 1995) – rzecz o upadku Jugosławii i konfliktach etniczno-religijnych, powieści pt. *Ciechy Dunaj* (wydanie niemieckie i polskie 1994) – o emigracji i bezdomności na przykładzie mieszkańców obozu dla uchodźców koło Wiednia, powieści *Powrót* (wydanie niemieckie i polskie w 1996) – dramatyczne losy polskiej rodziny ze Stryja – panorama wydarzeń z lat 1937-1996 dotycząca nie tylko środkowej Europy, poematu prozą pt. *Galicyjski prowincjał* (wydanie dwujęzyczne polskie i niemieckie, 1997) – rzecz o miłości do swojej „małej ojczyzny” – opowiadania pt. *Holocaust* (wydanie dwujęzyczne polskie i niemieckie 1998) – dwa różne teksty na temat żydowskie, zbioru opowiadań pt. *Kanalia i inne opowiadania* (wydanie polskie 1998) – rozpisany na głosy spór o sens istnienia człowieka we współczesnym świecie.

Adam Zieliński udzielił wielu wywiadów na temat swojego życia i twórczości. Najobszerniejszy z nich przeprowadzony został przez Tadeusza Kraśkę i ma postać dwutomowej książki: *Z Adamem Zielińskim wiedeńskie rozmowy* (1994, ss. 128) oraz *Gdzie jest niedowiedz?, czyli z Adamem Zielińskim wiedeńskich rozmów ciąg dalszy* (1998, ss. 111). Bibliografia wydań, opracowań i wypowiedzi na temat jego twórczości obejmuje liczne publikacje,

m.in. w językach niemieckim, polskim, angielskim, rosyjskim i szwedzkim. Z ważniejszych publikacji po polsku należałoby wymienić: przede wszystkim pracę Wita Jaworskiego pt. *Imiona Losu. Liberalizm i konserwyzm w twórczości Adama Zielińskiego* („Kocia wieki” 1997, z. 10, ss. 1-22) oraz książkę Sylwestra Marynowicza pt. *Czas nieważeli – czas nadziei. O twórczości Adama Zielińskiego* (Kraków 1998, ss. 135). Pełną bibliografię podmotową i przedmową Adama Zielińskiego do roku 1997 zestawiał Tadeusz Kraków w książce *Gdzie jest niedźwiędź?* (Kraków 1998, ss. 103-109).

Trafiać zauważono, że proza Zielińskiego daje świadectwo dylematów liberalna literatura z domieszką konserwatywnej kochała XX wieku (Wit Jaworski), że nie sąpaty postmodernistycznym dylematem kultury masowej, ideologicznie, tegorówna fabulą i zdecydowanie psychiką swoich bohaterów (Bolesław Faron: *Posłowie* do książki Adama Zielińskiego *Chyłobutów*, ss. 53). Zieliński bowiem jest autorem, który nazem ze swoim czytelnikiem stara się szukać odpowiedzi na najważniejsze pytania naszej „garbatego” cywilizacji. Dlatego te definicje w wymiarze „na i teraz” pojęcie „za, szaka oparcia w przyjaźni i miłości, które, choć mają różne imiona, nie znają granic ani barier politycznych, szczenię tworzonych przez zawiśniętego człowieka. Jego szuka pisanja przekracza tradycyjne normy i reguły. Jest narracja (twórczo wykorzystująca pogranicza gatunkowe. Zaużytkował w niej swoje doświadczenia dziennikarza-radiowa, wykorzystał również wszelkie formy znamiennie dla pamiętników, kronik czy też zapisków protokołalnych.

Znaczące są także wypowiedzi Zielińskiego na temat roli pisarza w świecie współczesnym. Oto fragment wywiadu przeprowadzonego przez Tadeusza Kraków: *Myśle, że pisarz, nawet jeszcze i dziś, w naszym nieświecznym szybko zmieniającym się i rewolucyjnie przeobrażającym świecie, jest ewenementem. Pisarz pisze to, co będzie czytało wiele ludzi, i jeśli ma naprawdę coś do powiedzenia, a do tego znajduje dobrego wydawcę, już ten prosty fakt przetykający go do formalowania myśli i ogromną odpowiedzialnością, powinien stać się – duchownym zechcą mi dobrać – to metafizycznie – jakby „duszpasterzem”. Tak, ambitny pisarz (...) wyjawia indywidualność, przez siebie wywołaną terapię, przy pomocy której może nie może przeobrazić siebie, a także chce wpywać na czytelnika i wciągnąć go na orbitę swojego modelu myślowego (Z Adamem Zielińskim wiadomości rocznie, Kraków 1995, ss. 7-8).*

Spółczna misja pisarza, według Zielińskiego, to przede wszystkim: prawa – odpowiedzialność – powołanie. Słowa te brzmią niemal jak przesłania polskich wieszczów. Zieliński w rozmowie z Leszkiem Zielińskim jednoznacznie określa korzenie swojego pisarstwa: *Wyrosłem w języku, tradycji i kulturze polskiej. Tego nie próbowałem się pozbyć, a gdybym próbował, to nie bym nie uświatł, bo moja głowa – nawet po 40 latach emigracji – pełna jest wersetów Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Tuwima, Gałczyńskiego, Szymanowskiej... „Trylogia” Sienkiewicza to prawie moje wyjawienie wiary, chociaż Włodzimierz pobrzeżka szabellą, a ja nie uroszę wojaka ani bitew (Leszek Zieliński: *Rozmowa z Adamem Zielińskim*, [w:] *Między wierzeniami*, Kielce 1996, ss. 68-76).*

W dworku prezenterakim Adama Zielińskiego niewątpliwie najcenniejszą pozycją jest powieść pt. *Powrót*. Stanowi ona sumę doświadczeń Zielińskiego i to zarówno w zakresie poetyki, jak i znajomości mechanizmów ludzkiego postępowania. Powieść jest sagą (ale nie bohateriskim eposem!) o kolejarzkiej rodzinie Bałtyckich z galicyjskiego Strypa. Ponad 50 krótkich, 3-4-stronicowych rozdziałów w układzie chronologicznym (lata 1937-1996) ilustruje losy bohaterów na zasadzie wzajemnego przeplatania fragmentów ich życiorysów. Kompozycja na wzór „zaplanowana warkoczą” z różnych epizodów większej całości jest bardzo dynamiczna i przemienna dla reportażu czy układu potocznych sekwencji filmowego scenarzysty. Nie trzeba dodawać, jak bardzo mobilizujący do lektury jest taki układ powieści.

W fabule *Powrotu* łatwo dostrzec się autobiograficznych akcentów. Jak wiele polskich rodzin ze Wschodu, tak i sam autor powieści doświadczający tragedii wojny i okupacji, a ostatecznie wyprzedzony zstąpił z rodzinnego domu (odwiedzić, i niestety aktualnie, fatum narodów Europy Środkowoschodniej!) Ten los spotkał także polską rodzinę Bałtyckich – bohaterów *Powrotu*. Przypomnijmy, że głowa rodziny Bałtyckich – Władysław, maszynista kolejowy – został zastraszony przez Niemców za ukrywanie żydowskiej rodziny (rzecz na tamtych terenach bardzo częsta, o czym warto pamiętać!). Córka jego – Katarzyna – wychowana została do Niemiec „na roboty”, szczęśliwie przeżyła obóz pracy w Austrii i po 1945 r. wyszła za mąż za austriackiego polityka. Syn – Kazimierz, jako żołnierz Armii Krajowej w „piętnastym dniu wolności”, w 1944 r., został aresztowany przez NKWD i zesłany na dwadzieścia lat do syberyjskiego obozu w tiumenskiej oblasti nad rzeką Ob. Życie swoje zawodniczką wielu szczęśliwym przypadkiem, a wydosytować się z Kosił przez Teheran, rozpoczął po wojnie karierę doradcy ekonomicznego w Chinach i na Dalekim Wschodzie. Drugi syn – Jerzy – zginił w walce partyzanckiej z Niemcami na Ukrainie. Trzeci – Bolesław – wraz z matką Werą osiedlił się w 1945 r. w Kielcach. Byli świadkami kilkuletniego pogromu Żydów. Bolesław nieważem stał się funkcyjnym „urtwalczem” komunistycznej władzy i „sprawiedliwici” Otworzył ma oczu dopiero tuż robotników Poznania i „polski październik” 1956 r.

Powieść *Powrót* to portrety i opisy wydarzeń nakreślonych tak realistycznie, że łatwo nabiera cech realu z pogranicza literatury faktu. Uważam, że w dużej mierze przesadzając o tym także elementy autobiograficzne powieści. Warto zwrócić uwagę na język prozy Zielińskiego, rosyjskie lub niemieckie, współczona polszczyzna. Wtrącana obcojęzyczna, rosyjskie lub niemieckie, jedynie podkreślają koloryt lokalny wydarzeń. Zauważymy, dramatycznym sytuacjom towarzyszy słownictwo „twarde”, „męskie”, zaś o miłości mówi się tu w rytmie walcu znad błękitnym Dunaju. W tym zakresie proza Zielińskiego porównywalna jest do dzieł największych współczesnych epików. Równocześnie uważa się je za spadkobiercę tradycji reformatorskich Ruda, Kischa czy Kapuścińskiego. Znacząca rolę w narracji pełni często stosowany dialog – krótka fragmentacyjna rozmowa rozpisana na osoby – jakby fragment filmowego kadru. Dialog jest tu istotnym czynnikiem dynamizującym narrację. Należy zauważyć, że wśród postaci prozy Zielińskiego ważną rolę odgrywa osoba narratorki, która często ujawnia swoją obecność w akcji powieści. Otóż osoba narratora, który często ujawnia swoją obecność w akcji powieści. Otóż jak określa on swoją pozycję: *Tym razem akcja toczy się w wiedeńskiej wieśniarce naprzeciw cmentarzu Neustift am Walle, noszącej nazwę – „Pod rycerkim krzyżem”. Wszystkim, którzy nie odwiedzieli jeszcze Wiednia i jego tradycje nie są im znane, należy się informacja... (Powrót, s. 246). Narrator okazuje się znakomitym informatorem i przewodnikiem, osobą wprowadzającą nas do tajemniczych wniar.*

Bohaterowie książek Zielińskiego są niestannymi w ruchu – „wędrująca ludność” to rzecz znamienna dla tej części Europy, szczególnie w latach wojny i powojennych trwały tu masowe czyszczenia etniczne. Akcja powieści przecząca jest byskawicznie z miejsca na miejsce. Bohaterowie nie wydają się zmęczeni i jedno jest im – mimo wszystko – wspólne: poczucie humoru i umiejętność wychodzenia obronną ręką z każdej sytuacji (jak przystało na obywateli Galicji i Lwowa). Ich filozofia i postawy życiowe często znajdują odzwierciedlenie właśnie w języku, w słowotwie, w licznie stosowanych na co dzień sentencjach i maksymach. Oto kilka dla przykładu (wszystkie z *Powrotu*): *Każda miłość to cierpienie* (s. 193), *Pisarz z wami jest wściekły, a ja przyciemle – daje poczucie szczytów* (s. 185), *Kobieta tylko wówczas zarządza przy sobie mężczyźni, jeżeli ten wścisną przy niej, czuje się bardziej mężczyzną* (s. 207), *Każdy kto jest bezwzględnie przekonany o własnej mądrości, zarządza na miano dumia* (s. 186). *Nigdy nie wolno wątpić w prawdziwość głoszonej wiary politycznej. Jeśli zawahasz się choćby na moment –*

naród się zje (s. 188). Kiedy się śmieją, nie oznacza wcale, że się śmieją (s. 156) – to o Chilczykach.

Należy zauważyć, że sentencje spełniają tu rolę dydaktyczną, dydaktyzm narracji Zielińskiego jest jednak bardzo dyskretny – przemawiają tu przede wszystkim fakty, wydarzenia, decyzje.

Warto postawić pytanie: jak Zieliński postrzegwał siebie w swoich powieściach? Już na przykładzie *Powrotu* dostrzec można ironiczny dystans do przedstawianych faktów i wydarzeń. Z przysłowionym „przymrużeniem oka” mówi się o sprawach „niemiernych wagi”. To prawda: współczesny „Świat trzeciory” od rozsądzących go wewnątrznych sprzeczności. Jan Pieszczałowicz w *Posłowie* do książki *Konalia i inne opowiadania* napisał: *Szukania winnych tego stanu rzeczy jest dość jasne, bo głównym winowajcą okazuje się świat stworzony przez współczesnego człowieka, przypominający raczej piekło, niż przedświatowe rajy* (s. 172). Kłopotany relatywizm jest chorobą współczesnego człowieka. Mimo wszystko Zieliński wydaje się mówić: świat nie jest taki zły i choć ludzie zrobili i nie, świat nie jest naszą jedyną planetą i szansą – w żadnej sytuacji nie należy tracić nadziei – tak przynajmniej postępują Bałtycy. Trzeba nauczyć się żyć – oto towarzysze sybirskiej niedoli, Niemiec (czyny charakter w powieści) uczy cwaniactwa młodego Polaka: *Musisz Kacimiera próbować zawsze i wszędzie zmieknąć sercu Ruskich. Opowiadaj im o swojej samotnej, bardzo chorej, umierającej matce. Wymyśl, co chcesz. Oni mają podwójną darcę: jedną – gotowego na wszystko karta, a drugą – rozplakaną, miłą, sentymentalną...* (s. 47). O Władysławie Bałtyckim – socjalistycznie przekonania – dowiadujemy się, że *ona była dla niego ważniejsza niż wszystkie światowe rewolucje* (s. 15). Na przykład zrezygnował z pójścia na pierwszomajową demonstrację, gdyż *taka była wola jego żony. Pół żartem – pół serio, ale zawsze prawdziwie – to perspektywa widzenia wydrzeń w relacji narastała procy Zielińskiego*.

Adam Zieliński zapytany, czy jego pisanie jest krzykiem rozpaczy, odpowiedział: *Jest skromnym cząstkowym zapisem. Rozpacz w naszym świecie żyje najsilniej i umiera w milczeniu. Nie nazwana i nie rozpoznana sama przez siebie. Jako pisarz staram się być jej świadkiem. Pragnę zapewnić czytelników, że Zieliński nie jest tylko pisarzem „rozpaczy”. Lektura jego prozy daje także wiele satysfakcji szukającym oparcia w wierze i nadziei, w miłości i przyjaźni. Jego krótkie formy prozatorskie są często lirycznymi deklaracjami wierności i prozajski, pamięci i szlachunku. Zieliński zbierał i *Holocaustów* czy *Galicyjskiej prowincji*, a literacki powroty do rodzimych stron i lat młodości, jakże często połączone z bolesnymi wspomnieniami świata, którego już nie ma. Holocaust kładzie się tu krwawym cieniem na mityczna Galicja, w której niegdyś wspólnie żyli, pracowali, bawili się i modlili w swoich językach Polacy i Żydzi, Ukraińcy, Niemcy i Słowacy, Węgry i Rumuni, Lemkowie i Huculi. Po raz kolejny czytając *Galicyjskiego powinowca* uświadomiam sobie, że od czasów *Pana Tadeusza* nikt również niepisnik i prawdziwym nie mówił o swojej utracie ojczyzny. Zieliński pisze tu: *Jestem Galicjaninem i nigdy nie przestanę nim być. Zrozumiałem to, kiedy przemyślałem moje podróże do Tokio i Nowego Jorka, do Madrytu i Johannesburga, do Helsinki i do Caracas. W moich snach nie ma wspomnień z tych wielkich, wspaniałych, sławnych miast, za to pełno nieokreślonego wiatru, nadciągającego od krainy mojego dzieciństwa. (...) Zapach Galicji towarzyszy mi dziś z taką samą intensywnością, jak poczułem go po raz pierwszy przed wielką, wielką, bardzo wielką latą (...) Galicyjskiemu powinowcażowi nikt nie może przetrzeć szablami, aby znowu się tak, jak mi dyktuje serce. Słowo daje, tylko takie zachowanie przystoi powinowcażowi z Galicji!**

Niedawno, podczas spotkania autorskiego w Lublinie Zieliński swego podróż w krainie młodości skomentował stwierdzeniem, że *wszystko, co śmieje w naturze, jest traci swoje korzenie, szybko obumiera, szczerze. Jest Galicjaninem – to nie tylko klucza do jego osobowości twórczej, to także credo jego literackiej wrażliwości!*

Dla uzupełnienia wiadomości o autorze warto dodać, że Adam Zieliński po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim i Uniwersytecie Warszawskim uzyskał w 1982 r. w USA tytuł doktora politologii, a w r. 1994 w Austrii, tytuł profesora. Jest laureatem międzynarodowych nagród i odznaczeń, m. in. odznaczony został Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, w uznaniu zasług politycznych w przegrywaniu zżółk *Kultury polskiej* otrzymał odznak „Zasłużonego dla Kultury Polskiej”. Jest także laureatem nagrody „Latacja 98” przyznanej przez Kapitułę Europejskich Nagród Honorowych w Paryżu.

Polskie edycje książek Adama Zielińskiego realizują głównie oficyny krakowskie, m. in. Galicyjska Oficyna Wydawnicza, Oficyna Wydawnicza „Argus”, Oficyna Cracovia oraz Wydawnictwo Edukacyjne, a także Polska Oficyna Wydawnicza BGW w Warszawie. Głównym wydawcą niemieckim jest Edition Fischer we Frankfurcie nad Menem, a angielskim – Minerva Press w Londynie.

Waldemar Michałski

IV Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Stanisława Grochowiaka

Miejska Biblioteka Publiczna im. Stanisława Grochowiaka w Lesznie informuje, że w dniu 16 listopada w sali Miejskiego Centrum Kultury odbyła się podsumowanie IV Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Stanisława Grochowiaka. Na konkurs upłynęło 346 prac. Jury w pod przewodnictwem prof. dra hab. Przemysław Czaplińskiego przyznało:

o udzielenie posągi

nagrody: **Robert Grala** z Płochy,
Grzegorz Rodziba z Tarnobrzega,
użyźnienia: **Magdalena Karmalińska** z Katowic,
Tomasz Kozanicki z Poznania.

o udzielenie prozy

I nagroda: **Ryszard Baran** z Izdebiel (woj. podkarpackie),
II nagroda: **Piotr Piłk** z Łodzi,
użyźnienia: **Rafal Klan** z Ułchowcu,
Henryk Białas z Poznania,
Krzysztof Urban z Pruszkowa.

o udzielenie dramatu

II nagroda: **Stanisław Grobowski** z Ułchowcu.

o udzielenie sztukachki

użyźnienia: **Ułesław Szymański** z Białogostowa,
Edmund Piłk z Poznania.

KRZYSZTOF RUDOWSKI

Punkt obserwacyjny

Punkt obserwacyjny. Dwa okna, trójkątny wykusz. W trójkącie ustawiony stół i donuszenie do niego biurko. Stół – nowy, kupiony w magazynie wyniońnych mebli, biurko – stare, zamówione niedługo u stolarza. Stół pozbowiany duszy, gładki, aż za gładki. Biurko szorstkie, czas pozoblił na nim zmarszczki.

Samochód. Oczywiście – samochód. Wiek dwudziesty i pierwszy. Brak samochodu jest niezrozumiały.

Samochody. No, jakie. Nie jeden, a wiele samochodów. Coraz więcej samochodów. Do czego służą? Do jeżdżenia po kuli ziemskiej. Do jeżdżenia po mojej głowie.

Dom. Z okien punktu obserwacyjnego nie widzę domu, w którym mieszkam. Podobnie jak z wysokości oczu nie mogę dostrzec własnej twarzy. Nie szkodzi, o wiele ciekawszy jej wizerunek mieszka w mojej wyobraźni. Ciekawszy również od tego, który co rano dostrzegam w lustrze. Włosy splecione po podróży przez ściernisko snów. Od dawna nie ma w nich tego, co znajdowałem tam niedługo. Są brudne jak lustro. Lustro opyskane pastą do zębów. Nie potrafię zamykać ust przy czyszczeniu zębów.

Punkt obserwacyjny mieści się na pierwszym piętrze. Dom, w którym się znajduje, ma zaledwie dziesięć lat. Obok niego stoi dostojne, stare kamienicę. Dla mojego domu utworzyła miejsce ostatnia wojna. Wojna stwarza wiele pustych miejsc, które później można zapelniać. Przez kilkadziesiąt lat była to nieaturalna luka. Narodził się plac, gdzie pod czarną, ubitą ziemią tkwiły szczątki poprzedniego budynku. Szczątki budynku i – prawdopodobnie – jego mieszkańców, Niemców.

Niemcy. Tu mieszkali Niemcy. Możliwe, że mojej bezsensowności nie wywołuje znajdująca się pod łóżkiem zły woda, a spróżniała ją jakiegoś Niemca. Większość Niemców, których znam, to mili ludzie. Ale ja nie jestem kosmopolitą. Jestem Krzysztofem Rudowskim, choć i to nie jest takie pewne.

Na rogu budynku, w którym umiejscowiony jest mój punkt obserwacyjny, znajduje się kioski. Kiedy jesszce tego budynku nie było, stał tu również kiosk Kiosk-budka. Gazety, zabawki, wata, zylarki.

Chciałbym mieć stare gazety. Nie mam, ponieważ zawsze je szybko wyrzucam. Dawniej służyły mi do rozpalania w piecu. Ojciec, którym płonęły, prawiłszy był od zawartych w nich informacji. Chociaż właściwie nie jestem tego wcale tak pewny.

Moja praca wykonuje w punkcie obserwacyjnym. Na starym biurku stoi komputer – połączenie ze światem, złudne połączenie. Nie przypomina w niczym prawdziwego połączenia (ze światem), jakie osiąga się stojąc na łące i unosząc twarz, aby krople deszczu mogły obmywać czoło i policzki. Kom-

puterowe połączenie ze światem najczonne jest rafami – „bannerami”, po naciśnięciu których pojawiają się na ekranie ekrany pensji i ogłoszeń, otwarte łona opalonych kobiec.

Ludzie. Są i ludzie. Może nie tak ważni jak samochody, nie tak szybci i nie tak czysti. Chodzą tam i z powrotem po brudnej ulicy widocznej z mojego punktu obserwacyjnego. Ja również do nich należę. Nie jestem rzeczą, jestem człowiekiem, choć często nad tym boleje, ponieważ przez to podlegam pewnym – wykrytym już bardzo dawno – prawom. Czasami jednak wydaje mi się, że nie pochodzę z tej planety, na której obecnie mieszkam, ponieważ z większością jej mieszkańców nie potrafię znaleźć wspólnego języka. Nie, nie dlatego, żebym władał nim niezbyt dobrze (językiem), z tym nie mam większych kłopotów, chodzi raczej o tematy prowadzonych rozmów.

Punkt obserwacyjny, posiadający dwa okna, lepszy jest od komputerowego (ale nie dlatego, że monitor ma tylko jeden ekran). Punkt obserwacyjny, choć nie pozwala mi dostrzec wyrazu twarzy spacerujących ulicą ludzi, to, jak w przypadku samochodów, umożliwia bezbłędne określenie ich marki, przebiegu i potencjalnych możliwości kryjących się pod maską.

Z wysokości pierwszego pietra rozpoznaję w tłumie poszczególne osoby. O, ten grubo jegomość w poplamiennej koszulce, opinającej jego wielki, jakby brzemienisty brzuch, to Andrzej, mój kolega. Chodziłem z nim do szkoły podstawowej. Dzisiaj różni się od siebie i wyglądem, i obyczajami, ale dawniej czykło bywało na wydrębnić z grupy chłopców ubranych w jednokolorowe, granatowe mundurki.

Ta ulica jest moja, chociaż nigdy jej nie chciałem. Jest moja, bo mieszkam na niej od zawsze. Od zawsze – znaczy – od urodzenia. To przecież ja, jako chłopiec, wypatrywałem przez szyby kiosku – nad widzeniem którego używaliśmy się teraz mój punkt obserwacyjny – skarbów. Jakże skarby kryły się za szybami? Nis sposób ich dzisiaj porównać nawet z lśniącymi liliżymkami, które stoja w sterylnie czyszonych salonach samochodowych. To były skarby tak wspaniałe, jak te z bajek o piratach i królach. Nigdy nie przepuszczałem, że kilka metrów wyżej, ponad kioskiem – groną pełną cudowności – znajdował się budynek mój przesył punkt obserwacyjny. Stałbym z Andrzejem i – ledwo dostając do dolnej krawędzi okien kiosku – wypatrywałbym za jego szyby kamery kolorowych zabawek, może nieco tandemiejże niż te, które kryły prawdziwe sklepy z zabawkami, ale jakies bliższe, bardziej dotykalne od tamtych.

Andrzej jest grubasem pijącym na rogu ulicy piwo wprost z butelki. Kiwa mi czasami na przywitanie. Raz mnie poznał, raz nie – zależnie od stanu zamroczenia alkoholem. Nigdy się nie uśmiecha.

Mieszkańcy tej ulicy nie uśmiechają się. Mieszkańcy całego miasta nie uśmiechają się. Dzwisz. A może to tylko moje nie-różowe okulary nie przepuszczają uśmiechów?

Tę ulicę znam doskonale. Mieszkam na niej od lat. Po przecięciu stronic, na śantym końcu ulicy, tuż przed skrzyżowaniem z wiecznie pełną ciężarówką i tramwaj arterią, stoi dom, gdzie mieszkają moi rodzice. Kiedyś mieszkalem w nim również i ja. Teraz, chociaż mijam go codziennie, wstepuję tam rzadziej. Moje obserwacje nie zostawiają mi wiele wolnego czasu. Tamten dom jest stary, jak większość na tej ulicy. Ma sto lat, a może więcej.

Kiedy skończyła się wojna, mój ojciec właśnie przez to miasto wrwał z wygnania. Wrwał z obozu, do którego trafił po powstaniu warszawskim.

Obóz-kopalnia; już dzisiaj nieczynna. Obóz dzwiny. Straszny – jak każdy wojenny obóz, bo codziennie ocierał się tam o śmierć. Niestraszny, bo częściej z tych, którzy go prowadził, chciała normalnie żyć.

Wśród pracujących w kopalni Niemców byli i żyjący ludzkie. Dokładni, pracownicy: jak to Niemcy. Jeden z majstrów zapraszał czasami ojca do domu, na słuchanie radia. Na słuchanie Londynu.

Którego dnia powiedział:

– Dzisiaj nie przychodzi. Przyjechała moja córka, która jest w partii. Gdyby się o tym Londynie dowiedziała, ja i ty...

Ojciec wracał z obozu do domu, do Warszawy, ale w tym mieście spotkał swojego koleżę, który mieszkał właśnie na tej ulicy. Zajął mieszkanie obok. Mieszka tutaj do dzisiaj.

Przyjaciel ojca wrócił do Warszawy. Ojciec wracał tam całe życie. Wróci. Zrobił już miejsce w grobie dziadka na Powązkach.

Nie lubię miasta. Cierpię, żyjąc w mieście. Kiedyś nie wyobrażałem sobie życia jako miastem. Dzisiaj nie wyobrażam sobie życia w mieście. Żyję tu na niby. Na chwilę. Już-juz wyjeżdżam. Na wieś, w góry – były nie w mieście.

Raz w tygodniu przeglądam ogłoszenia w sobotnio-niedzielnym wydaniu gazety.

„Dom w okolicach...”

„Dom na wsi, do remontu”

Dzwonię czasami do biura nieruchomości. Rachuję, odjmując: przybliżoną wartość mojego mieszkania od sumy podanej w ogłoszeniu.

Tam – cisza, pustka, wszechświat zawieszony nad głową.

Tu – smog i gęby.

Gęby. Ludzie widoczni z punktu obserwacyjnego noszą gęby. Czy gombrowiczowskie? Niekoniecznie. Gęby zwykłe.

Jedną gęba jest specjalna. Paszka, z wyniętą dłoń wargą i wiszącą na niej niezmiennie kapka śliny. Ten człowiek, posiadacz gęby, obecny był na ulicy zawsze. Kręcił się tu, to tam. Nigdy trzeźwy. Chybotliwy. Pomagał sklepikarzom. Wnosi skrzynki z warzywami. Wnosi pieniądze. Dostaje je to piwo albo na piwo. Jest tak paszka, jak ty ulica. Stara ulica starego miasta. Na fasadach jej domów pozostają od czasów wojny dziury po odłamkach bomb.

Jako dziecko znalazłem tylko dolne fragmenty budynków. Znalazłem bardzo dokładnie. W smach wracają czasami pasma wyszczerzonych murów o odwalonych miejscami tynkach, o narożnikach pęczących od psiego moczu. Dziury i zagłębienia, jakie posiadały, były jaskiniami pełnymi skarbów. Cegła – materiał doskonały, którym rysowało się na krzywych płytach chodnika planse do gry w klasy i chłopka.

Dziewczynom grającym w klasy przy odświeżkach odsłaniały się majtki. Te dziewczynki są dzisiaj w większości przedwczesnie podstarzałymi kobietami, czepiło nawet babkami, bo ich córki, tak jak zrzęta i one, zostały w pierwszą ciążę w ostatniej klasie podstarzołki. Jedną z nich, z wiecznie postawioną twarzą, chodził po ulicy i zebrał o drobno: Uciulaną dwuzłotówkę przemieniała na piwo. Koleżki Andrzeja odnawiały się od niej. Ona znajduje się o karte niedługo. Ale najniższą kastą są narzekaciami. Ni to dzieci, ni dorofki. Chodzą z wielkimi, pustymi torbami. Czekają w bramach na swoich dobrze wypasionych „androwicził”. A tych zawsze wszystkich. Mógłby ich wskazać policji palcem. Ale to nikogo nie interesuje.

Narkomani zaczepiają mnie czasem, prosząc o pieniądze. Odmawiam finansownemu śmieci.

„Dom na wsi – sprzedam”

Kiedyś nad miastem świeci słońce, ulica widoczna z mojego punktu obserwacyjnego wydaje się nawet miła. Chodzi po niej, jakby bez celu, sąsiad z góry. Mały, lyny, chyba bezrobotny. Chodzi z synem. Syn nie mówi mi nigdy dzień dobry. Nikomu się nie kłania. W nocny lyny sąsiad zamienia się w królika i trzka namiętnie swoją wieczną przeprośzoną. Trzka i trzka. Łóżko ich skrzypi niemilosiernie, łóżko, które stoi dokładnie nad moim łóżkiem. Co drugi dzień sąsiad wrzeszczy na żonę, żona na niego, a w noc – trykanie.

Mój punkt obserwacyjny jest prawie doskonały. Ja widzę wszystko, mnie nie dostrzega nikt. Sam siebie nawet nie zauważam. To bardzo wygodne, ale niebezpieczne. Dzwoni telefon – dzwoni moja kochanka. Dzwoni telefon – dzwoni moja żona. Dzwoni telefon, dzwoni... Bóg wie, kto dzwoni. Nie podnoszę słuchawki.

Kiedy jest moko i błotniste, ulica przybiera swój prawdziwy wygląd. Jest szara i smutna. Nienawidzę tej ulicy, chociaż mieszkam tu niezmiennie od tyłu lat.

„Dom do remontu – sprzedam”

Kiedy mieszałem z rodzicami, po drugiej stronie mojego punktu obserwacyjnego, ulica wyglądała inaczej. Wyczołgała, bo widziana była przez mnie z innej perspektywy. Ale nie tylko dlatego.

Na ulicy były niegdyś dwie wspaniałe przystanki. Piwiarnia i bar z ciężtymi trunkami. Jakież Odysje miały tu miejsce. Od wyspy do wyspy. Jakież wojny trojańskie...

Na balkonik u rodziców znajdował się mój poprzedni punkt obserwacyjny. Stamtąd to oglądałem wędrowki chyboczących się „Judo”w. Na piwko, na jednego, ale to były porządki, przedwziewani pijacy. Oczywiście tych, którzy stoja teraz na rogu i po bramach, pijąc piwo wprost z butelki w dniu zwykłego, a z puszek w dniu otrzymywania zasiłku czy renty.

No właśnie. Widywałem mieszkańców ulicy dostając renty. Jeżeli nie swoje, to te, które odbiera własnym markom. Wygodne życie. Od rana do wieczora na ulicy. Pięknie opalone twarze, retoryka wyczołgana w nieustających dysputach. Jest wśród dyskutantów człowiek o kulał. Po zlamaniu nogi, przed laty, kość się nie zrosła i... renta. Kusytki-kusytki. Co miesiąc pieniądze na piwo przynosi listonosz. Raz, zupełnie wcześniej rano, dostrzegłem z mojego punktu obserwacyjnego owego kalekę, ale... bez kul. Szedł zważo przez ulicę. Cud.

„Dom z ogrodem sprzedam lub zamienię na mieszkanie w mieście.”

Antykwariat, Tak, choć może to dziwne, ale jest tu antykwariat. Kiedyś w jego miejscu był kioszek (jeszcze jeden kioszek), a wcześniej piekarnia. To tam odbył się mój pierwszą samotną wyprawę, aby kupić bułkę kajzerkę za czterdziestę groszy. Dzisiaj jest tam antykwariat. Evenement – sklep, w którym nie ma piwa. Na wystawie Platon, Montaigne, Ingarden. Chwiejący się wiecznie mieszkańcy ulicy zatrzymują się czasem, przed witrą antykwaryjną, patrzą, mrużąc, medytują... ale oni nie potrafią czytać. Składają z trodem litery kupownicę raz na kilka dni gęzety – to wszystko. Ja zatrzymuję się przed antykwariatem na dłuższą, czasami nawet coś tam kupuję, ale kontakt z jego właścicielem nie jest możliwy, bo to człowiek tak zamknięty w sobie i aodporny na ludzi, iż potrafi jedynie wymieniać ceny książek,

które zresztą rzadko przekraczają wartość jednej butelki piwa. Któregoś dnia zmienie on z tej ulicy, jak zniknął z Macondo Medezas Kataloński.

Po przeciwnej stronie jest sklep fryzjerski. Ten sklep był tutaj zawsze. Fryzjer, ten na rogu, też był tu zawsze. To stamtąd wychodziłem obrażony na cały świat, kiedy w czasach, gdy długie włosy u chłopców były symbolem nowocześnieści, nakazywano mi nosić się krótko.

Dzisiaj panuje „fryzurowa” dowolność. Przechadzający się ulicą panowie, ubrani w niemodne, prane domowym sposobem garnitury, mają lekko pofalowane włosy zaczesane na boki. U niemednego w tylniej kieszonce spodni grzebieczek mieszka. A młodzież się modni. Telewizja edukuje doskonale w tej dziedzinie. Dzięki temu dzwenzycy nie wystydzą się swoich pierśi. Z mojego punktu obserwacyjnego mogę obserwować różne ich odmiany (tych pierśi), rysujące się wyraźnie pod obcisłymi bluzkami i sweterkami. Okragłe, sterzące, długie, krótkie... Ciekawe.

Ciekawe jest, że nie widuję się już wariatów. Kiedys – byli. Każda ulica miała swojego matkoła. Co gramotniejsi zaczepiali przechodniów i gadali androny. Długo skłóły we mnie nieskrępowane wykwyty ich wyobraźni. Dziś nie ma wariatów. W zwariowanym świecie nie ma miejsca na szaleństwo.

Samochody – w ich kształtach aspidajudy że sobą odlegle ogół. Wóz drabiniasty i rakietka kosmiczna. Syrenka i najnowszy model mercedesa. Kochana syrenka, wysłniana, wyszydzona, ale jakaś taka ludzka.

„Dom do remontu, na wsi...”
Samochody powalają na chodniki. Ledwo można przejść, nie zawadzisz o blyszczące zderzaki. Kiedyś na ulicy stało jedynie kilka samochodów. Sprawdzaliśmy z kolegami, „ile mają na licznikach”. Zdarzało się, że i sto dwadzieścia.

Samochody brudzą chodniki kapiącymi olejem. Syrenka – nie. Ona ma silnik dwusuwowy, nie posiada więc miski olejowej. Kiedy pewny zmyślny ścisnął syberyski mroź, mało kto mógł uruchomić auto. Właściciel syrenki wsiadł do samochodu, przekręcił z nonszalnością kluczyk, zapalił i odjechał.

Ptaki. Ptaki to gołębie. Kiedys były tu także wróble, ale teraz można spotkać je tylko w pobliskim parku.

No właśnie, niedaleko znajduje się park. Nie widzę go z mojego punktu obserwacyjnego, a więc może jednak... nie istnieje. Istnieje ulica, samochody, ludzie. Istnieje niejasne wspomnienie parku.

Patrzę w martwe, czarne oblicze komputera. Widzę w nim niewyraźne swoje twarz. Wokół mnie balagan. Porozrzuca papierzyśka. Na jednych znajdują się skrupulatne obliczenia moich dochodów z ostatnich kilku miesięcy, na innych są skrupulatne wyliczenia moich strachów.

Na krakowianym papierze wypisuje moje strachy. To, czego się boję. Strach pierwszy – śmierć moja. Strach drugi – śmierć najbliższych. Strach ostatni – śmierć świata.

Niekiedyś mieszkańców ulicy nie zobaczę już nigdy, chyba że w snach. Zobaczę w snach Jęzka, który mieszkał na parterze domu rodziców. Pił, pił, ale w końcu przestał pić i wtedy dosięgła go śmierć niespodziewana, na progu nowego życia. A mógł nie przestać pić. Mógł pić nadal i żyć nadal.

Śmierć. Noc, późny wieczór, zasypianie i nagle – paskudztwo. Wszystko na nic, bo śmierć przyjeździe. Przecież Nie przyjeździe!

Kożę na śmierci. Stoł pod latarnią. Zawsze jest pełny. Na wierzchu strzykawki. Każda z kropelką krwi na cienkiej igle. To też śmierć. Śmierć na własne życzenie, ale jak trudno jej się oprzeć.

Ja też. Ja też. Moje strzykawki to książki, które nie pozwalają spać. To bicie serca, które nie pozwala spokojnie żyć.

„Dom na wzgórze – sprzedam.”

Punkt obserwacyjny pozwala określić aktualny stan świata. O wiele lepiej niż obrazki z telewizyjnych wiadomości. W pozubawionym uczone okienku napatrzę się na tak wiele, że mylęm obrazy z rzeczywistością. Wojna. Zylem przez lata całe z wojną za pan brat. Byłem piątym pancernym, drugim Klossiem i trzecim, czwartym – kimś tam. Grałem w mecie kanady. Jęczyli czolgi. Skofne, smutne oczy Wietnamczyków zmieniły się w inne smutne oczy, a te z kolei w jeszcze inne. Te częste zmiany zmierzchniły mnie nieco i dzisiaj innym jestem zainteresowany tym, gdzie aktualnie jest jakaś wojna, niż zapamiędaniem, czy na obiad będzie rosół czy zurek? Kuchnia polska, kuchnia niemiecka, kuchnia bałkańska.

„Dom po generalnym remoncie – zamienię.”

Gęba. Znowu pojawiła się obmierzła gęba z kąpią śliny na obwisłej warze. To symbol tego świata. W głowie szum. W kieszeniach wiatr. Świat stworzony po to, aby dostarczał piwa dla dzurawego żołądka właściciela gęby. Ta gęba jest zarafiłca. Gęby nosi już większość mieszkańców ulicy. I mnie dopada ona od czasu do czasu. Obnoszę się wtedy z nią po domu, po ulicy. Wsiadam do tranżajuwa i przylepiam gębę do okna. Jak się uda, to zostaje tam, jak nie, ściągnę z niej, czasem kilka nocy, i spada mi wrzeszcz w jakimś trudnym do przewidzenia momencie. Przez chwilę czuję się nagli, a potem... żyję spokojnie do następnego gęby.

Wieczór. Czasami w moim punkcie obserwacyjnym złapie mnie wieczór i ze zdziwieniem dostrzegam tę metafizyczną chwilę, kiedy zapalają się latarnie. Czasami mam nawet wrażenie, że na przyświecającym prąd trzyma palec tam Pan Bóg. A to przecież działa najrychlejszy automat. Bezduzny i, co nieraz stwierdzili, zawodny. Nie lubię automatów.

Ludzie w addissach. Maszerują ulica ludzic w addissach – białych (najczęściej) sportowych butach na wszystkie okazje. Ludzic ci mają nieco wydufane twarze, duże nosy i nastrożone włosy. Rzadko strzygą rzyżne włosy. Też lubią pić, ale pija je z pewnym umiarem, bo – w odróżnieniu od posiadaczy rzek – pracują. Późnym popołudniem wracają do domów z przewieszoną przez ramię torbę.

Czy młodzież wie, jakie ma przed sobą drogi wyboru? Młody człowiek może zmienić się łatwo w wyschłego narkomana o przepierzofowanym igła zych. Może zmienić się w grubego piewosza albo w kulawego rentiera. Przy pewnej dozie szczęścia można zostać właścicielem kiosku i z dumą (wszyscy cię witają) maszerować po ulicy. Właściciel ma chudą, złą żonę i chudą, też chybłą złą, córkę. Jest dumny z tego, że „cos” posiada. Ale i on jest zły. Nie chciał mi raz rozmiemci pięciu złotych. Ale ja nie jestem dobyteym klientem... nie kupuję gazet.

Za szybą kiosku – który stał w miejscu domu, gdzie znajduje się teraz mój punkt obserwacyjny – w małym koszyczku poupychane były przetrzawczy. Co to – pytałem. Lekarstwa – odpowiadała pani. No, tak. Były w kioskach prozaki od bólu głowy, mogły być i inne lekarstwa.

Ból głowy. Rzadko dopada mnie ból głowy. Mieszka tam na stałe inny ból, ból który z reguły nie chce tamtemu zrobić miejsca. Wtedy oczywiście ten zwykły, bo wystarczy wtedy wziąć tabletkę i... miją. A tamten trwa, trwa, trwa i trwa.

„Dom zamienić na dwa mieszkania w mieście.”
„Dwa mieszkania.”

Psy Sympatyczne zwierzęta. Ludzie z tej ulicy uwielbiają psy. To rodzaj atawizmu. Pies i człowiek. Oni (ludzie) nie wierzą w istnienie parku.

Psie kupy. Chodzenie ulicą to istny slalom między kupami. Niektóre są tak wielkie jak ludzkie, inne małe, ale każda po wstąpieniu w nią przylega się trwałe do podszewy, śmierdząc bardzo nieprzyjemnie. Tak śmierd na wsi – to rzecz normalna, naturalna. W mieście coś, co nie pachnie jak spaliny, jest smrodem.

Spaliny Spaliny są jak powietrze. Jako dziecko lubilem zapach spalin. Teraz przysparza mi to mdłości. Miejskie powietrze przynieszone jest spaliniami. To sarkofytki – taki sam jak ciecz w strzykawkach. Kiedy jestem poza miastem, pierwszy łyk powietrza wywołuje zawrót głowy.

Zawrót głowy. To coś innego niż ból głowy. Zawroty głowy czasami działają zbawienne. Czasami przyprowadzają o następne zawroty głowy, a tamte o jeszcze kolejne. Ale i one, jak wszystko, przechodzą. Pozostaje widok z okna.

Okna. Naprzeciw mojego punktu obserwacyjnego stoi budynek. Na pierwszym piętrze, w dużym mieszkaniu mieszkają młodzi ludzie. Dwóch chłopców i dziewczyna. Dziewczyna jednego z nich, a może obu. Jest suchupła, ma krótkie włosy i, kiedy się przezbiera, nie zasłania okien. To całkiem naturalne. Dla mnie. Dla innych nie.

Dla innych. Dla innych ludzi większość spraw, które uważam za zwyczajne, nie jest zwyczajna. Dla mnie codzienne upijanie się piwem nie jest zwyczajne. Ale piję piwo. Prawie codziennie. Nauczyłem się tego w Niemczech. Dobre i zinne. Najlepiej przed obiadem. Zdarzało mi się pijać piwo w małych knajpkach wraz z moimi niemieckimi przyjaciółmi-muzykami. Wybierałem wtedy warstweina – króla niemieckich piw.

Niemcy. Od czasu do czasu ulicą chodzą Niemcy. Zadzierają głowy i oglądają stare budynki.

– Tu mieszkał mój dziadek.

– Tu mieszkał wujek Joachim.

W głębi szafy moich rodziców leżą dwa albumy ze zdjęciami. Należały do rodziny Kurzbachów, która mieszkała w tamtym domu przed wojną. W mieszkaniu kolegi, przez którego ojciec tutaj pozostał.

Kolega ojca nie żyje. Tato ma wyrzuty sumienia. Kolega umarł na raka płuc; dużo palił. Mój ojciec nie pali, ale będąc chłopcem próbował – jak wszyscy. Nauczył palić kolegę. Kolega palił całe życie i umarł na raka płuc.

Rak płuc. Co drugi mieszkaniec ulicy powinien umrzeć na raka płuc. Pali oni tanie papierosy bez filtra. Nie umierają jednak na raka płuc. Umierają na marskość wątroby.

Marskość wątroby. Pijacka choroba, wywołana przede wszystkim pićciem wódki. Pito ją kiedyś tak lekko jak teraz piwo. Od wódki ciępała wątroba. Na co umierają piwoosze?

Piwoosze stoją w naroznym sklepie w długiej kolejce. Sklepowe uwijają się jak w ukropie.

– Jedno.

– Dwa.

O piwo chodzi. Kupują butelkę, idą do bramy i piją. Gorzej z sikaniem; leją gdzie popadnie.

Sikanie. Stare bramy śmierdzą moczem. Wejścia na podwórka są nim przesiąknięte. Całe miasto przesiąknięte jest moczem. Wenecja. Fosa z moczem.

Fosa. Są w mieście fosa. Pozostałość dawnej świątyni. Ale z mojego punkta obserwacyjnego żadnej fosi nie widać. Może więc istnieją tylko w mojej wyobraźni.

Moja wyobraźnia. To osobna historia, która nie pasuje do tego opowiadania.

Historia. Można wyczytać ją z fasad budynków. Fasady posiadają secesyjne zdobienia. Godzinami potrafisz wpatrywać się w zastylę twarze plaskorzezb, w motywy roślinne oplatające wysokie okna. Ale fasady wymagają renowacji, a renowacji się nie przeprowadza. Do czego bowiem byłoby to potrzebne tutejszym mieszkańcom, którzy sami wymagają renowacji? Wyglądając przez okno, nie dostrzega się niczego poza tym, co już od dawna tkwi w pamięci. To sytuacja bez wyjścia. Zresztą, nie ma to większego znaczenia, bo na tej ulicy jest tylko jeden prawdziwy punkt obserwacyjny – mój.

Porim jiamantzi

Krzysztof Rudowski



Stanisław Haspański. *Przeszłość przyszłego Rzymu* (rykl Enride)

GRAŻYNA IWANICKA

Martwa natura

Tylekróć w bezsilności opisane
kwaśne, słone stoly i martwe natury
gazu, ościłek po mleku,
korkociągów

Martwe natury owoców,
rozkrojonych cytryn
w spiralach skóry
i liniaży nóż – sprawa

Kwiaty syczące na wygiętych sztychach,
splaszczone pod werniksem
i nadmiernie barwne
jakby nie wodę pily
ale farbę

– to sztuczność

Życie jest kropką ręki
nieobliczalną
Płynną tajemnicą
zlewającą się i rozpryskową
zewnątrznego światła wokół ciemności.

27 października 1998

Sztambul

Chmury
podługne jak oczy kobiety
płyną nad wodnym oparem.
Miasta na widok
lecz w złotych czapkach
meczety linia
pośród dzid minaretów.

Azja kocznie nad Bosforem
z uporem stepowego lisa.
Zgiełk miasta jest
ni to porą zakładania obzo,
ni chwila odrotu.

Jest w tym niepokój
wiecznego przybycia,
niepewność losu,
kręty podstęp strachu.
Tylko chmury
pożółkłe jak oczy tygrysa
płyną zachłannie na zachód.

22 marca 1998

Portret flamandzki

Tę niegdyś istniejące
twarze
o młodych rysach
na bitystowych kryzach
leżące
jak głowa świętego Jana

patrzą z powagą i oschle
spod wypukłego czoła.

Malowane przez mistrzów
aby świadczyć
– o czym?
O krótkości życia
o śmierci podczas zarazy
w pologu
na burzliwym morzu

mówią to,
co miały ukryć.

11 stycznia 1998

Jesienne rondo

Znowu przyszedł pod twoje drzwi
– zraniona.
Numer domu bluszczącym patrzy okiem.
Obce są szeregi ciemnych okien,
lecz w jednym karmazynowa drzy
zastona.

Jak dźwięki są listopadowe mgły.
Jak skulone są moje ramiona.
Kule lamp jak młeczne wiszą łzy.
Przyciąga mnie pod twoje drzwi
karmazynowa zasłona.

10 listopada 1997

Secesja

Pawie – jak kobiety,
kobiety – jak pawie.
Treny sukien na gęstej
rozłożone trawie.

Z drzew jabłka spadają,
choć jeszcze zielone.
Kobiety mają
twarze odwrócone.

Ogród oddycha zarem
tłumiomym przez liście.
Plamy cienia parują,
cień plami małych kiście.

Zawieszone w gałęziach
i wysokiej trawie
nagie dzieci sprzysjąją
tej dziwnej zabawie

pawi – jak kobiety
i kobiet – jak pawie.

16 stycznia 1997

Gabinet luster

Popiesznie wznoszone szklane ściany ulic
zamykają ich przestrzeń w ciasny kalejdoskop.
Choć zwielokrotnia je pstry parawan luster,
domy bez okien mają twarze puste
odbijając bezwiednie mętny miasta bioskop.

Czekając na światła zielonego sygnał,
o rozdzieli pracujących aut Czerwone Morze
patrzy, jak najwyższy
choć niedbale skończony wieżowiec
chwile się na wietrze jak rozpięty rękaw
nie mieszcząc się w elipsie rozdwojonych powiek.

16 stycznia 2000

Lubelszczyzna

Znów pogodnie będzie
na wschodzie kraju.
Na pozostałym obszarze
mgły i zamglenia.

Jadę z cienia ku słońcu.
Asfalt coraz suchszy.
Szept liści zmienia się
w szelest, aż na zakręcie
z metalicznym furkotem
żółta brzoza trzecie
krociem złotych piemiążków
i jak sfalowany obrus
otwiera się Lubelszczyzna.

4 października 2000

Grażyna Iwanicka



Stanisław Hiszpański: *Dziwna i Enosza* (cykl *Enosza*)

Przechodzenie granic nieprzekraczalnych*

W ostatnią niedzielę kwietnia 2000 roku gazety miasta Baltimore odnotowały wydarzenie, które dla wielu mieszkańców miało być ostatnim etapem emigracji polskiej w tym mieście.

Zarządzeniem kardynała, księć św. Stanisława, najstarszy księć polski w Baltimore, zostanie zamknięty. Jeszcze tylko ostatnia śmiała w krypcie kościelnej, a 6 maja ostatnie zwiedzanie kościoła. Decyzja nieodwołalna, a jedyną wyłuszczenie, że parafia jest liczebno zbyt mała, aby utrzymać kościół. Ale ludzie szepczą o nieporozumieniach między parafianami a proboszczem. Mówią o zacieklej, upartej postawie Polaków. Ta trudna, przykra, jednoznacznie niezmienne ciekawa sytuacja społeczna zaistniała w czasie, gdy poszukiwaliśmy przepada, który mogłby posłużyć jako ilustracja w omawianiu znaczenia „trzeciej wartości” w procesie przemian psychicznych współczesnego człowieka.

„Trzecia wartość” pojawia się w moich pracach od przeszło 30 lat. Towarzyszy rozważaniom, zmusza do kolejnych krytycznych spojrzeń, aby lepiej, wyraźniej wytłumaczyć znaczenie tego zjawiska.

Znałam historię początków księć św. Stanisława w Baltimore. Pisałam o niej w opowiadaniach *Rzeka rzek*¹, ale nigdy nie spodziewałam się, że przyjdzie mi się zetknąć tak blisko z ludźmi, budynkiem i ostatnim proboszczem, ojcem Ross.

Tę kwintęwieć niedzieli drugiego milenium, na ostatnim nabożeństwie w krypcie kościoła, wrócił do mnie obraz tamtych nieszczęśliwych, udręczonych i przerażonych pierwszych emigrantów w stanie Maryland. Był rok 1870. Dobijali do brzegów Marylandu. Był planów, był pieniędzy, oszołomieni, wystraszeni podróżą. Przypiębieni wchodzili na nową ziemię. Nie wszyscy tu dotarli. Wielu z nich pochłonięto falami oceanu. Ale jakos się po siedmiu latach skrzyknęli. Tyle czasu trzeba im było, aby się zorganizować. Pracowali już, zarabiali. Mężczyźni w porcie przy załadunku i wyładunku okrętów. Kobiety w fabrykach kłosew. Pakowały w paczki krowy, faszolę i pomidory. Żyli prymitywnie, w barakach, świątynią ich koczowniczym był obcy, wrogły, dziwny i oni byli dziwni, odzianymi, wydawali się niebezpieczni ludziom, którzy przglądali im się z daleka jak curiosum. Przepaść pomiędzy nimi a prawdziwym światem amerykańskim pogłębiała się. A oni marzyli o własnym domu. Stworzyli Towarzystwo św. Stanisława. Opodatkowali się. I pierwsza rzecz – kościół.

Marzył im się kościół górujący nad całą okolicą. Ze wszystkich stron wdziercy. Z wiatrami w oknach, ze stajacimi Młki Pańskie, z organami na chórze. A z chru, spod wysokiego sufitu brzmiały ten sam język niezrozumiały, a świąty – język kościelny, łacina. W procesji Bogaśo Ciąła szedłby ksiądz

pod baldachimem, przed nim ubrane na biało dzieci rzucałyby płatki kwiatów pod nogi, a starsi w parafii szliby przeciągając długo i żarliwie pieśni przywiozione ze starego kraju. I świdły piosenki na tej ziemi tak surowej, tak obcej, która żywiła ich teraz, która przyjęła ich, ale nie całkowicie, na swoich warunkach, żeby tamtej ziemi-matki nie stracił, odrzyskali by swąokłość, poczucie bezpieczeństwa i radość naleźania, której nie zasnali, bo dla wszystkich tu byli obcy.

Szakali ksiądz. Znalazł się wliniam Piotr Konecz. Ksiądz Piotr miał duszę reformatora. Szeroka, litewska natura. I uparta. Nie uznawał przeciwności. Kazania głosił po polsku. Szkoła stanie i dom parafialny stanie – mówił. Stańdę. Parafian trymał krótko. Z ambony nieraz wykrzyczał. Nie wzywiał w Baltimore to się podobalo. Nie przysparzało mu przyjaciel. Kiedy 7 lutego 1886 roku wracał cieniem wieczornym na płocisno, kilka się na niego szacano Skoczyli, walił kijami, nura żelazna, czym popadło. Poblił, skopał. Dogrywał do rana. Pierwszy polski proboszcz kościoła św. Stanisława. Czysta zapadła nad tym modernizem. Policja zamknęła sprawę. Zastawiam się, kto zasniał? Swi? Obcy?

Juz nie myślę o nich. Odeszli. Wracam do terażniejszoci.

Siedzę w ławie kościelnej przejeżdżam niezrozumiały, przykrzym uczuciem straty. Księć jest pełen, ale nie przepalony. Twarze ludzi zamknięte, smutne. Nastroj jak na nabożeństwie zacięnym. Wydaje mi się, że ksiądz celebrytujący przy oltarze nie pasuje do ludzi zgromadzonych w kościele. Oni spojili, gołbi, bez emocji. On z trudną oporną niezwinowolność. Szacupła wyroka postać w brązowym hablicie. Ascecytury zarys głowy, krótko spiczasta brodzka. Dlaczego – myślę – dziecko kardynała odwieca księć Polakom? Co zrobili? Czego nie zrobili? Co to za ludzie? Kim są? Za kogo się uważają? Jak myślą? Co myśla o swoim proboszczu? Ostatnim proboszczu parafii św. Stanisława? Nie znam go, widzę go po raz pierwszy.

Franciszkanin odziedził od oltara. Opatry o kolumnie, w przejściu między ławkami, rozpoczyna kazanie. Widzę go teraz lepiej: plonące ciemne oczy w delikatnej, szacupłej twarzy. Mówi całym sobą. W tym słowistycznym kościele jest jak natchniona postać Sawonaroli. Głos wylętny od łyż. – Go beyond! – wola! – Wrnieście się ponad! Mieście odwagę – przywiejcie granice! Go beyond! – błaga – Go beyond! Ten księć, budynek, to tylko cegły, to rzeczy materiale. Odrzewicie się! Mieście odwagę! Go beyond! Mieście odwagę przejdź granice nieprzekraczalne.

Przez ostatnie dwa lata pracy duszpasterskiej, do której włączył się z takim młodzieńczym zapałem, nie poznał ich. Jak do nich mówić? Jak ich przekonać, że należy przekroczyć granice zwykłości, odrzucić marnost rzeczy materialnych, aby poznać prawdę. Unieść się ponad. Mnie osam nie umiał albo nie chciał się zmniejszyć, a oni nie mogli?

Z dwóch różnych poziomów starają się zbliżyć do siebie – proboszcz i parafianie, ale odszukują pełni zala i niezrozumienia. To pokolenie nie rozwinię w sobie pełni „trzeciej wartości”. Bódzcie trwało w jednostronnej wierności korzeniom.

A gdyby przemówił do nich słowami Papieża. Gdyby powiedział: *Wierność korzeniom nie jest mechanicznym kopiowaniem przeszłości. Jest ona natomiast zawsze bódzaca, a przede wszystkim bódzaca jest umiejętność tworzenia organicznej syntezy pomiędzy wartościami trwałymi a prowokacją dzieższego dnia.*

Czy zrozumieleby głębości sense zawarty w prostych słowach? Czy też zachowaliby jak formułę modlitwy nie próbując nawet interpretacji?

Kilkanaście lat temu zwrócił się do mnie Thomas Simons Jr., przybył ambasador amerykański w Polsce, z prośbą, aby mu pomóc w nawiązaniu kontaktów z Polonią w Baltimore. Zadaniem jego było studium socjologiczne Poloni i odpowiedź na pytanie: dlaczego wpływ polskiej grupy tak słabo zaznaczył się w polityce amerykańskiej? Kiedy spotkaliśmy się, aby przydy-

*Esz został wygłoszony 18 czerwca 2000 r. na zjeździe Polskiego Instytutu Naukowego w Krakowie.

¹ *Rzeka rzek* w zbiorze opowiadań *Słysz jak śpiewa Ameryka*, PFK, Londyn 1998.

kuwało wyniki jego pracy, pan Simons tak określił badania grupę i przyczynę, dla których Polacy w Baltimore nie angażują się w politykę na poziomie narodowym: *Stali się bardziej amerykańskimi niż Amerykanami, aby brońić swoich polskich wartości, które dostosowali do lokalnej sytuacji. Chociaż przyzwykli ich nie jest pewna, chociaż niewiele tracą przyjeżdżając do USA i mieszcząc, tworząc. Są. Po całym wieku ogromnych zmian, utrzymali się tam, gdzie zaczęli ich dziadkowie i rodzice. Pomiedzy innymi ułaskomi. Nie wszyscy. Ale ich terca są tam.*

„Aby lepiej zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, przyjrzmy się procesowi, którego wynikiem jest „trzecia wartość”³. Jest to wynik konfrontacji pomiędzy wartościami kulturowymi jednostki i wartościami kulturowymi otoczenia, w którym się znalazła. Zderzenie wyzwała dynamiczny proces zmiany, która wprowadza stres, zaburzenie homeostazy w życiu jednostki lub grupy”⁴. W zależności od swego stanu psychicznego i energii twórczej człowiek, przetruczony do innego otoczenia kulturalnego może wypracować twórczą syntezę pomiędzy wartościami odziedziczonymi i nowymi, i zapobiec kryzysowi lub go rozwiązać. Ten dynamiczny proces dający do syntezę reprezentuje „trzecia wartość”⁵.

Pojęcie „trzeciej wartości” zapożyczam od J. Lukaszewicza, wybitnego naukowca w dziedzinie logiki matematycznej, który twierdzi, że w logicznym systemie trzech wartości, oprócz dwóch propozycji prawdziwej i fałszywej istnieje propozycja trzecia, która nie reprezentuje ani pierwszej, ani drugiej, ale jest niezależną wartością trzecią. Jeśli za wartość pierwszą uznamy oddzielną kulturę, za wartość drugą kulturę otoczenia, to wartość trzecia będzie w tym układzie wartością niezależną, ukształtowaną dla osoby, która ją stwarzała poprzez jej własny wysiłek syntetyczny.

Odwaga, artyzm i ich zastosowania do syntez różnych kultur w procesie tworzenia nowej kultury (albo nowych wartości kulturalnych) staje się osiągnięciem wyższym, tym „beyond”, wznoszeniem się, przekraczaniem granic, o których mówił w swoim kazaniu święty Ross. Jest to wysiłek człowieka kreującego swój własny świat. Świat nowy, przekraczający znane dotąd granice.

Emigracja jest zmianą, jest silnym stresem zaburzającym homeostazę psychiki emigranta. Jeśli emigrant będzie silny i twórczo psychicznie, jeśli będzie miał odwagę stworzenia własnej syntezy – kryzys powinien być zażegnany albo rozwiązany. Wtedy może dojść do uświadomienia sobie ZMIANY i odczucia energii twórczej w przystosowaniu się do nowych warunków.

Zmiana taka nie będzie narzucona, ale przyjęta przez samego siebie jako twórczą – „trzecia wartość”. Natomiast parafanie i pastor kościoła św. Stanisława pogadani są w głębokim kryzysie. Nie mogli, nie umieli przywrócić homeostazy swojej parafii. Obwinają proboszcza, kardynała, jedni drugich. Nie mogą, nie umiają spojrzeć na cały system, w którym wszystkie elementy zależą od siebie.

Twórczy naukowiec widzą z wielkim doświadczeniem, że każde dzieło ma swój początek jako odczucie, wychylenie się w pewnym kierunku, zafascynowanie intrzygującym tematem, skłonność ku niemu. Intuicja albo inne niewyrażalne stany uczuciowe, dopiero później, po pewnym okresie „opiek” nad nimi, nabierają kształtu słownej wypowiedzi, a później jeszcze wypracowują się w racjonalny, logiczny i zwarty schemat, zwany teorią.

Tożsamość, osobowość, jaźń, identity, self – to wszystkie terminy określające pewną strukturę psychiczną zmieniającą się w czasie i ukształtowaną od otoczenia. Budulem jej są doświadczenia przeszłości i przekazy genetyczne wartości. Zmiany w osobowości są rezultatem przynajmniej lub odzrania nowych wartości i zatrzymywania lub odrzucania wartości dawnych.

³ Trzecia wartość. Wykorzystanie i natężenie. KUL, Lublin 1995.

⁴ Teorie stresu i kryzysu w zastosowaniu do sytuacji emigranta omawiam w książce *Emigranci polscy w USA*, KUL, Lublin 1991.

„W potuzkaniach odpowiedzi na pytanie: – Co to jest „trzecia wartość”, która sama zaczęła odczuwać po 30-letnim pobycie w Ameryce, a która tak trudno sprzykowała, szukałam pomocy u kilku wybitnych myślicieli amerykańskich. Dwóch z nich: Erick Erikson i Kurt Lewin to emigranci, a wśród wielu Amerykanów, którym zadowolaczam poznanie filozofii tego kraju, to Ralph Waldo Emerson, Walt Whitman, Margaret Fuller i Margaret Mead – najbliższa, która wprowadziła mnie do antropologii kulturalnej.”

Do „trzeciej wartości” zbliżalam się kilkoma drogami, które zbiegły się do piero po latach, poszerzając i pogłębiając znaczenie tego pojęcia. Prace całego mojego badawczego pola przebiegały daleko szerokie albowiem: klinika i teoria. Posuwalam się nimi jednocześnie. Prowadziło to do odkrywczych wniosków, zarówno w klinice jak i w teorii.

Bez możliwości obserwacji człowieka wykorzystanego, dialogu z nim, analizy jego układu rodzinnego, bez systematycznych sondazy sytuacji emigranta, nie zauważyłabym fenomenu „trzeciej wartości”.

Pierwsze moje myśli związane z „trzecią wartością” łączę z pracą nad *Rodziną przeszczepioną (Transplanted Family, rozprawa doktorska)*.

Chociaż praca nad *Rodziną przeszczepioną* przyniosła mi poważny ładunek konkretnych informacji o dostosowywaniu się rodziny polskiego emigranta do nowych warunków w Ameryce, to jednak odczuwałam pewien niedosyt. To znaczy nie znalazłam tego, czego byłabym może, nie wiedząc o tym, szukałam. Nie widziałam wtedy, że droga do poznania „trzeciej wartości” prowadzi przez kontrowersyjny, krytykowany i drażniące pytanie (w kwestionariuszu wysłanym do respondentów), pytanie nr 55: *Do you consider yourself Polish or primary American?*, a w nawiasie: *jak uczyla mnie Margaret Mead, aby spowodować lub zaostreć konflikt, dodałam: – no third choice, please**. Był to początek studiów nad „trzecią wartością”, z czego wtedy nie zdawałam sobie sprawy.

Od czasu badania „rodziny przeszczepionej” przeprowadziłam jeszcze sześć sondazy następujących po sobie grup emigracyjnych, kończąc w 1994 roku badaniem „Najnowszy emigrant polski w USA”. Badania te różniły się tematem, czasem, w którym zostały przeprowadzone, ale pewna grupa pytań pozostawała mało zmieniona. Dotyczyła ona tożsamości emigranta. Na przestrzeni niemal 25 lat mogłam zaobserwować zmieniającą się tożsamość emigranta, wstępującą identyfikację respondentów z ich polsko-amerykańskim dziedzictwem.⁶

W roku 1994, w próbie definicji „trzeciej wartości” pisałam: *Trzecia wartość jest energią wytworzoną na skutek konfrontacji jednostki i jej wartości z nowym układem. Są to konfrontacje kryzysowe, które mogą zaistnieć w trzech domach kultury: w technologii nowego kraju, w jego strukturze społecznej i w filozofii.*

Poprzez zdolność rozwiązywania kryzysów następuje uczucie satysfakcji z pokonania przeciwdy, uspokojenie, odczucie harmonii wewnętrznej i własną przetrzeć i z nowym otoczeniem.

Konfrontacja i rozwiązywanie kryzysów są następującymi po sobie fazami uczucia, zwłędzianka wiedzy o nowym systemie i o sobie samym, prowadzą do bogatszego sposobu myślenia, zwłędzianka niezależności i świadomości własnego rozwoju. (Trzecia wartość). Wykorzystanie i tożsamość, KUL 1995)

W dziesięcioleciach poprzedzających początek drugiego milenium zagadnienie tożsamości zwróciło specjalną uwagę naukowców, a zwłaszcza naukowców europejskich. Rozszerzono, pogłębiło i redefiniowano znaczenie

* W okresie od 1970 do 1994 przeprowadziłam siedem sondazy statystycznych. Pracowałam metodą ankietową i stosowałam również indywidualną i grupową wywiadu. W ten sposób dotarłam do 4000 osób z trzech bezpodkreśleń. Sprawdzana z tych ludzi znajdują się w książce: *Trzecia wartość. Wykorzystanie i tożsamość*, II wydanie zmniejszone i poszerzone. KUL, Lublin 1995.

tego pojęcia. Renesans nacjonalizmu, powrót etniczności, multikulturalizm współczesnych narodów nadeszły niespodzianie, niemal jak szok dla wielu naukowców. Może powinniśmy spojrzeć wstecz i przeanalizować prace autorów uważanych za twórców współczesnych nauk społecznych, którzy przepowiedzi słownie zniknięcie etniczności, etnicznych, narodowych i religijnych więzów w procesie unowocześnienia się społeczeństwa. „Wybuch” nowych narodów w Europie, nowy emigranci w państwach na problem ten nieprzygotowanych, niespotykane dotąd wielkie migracje rodzin w Afryce, Azji i Ameryce Południowej, cały ten burzacy się, zmieniający świat bije na alarm informując, przestrzegając, że tworzy się nowy człowiek, którego tożsamość kaź ludzka rasa zapisują w niezamym nam sposobie wypadki dziejowe. Tworzy się nowa kultura, która w procesie globalizacji będzie wytychała kultury rodzime, te korzenie tak cenne w rozwoju człowieka.

Okres, w który wstępujemy, okres globalizacji, będzie ostabiał odziedziczone podstawowe wartości. Jeśli twórcza walka o syntezę – tak jak w procesie „trójczy wartości” – zwycięży, wartości podstawowe powinny zostać zachowane.

Filozofia melting pot nie jest już miernikiem zmian w tożsamości emigranta. A jednak filozofia ta wciąż jest żywa. Krywys w parafii św. Stanisława jest przykładem stosowania tej filozofii w środowisku ludzi, którzy ją odrzucają. Ale im bardziej zamierkanizowani stawali się parafianie, tym bardziej stawali się Polakami. Randolph S. Bourne, wybitny publicysta zainteresowany polityczną i społeczną reformą, znany ze swego krytycznego filozofii tygla narodów (melting pot), w swoim słynnym esejie *Trans-National America*, opublikowanym w „Atlantic Monthly” w roku 1916 roku, zwrócił uwagę na proces asymilacji imigrantów. Odkryto, że wśród emigrantów europejskich od dawna trwała tendencja tworzenia małych narodowościowych grupowań, a im bardziej usamodzielniali się w Ameryce, tym bardziej pielęgnowali tradycję starego kraju. Na swój sposób wchodził w rolę Amerykanina. Stając się Amerykanami stawali się bardziej widocznie reprezentantami swojej europejskiej narodowości.

Zachowujemy się – pisał Bourne – jakbyśmy chcieli amerykanizować imigrantów na naszych warunkach, a nie zgodnie z tymi, którzy mają być amerykanizowani. Wszystkie nasze skomplikowane maszyny osiedlania, zakładanie szkół, stowarzyszeń, naturalizacji politycznej i społecznej będą się posuwały zgodnie, dopóki nie przestaniemy lekceważyć ich prawa do tworzenia samego siebie.

Historia kościoła św. Stanisława jest historią Ameryki i historią wielkiego „tygla narodów”, który nie spełnił swego zadania, gdyż każdy człowiek jest istotą niepowtarzalną, światem sam dla siebie i każda próba standaryzacji wcześniej czy później spotka się z porażką.

6 maja pojechałmś zobaczyć po raz ostatni wnętrze kościoła. Przykro to był widok. Ślady kościoła widoczne już od dawna spodziwiali się swego losu. Jak każdy budynek przez lata zaniedbany, wymagający gruntownej reperacji, staczał się wolno w swojej zgrzybiałości odrzucony, niepotrzebny. Wiele tu było przedmiotów, które powinny by się znaleźć w muzeum emigracji. Ubożacze to były rzeźby i obrazy, proste w kompozycji witraże, ale także bogate w historię tych przyszłych w za oceanu, którzy dumni byli ze swego kościoła i budowali go na wieki. Była w tym kościele swojskość, odznaczał nawiastniawających się lat, była pamięć dni dobrych i pamięć mieszczalcę i klęsk. Najstarszy w osiedlu wital przybywające okręty. Widać go było z chłeka „Zaś lad lat. Pamiętał darty chrobaków, ślubów, zgonów. Stał się tradycją tego społeczeństwa, korzeniami, którymi poprzez ten kościół sięgali do własnej przeszłości. Korzeniami, które po raz drugi zostały przecięte.

Bank Lane, 28 maja 2000

Danuta Mostwin

In memoriam

DANUTA KOSK-KOSICKA

Przetrzasanie
jak uzbrojone szkło
stawiając siły opór
tnącymi ulwami wchro
po rozbiću rozypaję się
krzemionkowym pyłem
w chaos drucików

co od szepta
rdzewieją i gną się

Zanim wieczór ściemnieje

Zanim wieczór ściemnieje
ptaki głośnieją w stadach
i psy coraz zwiawiej
wyłapują pchły

lub nieruchomieją w pół szczekania,
różę przysajają
przy zapalonych latarniach
a ucięte gałęzie ostarkim zapachów
garną się ku ziemi. Wpleceni
między ciepło murów i chłód ogrodów
wsluchujemy się
w zapadanie nocy

Powrót

Furka otworzyła się bezszelnie.
Zsunąłmś sandały i w piasku wśród osen
międko stawiałmś stopy. Pachniało słodkością jaśminu,
szorstkością desek z tataraku, szlestem kropli mleka
strzykających w blazany skopek.
Wydalo mi się, że wchodzę w rzeczywistość.
Jeszcze tylko zakręć, kilka obejść i będę.

Alc meszki czarnym rojem omotały mi głowę
i powiodły na klające pole, którego skrajem
chylkiem przemąkał się jakiś zwierz.
Trzeba wracać – pomyślałam.

Naprzeciw moim śladom odcinającym
między szyszkami, drzazgami i strzępkami bielei.
Przed furką meszki znikający
i znów poculałam ten nierzeźwisty spokój.
Przez pokrętną chwilę zdalo mi się
że zobaczę
za czym tęsknilam.

Cienka niebieska linia między żywym i nieruchomym

W Muzeum Narodowym studenci sztuki
czytają obrazy. Wspaniale kostiumy –
żółta róża, niebieska szarfa, perłowy
guzik – dokładnie jak namalowane. Stoją
lub siedzą obok nieruchomych postaci,
w takiej samej pozie. Potem, obserwowani
przez tłumy, odchodzą korytarzami
pozostawiając tło i swoje alter ego
stworzone przez mistrza przed laty.

W wodnej sukni, niebieskiej jak chabry
i białym laboratoryjnym fartuchu z czerwonymi
literkami „Dr” wysztytni nad sercem ozywam
na tle amerykańskiej flagi przekłutej szeregami
drzewi. Najdalsze otwierają się na piaszczyste
Mazowie z wierzbą Szopca. Wyciągam rękę
i wybieram listek wierzby, kwiat bzu, ziarno piasku,
włoski orzech z drzewa obok bielejnej wapnem chaty
Zdejmuję fartuch. Spoglądam przed siebie, za siebie
kilka razy. Przystaję nieruchoma na granicy obrazu.

Baltimore, luty '98

* * *

z twarzą jak całun
przysła zbierać
skorupy dzbana rozrzucone
w pokrętnościach czasu
między ścianami bez domu
zeby jakoś złożyć z nich życie.

In memoriam

na śmierć Zbigniewa Herberta

Może przechodząc przez skrzyżowanie,
spod lipy patrząc na wiatr w studniach światła,
podnosząc okrzyk z rozbitego dzbana,
w pół słowa w księżde ciemno zapisanej
lub w myśli jeszcze nie potwierzonej
albo jak na łąkach zielone anioły
umierają po trochu poeci

Baltimore, lipiec '98

Danuta Kosk-Kosicka



Stanisław Huzarski: *Rektor i Tamnacy* (cykl *Rektor i Tamnacy*)

MACIEJ MALICKI

Ogryzki z NY

The mysteries take place
at the central railway station,
not at the Goethe Grammar School.

Joseph Beuys

I

Z Warszawy ranó. Małym Boeingiem do Frankfurtu. Tam trzy godziny przerwy. Chodzę, rozmawiam, siedzę. Ludek. Jestem łysy i mam mały bagaż. Walizkę i torbę. Piszę, bo zauważyłem, że myślą.

Łysy, z brodą i ma tki mały bagaż, hm.

Z Frankfurtu najwięcejzym Boeingiem do Nowego Jorku. Obok chłopak. Murzyn. Pięć koniak z lodem. Ameryka. Za okienkiem, właściwie pod, też lód, góry lodu, wieczne lody. W Nowym Jorku ładujemy o 15.10 ich czasu. Blykawiczna odprawa, znajduję stanowisko Connecticut Limousine, zamawiam najbliższą, siadam na podłodze, czekam. Siedzę przy drzwiach, za nimi podziemne, tunel. Podjeżdżają samochody. Słychać klaskany i gwizdki. Kociół. Przychodzą metczyma, kierowca. Starszy, siwy Biały Idziemy. Granatowy dodge. Wyjeżdżamy z drogi, stajemy. Wiśnada kilka osób. Słońce. Jedziemy. Wręca tu, to nie piszę. Po czterech godzinach wysiadam w Hartford. Ma czekać Piotrek. Nie czeka. Siadam. Pałę. Są z Łaskaczem.

Cudem uniknęliśmy poważnego wypadka
W Amherst o 21.30 Jola, Marcel śpi, kolejka. Spacer z Piotrkim. Wracamy o czwartej rano. Ile to ja nie spałem? Długo.

II

Nowy Jork. Port Authority Bus Terminal. Róg 9 Avenue i 41 West Street. Czekam na Janusza przy kasach. Czekaam. Pała, Patrzę. Okrągła ściana z kaskami. Bez kolejek. Bez hadzi. Bilety są. Jakis kupuje. Na schodach napisy – nie siadac na schodach. Siedzą. Of Jest kolejka. Białe postaci przed futrynami. Rzeźba. Ladna. Jest Janusz. Czekal przy kasach. Innych. Dwa piętra niżej. Wielki i pokroczony dworzec. Wychozimy, dochodzimy do Broadwayu i nim, wolno, upal, do 72 West. Dokładnie – 260 West Street, Apt. PHB. Ale Murzynem. Po całej drodze. I Murzynem. Janusz w czerwonej podkoszulce, dzinsach, adidasach. Znana torba. Ze skóry, czarna, duża, na ramie. Jestem zmęczony. Choć podróz z Amherst dobra. Dwoma autobusami Peter Pan z przesiadką w Springfield. Bez wrażeń. Gorąco, brudno, kolorowo, głośno. Jednak z wrazeniami. Okolice 42-giej i sama – słynne okolice. Występnę. I wysokite domy. Manhattan. NY.

III

72-ga w swoim zachodnim odcinku to południowy bok kwadrantu, południowa granica West Side'u. Pozostałe boki to: północny – 110-ta, uważana za początek Harlemu, zachodni – Hudson River (jeżeli zostaniemy przy uli-

cach – Henry Hudson Parkway), wschodni – Central Park West. Ta ostatnia to Eight Avenue, która na długości Central Parku tak się nazywa. Niciełe miejsce, dwa kroki do metra. Stara, wybudowana w 1904 roku stacja – 72 Street Station, na skrzyżowaniu 72-giej, Broadwaya i Amsterdam Avenue. Dom pogrzebowy, dobra francuska restauracja, chyba kino, Koreańczyk z owocami, sklep ze wszystkim, księg z gazetami, dwie pralnie, ryby, kanter bookmakera, pizzeria, jeszcze coś, nie pamiętam. Dwa kroki do Verdi Square, sławnego kiedyś Needle Park. Dziesięć minut od Dakota Haas, gdzie został zastrzelony John Lennon.

Winda na dwunaste piętro, schodami na dach, na dachu domek. Dwa pokojki, łazieneczka. Książeczki, krzeselka, stołeczki, kanapka, szklanki, czajniczek. Komputer. Wczorzem widok z dachu. I odgłosy samochody, rytny, klaskony, helikoptery. Cały czas. Zlewik zapachny, kuchnia gazowa nieszczelna. Śmierdzi. Kibel na schodach, trzeba iść z dwoma kłaczami. W kiblu książki i narty, jakieś reprodukcje. Jeszcze telewizorek, ale w domu. Małe miejsce dla jednego. Nas dwóch.

IV

Cały czas dzwoniłem. Do pani D., dostałem telefon od J. i G., powiedziała że-bym powołał się na M. Powołałem się, dostałem telefon od Franka. Zadzwo-nilem

– Dzień dobry, czy mogę mówić z panem Frankiem?

– Dzień dobry, odpowiedź się, jaki pan, Frank.

– Maciek.

– Zadzwoń wczorzem.

Zadzwoń wczorzem. Po całym dniu w Central Parku.

– Jest praca, bądź jutro o 7.00 na rogu 57-tj i Lexington Avenue, coś tam bu-duja, fontanne, okrągła, z marmuru.

– Dobrze, jak się poznam?

– Nie wiem, a ty?

– Broda, wąsy, biała czapka z dużym daszkiem albo łysy, okulary.

– Znajdę.

Postanowiliśmy zrobić wieczorny spacer do miejsca jutrzejszego spotkania. Topograficzno-czasowe rozpoznanie. Miejsca od 57-tj i w lewo. Jest. Idu. Wielka rama wbita w asfalt, z niej kłęby pary. 57th Street, Playhouse i Festival Theater. Kolejka. Pierwszy światowy festiwal filmów zorganizowany przez ILGA (International Lesbian and Gay Association). Hotelle Salisbury i Parker Meridien. Carnegie Hall, Art Students League. General Motors i IBM. Knafsky Arts Center. Broome Gallery, zwiastująca między Avenue of Americas a Fifth Avenue. Ale dalej też. Hard Rock Cafe z wystającym nad dźwiami tymem si-mochodem. Inne stacje, inne knajpy, ludzie. Dobry marsz do pracy. Trzy-dziesięć minut. Ustaliśmy pod okrągłą budowlą. Zapaliliśmy. Za plecami wysoki bank, przed oczami sala tańca. Tańcza, Widzę, bo oświetlona. Rzeźby kobiecy. Wypaleni. Murcam wolnoitno. Na Broadwayu, w okolicach Lincoln Center tańcza trzej. Wracamy. Czwarły gra na perkusji. Te kobiecy z sali tańca tak nig-dy. Choćby nie wiem jak się sprężyli. Wróciłem późno.

V

Wstałem z podłogi. Przynioś z zalananiem podłogi, szklanka mleka, winda, ulica. Wczorajsza trasa. Po drodze kawa w kubek od niebiesko-lustrzanego

McDonalds. Siadam na murku pod okragłą budowlą, Kawa, papieros, tańcza. Te kobitki co wczoraj. No, pewnie inne, zresztą, cholera wie, może dwa razy dziennie?

Kręci się budowlanice w czapce.

- Franek?

Mówi po angielsku, że nie wie, o co chodzi.

Podchodzi dwóch.

- Maciek?

- Tak.

- Cześć, Franek, Waldek.

- Cześć, Maciek.

Idziemy kawaleczek, cofamy w 57-g.

- Posprzątajcie wszystko - kaže Franek.

Malotki ogródek między drapaczami, krzewy, stoliki, krzeselka, drzewka w donikach. Dużo takich na Manhattanie, są własnością banków, koncernów, biurów. Małe, jak ten, większe, zawsze z roślinnością, często wodospady, zawsze krzesła, ławki, stoliki, występy. Żeby usiąść, napić się kawy, zjeść w przelocie, pogadać, odpocząć. Działają w tych samych godzinach co właściciele.

Sprzątam z Waldkiem. Wszystkie znane śmieci po murarzach: deski, wiadra, worki po cementcie, gwóźdź. Potem myjemy podłogę. Bo jak nazwać piękne marmurowe płyty? Fantazjynie ułożone w przemyślny wzór? Podłoga Franek z wioski pod Leżajskim, Waldek z Ursusa. Franek już dwa lata, Waldek - tydzień. W Ameryce. Poznaje Jurka, inżyniera z Gdańska, szef naszej grupy. Po południu przyjeżdża drugi Waldek, właściciel Firmy. Coś krzywo na mnie patrzy. Ladujemy cały ten syf na samochód. Drugi Waldek - szczaw z Poznania. Malutki, potężna łapa, ogromny samochód. Jeszcze myjemy, bo mówi, że brud. Jak w wojsku. Marmur, szczołeczka. Dobra. Jezu, jak czysto. Można spuszczać wodę, bo sprzątałismy po muruwaniu ściany, po której będzie spływała woda. Wodospad.

- Jutro w banku, na rogu, o osmej - mówi Jurku.

Wracam do domeńku. Przyniszc, zjeżdżam po kurczaka, wracam, jem, wraca Janusz, piwo, trochę telewizji, książka. Spać. Aha, jeszcze pranie. Pierwszy roboczy dzień w NY. Amen.

VI

Po tygodniu pracy w banku zawolał mnie szczaw z Poznania. Waldek.

- Zwalniam cię. Jesteś za inteligentny.

Pozostaję do sąsiedniej firmy. Jerick Construction, 68 Hansen Street, Greenpoint, NY 11222. Mówią, że Jerick to przyrodni brat Bronisława Gozeka. Nawet podobny. Przyjął mnie. Już do końca w niego pracowałem. W kilku miejscach na Manhattanie. Zaczęłem na dachu szesnastopiętrowej kamienicy na 57. 57 E. 444.

VII

Kamienica, której dach remontowaliśmy stała w bardzo przyzwyczajonym miejscu. Ta część Manhattanu, mocno bogata i bezpieczna, nazywa się Sutton. Na dachu miałem ulubione miejsce do słońca. Naroznik ograniczony sięgającym do pasa murkiem. Wcisnąjąc się w naroznik byłem skutecznie osłonięty, mogłem udawać, że nie sikać. Brałem się pod boki albo krzyżowałem ręce na piersiach, a sikałem. Oszukiwałem, otoczony wyższymi domekami, a co za tym idzie, kilkuset ludzi z kilkuset okien mogło patrzeć. Nic nie przesadza-

Taka skala. Miałem tę świadomość. I był piękny widok. Czasami przychodzilem, żeby tylko popatrzeć, nie sikać. Na Queensboro Bridge, w dole fragment 57-jej i 1-jej Avenue, mamy parkiec przy niej, East River, kawalek Roosevelt Island, a dalej, dalej zamglony, niebieskawo Queens, czarnymi wagonikami kolejki linowej łączącej 2-gą Avenue z wyspą. Tramway, jak mówią.

VIII

Wolny dzień. Deszcz.

- Jęzeli pada, nie pracujemy - zapowiedział szef grupy.

To nie. Przyniszc, śniadanie i do metra. W F na Church Avenue. Luzno. Postanowilem tym razem pochodzić po dolnym Manhattanie. Pierwsza stacja F na Manhattanie, to East Broadway. Wyśladam. W lewo, Chinatown do SoHo. Idę West Broadwayem. Patrzę, po lewej, (420 W. Broadway), galeria Leo Castelli i wiesz, tutaj od 1957 roku wystawiali Rauchenberg i Johns, późni Warhol i wspani, Europejczycy też - Capogrossi, Dubuffet, Klein, Tinguely. Dobra, idę dalej, skracam w prawo, w Princeton, w lewo, w Greene, patrzę - Leo Castelli, kurwa, nie wiem, może to tutaj? 142 Greene?

Kupuję gazete, kawę, siadam na chodniku przy stoliku, pada, ale parasol. Zaraz, zaraz, jak to było?

- Masz papierosa? - pyta jakiś.

- Proszę - ciągnę.

- God bless you - kłania się.

Świta mi. Ani tu, ani tu.

Mówi Leo Castelli... wówczas to postanowilem otworzyć własną galerię, początkowo bardzo skromną, w mieszkaniu na czwartym piętrze przy 77 ulicy - bez zezwolenia i bez zrydlu, było to w lutym 1957 roku...

Następna kawa. Regular. Nie można się. Przeszaję padać. Nawet słońce. Wyciągam na nie nogi, mokre tenisówki. Oj, dofracz.

W 1958 roku, w galerii Leo Castelligo, przed jednym z obrazów stoi famio Stoi, stoi, patrzy odchodzą, wraca patrzę. Stoi. Nad zdjęcie-czarną tarczą strzelniczą, na czerwonym tle, umieszczone są fragmenty zniszczonego ciała Z. gifera. Każdy w małej niszce z drzewkami, które można zamyskać. Fanio to Alfred Barr, dyrektor MoMA. Kupiłby obraz, obawia się jednak trudności z ekspozycją, ponieważ w jednej z nisz znajduje się pomalowany na zielono kutas. Pyta więc nieznanego Jaspera Johna.

- Panie Johns, czy można zamknąć drzewki przy penisie?

- Co jakiś czas można, ale nie na stałe.

Barr powstał, pokłonił i poszedł. Nie kupił.

Stolicę Pieknie. Docieram do prawdziwego Broadwayu. Nim do 53-jej, w prawo nią do 9-jej Avenue, w F i do domu. Wieczór, upał. Na Church kupuję u „Ruska” chleb, młoko, jogurt, trochę srynki, piwo i codzienną trasę, dziesięć minut na Ocean Parkway.

- Gdzie byłeś? - pytają chłopaki.

A tak łazilem, tu i tam - odpowiadam.

IX

Pewnego dnia, na dachu, wola mnie Blacharz. To ksywa. Murzyni z firmy myśleli, że to imię, wytrzymałem im, że to zawód. Nie byli to Murzyni Amerykańskie, dwóch z Senegalu, dwóch z Haiti (ci to w ogóle, po francusku), nie bardzo wiedzieli, o co mi chodzi, ale pełni doboych chęci zaczęli wołać na Blacharz - Profession. Blacharz miał na imię Stachu. No więc, pewnego dnia, na dachu, przy 57-jej, wola mnie Blacharz.

— Zoba, gołą kobietę maluje!

Patrzę, rzeczywiście, w dole, przy sąsiedniej, 56-jej, duże okno, podniesione, w nim kobieta w czerwonym szlafroku, z paletą, przed sztalugami, maluje drugą, nagą. Popatrzyliśmy chwilę, ale musieliśmy lecieć na drugą stronę, bo się lepił zagotował.

Później, później, w Świdrze, czytam:

... Mondrian zamieszkał początkowo w budynku przy 353 East 56th Street (to mogło być tam, gdzie malarka w czerwonym szlafroku, pomyślałem), a następnie 15 East 59th Street, czyli na Manhattanie ...

— Też niedaleko, też pomyślałem.

X

Czasami, przeważnie w piątki, wracam z Greenpoint. Musiałem przestać się z G do F. Robiłem to na stacji Smith-9 Sts. Przesiadka była też na dwóch innych stacjach — Carroll Street i Bergen Street. Ale nie. Zdecydowanie woliałem tę pierwszą. Dlaczego? Bo była na powierzchni, nie w tunelu. Staję tyłem do torów, z ręką wysoko nad głową, z palcami wczepionymi w siatkę, patrzyłem na południowy czubek Manhattanu i Statuę Wolności. Blżej, pod nogami, parking samochodów pocztowych, białych, z granatowymi reklamami. Za nim — McDonalds i już woda. Aha, prawie nad McDonaldsem wiadukt BQ Expressy. Zawsze zatłoczony i głośny.

Dażna to postać, kobieta z miśsią ręką. Lady, jak mówią. Ma twarz matki Frédéricą Bartholdiego, twórcy projektu, waży 225 ton. Mało! Myślałem zawsze, że z kilka tysięcy. Nie! Jest wykonana z cienkiej blachy. Bartholdi zwrócił się o pomoc do Gustave'a Eiffila i dlatego krzyżując się wewnątrz rozpory przypominają wzmożeniście charakterystyczne dla paryskiej wieży Eiffila. Wieża Eiffila okryta płaszczem z blachy występującej w kształt kobiety. Odbiornika w 1886 roku. Dar narodu francuskiego w setną rocznicę odzyskania niepodległości.

Przyjeżdżało F. Wsiadałem. Zawsze w tym samym miejscu, do tych samych drzwi.

XI

Na dach, chyba w początku lipca, tak, przyszedł do pracy młody chłopak. Małolat. Jurek. Z Warszawy. Ładny brunet. Niebieskie oczy, wysoki. Jego ojciec, mieszkający od kilku lat w Nowym Jorku elektryk, zafundował mu amerykańskie wakacje. Jurek zjadł do trzeciej klasy liccum, chyba Rcj, nie pamiętam. Rodzice po rozwodzie, mieszkał z matką i starszą siostrą. Matka miała sklep z butami na Pradze. Szefem grupy z 57-jej był przyjaciel ojca Jurka. Henryk z Rzeszowa. Henry. Dogadali się, że Jurek na kilka tygodni wejdzie w skład ekipy dachowej. Ojciec pracował w Harlemie i pewnie dlatego wolał ulokować syna w bezpieczniejszym miejscu, pod okiem przyjaciela. Miły chłopak. Wracaliśmy razem z pracy. Spacerem do metra, po drodze Jurek kupował pizzę i kubeczek owoców. Sinaldino na schodkach, on jadł, ja paliłem. Czasami piłem kawę albo coś innego. I też paliłem. Wsiadaliśmy do F na Lexington-3 Avs. Wyjątkowo duża stacja. Tropik. W wagonie wyciągałem coś do czytania. Jurek zapytał.

— Nie śpisz, zaraz twoja stacja — powiedziałem kiedys.

— Nie śpię. Mam tylko zamknięte oczy. Wymyśliłem gę. Wybieram jedną z kobiet, dziesięć, chwilę obserwuję, zamykam oczy i wyobrażam sobie jak wygląda nago, piersi, uda, brzozy, plecy. Potem idziemy do łóżka. O, popatrz, ta Murzynka...

Jurek wysiadł na 15 Street Prospect Park. Ja chciałem jeszcze dwie stacje, do Church Avenue.

XII

W niedziele wybrałem się do Jamusa, który od kilku dni mieszkał w nowym miejscu, wynajmując pokój u dwóch sióstr z Kalifornii co tam studiujących i pracujących w Nowym Jorku. 169 Manhattan Avenue, apt. 4 F. Manhattan, na granicy West Side's, Morningside Heights i Harlemu. Z F przesiadłem się na Jay Street Borough Hall (albo West 4 Street Washington Sq., nie pamiętam) do C. Stare, inne wagony metra, ładne, z błyszczącą, aluminiową blachą, można przeczłodzić z wagonu do wagonu. Co ranośki. Rączki do łapania ręką dla stojących, szare foteleki i ławeczki pod oknami. Po każdym ruszeniu ze stacji na moment pasło światło. Bardzo głośno, huk wentylacji. Gorąco. Starsza siostra klimatyzacja. Prawie sama Murzyni. Im wyżej w górę, im bliżej Harlemu — sami. I ja. Mnie nie było. Wsiadłem przy Cathedral Park, 110 Street. To ulica zamykająca od północy Central Park. Początek Harlemu. A ja nie, w lewo jeszcze raz w lewo. Dom, w którym mieszkał Jamus, domofon plus kamera telewizyjna z nim sprzężona. Widziś, kto do ciebie dzwoni. Efekt dzielnicy. Miejsca. Wymóg.

Zycie na ulicach.

— Widziś tych na rogu? — zapytał Jamus wskazując przez okno na grupkę mężczyzn grających w domino przy stole stojącym na chodniku.

— Nie wiem, na czym to polega, zawsze grają, rano, kiedy idę do pracy, kiedy wracam, w nocy, w deszcz, tylko parasole — dodał.

I muzyka. Wszędzie. Z samochodów, radiodiodiołków niesionych, okien Dżetci Ruiny. Wypalony szkielet kamienicy Zupacy. Przypraw. Dżim dom Jamusa. Nie dziwi. Kontrofensywa miasta. Przyczółek cywilizacji. Wypieranie Harlemu. Coś z tego. Tak myślę.

Później spacer do Columbia University, Broadwayem. Ładnie. Papieros na schodach. Wyszliśmy z drugiej strony, na Amsterdam Street. Katedra Oplecioną siarką ruszowała. Dżim. Wielka Ogromna Gotycka. Cathedral St. John Divine. Largest gothic cathedral in the world — 10000 worshippers, czytano. Dla spokoju dżim — wybudowana w 1992 roku, architektki — Heins i La Fargo, ci sami, od stacji metra przy 72-jej. Największa na świecie katedra gotycka w Nowym Jorku.

Obiad w węgierskiej restauracji, oczywiście gulasz, oczywiście cegribaker. Kefer blondej, ale Wegier. Gadu, gadu. Pada deszcz. Zastłaniem prawe przedmiatem, wygląda jak preparat anatomiczny, poparzone wrzącym lipkiem, nie chce pić. Jamusowi przyjemności jedzenia. Przelatwałem lepił z pojemnika, w którym go gotowalem, do wadra. Powiał wiatr, jak to w Nowym Jorku, jak to na dachu i wzmiało na rękę. Lepik dla się usunął, ale ze skóra, potem bąble. Faj. Jeszcze nam słady. Dwa. Do końca życia. Deszcz ustal.

Potem drugi spacer. Do metra. Mokre ławki. W wagonie sam z Murzynką — Daj dolara — poprosiła.

Dalem. I papierosa. To ona mi do rozpetka.

— Dżukuję bardzo, nie — powiedziałam.

Odeszła.

XIII

Przez kilka tygodni, kiedy pracowalem przy 57-jej, wsiadalem rano z F na stację Lexington-3 Ave. Przyjeżdżałem wcześniej, aby mieć dosyć czasu na

zjedzenie śniadania i spokojnie dojść do kamienicy, której dach remontowaliśmy. Z tym dojściem kombinowałem różnie. Staralem się codziennie iść inną drogą. Było kilka wariantów, które umożliwiały prostokąt wytyczony przez 3 i 1 Aleję i 53-cią i 57-a ulicę. Na przykład – szedłem z 53-cią do 57-jej i w prawo, albo 3-cią do 54-jej, też w prawo do 2-jej i w lewo do 56-jej, tą w prawo do 1-jej, tą z kolei w lewo do 57-jej, znowu kawaleczek w lewo i już, do 57-jej i dochodziłem do celu. Daję słowo, że tym sposobem wykorzystaliśmy wszelkie wiadomości narzucone przez układ ulic, ba, kiedy je wykonałem, powtórzyłem to samo jeszcze raz, chodząc drugimi stronami ulic. Ale i to się skończyło. Wtedy zaczęłam wyściadać na poprzednim przystanku F – 5 Ave. 53 Street. Bardzo mi to powiększyło pole manewru, choć miało i ujemną stronę – musiałem wstawać pół godziny wcześniej. Co tam. Warto. Ale to było później, wracam na Lexington.

Wychodziłem z metra wrócić na typowy wózek z kawą, herbatą, ciastkami i parosolem. Obsługiwał go młody Irańczyk. Zamawiałem herbatę z cytryną, parosolem cukrem i zawsze to samo ciastko, coś w rodzaju francuskiego przecieka z marmeladą. Siadałem na marmarowym, półokrągłym murku otaczającym wyjście z metra. Jadłem, wypalałem pierwszego papierosa. Po kilku dniach właściciel wózka zaczął mnie rozpoznawać. A jeszcze po kilku, widać mnie wyróżniającego się spod ziemi zaczął robić herbatę z podwojnym cukrem i cytryną, kładł na ładce ulubione ciastko. Na murku siedzieli zawsze ci sami. Też coś jedli i pali. Też od niego. Kiedy kończyliśmy podchodził do nas starsi Murzyn z miotłą, szefkłała na drugim kiju i pojemnikiem na śmieci, do którego wrzucaliśmy kubeczki, papierek i pety. Dźwiękowi ulmichom. Odpowiadał za czystość tego rogu ulicy. Był zawsze w zielonych spodniach i zielonej koszuli, ciut od nich jaśniejszej.

XIV

Upląd. Do Central Parku. Weszliśmy od Columbus Circle, przy pomniku fontannie. Trawa, drzewa, asfalt, skały, wiewiórki, jeziora, moski, pomniki. Biegają, prawie wszyscy w walmankach, jeden z ciężkami w rękach. Grubi ubrani, chłdzi nie. Mało biega Murzynów Dorozki. Wrotkarc. Ławki. Pikińki. Grają i śpiewają. Paul Simon, Hendrix, jazz, Mozart, el condor pata. Rowerczyści i dziewczyny na wyścigówkach. Softball. Baseball. Usiedliśmy na skale. Na jeziorze łódki. Modele. Facet stanął na asfalcie, wyjął z torby samochodzik i pudełeczko z anteną. Postawił autko, pokreślił przy pudełeczku i wziął – pejechało. Ale szybko! Znowu pokreślił. Zwróciło pod nogi. A na ławce ukrytej w platanach siedział inny z aparatem fotograficznym i przez teleobiektyw patrzył na twarz. Ukryty aparat, urządzenie wyścigająca puszkę ze śmietnikiem. Ładują je do plastikowych worków na śmieci. Grzechoczą idąc. Inni proponują:

— Cold beer, cold beer...

A my nie. Lipton iced tea z wózka, z pojemnika z lodem. Też grzechot. Siedzimy. Siedzimy. Idziemy. Wychodzimy. Gwar, pieśni, orkiestry, brawa, zapachy. Ludzie z radiami jak szafy. Coraz cichsze. Przebijamy się na Fifth Avenue. Kolory. Parada. Święto narodowe Puerto Rico. Iść już, ruchome obrazy, piękne kobiety, polityka, portrety przyrodowców, tancerze, szkoły, straż pożarna, narodowe jedzenie.

To my myk – z powrotem. Do parku.

Znowu idziemy. Patrzmy – konny posąg Władysława Jagiełły, aha, wien, to ten z pawilonu polskiego na Wystawie Światowej w 1939 roku. Nic odjechał. Autorem rzeźby był Stanisław Ostrowski. Pomnik został podczos

wojny zakopiony przez miasto Nowy Jork i ustawiony w obecnym miejscu. Napis na cokole głosi, że King Jagiełła zwyciężył sily teutońskie pod Grunwaldem. Mówią, że to jedyny pomnik monarchy w Ameryce.

Tak mówią.

XV

W lutym 1989 roku w liście od Piotra znalazłem kilka zdjęć. Było wśród nich zdjęcie kuli stojącej przy rzeźbie przedstawiającej męczyźnę w melniku wspartego o pień drzewa. Swoim zwyciężym Piotrek zdjęcie podpisał: „Kobieta z Europy Wschodniej, Giacometti (choć nagabujący ją bezczelnie turysta włoski z zakresu i wójny), MoMa, ogrodek, XII 87”.

Jedną z pierwszych rzeczy jaką zauważyłem wchodząc do patio Museum of Modern Art w Nowym Jorku była właśnie ta rzeźba, męczyźna w melniku wsparty o pień drzewa. Stała po lewej stronie patrząc od wyjścia z hallu gdzie kapłan bilet. Ogrod rzeźby. The Abby Aldrich Rockefeller Sculpture Garden. Rzeźba jest z brązu, nazywa się „Man in the Open Air”, powstała w 1915 roku, autorem jest Elie (Eliasz) Nadelman. Nadelman urodził się 20 lutego 1882 roku w Warszawie, tam też uczęszczał do gimnazjum i do Szkoły Rysunkowej, a następnie studiował w Szkole Sztuk Pięknych. Przez Mosaichem trafił do Paryża, gdzie szybko stał się artystą znanym i cenionym.

Ireneusz J. Kamiński pisze w książce *Tradyny rano z awangardą* (Wydawnictwo Lubelskie, Lublin, 1989) tak: *Isnieją podstawy do przypuszczeń, że brązowa „Głowa kobiety” (1909 r.) Picassa uwatana za „pierwszą rzeźbę kubistyczną” inspirowana była „Głową” Nadelmana, wykonaną dwa lata wcześniej, a przedstawiającą Publo Ruzwina w pracowni przybyścia z Polski, dokąd twórcę „Panien z Avignonu” (tęż MoMa – przyp. mój) przyprowadził Leo Stein, znany i wpływowi kolekcjoner amerykański, który kupił między innymi kilka rysunków i gipsowy akt warszawianina.*

Formalne podobieństwo do rzeźbiarskich portretów kobiet Nadelmana z lat 1906-1907 wykazują też dzieła Constantina Brancusiego, jednego z najwybitniejszych twórców XX wieku, zrealizowane przez osiatłego w Jarku Rumana znacznie później (1910-1912)...

Do Nowego Jorku Nadelman trafił w początkach pierwszej wojny światowej i po kilku latach przeniósł w atelier przy West 14th Street stał się cenionym przez niektórych kolekcjonerów i awangardowo zorientowanych krytyków rzeźbiarzem. Po roku 1930 wycofał się z życia publicznego. Zmarł 28 grudnia 1946 roku.

Wracam do nowojorskiej serii zdjęć Sommerów. Jeszcze dwa z nich dotyczyły ogroda rzeźb w MoMa. Piotrek przy koczku Pabla Picassa („She-God”, 1950) i Łukasza w rzeźbie Alexandra Caldera. Niestety, nie pamiętam jej tytułu, ale jest adzurdząco podobna do tej znajdującej się w Bazyli („Wielki pajak”). Być może to replika.

(A propos repliki. Opowiadając Nowotelowi o tym, co widziałem w MoMa, wymieniał „Taniec” Matisse’a.

— Ten obraz jest w Emittuzie – zaprotestował Jurek.

No nie! Nie mogłem się aż tak myśleć! Widziałem! Na szczęście jest on reprodokowany w przewodniku po MoMa, co zobaczysz, Jurek musiał przysłać mi rączkę. Po pewnym czasie, szukając czegoś w encyklopedii, natknąłem się na reprodukację obrazu Matisse’a z podpisem – Emittuz, Leningrad. Porównując oba obrazy nie sposób nie zauważyć drobnych różnic w ułożeniu rąk, pochyleń głowy... A więc replika. Z tym, że obraz z Nowego Jorku został namalowany w roku 1909, a leningradzki w 1910).

Sędziłem w muzeum ponad pięć godzin. Układ sal i znajdujące się na każdym kroku miejsca umożliwiające odpoczynek pozwalały na w miarę dokładne obejrzenie ekspozycji. MoMa był pierwszym wielopiętrowym gmachem muzealnym mającym minimum wewnętrznych ścian trwałych, co pozwalało dowolnie kształtować przestrzeń ekspozycyjną – rzecz arcyważną w odniesieniu do sztuki nowoczesnej, często wielkoformatowej. No i nieoczniony ogród rzeźb, do którego wrałem po obejrzeniu każdego pietra. Siedziałem na jednym z gęsto rozstawionych krzesłek, paliłem i przyglądałem się ludziom. Zauważyłem kilka osób, które przebywały tam cały czas, które nie chodziły po muzeum, które przyszły tam tylko po to, aby wypocząć nad sadzawkami, wśród kwiatów, drzew, krzewów i rzeźb. Moją uwagę zwrócił starszy mężczyzna siedzący nad wodą i piszący w dużym notatniku przymocowanym do deseczki z uchwytem. Był tam cały czas, ilekroć wrałem, zasiadając w pracy, odwręty od otoczenia. W centrum Manhattanu, przy 53-tej, pomiędzy Avenue of Americas i Piątą Aleją.

Jakże inaczej jest w muzeum Słomona R. Guggenheima, gmachu zaprojektowanym przez Franka Lloyd'a Wrighta, gmachu wspaniałym, przy Piątej Aleji, wkomponowanym w zielenią byłego Centralu Budynku, mówiłem, wspaniały. Ale muzeum – nie! Tam, aby obejrzeć obrazy, trzeba wjechać windą na najwyższe piętro, gdzie zaczyna się trasa zwiedzania prowadząca w dół spiralną pochylnią, która „spycha” widza w dół, czasem wbrew jego woli. Buntowałem się przeciwko narzuconej koncepcji, czulem się jak uczestnik zorganizowanej grupy, nieustannie poganiany przez niewidocznego, spieszącego się przewodnika.

Wolę MoMę.

XVI

Praca na dachu przy 57-ej kończyła się. Codziennie ubywało ludzi, w końcu zostalem sam. Malowałem barierki, leżałem, chodziłem do „Komera” na róg po lody. Sprzątałam. Trafiał się dzień, w którym nie nie robiłem. Zjadłem lunch i znowu nic.

Siedzę, patrzę na dwie kobiety opalające się kilka pięter niżej, w ogrodzie na dachu. Stara i młoda. Upał. Nade mną Zeppelin z napisem Fuji. Cicho brzączy. I helikoptery. Te, głośno. Ciągłe, bo dwa kroki do Narodów Zjednoczonych. A tam lawdowski. Co jakiś czas przechodzę na drugą stronę dachu i wychylając się przez barierkę patrzę w dół, na 57-tą, czy nie podjechał Henry O! Jest! Leżą z powrotem, malują. Trzeci raz to samo miejsce. Ojej, ale jestem zapracowany. Na dach wchodzi Henry.

– Zbiera się, jedziemy na 23-cią, do braci z Senegalu.

Pięknie. W porządku faccaci. A tu nudno. Sam i trzeba udawać. Ładna podróż 257-ej przy Pierwszej, na 23-cią przy Ośmiej. Ja specjalnie na budzie, choć mniejsze w kabine. Lubilem takie jazdy przez Manhattan. Co warto zapamiętać. Po wolno, światła dużo i korki. Cały Manhattan tak zwiędział. Nawet Harlem. Raz z Greenpointu do New Jersey przejechałem. Co warto zanotować, bo trzeba przejechać tunelem pod Hudson River, a się można na budzie, bo spałamy, czy przepisy, nie wiem. Z powrotem już w kabine. Długi tunel i nic nie widać. Tylko tunel. Henry specjalnie przejechał przez 19-tą, gdzie panie czekają na samochody Kurwy. Pięknie. Niektórzy Murzynka. Cad. Brzydkie też. Jedna, blondynka, w skąpym kostiumie kąpielowym, z kolorowym motykiem na tyłeczku. Chłopcy, koledzy z samochodu przyczepili: – Cho no, dawaj dupy, pokaz ciłpke.

Mnie było wstyd. Kobietom nie.

Dojechałmy na 23-cią, przy Ośmiej. Na rogu apteka, potem szkoła dla upośledzonych, sklep z jedzeniem, nad nim kamienica mieszkalna z elewacją w złym stanie, stąd obecność Senegalczyków i moja. Trzeba wykwasz cegły i wstawić nowe. Na całej długości kamienicy, nad chodnikiem – pomost. Żeby gruz nie leżał i ludzi mogli chodzić. Z pomostu widać Chelsea Hotel i dom Johna Ashberry'ego (22-ga róg 9-tej), u którego byłem kilka dni temu zegnając odlatających do Polski Sommerów.

Pierwszego dnia nie robiłem nic. Siedziałem na pomoście i obserwowałem ulicę. No, trochę pomagałem. Jakies liny, jakieś folie. Pracowałem tam tydzień. Stojąc na pomoście obsługiwałem kolowrot z lina, z przymocowanym na jej końcu dużym, plastikowym pojemnikiem, w którym chłopcy spuszczały wykutę cegły, a ja poostałem im nowe, zaprawę, wodę, papierosy i różne budowlane akcesoria. Oj, ciężko, zwłaszcza ręce, bo pierwszego dnia bez rękawic. Jak ten głupi. Bąble większe od rąk. W górę tak samo ciężko jak i w dół. Ciekawe. Ale później już wszystko szło dobrze. I rękawice, i nauczyłem się przy spuszczeniu przetrzymywać linę nogą, co pozwoliło zauważyć, że jednak w dół leży. I była wielka zabawa. Dużo długich przewr między odbieraniem a posyłaniem. Ale się natrapilem. Pewnego dnia, siedząc na pomoście, zauważyłem wychodzącego z apteki Johna Ashberry'ego w towarzystwie dwóch młodych ludzi. Spojrzałem na mnie, ja na niego. Chyba nie skojarzył robotnika budowlanego w koszulce bez pleców i chustce na głowie, że mna, siedzącego kilka dni temu w jego salonie, pijącego kawę przyrządzoną przez sekretarza. Zresztą, kto wie? On wie.

XVII

Na 23-ciej, żeby dostać się na pomost, musiałem przystawić drabinę. Przystawiłem. Wszedłem.

– Drabina – krzyczy Abdoul.

– Co drabina? – pytam.

– Wejgnij ja – odpowiada.

– Dlaczego?

– Ukradną!

– Kto?

– Gnoje. Czarnuchy.

Abdoul był z Senegalu. Czarny jak lepek.

XVIII

Jednym z moich ulubionych punktów obserwacyjnych był murek na Avenue of Americas. Przy 54-ej, idąc od Centralu po prawej stronie, za płaciami fontanna. Tam przypomniałem sobie słynną odpowiedź Jana XXIII, który zapytany:

– Ojciec Święty, ile ludzi pracuje w Watykanie?

– Polowa – odpowiedział.

Siedzę. Pałę – patrzę. Normalnie. Ale nie! Podjeżdżają takówki, limuzyny, z których wysiadają dżinni ludzie, nawet tu. Elegancy. Poubrani. Wchodzi w 54-tą. Pośredem i ja. Fisher Park i kino Ziegfeld Theatre. Thumek przed wejściem, policja, telewizja, barierki. Ter podjeżdżają, ale od Seventh Avenue, bo można tylko w tę stronę. W tym rejonie Manhattanu (Midtown), uporządkowanym, w kratkę, ulice są przemiennie jednokierunkowe. Jedna w tę, druga w tę (są dwukierunkowe tylko, na przykład 57. 72), co zaskakuje podczas długiego chodzenia, łatwo pod coś wpnie jadącego z niespodziewanego kie-

runku. Po pewnym czasie nauczyłem się rozpoznawać kierunki po nosach zaparkowanych samochodów.

Thumek. Patrząc – Lisa Minelli, Chubby Checker i inni, amerykański, nie znani w Europie. Ładnie krzyczą, biją brawo, kobiety piszcza. Premiera filmu – „Great Balls of Fire”. O Jerry’em Lee Lewisie. Postalem. Pozedłem. Jest wiersz Franka O’Hary – *Dzień, w którym zmarła Lady Day*. Oto fragment:

*a dla Mike’a w wchodząc po prosto do Monopolowego
na PARK LANE i przegnął w butelkę Stregi i
wracem skąd przyszedłem na 6-tą Avenue
i do kina na Ziegfeld Theatre i od
niechęcenią przegnął do karton Gable’a ów karton
Pityany ów, i o NEW YORK POST z tej swarą na wierzchu*

Wiersz tłumaczył Piotr Sommer. Przepisując w Świdrze nowojorskie ogryzki, zauważyłem różnicę w pisowni nazwiska Ziegfeld. Sprawdziłem w „Literaturze na Świecie”, w książce Piotra – Ziegfeld! Błąd. Przepisując przypis z przypisów tłumacza (John Dos Passos, *Ciężkie pieniądze*, przedłożył i opracował Krzysztof Zarecki, Czytelnik, Warszawa, 1990): *Florent Ziegfeld (1867-1932) wskławił się w 1907 roku wystawiając w Nowym Jorku „Sztalownia 1907” („Follies of 1907”), nowy typ widowiska rozrywkowego, powtarzany następnie corocznie z niesłabnącym powodzeniem do 1927. W widowiskach tych przepłatali dowcipne monolog, śmiech i scenki nawiązujące do aktualnych wydarzeń z występami tancejącymi skłapi odzianych girls. Ziegfeld, który w latach dwudziestych był dyktatorem teatru rewiewowego, wyfantazował wiele gwiazd i wielu komików oraz nowy ideał urody kobiecej – smukłych, diagonalnych, wyportowanych dziewcząt.*

No proszę, moda się przyjęła, lepiej użyć słoga, że wraca. Stądżę nieopodal Ziegfeld Theatre widziałem dużo smukłych, diagonalnych, wyportowanych dziewcząt. I jeżeli wypadłoby żacie Janowi XXIII pytanie:

– Ojcie Świąty, ile chodzi po Manhattanie smukłych, diagonalnych, wyportowanych dziewcząt?

Jestem pewien, że odpowiedziałby:

– Polowa.

XIX

Z Nowego Jorka wieczorem. Dużym airbusem do Warszawy. Bezoprotienia. Na JFK zdziwienie i niepokój w oczach oficera imigracyjnego. (Wiza na sześć miesięcy, wraca po czterech? Chyba łysy? W chustce. Bez bagażu? Hm.) Na Okęcu swojsko i spokojnie. Porucznik WOP ze zmadzeniem przekatkał paszport. Celnik tylko spojrzal. (Chyba łysy. W chustce. Bez bagażu. Otał.) Niech żyje Polska...

NY, lipiec – sierpień 1989

Maciej Malicki

STANISLAUS A. BLEJWAS

Czesiu! Jak się mamy!?

Rek 1989 był przełomowy nie tylko we współczesnej historii Polski, ale również dla polskiej diaspory. Powojenna emigracja polityczna stanęła przed koniecznością przemyslenia na nowo swojej *raison d’être*. Maja tej części polskiej diaspory, czyli „trwanie aż do odzyskania całkowitej niepodległości” i „wyrażny protest przeciwko decyzjom narzuconym Polsce pod koniec II wojny światowej”, teraz dobiegła końca. Piotr S. Wandycz zadł w paryskiej „Kulturze” pytanie: „Czy emigracja jest jeszcze potrzebna?”¹ Podczas uroczystego zaprzysiężenia prezydenta Lecha Wałęsy w grudniu 1990 roku, polski Prezydent na Uchodźstwie, Ryszard Kaczorowski, symbolicznie napisał końcowy rozdział historii emigracji politycznej, wręczając Wałęsie pieczęć państwowa, flagę przytydniczną i egzemplarz Konstytucji z 1935 roku. Mówi się, że Kaczorowski w jakiś czas po wydarzeniach 1989 roku odswiadczył swym współpatriotom, iż nastąpił koniec emigracji politycznej i że teraz emigracja to Polonia!

W stwierdzeniu Kaczorowskiego jest odcién niewyczerpiony. I to bowiem emigracja polityczna – obwieszeni medalami oficerowie, niektórzy kilkakrotnie awansowani po wojnie, dziennikarze, artyści, profesoroście, urzędnicy państwowi, naukowcy,le, muzycy, inżynierowie – zrózwała się teraz z nami! Pani Hrabianka z Berdyczowa, Pan Rotmistrz z Lwowa, Pan Koszałki z Warszawy, Pan Inżynier z Tarnowa stali się teraz takimi samymi ludźmi jak Jack z Chicago, Wanda z Pittsburga, Edziu z Detroit czy Stasek z Brooklynu!

Można sobie wyobrazić wstrząs psychiczny, jaki słowa Kaczorowskiego prawdopodobnie wywołały u niektórych członków powojennej diaspory. Co mógł sobie pomyśleć Jerzy Giedroyc? Choć osobiscie nie miał większego kontaktu z Polonia amerykańską, pisał w 1949 roku do Melchiora Wałkowiaka o „ym okropnym tworze pod nazwą Polonia amerykańska”². Czy po roku 1989 Jerzy mógłby przekazać się z paryską kawiarnią do karczmy w Scrantone? A co z Czesławem Miłoszem? W 1987 roku Czesław podniósł żyrtek, gdy niedelikatnie zasugerowano, że jest poetą polskich Amerykanów. Na łamach „New York Timesa” obnażył swą duszę i wyrażił ból z powodu „niwiarogodnego braku kultury” w polskich Amerykanach. Kulturalny poeta zapewniał elity amerykańskie, że jeśli diaspora oznacza „różne polskie getta na Zachodzie”, to on nie uważa się za poetę polskiej diaspory³. Czy Czesław byłby teraz

¹ Piotr S. Wandycz, *Czy emigracja jest jeszcze potrzebna?* „Kultura” 1989 nr 10 (505), ss. 2-15.

² *Making a difference. Jerzy Giedroyc and „Kultura”*, „The Slavonian Review”, XIX, nr 3 (wrzesień 1991), s. 641. Giedroyc był w Stanach Zjednoczonych w maju 1939 i na otwarcie Wystawy Światowej. Razem z wiceministrem kultury iki obwodził centra emigracyjne w celu „mobilizacji Polonii amerykańskiej”. Jerzy Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręk*, Czytelnik, Warszawa 1994, s. 131.

³ Czesław Miłosz, „New York Times Book Review”, 1987 nr 10. Pezkiel artykułu Czesław Miłosz i polemiki Stanisława A. Blejwasa drukowaliśmy w „Akencie” 1992 nr 4 (przyj. red.).

gotów pisać dla „Gwiazdy Polamej” lub „Dziennika Związkowego”? Czesi! Jak się mamy?

Nie jestem już tak naiwny, by sądzić, że powojenna emigracja polityczna jest w stanie odrzucić uprzedzenia klasowe, mocno osadzone w jej bagażu kulturowym, i zamierzyć się w „polonizację”. Polacy mają denerwujący związek przechodzenia na angielski, gdy okazuje się, że ich rozmowa nie włączy polszczyznę Mickiewicza. Polakom nie przeszkadza, gdy pozostali cudzoziemcy mówią łamaną lub nieustatniona polszczyzną, ale nie tolerują tego u polonijnych kuzynów. Potemkowie przedwojenni, starsi Poloni, bez względu na ich kursarstwo zawodowe, doktora, krawczy, artykuli, a nawet takie życie i pracę poświęcone nauczaniu historii i kultury ziem polskich, to wciąż tylko, by posłużyć się słowami Wacława Gąsiewskiego, „te chamy z Ameryki”!

Oczywiście nie każdy polski naukowiec czy intelektualista pracujący w Ameryce i nie każdy polityczny uchodźca czy wygnaniec zachowuje się w sposób arogancki. Na ogół jednak „Polacy” czują się niewygodnie, często są wczepiani, w towarzystwie amerykańskich rodaków, „polonusów”, by użyć słowa, które staje się współczesnym odpowiednikiem owego „chama”. Bywają okoliczności, kiedy takie zakłopotanie jest zrozumiałe, a nawet uzasadnione. Wystarczy przypomnieć wypowiedzi z ostatnich lat przewodniczącego Kongresu Poloni Amerykańskiej na temat stosunków polsko-żydowskich, czy brutalne napadki w chicagowskiej prasie polonijnej na „tak zwanych intelektualistów”, którzy oprotegowali wielkopaniś list Moskala do prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego w 1996 roku: „Dziennikarz i niedysydyplomata Jerzy Surdykowski przypisał stwierdzenia i przekroczenia Moskala „amerykanizacji ludowemu”. O ile taka konstatacja nie musi być całkowicie nieprawdziwa, jest zarzutem wysoce i obłudna. Przynajmniej pozycji świętoszków pozwala polskim intelektualistom nie poczulić się do odpowiedzialności za cenną stronę polskiego nacjonalizmu, ignorować zarządzeń z cieżnagroda, którzy przywieźli do polskiej diaspory endeckie fobie i ksenofobie. Jednak chicagowska parafrazosłowiczyna nie jest wyłącznie produktem hodowli krajowej. Nicchéj, do Żydów istniała wśród przedwojennej „starej Polonii” i można ją wciąż znaleźć u niektórych przystożów z Polski, ubiegających się o przywództwo różnych pokoleń diaspory. Nie znaczy to, by widzieć Polonię w jej historycznej calosci i złożoności.

Niemniej jednak, niektórym polskim intelektualistom łatwiej jest podciągnąć całą „starą Polonię” pod jeden wspólny mianownik „polonusów”, a tym samym zbiorczo zatłwając Amerykanów polskiego pochodzenia jako mało znaczących. Polscy intelektualniści w USA wyrażają się łączności z Polonią, łowici. To przekroczenie popołała intelektualistom innym domagając się z tytułu własnego namaszczenia – prawa do przemawiania w imieniu Polski w Ameryce i do objaśniania spraw polskich. Takim tępym mają nie tylko elity. Również legalni emigranci, „wakuastuzje i „turyści”, cala emigracja „solidarnościowa”, jaka napłynęła w ciągu ostatnich trzech dekad – wszyscy oni lądają w Ameryce żywiąc wobec swych polonijnych „kuzynów” i „kuzynów” gettyzacyjne zakodowaną wyższość. O ironio, Polska Republika Ludowa, obciążona społeczeństwem bezklasowe, nie zdołała w wplenić z polskiej kultury głęboko zakorzenionej nielicznej wobec „innosci” bądź nieumiejętności jej zaakceptowania. PRL mogła zbudować Nową Hutę, ale wykręceniem teorii tradycyjnych uprzedzeń klasowych i stereotypów było ponad jej siły.

Niebezpiecznie jest uogólniać, można bowiem wpaść w stereotyp. Gdyby jednak ktoś zapytał o charakterystykę polskiej emigracji politycznej do Stanów

Zjednoczonych, można by poczynić następujące spostrzeżenia. Zbiorowa i indywidualna historia powojennej emigracji politycznej budzi głęboki podziw. To pokolenie przyшло niemiecką i sowiecką okupację, było deportowane za krąg polarny i na Syberję, prowadziło walkę z bazą brytyjską, a także w Afryce Północnej, Italii, Francji, Holandii i Belgii. Po tej niewądrygodnej pielgrzymce naszych czasy, polonijni, nie mogło powrócić do swoich domów, gdyż niechli wojny, będące poza jego kontrolą, zmasowa wyzwoleńca przyniosła nowa, sowiecka okupacja. Bolaćca decyzja udania się na emigrację, lecz pozostawia niemyśl szlachetnym idealowi suwerennej ciężczyzy, to speeja o heroizmem wymiarze i skali. To samo można powiedzieć o nowym elemencie politycznej diaspory – autentycznych wygnaniach „emigracji solidarnościowej”, którzy odebrali z rak funkcjonariuszy Jaruzelskiego paszporty na jednorazowe przekroczenie granicy.

Tym niemniej, każdy ma wady, zwłaszcza gdy jest bohaterem. W tym przypadku, poczucie namaszczenia w diasporze politycznej, autonomiczne założenie, iż ma prawo przewodzić potomkom przedwojennych emigrantów napotkanym w Chicago, Cleveland czy Buffalo, stanowiło skazę na jej charakter. Owo poczucie namaszczenia do wszedziały w diasporę ma w gruncie rzeczy dłuższą historię i powtarza się w dziejach Poloni Amerykańskiej. Wszystkie kolejne pokolenia wygnaniów politycznych w Ameryce zadawały sobie to samo pytanie: jak pozyskać, by móc wykazywać potencjał ludzi? Poloni amerykańskiej dla sprawy polskiej? Pytanie to stwarza patriotyczny dyfemat i opiera się na przesłankach nacjonalistycznych i klasowych.

Agaton Giller sformułował w w słynnym liście z 1879 roku dotyczącym organizacji społeczeństwa polskiej w Ameryce. Rosnąca emigracja chłopstwa do Ameryki przyciągała uwagę polskich uchodźców politycznych już w latach 1870. Obawiano się, że te zasoby ludzkie, znajdujące się w Ameryce, mogą zostać bezpowrotnie stracone dla sprawy polskiej. Rzucono zatem hasła, aby przekształcić polskiego imigranta w Polaka posiadającego świadomość narodową, słowem, żeby go w Nowym Świecie spolonizować. Celem tej transformacji miało być uchronienie substancji biologicznej narodu przed gromącym jej wynarodowieniem, a następnie wykorzystanie potencjału ludzkiego zamieszkałego w Ameryce dla sprawy polskiej. Giller twierdził, że trzeba jednoczyć i edukować imigrantów tak, aby „masy polskie w Ameryce dobrze reprezentowały imię Polski, a co za tym idzie mogły jej dobrze służyć. Służba ta – przewidywał Giller – w czasach stania się, być może, jeszcze bardziej istotna, zwłaszcza gdy Polacy w Ameryce zaczęli wyierać jakiś wpływ na życie publiczne w tym kraju.”

List Gilla zainspirował organizację pod nazwą Polski Związek Narodowy (PZN), która po pewnym czasie stała się okretem admirowalnym wśród innych organizacji twórczących polsko-amerykańską fidylkę. PZN, a także inne organizacje polonijne dowiodły swego oddziaania sprawie polskiej, a dzięki swej bojowości zarówno w I jak i w II wojnie światowej, a także w okresie zmianę wojny zdemolowały, pod przywództwem PZN, Kongres Poloni Amerykańskiej. Mimo to, polskich uchodźców i liderów diaspory nie opuszczała myśl, zwłaszcza w czasie II wojny światowej, o nie wykorzystaniem potencjału Poloni amerykańskiej. Powojenna diaspora skupiała się wokół Parzy i Londynu, nie zaś wokół Chicago. Piotr S. Wandycz w doniołej pracy *Stony Zjednoczenie a Polska* wyraził przekonanie, że tak drugo elity polsko-amerykańskie będą mogły służyć jako ekspozycja od sprowy amerykańskich w Polsce i na odwrót, jak długo będą pozostawały w łączności z obiema kulturami, nie zaś w odosobnieniu „własnej mikrokulturą”, jak Wandycz delikatnie nazwał polsko-amerykańskie getta etniczne. Wandycz nie zamiać oceny potencjalnej roli Poloni jako pomosta”, ale w 1980 roku konkluduje, że jest „calkiem jasne, że Polonia czy też jej najbardziej elokwentni i aktywni członkowie

* Jako przykład przemowy wiersza kulturalnego Poloni zob. J.B. [?], *Odpowiedź na list otwarty. Gdzie jest nasz kraj, powołanie „intelektualistów”*, „Dziennik Związkowy”, 16-18 sierpnia 1996.

* Jerzy Surdykowski: *Ludokrośczenie. Kto i jak przetrwał ścieżki do NATO*, „Wprost” 1999 nr 11, s. 26-28.

* Zamieszczono w: Stanisław Onda, *Historia Związku Narodowego Polskiego i rozwój ruchu narodowego polskiej w Ameryce Północnej w ówczesnym piątym rocznicu galantia związku*, Wyd. Związek Narodowy Polski, Chicago 1905, s. 104.

stanowią ważny, choć do tej pory nie decydujący czynnik w stosunkach polsko-amerykańskich.¹⁷

O ironio, Wandycz opublikował te wnioski na roku setnego jubileuszu Polskiego Związku Narodowego. Podczas gdy PZN cieszył się ze swych dokonań dla Polski i Polonii, Wandycz sugerował, że Polonia nie odegra większej roli, przynajmniej jeśli chodzi o kształtowanie oficjalnych stosunków państwowych między Polską a Stanami Zjednoczonymi. Innymi słowy, bez względu na to, jak bardzo Polonia się stara, nadal nie zasługuje ona na powiększenie znaczeń w oczach przewódów diaspory i jej medrów. Może po prostu Polonia nigdy nie ma dość szansy, by mogła dorównać.

Wandycz, posiadający rozległą wiedzę oraz trzeźwe i realistyczne osady w historii i polityce międzynarodowej, postawił wobec Polonii istotne i trudne pytanie, a oceny jego nie można lekceważać w żadnej poważnej dyskusji. Ale można by również dobrze zapytać o rolę, jaką pełnią w tej sprawie pewne stereotypowe wyobrażenia na temat Polonii, stałe obecne w świadomości emigracji politycznej.

Są oczywiście przywódcy diaspory politycznej, którzy próbują wykorzystać jej potencjał na rzecz Polski. Jan Nowak-Jeziorański, po odejściu na emigrację z Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, przeniósł się do Waszyngtonu, gdzie pracował jako konsultant Departamentu Stanu, ale też został wiceprzewodniczącym i dyrektorem krajowym Kongresu Polonii Amerykańskiej. Zamiast jedynie rozprawić o „nie wykorzystanym potencjale” Polonii, Jeziorański znalazł skuteczną platformę współpracy i w późnych latach 70. i w ciągu lat 80. w istotny sposób związał się z przewodniczącym Kongresu, Alojzym Mazowieckim. Byli też inni liderzy diaspory politycznej, którzy w tamtym okresie szalejącego i w sumie owocnego lobbingu na rzecz Polski działali w Kongresie Polonii Amerykańskiej. Decydującą rolę w odyskaniu suwerenności w 1989 roku odegrali Polacy w Polsce, ale pomocnicza rola Polaków w Ameryce nie była bynajmniej tylko jakimś mało znaczącym epizodem na polskiej scenie dziejowej.

Odzyskanie niepodległości postawiło emigrację polityczną w niezwykłej sytuacji. Oto jej misja zakończyła się. Polska była wolna. *Quo vadis emigratio polityczna?* Lub, powtarzając pytanie cytowanego już Wandycz: „Czy emigracja jest jeszcze potrzebna?” Nie drwi, ze dyskusje prowadzone na ten temat w mediach w latach 1989-1990 kończyły się zbiornym „Tak!” i „Owszem!” Co jednak również nie powinno budzić zdziwienia, to fakt, że po raz kolejny pytanie zostało zadane w kontekście kwestii, jak wykorzystać „nie wykorzystany” potencjał Polonii. To tak jakby nie było tych dziesięciu lat aktywnego lobbingu politycznego i zbierania przez Polonię funduszy na pomoc humanitarną lub jakby te działania nie miały wieloletniego znaczenia.

Bronisław Geremek apelował o „nadję [polskiej] lobby politycznej” w Ameryce, które umiałoby objaśnić historię Polski i jej obecną sytuację polityczną.¹⁸ Apel taki zakłada, że poprzednie lobby było „niemadre”. Bolesław Wierzbiański dotrządził szczegóła, wspierając rolę Polonii amerykańskiej w walce o umocnienie wciąż jeszcze niepełnej polskiej suwerenności. Zauważał twierdzenie, że Polonia amerykańska jako grupa etniczna nadal posiada potencjał ekonomiczny istoty dla Polski i dla siebie. Wysłaną też śmiało tezę, że powrót Polski do Zachodu i na arenę międzynarodową stwarza możliwość zwiększenia roli Polonii w Stanach Zjednoczonych jako wpływowej grupy etnicznej.¹⁹ Wszystko to sugeruje, że po latach lobbingu Polonia wciąż pozostaje grupą etniczną, która nie wykorzystała w pełni swego potencjału politycznego.

¹⁷ Piotr S. Wandycz, *Stoły Zjednoczone a Polska*, Harvard University Press, Cambridge 1980, ss. 412-413.

¹⁸ „Szwarczyk” *Wierzbiański*, 25 października 1989.

¹⁹ Bolesław Wierzbiański, *Między krajem a emigracją*, Część II, „Nowy Dziennik”, 7 września 1989.

I znów nie można bagatelizować tych wniosków, popartych wielokrotnymi obserwacjami oraz uczestnictwem w sprawach Polonii amerykańskiej. Wierzbiański, Wandycz i inni podnoszą trudne, rzeczywiste kwestie osiągnięć politycznych Polonii i jej misja w życiu amerykańskiego społeczeństwa. Jednak zdaniem zakładają, że Polonia to „oni”, a emigracja polityczna to „my”. I niech Bóg broni, żeby zasada ta jakas ponikła. Emigracja polityczna, mimo iż pragnie korzystać z „nie wykorzystanego” potencjału politycznego Polonii, nigdy nie będzie Polonią! Zawsze pozostanie ją wspierającą i substytucyjną częścią polskiej diaspory.

Jest w tym wszystkim pewna ironia. Działalność polityczna jest ta płaszczyzna, na której emigracja polityczna najczęściej i najbardziej występowała z Polonią. Jednak pomimo faktu, że emigracja i uchodźstwo są tak ściśle związane w historii tamtym polskim od czasów rozbiorów, emigracja polityczna, a także ci w Polsce, którzy nie potrafili zrozumieć, że diaspora to coś więcej niż Paryż i Londyn, spychają na margines Polonię amerykańską w sensie społecznym, politycznym i psychologicznym. Emigracja polityczna i jej historycy marginalizują rolę Polonii we współczesnych dziejach Polski, a tym samym wywołują swoją własną, istotnie symboliczną, wadę.²⁰

Rok 1989 otworzył nową erę w stosunkach między Polską a Polonią. Pocerłowska mępa ziała nam wszystkim z głębi. Dla Polski i Chicago pojawiła się możliwość określenia na nowo wzajemnych relacji, tak aby potencjał polonijny mógł być wreszcie właściwie sdefiniowany. Mamy jeszcze zbyt mały dystans do tego dziesięciolecia, by ocenić, w jakim stopniu to się istotnie udało. Z całą pewnością Polonia amerykańska nie była mało znaczącym elementem w lobbingu za poszerzeniem NATO. Bez wątpienia pomógł sprawie polskiej fakt, iż „trzeciopokoleniowy polonusek”, Barbarze Mikulski, zdążył się akurat być liczącym się senatorem. Mimo publicznych wypowiedzi przewodniczącego Edwarda Moskala na temat stosunków polsko-żydowskich, Kongres Polonii Amerykańskiej i jego oddziały statystycznie wywarły pozytywny wpływ na debatę wokół NATO.²¹ Szalenie ciekawie, analizując zagranicznych w „New York Times” (półgłówek, jak kto woli) Thomas Friedman wiąże opowiadania kazydło, kto chce go słuchać, że poszerzenie NATO było błędem i że to wszystko wina tych polsko-amerykańskich wyborców, na których tak bardzo zależało administracji Clintona. Tym niemniej, retoryka wypowiedzi Moskala w kwestiach polsko-żydowskich utwierdza w umysłach polskich intelektualistów ich uprzedzenia wobec Polonii. Toteż możliwość spotkania się Polaków i „polonusek” na równym płaszczyźnie, możliwość prowadzenia rozmowy ze zrozumieniem, zburzenia barier między „innością” Polonii a „swojskością” Polaki, pozostaje problematyczną. To otwiera kolejny wymiar dla rozważań na temat „swojskości i cudzoziemczysty” w dziejach kultury polskiej.²² Polacy muszą zmniejszyć się ponad stereotypy o Polonii, zaś przywódcy polonijni powinni przestać dawać im powody, by tego nie uczynili.

przełożyła Barbara Kowalik

²⁰ Zob. np. Andrzej Fricko, *Życie polityczne emigracji*, Warszawa 1999, ss. 399-434. Jest to pierwszy tom trytonowej serii zatytułowanej *Droga Wolna Emigracja 1945-1990*. Fakt, że Polonia amerykańska i KPA zostały w tej serii tylko wspomniane, wywołuje świadomy gwałtowny uprzedzenia polskich intelektualistów wobec Polonii.

²¹ Por. amerykańskie sprawozdanie *Exposition of NATO, Role of Polish in Polish American Congress* (Alliance Publishers, Chicago 1999). Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych doceniło wagę starań KPA w lobbingu o rozszerzenie NATO. Zob. Bogusław Wiśniewski, *Relations with the United States of America*, (w:) *Yearbook of Polish Foreign Policy 1998*, red. Barbara Wierzbicka, MSZ, Warszawa 1999, s. 131. Więcej na ten temat u George W. Ormston, *Strange Bedfellows: NATO Marches East*, Lanham, MD: University Press of America, Inc., 1989.

²² Zofia Stępczewska, *Swojskość i cudzoziemczystwo w dziejach kultury polskiej*, PWN, Warszawa 1973.

STEFAN SZCZYGLÓWSKI

Rozmowy

Wiedziałem ludzi rozmawiających z
Krzesełm zagadujących do
Szafy kłócących się z pościelą
Wdowy przelamujące grobową ciszę
Matki rozmawiające z nie narodzonymi
Dziećmi dzieci widziałem szczekające
Do psa miączące do kotów
Niekórzy rozmawiają z lustrem albo
Z lewą dłonią przekonują buty
Że trzeba iść na spacer zaczepiają
Książki lub łóżko szarpają się
Z wiatrem krzyczą na ciszę
Pozwaniem spierają się z ubraniami
Wrzają na kant stoła
Skinsą zbyt śliską podłogę

I tylko te rozmowy łączą nas ze światem

Kartoflanka

Krótu warzyw drugodaniowy wykopany
Skarbic zapatrzone w kulę daleko ci
Zapachem i polotem do jabłka
Podziemny bracie pijanych wieczorów

Wybawiciele od głodu miękko idących
Po ziemi głaszczących w skupieniu
Coraz głośniejsze plągi i grabie
O cielistej barwie spracowanych dłoni –

Codziennie przyjacielu niezastąpiona
Okraso ognisk przewisko głupich
Amerykański nosic ziemniaki jedów

Ile cię cenić trzeba nie wiem
Zbyt oczywisty doceniony
Jesienny władco bezwzględny pół –

Dopiero

Jezeli już tyle lat biegniemy do siebie i
Ciagle jesteśmy daleko bo tak już jest że
Nie jesteśmy dla siebie stworzeni i dopiero
Tworzymy się z tych wszystkich gestów
Odzieramy sobie tych rozmów które milczymy
Prowadzimy nie o tym co chcemy z tych dni
Zwyczajnych być czym dopiero dojrzejawą w
Nas czulości słowa dni z którymi nie
Będziemy wiedzeli co zrobic

Jezeli już tyle lat i nadal wielka ta
Przeznasz to znaczy że wielka miłość
Bardzo lubi niespełnienia.

Bizuteria

Uwięziona w zdjęciach przeszłość siega po
Mnie, płaskie wspomnienia. Trochę żywych
Umarłych, usta nie prowadzą nigdzie, bez
Rozmowy rozmowy. Wieczny spacer albo taniec.
Kawalki życia nie pasujące do niczego. Zdarzenia,
Które odeszły za daleko. Trochę jest to czego nie ma.
Wszystko mówi wszystkim o
Wszystkim, cienie odbicie w srebrze.

Na dnie rozpaczliwego
Września, doświadczenia przemierza moją
Przyszłą ojczyznę. Bizuteria, która zostanie
Po nas w papierowym sefcie czarnym
Rodzinnego albuma.

Tylko wątle

Tyle wątle nici deszczu łączą mnie z
Chmurami podszewką nieba. To taka nasza umowa
Dzieło, stoł o czterech nogach świadkiem tych
Pustych rozmów między nami. niesprawiedliwości
Stało się zadoleń w roztajającym świecie w którym
Prostota okręgu zastanawia i boli.

Pies czeka abym powiedział do niego po
Ludzku gdy dzień występuje z brzegów. Nie sposób
Zapamiętać to co
Zapominam, jeśli nie można to trzeba, jeśli nie

i traktowanym niemal jak misja do wypełnienia. Doprawdy niezwykły to był szczyt!¹ Nazwiska trzech Hiszpańskich zostały wyryte na Tablicach Zasłużonych Cieszarza Powąłkowskiego. Zasiadali się Warszawa jako społecznicy, działacze patriotyczni, organizatorzy i fundatorzy (ojciec artysty) domu pracy twórczej dla PAN.

Stanisław Hiszpański, artysta (urodzony 29 stycznia 1904 r., zm. w 1975), czwarty z kolei sukcesor firmy istniejącej od 1838 roku, wybrał jednak inną drogę. Debiutował jako gimnazjalista, z powodzeniem ilustrując wiele czasopism warszawskich. Studiował architekturę pod kierunkiem prof. Stanisława Noakowskiego, jednocześnie pasjonując się taternictwem, lotnictwem, fotografią artystyczną. W 1939 roku jako oficer dostał się do obozu jenieckiego Woldenberg (offlag II c Dobigniew), gdzie o drzewo w warunkach niewoli i wszelkich niewygód życiowych nastąpił gwałtowny rozwój jego talentu, co zaowocowało licznymi nagrodami na międzynarodowych konkursach plastycznych.² Był także autorem nowatorskiej, eksperymentalnej scenografii do jedynego w swoim rodzaju teatru – jenieckiego teatru kukielkowego wystawianego w obozie sztuki, m.in. Oskara Wilde'a czy Lucjana Rydla.³ Wszystkie prace przedwojenne i obozowe zaginęły w czasie zawieruchy wojennej. Powojenna twórczość Stanisława Hiszpańskiego to ok. 500 prac o najróżniejszych tematyce, od grafik i ilustracji dla wielu znanych wydawnictw i czasopism, malarskich cyklów opartych na starych słowiańskich podmiach, widoków architektonicznych miast polskich, kompozycji o tematyce religijnej aż do ilustracji antycznych eposów. Kłóre zamykają jego drogę twórczą, „Legends sumeryjskie”, „Odyseja” i „Enkada” są to niezwykle barwne obrazy, niewielkiego formatu, malowane czarnym tuszem i akwarelą (w przypadku „Legend” werniksowane), zadziwiająco eksperymentalnym zastosowaniem koloru. Zaskakujące efekty kolorystyczne osiągnął Hiszpański poprzez użycie techniki, którą żartobliwie nazywał „kleksomnią stosowaną”, czyli rozplynięcie się tuszu na wilgotnym papierze. Doskonali warsztat artystyczny Hiszpańskiego pozwalał mu na dokonywanie na pozór karkołomnych eksperymentów, np. w jednej pracy łącząc za swoboda użycie barwnych tuszów, akwarel i winawilu, a nawet złota, czyniąc za ten sposób różnicę między technikami malarskimi. Zaskoczenie wzbudza i widza różnicą oryginalną i niestereotypowe ujęcie tematu.

Spójrzmy uważnie na jedną z plansz. Oto *Tremak u Menełosa* (z cyklu „Odyseja”). Królcywie przybył do bram Lekadajomu, by od władcy owego miasta – Menełosa dowiedzieć się czegoś o losach swego zaginionego ojca – Odyseusa. Brama i mur są bajkowo-żartobliwie trawestacją słynnej Bramy Lwiz z Cytadeli Mykeńskiej. Latwo się domyślić, że mityczny Lekadajom w interpretacji ilustratora to starożytne Mykeny. Świadczy o tym chociażby zwiecznik bramy – płaskorzeźba przedstawiająca dwie łowice ujęty z profilu.

¹ W 1956 r. podczas wędrowek po okolicach Puzemina (Ostrów Tumski, Leszno, Maglino, Kuszowice, Biskupin itd.) Hiszpański poznał wybitnego archeologa prof. Rajewskiego, prowadzącego właśnie prace wykopaliskowo-dokumentacyjne w Biskupinie, który stał się mentorem jego twórczości. Zob. Stanisław Hiszpański: *37 lat na Ziemi, niepełna historia malarstwa Stanisława Hiszpańskiego*. Od 1959 r. artysta na domniemanie związał się współpracą z PAN. O współpracy tej pisał prof. Rajewski w „Notatkach Plochick” 1975: 483.

² Szczegółowe dzieje rodiny Hiszpańskich opisuje zebrały w niepublikowanych wspomnieniach: Stanisław Hiszpański: *Trzech Stanisławów Hiszpańskich, zewród warszawskich*. Patrz także Olgierd Budzewicz: *Sugi warszawskie, czyli smacznie i powściągliwie, romantycznie i prozaiście dzieje trzydziestu wielkich rodów warszawskich*. Warszawa 1967 (wznawienie 1990).

³ W 1944 YMCA zorganizowała w obozie trzy konkursy graficzno-malarskie. S. Hiszpański otrzymał drugą nagrodę za karykaturę portretową, pierwszą drugą za karykaturę wyścigowo-obozową, pierwszą i drugą nagrodę za ilustrację książkową. Marian Stepien: *Offlag II c Woldenberg*. Warszawa 1984; Marek Władysław: *Dzieje Teatru Lalki w Polsce do 1945 roku* – *Archiwum*. Warszawa 1990, a. 114, 117, 122.



Emrakial porwany Tamełosa (cykl Legend sumeryjskich)

W pierwotwarze mykeńskim głowy łwic zwrócone były w dwie przeciwne strony. Leż tuż obaj stylizowane kolorowe łwice stoją zwrócone do siebie, przednimi łapami wspierając się na cok. co w równej mierze mogłoby być bazą kolumny antycznej jak i cychowym stołeczkim do trzesianym zwierzak. Głowy łwic łączą się ponadto ze sobą tworząc rytmiczny takt – dwa profile stają się groną głowa łwic widząc na face. Szary kamieniem mur z złotych bez zaturaw kamiennych bloków kończy się od gry blankami przypominającymi tekturno teatralne dekoracje. Kłóre rysują się wyraziście na le intensywnie pomarańczowego nieba. Na blankach spacują dwa warstwic w różnorodnych zbrojach. Wrażenie bajkowości i akcent humorystyczny nadają planszy kwiatki wyrastające parami spomiędzy bloków skalnych, a komicz z uffyzowanych niebieskimi grzami i ogonami aż proszą się o domalowanie im biegunów, tak bardzo przypominają te do skłepu z zabawkami, a jednocześnie izza się w oczach niewiupliwie pokrwiewistwo z heroicznymi krewniakami z Partenonu. Na innym obrazie z cyklu „Odyseja”, pt. *Poszedłn zabiera głos*, apoplek-tycznie wyszczerczony, niebieski jęgonosć, o wydatnym brzusku płowota okazuje się być bogiem obocznym. Bogowie antyku z pewnością dołciłi się bardziej majestatycznie, ale na pewno nie mniej widowiskowo.

Granica pomiędzy sumieniem ikonografia serio*, a światem żartobliwej bajki – teatryku kukielkowego jest tu niebywale finezyjna i ciekawa. Nie zostaje nigdy do końca zdefiniowana, co stanowi wielki urok ilustracji Hiszpańskiego, gdyż widząc sam może ją dowolnie przesuwając w zależności od swej własnej spostrzegawczości, wiedzy, poczucia humoru. Artysta prowadzi skracając się humorem i epatując grą z erudycji przez z odbiorcą wzruszając go i bawiąc.

W pracach tych zwraca uwagę zrozumienie form sztuki archaicznej, zawierającej sponi przymieszek ulubionego przez artystę rodzaju lagodnej groteski, bazującej w dużej mierze na ludowym odczuciu formy i narracji. I nie ma znaczenia czy jest to sztuka etruska, sumeryjska czy egipska. Hiszpański wydobywa w swoich ilustracjach to, co uznaje za istotę ludowości. Niepokromioną vitalność, siłą emocjonalność, upodobanie do dekoracyjności, lubowanie się w szczególności umiowanym zawyżeniu syntetycznym. Jednak nawet w stosunku do ulubionych form nawiązanych zachowuje pewien zdrowy dystans i nigdy nie przestaje być zyczliwym obserwatorem, transponującym formy archaiczne po swojemu, w sposób erudycyjny i lekko pułkosensośny. Akcentuje vitalność, lecz nie upija się rubaszczością, wprowadza kompozycje o nastroju sentymentalnym, ale nie klisowym. Każda postać Hiszpańskiego zawsze mniej lub bardziej otwarcie „robi oko do widza”.

Jego sztuka bazuje – jak inteligentny żart, na skrócie myślowym, na zaskakującym skejzarzeniu, a zwłaszcza na wprowadzeniu do bardzo dokładnie odtworzonych kanonów nagłych improwizacji i zabawnych, często zasyfrowanych wtrętów, obracających cały tak pieczołowicie przywołany porządek w zabawę konwencjami. Porównać to można do groteski w literaturze, kiedy postaci biblijne czy mitologiczne wyrażają swe wielkie kwestie po części doskonałą laciną, od czasu do czasu wtrącając coś soczystą górnolotczyzną lub żargonem warszawskim. Wystarczy zresztą zerknąć na tytuły prac: *Polfemowy niedojadek*, *Harpie-pupstaszki*, *Splywaj kochanczku*, *pląsawie kotcząca „Odyseę”* zatyłował artysta *Happy end i porządku domowe*.

Jednak nie jest to nigdy parodia i pastisz. Nie jest to malarska karykatura kanona. Jest to interpretacja całkiem odmienna, jakiej wódz znający literackie pierwotny czasem zupełnie się nie spodziewa. *Odyseja*, a zwłaszcza *Eneid* to dość krwawe opowieści o wielkiej zdradzie, wielkiej miłości i wielkim pragmatycznym zamęcie pchających bogów i ludzi do czynów zrywanych w literaturze heroiczymi. Mało z tego patetycznego świata bohaterów przewidywanej krwi przenika do wizji Hiszpańskiego. Przechwytywa czynnie jako żołnierzy dwie wojny światowe przebrał postawę zdystansowaną, pogodną, gdzie sytuacje dramatyczne, strach, okrucieństwo zrodzające zostały do ledwie zuwalanych epizodów, gdzie na obrzeżach właściwej akcji. W jego obrazach eposy zmieniają się w rodzaj refleksji historyzoficznej. Tą soczewką oddalającą jest ironia, ale jego ciepłe poczucie humoru nie wyładowywało się w ostrej satyrze, ani w zjadliwej złośliwości.

Hiszpański nie drwi z *Odysei* ani *Eneidy*. Miał głębokie poczucie sensu i celowości wszelkich zdarzeń, które sarkazm przebrało na pogodną, filozoficzną zamyslenie nad światem. Artysta uwidcznia w swych pracach głęboki szacunek wobec dawnych kanonów.

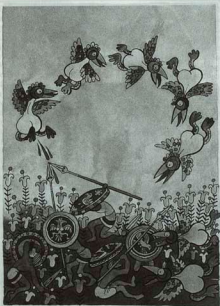
Szacunek ten wyraża się m. in. przez zamierzoną ścisłość merytoryczną ikonografii. Miał nieomal obsesję na punkcie prawdziwości realiów i kultury materialnej, sposobów przedstawiania przynależnych konwencji w jakiej właśnie malował (hierarchizująca postać, perspektywa pasowa w „Legendach” czy dokładne odzwierciane porządku doryckiego w „Odysei”). Chciał spojrzeć na świat

*Na odwróconie obrazu pt. *Telamok u Monolito* widnieje adnotacja autora, „wiem, że mury były bez zaprawy”. Prowadząc badania ikonograficzne sprawdził dokładnie każdy szczegół.



Telamok u Monolito (tytuł Odyseja)

oczyma artysty sumeryjskiego, etruskiego czy średniowiecznego, przyswoić sobie jego sposób myślenia o sztuce i dopiero będąc pewnie, że rozumie źródło swojej inspiracji, odważyć się przekształcać stare konwencje na swój sposób. Przed przystąpieniem do tworzenia ilustracji artysta przygotowywał się do pracy twórczej przesiadując tygodniami w bibliotekach Zakładów Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego, wertując wielojęzyczne opracowania literatury przedmiotu. Będąc po trosze naukowcem – erudyta doskonale zdawał sobie sprawę, że dzieło sztuki starożytnej powstawało na innej zasadzie niż sztuka nam współczesna. Treść i forma dzieła miały za zadanie nie tylko opowiedzieć pewną historię, lecz był to rodzaj zapisu dostarczającego pewnych pozarytystycznych informacji. Był to komunikat, dokument historyczny, narzędzie propagandy państwowej, wreszcie zapis porządku Tygrysu i Eufratu interesujące historyków. Sumeru, Troi i Kartaginy już nie ma – a prawda o niezmienności ludzkich emocji i porządek świata pozostały. Jest to być może drugi z powodów ikonograficznej ścisłości „Światów” przyczyną na nowo do życia po tysiącach lat sss”. Hiszpański zdaje się być głęboko przekonany o tym, że świat ma pewien porządek, który wyraża się poprzez miły i konwencje.



Harpie (tytuł Enriquez)

Na jego kolorowych planszach wyraziste i indywidualne gesty, często bliźniaczo podobnych do siebie postaci, motywy fal, stylizowanych liści, kwiatów i różnych zwierząt nadają przedstawiętom pewien rytm. Mamy wrażenie, że kiedy odwrócimy wzrok, wartka akcja potoczy się dalej sama, już bez naszego udziału, jak zwykle roztańczona i dynamiczna. Rytm ten przechodzi płynnie w ornament. Ornamenty tworzą kompozycje na planszy. Plansza jest częścią cyklu. Cykl jest częścią większej opowieści-mitu. Pomimo małych formatów prac wyraźnie układają się one w monumentalny fresk, będący jednocześnie opowieścią – mitem i refleksją na temat opowieści. Mit z kolei jest fundamentem kultury europejskiej.

Tego fundamentu szukał Hiszpański wykazując się zmysłem syntetycznym, intuicją w całej swojej twórczości plastycznej i swoich studiach naukowych. Niesłychanie dokładny w szczegółach, cznie pochylający nad każdą namalowaną istotą, analizując jej charakter, stan emocjonalny, jednocześnie stawiał pytanie, którego echa pobrzmiewają niemal w każdej jego pracy. „Skąd pochodzimy, my, Europejczycy?” I starał się na nie odpowiedzieć, pracowicie tropiąc początki kultury europejskiej, mity, wyobrażenia, stereotypy. Pozwalał sobie przy tym dobruźmie z nich pokpiwać.

Talent Hiszpańskiego, choć realizujący się tak wszechstronnie w malarst-



Nie dam Lavóni (tytuł Enriquez)

wie, grafice i wszelkiej innej działalności, był jednak ograniczony, choć nieocenicie musi być przegana.

Jako osobowość twórcza jest bardzo konsekwentny i choć pełen sprzeczności to jednak określony. Hiszpański pozostaje zawsze narratorem, gawdziarzem, który w najbardziej nawet spójnych i syntetycznych kompozycjach religijnych, gdzie ujawnia całą maestrię wspaniałego kolorysty, duże plastycyzny nasycając głębokimi kolorami, wywołuje niemal mistyczne odczucia, nie może (i z pewnością nie chce) powstrzymać się od maleńkiej choćby anegdoty, małego kontrapunktu groteski – do wzmożłości. Groteska nie żywi się bowiem abstrakcją, może to być nonsens, może przekształcona rzeczywistość, ale jednak zawsze rzeczywistość.

Sam artysta zresztą pisał: *Wprowadziłem deformację w moich pracach prawdziwą naturę, ale nigdy nie zrywam niteczki, którą jestem z nią związany, byłbym szczęśliwy to robić dla mody i na siłę – kumałbym sam siebie.*³

Dzięki tym ilustracjom uświadamiamy sobie, że po wiekach kanonizacji sztuki, po klasycyzmie, neoklasycyzmie i różnych innych „zmachach”, zapom-

³ Wypowiedź Stanisława Hiszpańskiego pochodzi z maszynopisu autora, fragmenty publikowane w katalogach wystaw m.in. w Stowarzyszeniu Hiszpańskich 1904-1975, katalog wystawy 1979, „Zachęta”, Warszawa BWA.

niechęmy, iż tak naprawdę sztuka grecka czy rzymska nie były bynajmniej pomnikowo białe, a znani nam wypolerowani bogowie o lśniących muzealnie skórze nie byli do końca bogami tamtych, starożytnych ludzi.

Budania nad sztuką wciąż na nowo wykazyują, że tamta Grecja, Rzym, Kreta, Babilonia były bajecznie, niemal psotkato kolorowe. Świątynie i posągi gładki kolorami dokładnie takimi jak na obrazach Stanisława Hiszpańskiego.

Paulina Toporowicz



Stanisław Hiszpański: *Synocy (cykl Odyseja)*

STANISŁAW POPEK

Sny z wieży milezienia

Paulina Jona Popko
w 20 rocznicę jego śmierci
25 grudnia 1980 r.

Ostatni kres z ostatniego stopnia asztobusa. Pora „pełni” pusta przestrzeń. Jest druga połowa upalnego lata. Trawy wypalone jak ogniem. Uprawy zdłbia krosnącej pod dotykami i mieszając się z leśnowym pyłem. Słońce zbliża się ku zachodowi, ale płaszczysza uporu nadal zabiera miodowym blaskiem. Druga sista jak akord napiekającego smażki.

W dali majęca kolorowe wstęgi obczone płotem, a w środku olbrzymi namiot. To cyrk. Po pewnym czasie dostrzegam dwa śmiejące Łucyki, skubące w ciemną uszniętą trawę. Ich parkanie świadczy o zdrowiu. (To pamiętam z dzieciństwa, gdy wiotną połem mlekiem młode żrebaki. Psyki żrebaków miały zapach świętego mleka i siana). Cyrk o tej porze zupełnie wymarły. To miejsce istniało gdzieś w dawnej swojej zamkniętej i wyizolowanej atmosferze, ową dwostofia życia w czasie przygotowywania tak zwanym muzeum i podczas samego występu – spektaklu. Życie „na kochał” jak wędrowną, drzewiastostwoznaną twój, pramięszczającą się z miejsca na miejsce, w zamkniętych klatkach, w zamkniętym świecie.

Wtem staje „oko w oko” z kłosem, smutnym kłosem z karykaturalnym, okrągłym nosem, ze sztucznie ustami, o sztucznym uśmiechu, tylko oczy nie kłami, oczy stare, ale po chwili pogawia się w tych oczach blyk zawiedzionej młodości.

Zagnim na trąbę – mów.

— To będzie mój ostatni występ na scenie. Później już tylko orkiestra. Jestem teraz kłosa. Na scenie może grać, bo gram o dzieciach.

Ochodzę, a za mną wędruje „Cisza” – na trąbę, jeden z najbardziej refleksyjnych utworów, jakie znam. Przynajmniej dla mnie. Ochodzę w ciszę. Nawet nie wiem, kiedy wygasa muzyka, a kiedy gra we mnie echo – wspomnienie. Uplwy czasu, zmienność tymba. Płaski dotychczas teren zainicjuje falosław. Leśnowe wzgórki, rby kretosławica, wylęgnięty cypryskami traw, ukokani patrzył się obok siebie, a szeroka rozjeżdżona droga przechodzi w wąską, kryje masę. Iść dalej przed siebie bez świadomości odła.

Nagle wszystko się zmienia. Cisną rozdziera ekspresyjne polakowanie odlatujących wron, a w miejsce zapachu wysychłych traw pojawia się odór padliny. Tuż za zakrętem wyrosły bałdy śmieci, szareburze zwaliska wypiętrzone miejscami na kilka metrów od podstawy drogi. Na szczytach bałdy zamajaczyły cienie – to ludzie-szczury. Właścicie tradno stowienić, czy są to ludzie zakapturzeni w szare worki, czy szczury, monstrualne duże owadki, nieuchronno palizaje w dół. Robię obrót w lewo, potem w prawo. Wąpłdnie to samo: znieuchronno sterzące sylwetki ludzi-szczurów albo szarew-ludzi. Sylwetki ziemiaste, jedynie oczy błyszczą jak główki szpilek.

Przedwiozyczne słońce rzuca długie cienie. W rozlany mi majęcy Wieża Babel. Dziwna forma, ale w naszym nie przypomina konstrukcji Wieży Babel Brouha. Tamta, niemal surrealistyczna, skonstruowana spiralnie jak amerykańskie świątynie – obronnie twierdzą, ale w odróżnieniu od nich złożona z nieizolowanej ilości arkad, w kolumnowej późnorenesansowej na drzwiach poziomach, przypomina chwiliami Colosseum rzymskie. Budowała na szczycie miodokłosa, zła się wyobchła, sterująca jak likur, ligująca się organicznie z niebem, morzem i ziemią. Wieża prawa, bezładna i gipsowata. To by następnie mitycznie wymieszanie języków, kara za czołwacza pychę. Tuż niby restła, mapająca w oddali wieża to jawi się, to zanika. Przypomina raczej latarnię morską lub helenderek światła bez skrzydeł. W fennie wyarmakła, w kolozie morskiej wody lub przezwoifonowego światłem kłępaćca lodu. Ostruła mgła, jak fatamorgana w drgającym powietrzu pustyni. Ale to przedwiozacz otywa wysycha trawę, wydłużają się szareobielne nierówności gruntu.

W pewnym momencie potera w owalność, duży krypie. Odchylam lekko chłodyny powięzerm jej wnętrza. Wszystkie światce jednolitym, szareobielnym światłem. Jednostobit barw just zakaskajęca. Trudno ustalić, jaka materia tworzy ową jednolitość – szkło,

można ludowa, przdziwne tworzywo? Chyba jednak tworzywo, a więc takie syntetyczne. Łagodnie schody o spiralnym układzie prowadzą coraz wyżej i wyżej. Wzniesie się pod takim skiepaniem – surfinem. Nigdzie śladu przycięcia wydeju...

— Czekam na ciebie od turek, czekam... Nie pilam wody z Lete – chyba wiesz, co to znaczy?

— Tak wiem, zachowałem pamięć życia – wyprzedziłem odruchowo.

— Ale woda, kłęk piłem, okazała się być z wydziału Stykasa.

Dopiero po chwili dociera do mojej świadomości fakt, że to słuszny głos Jasia – mojego brata. Szukan go w tym księżyctwie rozświetlenia, ale nie znajduję. Głos słuszny jednak wyraźnie. Jest to spokojny północny, ogarnięty miedzią wiek z kądzieli starych. Wzniesie dotrągnięciem poprzez przetrzytywał miłą nianizację, nierechowy chłód. Był może jest to cieli Jasia dostrzegany od najprawdopodobniej przez mnie przetrzezi, a może coś innego...?

— Co tutaj robisz? – pytam.

— Wdręję przez moje życie. Wdręję wszystkie możliwości przez moje dzieciństwo, Zamost, Warszawa, Lublin, poprzez moje obrazy. Onam tak, jak w czasach młodości na moich skrzypcach, na „Jryptych”, siadam na „Krańszach”, tych wzniesionych, które tworzyłem jako symbol losu innych, a nie przypuszczalnie, że będą to również krańsza dla mnie. Te z innymi faktami, z innymi oparciami... Jodynia Fieda z *Pana Przewo* okazał się wyprzedzający dla mnie sit dla niego...

— Może nie dotawisz, ale pamiętam jak pisałem – *Maluję krzesła Leżewca, wiele jokie (...)* ale też *rodzice, wygołose i „wyroki” dla różnych przetrzezi, kierownictwo, dyrektoriów, krzesła, na których siedzą lub z nich spódi, czarni wykopani obłąki wykopani...*

— To dobrze, że ty pamiętasz. Przypominam sobie, jaka wana w mojej twórczości była Śruba (1970). Rozpędziła się po okresie fascynacji Wilkowskim. Czynnym innym było dla mnie stworzenie obra *Świeżego światła*, trochę przedświata światła czołowego, dążącego do mądrości i nieojazdności, a tak naprawdę losy czołowego planktonu, pszczy i wyprzedzania się penad Boga, człowieka mniomającego się między chemizmem i upodleniem, odziewania – wdrowna irracjonalnej chwili... Później wzniesienie ma właśnie takie bezsensowne odcienie Benia – Egiptusiana Wygodowskiego, mojego przyjaciela z czasu studiów. *Egiptusian dla Benia* (1973) to była też odmienna filozofia stacji. Po pewnym czasie w tej kontrowersji pojawił się jeszcze wiele prac, a głównie *Panopticon współczesne* (1975), *Pomnik Gągowie* (1975).

— Ostatnie lata przed ową nową miastem nieopisujące...

— Tak, faktycznie, ale miślam w sobie jakąś wiodącą gęstość, napiecie, dlatego mniomawałem coraz więcej, coraz więcej... Miślam przecież tak dużo do podzielenia. Wiem, że wanie były obrazy *Niewolnik szary* (1977), liczne portrety, nowe wiersze *Luźe* (1980), *Egiptusian*, *Głody kaniów* (1980), liczne krzesła, *Miślam-przeziw i Amadzeizm*, *Masz napisane list do swojej Młocy* (1980), *Oczyszczanie* (1980).

— Trzy ostatnie obrazy były bez tytułu...

— One miały tytuły, tylko nie zdążyłem ich zanotować. Ta nowa nastąpiła tak nieopisująca wanie...

— Myślę, że tworzyć nadal... miślam przecież tyle wiodnego czasu.

— Nie masz powojca, o czym mówisz. Od barwny nowy chwilem przez moje życie. A co to jest ten twój czas? Wspaniały, że co się stało, to jest tylko w tym mniom pamiętając. Najbardziej męcącą miś wczorne obrazki, gdy bylem miś jak Amadzeiz. Wchwilam się wiażąc się jakoś tuca, jak kiedyś oglądałem słotce, ale to jednak nie to. To tuż jest groźna. Mama tuli mnie do serca, a ja dręć...

— Pamiętasz portiera Bierzka? Miałem wówczas niewiele ponad dwa lata. Ja miślam osiem, więc pamiętam nie tylko niemiarowity obraz potaru na przetrzezi kłótności, ale całą atmosferę napisania tekstu. Nad naszym nikt już nie spał. Była to wielka scena oddziałów AK. Zniszczenie głównej w tym rejonie bazy ukraińskich band. A co mówisz o tej scenie później, przez następujące lata? Jedis mówisz, że partyzantów było kilkanaście tysięcy, inni że około trzech tysięcy, natomiast w *zbrodnic*, zresztą bardzo kłótności i ogólnych, znalazłem wzmiankę, że półtora tysiący zginęli. AK otrzymało przed wriem całą osadę, wówczas złożoną piętnastu osiem. Tyko od strony północno-zachodniej oddział AK wspiął się osko pod górzny i tely zbrodni ukraińskich wiażących z oddziału Budy.

Później po wyrośnięciu byłych tam cała gromadą ciekawskich obywateli. Wszystkie całaśno spudziła, przez seroudu nie zapomniał do końca życia. Nacza prządka mogła skłócić się w tragicznie. Wprawdzie front przetrwał się na linie Własy, ale to tylko do zas strzelał...

— Pamiętam, naza miana mówić: – Jeszcze w ubiegłym roku, w ramach, w zgodzie sprowadzono po wiaśi Własy. Najpierw była Własy w Polaków, polem do dziesięciu sprowadzanych, których na tym terenie było około trzydziestu procent. Były stopniowo nawiązani za zmianie zabłoków, zgodnie z cartką polityką ekupacji na zachód.

Pod koniec wojny nacjonalistami skazywany pod przywództwem Niewolnikowi polską ludnością za Biegiem, a zimą wiosną 1944 roku białonoś na naszym terenie, także tych z miślanymi małżeństwami. Metody zgładzły były najbardziej wykrzesane, podłożono garlka, kobietom obcinano piersi, jeszcze żywe ofiary przysyłano jak na krzyżda do cieni bytówku. Nie też dzwano, że okoliczna ludność przez wiele lat okradła brata ukraińskie miślam „ryżowam”. Do tej pory rozmawiam nad tym, co mogło być taka menawie? Wioletta frańska kłótności i spłoszona Ukraińców? Może dawno tuż, tenawie? „Dziśkiś Pół” i przebieg niektórych metów wiażących nazywam w *Asp* jako w *Enspae*?

Znowu słuszny spokojny szep Jasia.

— Wyrastałem w tym klimacie. Moje pierwsze male obrabki to były znaki zapytania. Wiele krytyków, których świadomości budowała była poprzez fascynację impresjonizmem, kłótnożem czy nawet kłótnożem i smerykatkami abstrakcyjnymi, pokierowało w moich obrazach jakąś zewnętrznej siły światła, mrocznyk technicznych. Dopatrzywałem się Apny Komizma, nawet pogary. A to wszystko było nie tak. Urodziłem się i wyrastałem w okresie tragicznym, w czasie, w którym niekierki zbrodni, że Bóg nie stworzył ich ptakami czy nawet kłótnożami, które poląkają błąd z potrzeby zapoznania głodu. Oczywiście nie zamierzalam nikomu dyktować opowiadania o moich obrazach. Oczywiście na prawo miś wiana wiażowia, wiażare skłótnoż. Teraz był ty tak, którzy widzieli to niemyślą seksualność, inne traktowali moje obrazy jako rodzaj wyprzedzającego pamiętania. To ostatnie interpretacja była chyba najbardziej słuszna. Tak czy inaczej najwięcej celem obrazu Jasia Kamieńskiego. Wzdziałem, że on przemyślał się w moich obrazach, jak w *Wastze*, ale w tym co pisał, był czysty, autentyczny, inspirujący. Był jedytnym kompletnym znawcą życia wiodzonej sztuki w Lublinie i jednym z niewielu w naszym kraju.

— To prawda. Zgadziłem się z tobą, Szkoła, że nie wytrzymał przed królami. Inneżak Kamieński zamordował, a szkoda. Krytycy sztuki to także tworzyli talent, to wiażowia, odwaga, rodnika wiedza... Kamieński odwołał w swoich tekstach, że ma intencję, ale prócz tego oparował oprawców przetrzezi zmiślości.

— Ciekawym i niespełnionym odwołaniem byłże Stanisław Dzięchaczka – dawno nieobecny nie tylko w Lublinie, ale także w swojej profesji.

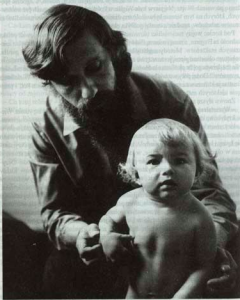
— Dzięchaczka był artystą i zgalł jak kometa. Pamiętam, potymniłem wtedy mo do Staryczka. Pisał tak w *artykule Panopticon Jana Popera*: *To rzeźba bieżnia powołana na destrukcję destrukcji człowieka i świata, zbawiająca ją nie pusta kompozycja ani infamydnym interpretowanie, lecz błędną iść drwiną (destrukcją) i wiażi odpowiadając destrukcji obrazu*. *To wiażowia! Miślam nawiązując nazyw zachowanie spójności i ładności podobać nowor-wobocznemu, który znajdujący się po tej drugiej stronie, gorzej stronić świat. To błędnie dowieść i poczuć humoru kół na swoim światwie się wiażi – jednym miślam obrazu w naszym zagniewanym świecie.*

Zgadziłem się wówczas z taką interpretacją, chociaż było to odkrycie pierwszej warstwy powojny. Tak naprawdę przetrzeziłam barwno tragicznie wyszło, co działo się wokół miś. Miślam przez kilka lat wiażi mroźna, byłam śledzący, chociaż polityką sigły się nie zajmowałem. Wierzę gądzilam polityką jak padlina. Tu, że dźwieszano takich ludzi jak ja, inwazyjny o zupełnie głupocie wczesnych notabli. Oczwala miśle cherebiawa zawiśi moich koleżgów po fachu, moich nagrody, wyróżnienia, wiażymy zagranicze, rezerwy prasowe – to była dla nich wroźna. Znamost tworzywo po nośno jak ja, spalał się w zwiastu, w próbnici i w swojej miśrośno...

— Teraz możemy sobie uświadomić fakt, że tak naprawdę twój projekt z otoczeniem, niekiedy Maźnada był instynktem samobrony i rodzącym kartuziela. Kiedyś napisałem mniompaet *Mosko* jako rodzaj autobiografii i teraz widzę, że ty też nakładajesz miślam bieżnia.

— Sądziś, że wazś świat zdołał wyścignąć wiażowia, że nastąpił jakeobikowś zwrot?

— Pamiętam *Monjez* wdrężył Andrzej Partuma – wiażymy, mądrość, wiażowia, a również bezczynie wyprzedzającego wiażowia. On podobny jest. Pótky – odnotuję się może wiażowia z doświadczenia Ludzkiej techniki, która jako nieuprzedzająca może ją uderzać lub naczywać, ale nie mając żadnego wpływu na kosmos, ponieważ bierna wobec wiażowia? „Człowiek zagubiony w rozwoju techniki jest mniej warty od wyprzedzającego komercyjnego od nowej techniki przedziwna”. „Każde zwierzę jest idealnie samo w sobie, tak samo jak ty”.



Jan Popka z córką Alinką

„Wobec świadomości znajduje się wyłącznie w chwili odczucia śmierci”, „W tobie jest moje życie, bo mnie jeszcze nie ma!”*

Spełniamy własną rolę w latach siedemdziesiątych na elitarnym wydziale PAN w Warszawie, gdzie dyktowaliśmy na temat społecznych uwarunkowań twórczości. Wcieli wówczas z Holandii. Był ponownie „awiedziony nowym duchem”. Głosił powściągniętą zasadę chaosu wszechświata... Od tamtego czasu nie o nim nie słyszałem.

Myśle, że coś w tym jest. Owo niedokonczenie dzieła, ciągłe stwarzanie od nowa, ni dokonanie, omijali natury – wszystko to może świadczyć o dużym wylenianiu się z chaosu – czyli o rozwoju...

Wielu myślicieli od dawna twierdzi, że struktury idealne, dokonujące się rozwojowo martwie. A wracając do postaci Andrzeja Pajaka, niekoronowanego idola twojego pokolenia w czasach studenckich w Warszawie, zastanawiam się, co takiego miał w sobie ów człowiek, przecież wieściły i mgły nie dokonujący student...

Miał oryginalną osobowość na pograniczu genialności i szaleństwa, był wczesnie intryzowany – również wobec akademickiej wiedzy, jego może sposobów jej przekazywania. Przez tego był to człowiek-aktor, stwarzający świętą tabuizację, ale to stwarzanie wynikało z jednej strony z zamyślenia, a może głównie z wewnętrznej potrzeby i mocy. Był w zachowaniu wycożony, bez uśmiechu towarzyskiego. Owa moc promieniowała w sposób nieuchwytny, coś na zasadzie biocyru czy bioplazmy. Był podobny w tym stwarzaniu sobie

*Cytowane fragmenty pochodzą z obszerniejszego opracowania A. Pajaka *Identyfikacja postępowy* (tłum. wierszami) S. Popki.

do Stachury, który na początku interesował nas nie jako poeta, ale raczej jako oryginalna, bardzo uwikłana w sprzeczności postać, a zarzekał człowiek mający silniejszą udziałem do ekspresji siebie niż genem, miziką, słowem, jego zabarwieniem, jego skłonnością do funkcjonowania na pograniczu prowadzących norm, do gry głośniczego odrzeka, ciepłepięka, ale wykorzystującego i talentem ową grę w życie, która jednak przewodziła do samozmierzania... Myśle, że to skądinąd przez naturę na niekonformizm, skłonności do refleksji, a zarzekał tak zwana prywatna filozofia życia – wszystko to czyniło z Partuma idola. Przez tego, ja i spóźniony jednak widzący czas na pracy, czy to w pracowniach Rafalowskiego, Nachta-Samborskiego, Rudzińskiego, Pukalskiego, albo do późna w nocy rzeźbem wzięje obrzeża w Dziękuję, a tylko od czasu do czasu dla odróżnienia wyświadczył w imię analizatorów. I to za było wówczas przynajmniej możliwe, bez tego nie mógł stworzyć artysty. To była wizja Hoffera. Partum w tym czasie chodził wywyższony na wykłady Kukulowskiego, wzmianki Schaffa, ale głównie krążył wśród nas. Umiał słuchać, myśleć.

– Czy możesz mi powiedzieć, kto był na twojej drodze rozwoju artystycznego jako malarz?

– Może, szczególnie tenaz może – Odcis nie sądzę, że był to Nachta-Samborski, u którego nibyżem dyplom z malarstwa. Z Nachtem skończyli sobie do oczu. On wyrażał i w końcu wymusił dyplom pod swój punkt artystycznego widzenia. Nachta był porównawczy, toteż zmuszał nas do dużych formatów, malowanych płasko, z miękką fakturą i kolorystyką improwizacji-ekspresyjną, zgaszoną czernią i szarocianami. To ostatnie było wyższym odstępstwem od klasycznego koloryzmu. Były to nadal syntetyczne martwie natury i temy podobne tematy, bez głębszej filozofii, która dla mnie była od początku bardzo ważna. Długo po wystawie dyplomowej w Akademii w wysyłki obrazy zostały w pracowni u Denia. Przesłały mnie interesować, jak byłyby nie może...

– A więc kto...?

– Pytałem – kto był tą zapalną pochodnią, tym głównym zapłonem, który we mnie przetwał do ostatka? Odnaz był to ktoś nieznany, Stach Surski z marmyjskiego plastyka.

– Doskonale go pamiętam. Był niski, o kaczym chodzie. Nogi miał „mrowiałe na bezcze” i dlatego stopy stawał do środka. Miał mroczną, niezłaskawą budowę. Mówił wolno, a nawet na początku zdania zwracał się i wypowiadał słowa przez zacznienie żeby, ekspozycje „jak”. Przechodził do nas w Zamoku na ówczesny 2. Był przecież naszym sąsiadem, bo ciągle mieszkał na zimnym poddaszu drugiego budynku tzw. „Styborów”, a zarzekał i swojej szkoły. Całe pomieszczenie było zalotnie kotątkami, od podłogi do skostnego sufitu. Regały Stach nie miał, podobnie jak innych wyświadczyków mebli, a tylko krzesła, stół, kilka rozpadających się krzesel i znakomita, duża szafka.

– Tak, tak, mówił do mnie zawsze, Jasasiek... Ty masz talent, ty jesteś, parę, parę... „Smukli kolona. Smukli. Róż kolka na palecie, a nie na obrębie. Tam możesz robić delikatne przekroki człowieka”. Smukli... Odczuli od płótna. Patrz pod różnym kątem, bo światło rzucał kłosem i dlatego każdy znowy jak palenia światła tośna materia.

– Ale sam zmagał się z ryzykiem. Miał słabą, nieco sztywną karkę. Kolorem dźwignął znakomicie, zwłaszcza w tych swoich ciekawych „grybów” i „gąbkach na stychu”.

– Pamiętam tebie obrazy. Jedną obrzęt mam do tej pory, ale to płótno zobraził mityczny depozytaryj. Był już wówczas obawy, przy tym ciekawym także na naszą przefidowca, czy może miał być zupełnie samodzielnym, gdyż po kanieju udanej wystawie indywidualnej dostawał zamówienia z obelgami.

– To dobrze pamiętam. Gdy po ukończeniu studiów w ASP w Warszawie wróciłem do mojej dawnej szkoły w Zamoku, jako nauczyciel rysunku i malarstwa, zarzęz po pierwszej wystawie indywidualnej gwałtownie doszedłem od zastępy dyrektora ostrzeżenia, że nie mogę być na przetrwanie umowy o pracę, gdyż jest agnoscja wiedzy jaśki. Jakżeś state dewocji niosłoby przewidywalnie szanuje, że za wystawie są wale plawy. Wówczas Stach Surski przychodził do mnie i mówi: „Ten cymbał nigdy nie będzie prowadził dykt. Jego chłada zwa na dupę jak sztyła. Iwasie, to jest pretekst, bo zaczynać coś zacząć, a przeż tego napisałś w katalogu: UWIEJ. BEAM PEJKNO NA RÓWNI Z BRZDYDUTA”. Jak ciebże zwolnił, to i ja ośchodzę na znak protestu”. Tak też się stało. Ośchodź i licem po moim zwolnieniu, naj-powinny dyktaw, po kilku latach zmiał. Jego zapamiętania sągła tonie w wielkiej gąbki na cementarzu w Urszowie.

– Wism, że tam byłś.

– Wcześniej odwiedził mnie podczas każdych wakacji na kurażach dla nauczycieli plastyki. Wczesnym stawał skarpety niewadomego koloru w kącie, a znakim wykruszał

cierpienie matki-ziemi z tych skarpetek, wkładaj je na swoje buty! powróć i będę znowu, szedł, malował, malował...” Nie doczekał.

– To był oryginalny dziwak, stary kawaler, który na Akademię do Krakowa poszedł przynosić z jawnymi ławami, w ofensywnym bluzie. W Akademii miał za Znamęk wspólną drożycę, no, o której kłóścił się wiele lat w Zamostcu przy pracy, a ona pod koniec studiów wyjechała za trzech... Stach Surdacki miał nieprzebraną wiedzę z zakresu historii Polski i historii sztuki prowadzonej. Taki niepozorny, uczynny, dbający tylko o swoje malowanie i ulubionych uczniów.

– Ale w Zamostcu miał boby. Taką dochodzący, jak pytałimo go o wybrane, to chryzał, kłócił: „at, bała, ma to do trzech, a przelę tego czasem i barzema ugotuje i to lepiej niż moja matka. Ta, jak mi nagroziła a niby skrutkologu barzema, to ja mówię – wadnie se w dupę albo wyjęła w pomyję. A ja lubę barzacz z kartkami jeszcze z partyzantry”. Tenzj pełni artystyczne służbę gdzieś w swojej dolinie.

– Był młody. Tego jednak nikt nie może wiedzieć. Bywa tak, że ludzie przechodzą przez swoje piekło tam, w tamym życiu na ziemi, w tym mglistym wędrownym jednej chwili. Ale bywa także i tak, że jest im dane swobodnie się od spraw doczesnych wyciągnąć.

– Mój czyste to moja wiesz samotność, to ciągle wędrować poprzez tamto wyświeśło, co czyniam przeciw ludziom i przeciw samemu sobie. To musi wielokrotnie wypaść się, oczyścić, ale stanąć się pierwotnym śladem przesłania naszego stworzenia, niemal czystą zamyślu Stworzy.

– Tak, ale Bóg dał nam przeciw wolną wole czynienia...

– Zgadza, tylko że ludzie zapominają, że dał nam przez wolności wyboru świadomość, odpowiedzialność i sumienie... Czyszcisz i przyswajanie kłopotliwej postaci człowieka i tej miłości, która rodzi życie i trwanie w pamięci...

– Doprawdy trudne to do pojęcia, tak jak nieskończoność przestrzeni i czasu, pozycję i końca.

– Nie jest takie proste, jak się pierwotnie wydaje. Nawet Manifest *zwierzęcy* Parturra jest przeżycie tylko narównym bełkotem, chociaż przynosi teza, że był trafną intencją, przeciwnie zagrożenia... A kiedy wydawało się, że jest to idea, na miarę manifestu futurystów.

– Bez błędzina nie ma namiastki rozwoju i prawdy, ani zbliżania się do absurdu. Chociaż zbliżanie się do absurdu to jest jedynie nadzieja, a mimo to człowiek w niemiękkiej wdrowie musi mieć nadzieję i ockę. Inaczej nie ma sensu poranne wstawanie, ani trzeźwienie po przepiętej nocu, ani wesołość przed zwiędnięciem...

– Oczywiście, życie jest ruchem do przodu, dążeniem do odświeżonej przemienności, jest aktywnością. Dlatego przesłania się niekiedy w życie doświadczenia Boga i jest pomniejszeniem jego kłopotliwych trudów naszymi językiem. Dla mnie *dwie* strony były naprawdę najlepsze – moja sztuka i moje drzewo. Był moje matka sztuka jest malko, bo pod koniec malowania coraz mniejsze obrazi, bo miałem malować drzewo...

– Przeważają Twoje drzewo aż do końca, samodzielnie. Jest jak drzewko. Amaleuz jest jak dojrzymy męczyzna, a nie tym, którego nosisz na rękach. Tyś w tym. Imbyś odświeś. Idzieś śladami twój wrośnię. Ma własna drogę...

– Bardzo trudno mi to pojąć. Ja mam w pamięci wszystkie moje male i malko: drzewo, Agnieszka, Aldoska, Amaleuzka, a nawet Malgusz. Ona też została bezczyna i zapłakana, a ja jeszcze dawajłem im powody do cierpienia, ale tylko dlatego, że nie potrafiłem na nich prześledzić mojej ludzkiej miłości. A miłość niekiedy jest zawsze ulotna.

– Twoje sztuka jest nadal niezwykła, niepomówna i niezapomniana. Obraz jest cioty, zupełnie inny niż balafina wrośnię. Nie upominaj się o swobodę ani dla siebie, ani dla twórcy. Ja jednak wierzę, że twój czas jeszcze nie nadszedł.

– Co natomiast? Mój czas tam był, a tu jest – i wywróżył się w tym zarysku.

– O nie! Przeszawaliś abnie we wszystkim co stworzyłeś, a tylko malowalność i ilu-potność, pogot, że bysłokotami i owo pobię przeczarować oczu ze zdławienia powodują, że ludzie długo pozostają ślepi i głusi. Twoje niezapomniane i aludynie dzieła są jeszcze samotne, bo są trudne... Wskoki dojrzewają do myśli swoich dżiadow...

Łódź, 4 marca 2000 r.

Stanisław Poplek

przekroje

KATARZYNA WIELAWSKA

POEZJA ŚLUCKIEGO – ECHA JUDAIZMU?

Just sam metaforyczny tytuł książki Slavomira Jasza Zurka... *Łoey druel* *połstomian* wprowadza czytelnika w mistyczna atmosferę poezji Anny Ślucskiej, której tajemność autor próbuje przełamać. Jest to z pewnością zadanie trudne – twórczość Ślucskiej to pozostawiające kontrowersje do sfery Abrahama, obżarstwa świętości i mowy przysudzającej samemu Bogu, lecz dokonywane niejako mimochodem, w sposób ukryty, gdzieś, jak pisał sam jej twórca, „między zbrodniami i karą” Atanazja i Lota pecać”. W dążeniu do odkrycia choćby cząstki prawdy o wstępowaniu i stworzeniu Ślucskiej wybiera drogę poety mistyka, aludując słowa, czyniąc właśnie mowę, język swych wierszy narzędziem świata umiędzianego pełne ich zrozumienia. Rozwikłania tej zagadki, odsłonięcia omego sensu w poezji Ślucskiej używającego czytelnikowi dotarcie do rzeczywistości w jej świat, Boga i człowieka stworzonej przez poetę, podjmuje się autor książki. Podaje on tropem przewidywanych się w poszczególnych utworach różnorodnych motywów judaistycznych, dokonując zarazem ich systematyzacji i szerszego głowienia, zwracając przy tym uwagę na ich wzajemne powiązania i tworzenia.

Zurka podziela opinię wielu bogactw Ślucskiej oraz dla kulturowego kontekstu i podaje jego wyobraźni poetyckiej jako czynników najniższej kształtujących sposob postępowania i światła i upominając go w twórczości. Dlatego też w książce przedzielone rozbrynie najwłaściwie wydarzenia w życiu poety, ważną rolę w atmosferze mistyczna jego drzewiastwa. Tymczasem – późniejszego poetyckiego Singulera. Pomajemy też poglądy Ślucskiej i sposób ich artystycznej manifestacji w okresie jego zaślubienia konformizmem, wreszcie znaczeniowa i ideologiczna, etap wdrowień po świecie, w tym bardzo dla niego ważny pobyt w Jeruzolimie, ostatnie lata przeżyte z żoną w Berlinie Zachodnim. Jak twierdzi Zurka, na życie Ślucskiej opozycja mowa w kategoriach pielgrzymki.

Próczgłowe było to święte miasto koniżone – *Moskwa* (...). potem była nie Jeruzolim, która okazała się miastem strasznych zbrodni, a wreszcie *Qntarwan* – mistyczna ośrodek, brulionując ogólnie ekumeniczne pomysłki judaizmem z chrześcijaństwem. A w końcu celami pielgrzymki *Zjedynienie*, miastem *dziewięć* także jest *poronienie Wieruszowa* (...). *do której przyjechał nie pociągami swojej wdrowień, po raz pierwszy jako czternastoletni kandydat do szkoły rabinów* (s. 51).

Taki właśnie sposób postępowania drogi żyjącej poety dodatkowo przywołuje mistycyzm i tajemniczość jego drodze artystycznej.

Zainteresowanie Ślucskiej szeroko pojęta tematyka religijna, nadające losy jego twórczości, skłoniło też autora do poszukiwania źródeł owej fascynacji w kręgu kulturowym, z którego wyszła ta poezja. Stał się mianem różnorodnych pogąd składowych porządkujących się w filozofii i teologii żydowskiej, żydowskiego rozumienia takich doświadczeń czy stanów jak kontakt z Bogiem, świętość lub przeżycie mistyczne, zakorzenionych w Biblii i kabałe. W takim kontekście pewnie obraz rzeczywistości bliższe sfery nadprzyrodzonej, których doświadczenie w wierszach Ślucskiej, mogą być najlepiej oddane dzięki językowej poetyce sam zaczepieniem z tradycji biblijnej. Z niej także wywodzą się tak częste i charakter-

rytmiczne dla poezji Słuckiego motywy judaistyczne. Zarek dzieł je na dwie podstawowe grupy: motywy-obrazy oraz pojęcia abstrakcyjne. U podstaw pierwszej grupy leży obraz światła. W wierszach Słuckiego, zgodnie z teorią kabalistyczną, światło to pierwotna kosmiczna siła, centrum wszechświata, pierwiastek zawarty w całym stworzeniu. Jest to zatem podstawowa przyczyna wszelkiego działania i wszelkich przemian na świecie. Tak jak w mistyce żydowskiej świat się nie stworzył z niczego, tak światło-Zarek, animacja i boskiej energii ukazanej w postaci dźwięków motywu kabalistycznego – wiatry, drzewa, promienia, będącego symbolem wzroku Boga, wznosi ogromny czujny wędrujący dusz.

Ręką podobną do światła odgrywa w świecie poetyckim Słuckiego słowo i powiązane z nim w wyobraźni żydowskiej pojęcia litery, dźwięku oraz liczby. Przepiętne światłem i energią one także są to samodzielnymi, czyste uperfekcjonowanymi bytami biologicznie ukształtowane i zdolne stworzenia i przekształcania wartości etycznej. Jak światło-Zarek, animacja, boskiej energii ukazanej w postaci dźwięków motywu kabalistycznego – wiatry, drzewa, promienia, będącego symbolem wzroku Boga, wznosi ogromny czujny wędrujący dusz.

Kolejnym motywem – obrazem w poezji Słuckiego jest anioł, tajemniczy postać bosi, polonek pomiędzy Światem a człowiekiem. W zakamieniu odazy twórczości poety anioł ten przyniósł brzoze postacie. W okresie jego fascynacji komunistami anioł to istotą intelektualną, za wkłótki, przeważnie robotnik lub żołnierz. W wierszach późniejszych Słucki przedstawił anioła jako kogoś przynależącego do świata wiatry, powietrza, naturalnego, defektywnego, zapośredniczone w stereotypowe skrzydła promiennika i stróża człowieka. Następnie pojawia się anioł żydowski, nie potrzebujący już skrzydeł, żyjący wśród ludzi, doświadczeniujący ludzkich uczuć i pokus.

Ważnymi motywami judaistycznymi wyodrębnionymi przez Zarka są też szel i jego opłaczoność – świat dźwięczności poety i obraz stały się wspaniałe z Qumran – przedmiot jego rozważań pod koniec życia. Surrealistyczny, postawiszowy, lecz zarazem przebieganie żydowskim folklorem Szagalow, czuje wiecie Boga, zmierz ku zagładzie, nie tylko wskutek holocaustu, lecz przede wszystkim wskutek odwołania go do fróde światłości. Qumran natomiast staje się miastem-fortecją wierzących, miejscem objawienia bożego i centrum pielgrzymek tych, którzy nie uznali śmierci. Przeniesieniem człowieka okazuje się wiec ostatecznie, zdaniam Słuckiego, winność.

W kontekście powyższej analizy motywów judaistycznych w wierszach Słuckiego przeprowadzone przez Zarka wyłania się obraz poety jako mistyka, kapłana, medium pośredniczącego pomiędzy światem ludzi, nadprzyrodzonym a odbiorcą. Twórcą przyjmuje postać kontemplacyjną, posiadając obłąkane prawdo o wszechświecie, jednak rezultat tych starań pozostaje tajemniczy nawet dla niego samego. Dowodem mogą być następujące rozważania podmiotu lirycznego w jednym z wierszy Słuckiego przytoczone przez Zarka:

Gdzie szukać uśmiech?

W Arabii?

W Krajinie Gousher?

W Niszwie? (s. 57)

Motywy religijne zastępowane z judaizmem, często przeobrażone i zasyfionas, są też, zdaniem Zarka, ważnym kryterium poszukiwającym na określenie Armoda Słuckiego miarem poety polsko-żydowskiego.

Światem J. Zarek podejmuje się w swej książce cztery tradycje i wymagającej wielkiej delikatności – rozwikłania tajemnicy zaklety w wierszach Słuckiego. Tymczasem istotą poezji jest chyba niedopowiedzenie, postawienie pytania na wyobraźnię czytelnika. Czy autor przekazał w wierszu ganiąc pomiędzy wstępnym się w tajemnicy wierzy a jej przełamaniem? O tym zadecyduwać musi nasz czytelnik.

Shmueler Isak Zarek – kary satyrycznik, Kijajewo Abchazicki, Kirov 1909, w. 204.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że w tym artykule nie zostały omówione wszystkie aspekty twórczości Słuckiego, a jedynie te, które wydają się najbardziej istotne dla zrozumienia jego poezji. W szczególności nie zostały omówione jego powieści, które są również ważnym elementem jego twórczości. Ponadto, w tym artykule nie zostały omówione jego prace teatralne, które również są ważnym elementem jego twórczości. Wreszcie, w tym artykule nie zostały omówione jego prace publicystyczne, które również są ważnym elementem jego twórczości.

ARKADIUSZ ADAMCZUK

LUBLIN, KTÓREGO NIE MA

Pewnego dnia, po otwarciu przetworzonego zapisu Krakowskiego Przedmieszcza zwanego depistakim, spoczęwałem podziwiałem Lublin. Na jego jednym z przybytków rwa i pęknięcie urządzeń przy stole dwóch Żydów. Zwołaniem, by dokładniej się im przyjrzeć, okazało się płaszcze, czarne kapelusz z prostym ryzem. Najważniejsze były jednak ich twarze, okolone dostojnymi bradami. Autentycznie, urloadowany Żydka, najprawdopodobniej chasydy, który przyszedł z pielgrzymką na król wielkiego cadyka Jakuba Isakaka zwanego Widzącym z Lublina.

Pomyślałem, że ten ma dla mnie, miszkałki tego miasta jest epokowy, ponieważ był to pierwszy było urodzeniem, Przed wojną podał mieszkanie stanozowi przybytki, był strażnikiem sposobu wyznacznym w latach wojny. I świadomościom także również niepowodzenia straż w kwojebazie miasta, jaką było zbieranie przez Niemców wielkiej wyprawki Maharzala. Many kościelnie katolickie, protestanckie, unickie, prawosławne – a nie ma już w mieście symagioni. I on wzięty, większość miszkałkow Lublina, zwłaszcza tych naphywszych, zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że Lublin był wielkim skupiskiem Żydów w Polsce, jedną z dwóch wielkich samodzielnego ogarnu zwanego Sejmem Czarnym, drugą był Jarosław nad Sanem. W obu miastach Wład zbierał się w czasie jarmarków. Lublin był także wielkim ośrodkiem myśli judaistycznej.

Wobec takiej sytuacji z dużą radością należy przyjąć wydanie przez PWN książki Martina Bubera (1878-1965) *Gog i Magog, kronika chasydów*. Jest to kolejna z kilku prac tego myśliciela, poświęcona chasydom i ich tradycji. Martin Buber, żydowski filozof i działacz społeczny przez jakiś czas mieszkałcy w Łowoszu, w pewnym momencie życia zetknął się z jaskawim chasydizmem. Owe mistyczne brzo heterodoksalne i wściebne tradycjonalityzmu wywarł wielki wpływ na jego filozofię. Swój sposób widzenia świata przekazywał m. in. w formie opowieści czy raczej przysłów zebranych w zbioru. Taką właśnie formę ma książka *Gog i Magog*.

Otwierając pierwszy opis wizerunku rankowego w Lublinie i stopniowego powstania wokół niego duchowości żydowskiej. Początkowo inkwizytor Isakaku byłby opowiadaniem o swoim mieście. Zwołaniem nie pojawiają się w nim i inne ważne miejsca. Wawnoia, Czuchów, Krakowskie Przedmieszcze, które w czasach Widzącego z Lublina wygładziło miast nie obecnie. W miast czytania decerniał do mnie zupełnie inny wymiar tej książki, wyczerpną, który sprawiał, że odrywałem się od wszystkich spraw, by zagłębić się całym sobą w jej treści na polu kabalistycznej i filozoficznej.

Książka jest kroniką lubelskich chasydów. Opowiada o trzech doświadczeniach akusowanego wódek cadyka Jakuba Isakaka zwanego Widzącym, o jego konflikcie z cadykiem z Przemyśla. Konflikt ten jest zasadniczo o spisywanie rozdziałów na poziomie fabuły (ma ona bowiem również wymiar metafizyczny, do czego przyjdzie w chwili). Umieszczenie jest w dającym się określić historycznie czasie wspaniałych, w doświadczeniach miszkałkow. Bohaterowie: Żydka, Napoleon, książka Adam Czartoryski czy książka Pełni są tu wstępnymi postaciami. Segaję jednak głębiej, do rzeczywistej treści, dostrzegając wielką przypowieść o ciemnym metafizycznym. Religia Żydka, jak wiadomo, cechującym się na nadzieję Mesjasza. Jest to bardzo ważny ryw w judaizmie, w całej tradycji żydowskiej. Owe nadzieje oczekiwania na kogoś, kto ma przyjąć, stwarza wspanięj klimat radości. Radonego drzewa drzew. Mesjaz jest też tu, jeszcze czarna, chwileczka. Ale niekt nie wie, kiedy przyjdzie. W tym pokoleniu? W następnym? W owe oczekiwanie wpisany jest więc również ogromny niepokój niepokojów, niepewności losów. Pragnienie przyjąć Mesjasza jest tak silne, że czasem imięgo pokłosa, aby to wyobraźnię przeniesienie. Innymi słowy, dźwonić Boga, by ten przyszedł i swoje wyroku i uczynił koniec świata. Według chasydów bowiem światobliwi cadyk może wpływać na wyroku Boga – na przykład podjąć próby przypięszenia przyjścia Mesjazusa. Tym problem i ich skutkiem potowiczone jest książka Bubera.

Wspominamy na początku konflikt Widzącego z Jehudim z Przemyśla (cadyk miał na imię Isakak Isakak, ale znany był jako „Zog” [Jehuda] przyjdzie, ten przyszedł i ten przyszedł). W tym kontekście zwracając się do samego zwłaku „Isakakim Żydem” dotyczy właśnie kwestii, czy można w ogóle wpływać na wyroku Boga czy akurat jest właściwym moment, żeby to uczynić i sprowadzić Mesjazusa. Widzęj stara się to uczynić odpowiedzialnymi zabiegami

manuszy z Kabuly, zaś Jehadi z Przymysłu wyznaniem do nawrócenia. Obaj uważają, że wyprawa Napoleona na Rosję to wojna Goga i Błoga, jaka porażka ma przynieść Zawzięcia. Te dane, jak również wyciąte inne strony, które sturują społecznosci czytelników poczekał XIX w., wykorzystuje Buber do przedstawienia koncepcji filozoficznej, oblicze czerpiącej z mistyki żydowskiej. Jej podstawowym wyznacznikiem jest dialog dwóch osób. Nie przedstawienie stosunku ja – ty, gdzie „ty” jest tylko przedmiotem wobec „ja”, ale relacji, gdzie druga osoba jest innym „ja”, autonomicznym i mającym swoją wartość. Buber przedstawia animację między Widzącym a cadykiem z Przymysłu podkrelia, że mimo różnicy ról widły przewidywalne i obywateli wobec siebie widzą znacząco. Każdy z nich autonomicznie poglądów adwersarza i co więcej mimo odmiennego zdania nigdy był mi pomóc w osiągnięciu celu podczas swojej szczerzy sadowej, gdy miała nastąpić ostojenia próba sprowadzenia Mojżesza na ziemię.

Napływającym stopniem dialogu u Bubera jest relacja Człowiek – Absolut. Postawa człowieka wobec Boga i Jego planów powinna być pełna ufności i zawierzenia. To właśnie między go prozowiec w doświadczeniu mistycznym a nie w suchych, dogmatycznych studiach nad Pięknem (czywiście Pięno jest bardzo ważne, ale nie może stać się dogmatyczną instancją zniekształcającą bezpośrednie obcowanie z Bogiem). Ows postawa zawierzenia jest niezwykła istotna. Próby podjętowanie przez obu cadyków końca są niepowodzeniem. Widzący popierał grzech psychiczny – nie zaufał Bogu, a to do Niego należy decyzja, kiedy ma nastąpić Zawzięcie. Cadyk Jehadi z Przymysłu wykazał się wyczołką wobec zamknięcia Psa. W relacji Ja – Bóg ważne jest przede wszystkim ścisłe zawierzenie. Kto tej postawy, reprezentowanej przez cadyka z Przymysłu, skłania się sam Buber, dostajemy się wobec: zewnętrznego, kabalistycznego sztućca Widzącego. Z drugiej jednak strony podkrelia znaczenie pełnego zjednoczenia chędnego, koniecznego w zabiegach tego ostatniego. Zjednoczenie całego ludu Izraela w jednym momencie staje się symbolem relacji Naród Wybrany – Bóg, a więc napowinąć z tych motywów do osiągnięcia.

Książka Bubera można więc rozpatrywać w kilku płaszczyznach i w każdej z nich jest ona niezmierznie interesująca. Wyczołką stał przede jest następująca klamra opowieści, będącej jednocześnie parabolą eschatologiczną, podająca pod rozwagę nasz osobisty stosunek do Boga, a zwłaszcza do Jego wpływu na życie osobiste i społeczne (zwłaszcza polityczne). Jest to bardzo ważne zwłaszcza wobec głosów, że w Oświęcimiu Bóg opuścił Naród Wybrany. Książka Bubera może pomóc w ustosunkowaniu się do podobnych tragedii i wydaje się, że to nam polega, między innymi, jej wartość.

Maria Buda, Gdynia i Mięty. *Archiwa zbiorcze. Przekłady i wstępny wstęp* Jan Olewinski. Wydawnictwo Słomkowski 1993. Wymiar 199x 260 mm.

KATARZYNA WIĘCŁAWSKA

LÓW O LITERACKICH ZWIĄZKACH POLSKO-ŻYDOWSKICH

W swojej najnowszej książce *Rozpoznienie* Ryszard Lów nawiązuje do wydatnych wcześniej koncepcji, takich jak *Hebrajska obecność*, *Juliana Tuwima* czy *Znak obecności* oraz zamieszczonych w prasie polskiej i izraelskiej artykułów dotyczących literatury polsko-żydowskiego pogranicza w jej najróżniejszych przejawach: beletrystyki, poezji, przekładów ważnych dzieł obu narodowości na języki polski i hebrajski, działalności literaturoznawczej i naukowej, wreszcie twórczości esejnistycznej i krytycznej. Jest ona trzecią z serii książek – *Rozpoznienie* – wprowadzająca czytelnika w jej specyfikę oraz zadania, jakie stawia przed sobą autor. Misją książki, pragnie on skłonić do czytelnika ku różnorodnym, w których poznawaniu można literackich związków polsko-żydowskich i polsko-hebrajskich. Przedstawia badaczy literatury zajmujących się tą problematyką oraz nawiązuje ważne wyki ich prac, daje przekładów ważnych poezji literatury polskiej na język hebrajski i ich recepcję czytelnika i krytyczną, a także historię polsko-żydowskiej próby w Izraelu. Wskazuje węgiel w książce

skłonie stworzyć środowisko kulturalnych związków między Polakami a Żydami, uzależnienie pryncypów od skomplikowanej sytuacji historycznej na przesłanach mijającego stulecia, także stojących zarzemu posad historii

Pierwszą część *Rozpoznienia* poświęca Lów na zarysowanie wytworów literatury oraz znaczenia polsko-żydowskiego pogranicza. Autor wybiera tu, jako bohaterów pozaspołecznych skądś, tych badaczy, którzy praca nie miała może spektakularnego charakteru, lecz znaczenie przyczyniła się do pogłębienia i systematyzacji wiedzy Polaków i Żydów na temat twórczości literackiej kadyków i tych znaczących lub jej zaspołeczności umożliwia dzięki popularyzacji wybranych koncepcji, licznym przekładom polskiej i żydowskiej poezji i prozy, formowaniu grona odbiorców tej literatury. Wśród esajstów (historyków literatury, którzy formalności omawiają Lów, znajdują się Paweł Ghilka, badacza żydowskiej próby polsko-żydowskiej i twórcy jej bibliografii, propagator książki dotyczących dróg Żydów polski, Wilhelm Falek, badacz wpływu biblijnych na literaturę polską i historię sztuki, a także Aleksander Zych, nawiązujący do problematyki żydowskiej w polskiej prozie oraz gromadzący artykułów, notatek, informacji bibliograficznych na te tematy). Lów przedstawia też zawile lony i osiągnięcia literatury poezji hebrajskiej na język polski – Szymona Wolfa, koncentrującego się przede wszystkim na twórczości współczesnego ma młodego pokolenia poetów polskojęzycznych, oraz Salomona Dylmana, pracującego nad wzraniem poetów starszej generacji, odwołującym się do literatury hebrajskiej, jak Chaim Bialik. Ważnym faktem hebrajskim, niejednako podkreślana wielokrotnie w książce Lwa *Rozpoznienie*, jest ich często podkreślana przynależność narodowa, a przy tym także zakorzenienie w polskiej tradycji kulturalnej, co doświadcza stawiać ich w szeregu ludzi polsko-żydowskiego pogranicza.

Kolepnie zagadnienie podjęte przez Lwa w *Rozpoznieniu* to historia przekładów klasycznych poezji literatury polskiej na język hebrajski – omówione są tu dzieła przekładu Psa Tuwima dobranego przez Jozefa Liechthermana, autor opusku także obok twórczości Prusa, Zernomskiego i Leimaina w literaturze hebrajskiej. W skłótnach dotyczących wysozkich tych przekładów Lów gromadzi bardzo ciekawe spostrzeżenia na temat ich recepcji czytelnika i krytycznej. Małoznaczące, jak w przypadku każdej literatury, pewne tematy podjętowanie w niewydatnym wysozku książki, przemawiają jako jedynie do odbiorców tej samej narodowości lub pokolenia, stał nawet rozkładowy przekład nie zawsze może sprzątać językowi oryginalnemu. Stał właśnie problem Psa Tuwima, który, zdaniem autora, żył w momencie włączenia go w poczet literatury hebrajskiej, stał się tym pozojęzykowy, czy też wierszy Leimaina, przez wielu literaturoznawców uważanych za niezmiernie do przeformułowania. Stał też stosunkowo niewielka pozycja Zernomskiego i Prusa – tematyka ich przekładów powinna raczej do pokolenia Żydów zamieszkałych w krajach Polak, mających jej polubry i realia przedstawiające przez pisarzy, a nie do pokolenia młodych Izraelczyków.

Lów zamieszcza także w *Rozpoznieniu* ciekawy rozdział poświęcony historii próby polsko-żydowskiej w Izraelu. Opisuje warunki, w jakich doszło do powstania, rozwoju i ichyka głównych śmiejących doświadczeń – „Nowin Literackich” i „Nowin Izraelskich”, rozpoczętych po roku 1956 w „Kierwie-Kierwie”, czasopiśmie Literackim, czy „Kontury” i „Alkony”. Przedstawia także zarys innych przedsięwzięć prasowych na przestrzeni lat powojennych, wymienia też najważniejszych twórców i współpracowników tej prozy. Autor wskazuje na specyfikę omawianych wydawnictw, wyrażających poglądy i postawy przybyłej z Polski społeczności izraelskiej oraz stanowiących często swego rodzaju forum, na którym podjętowanie były problemy polsko-żydowskiej kultury, historii i literatury. Doświadczenia Lwa zwąca uwagę na zmierzający się recepcji tych poezji w Izraelu. Małoznaczące, wnąc że zmieniają sytuację polityczną w Polsce, związane z tym doświadczenia kontaktów między dwoma narodami, a także zmniejszający się liczba polsko-żydowskich czytelników, dochoodzi do przesłanek w tej dziedzinie działalności literackiej. Autorzy izraelscy piszący po polsku i adwersarję swą prace także do społeczności polskiej korzystają z możliwości bezpośredniego dostępu do odbiorców i publikują książki i artykuły w Polsce. Niezmiernie jednak historia consciousnessa polsko-żydowskiego w Izraelu świadczy o ważnych związkach historycznych łączących metodologicznie polską i żydowską, a także o intensjenu pewnego kręgu twórców i czytelników wysozkich się z tych dwóch kultur.

Rozpoznienie to książka, w której Lów podjęcie próby pogłębienia i uzupełnienia wiedzy na temat literackich relacji polsko-żydowskich, wzbogacając ją o przedstawienie pewnych realiów kulturalnych i historycznych im towarzyszących. Jednocześnie sam autor, poprzez swoją twórczość i działalność naukową, staje w kręgu ludzi polsko-żydow-

130 tysięcy Żydów. Władztwo oddział specjalny, składający się z ponad setki osób, zbliżowało w latach 1941-1943 kilkadziesiąt tysięcy mieszkołackich getta wileńskiego. Przed śmiercią słuchali rozbierani się do naga, byli ustawieni przed kamerami, a kobiety członki Sonderkommando musiał wstrząsnąć jednym ciałkiem. Potem umarli nadtopionych skazanych. Nidkierzy strzelali, oddawali nawięt pewną satyrę, stawali się przelotnie zarobek na wódkę, której dostawali po akcji. Pióroby dzielił między siebie, uprawiali się przawoście ze wódką. Hirtenbergo, który zaryzykował samą nie kopną rękawo, do których wrzucano ciała ofiar, znaleźli gorliwych pomocników nie tylko do pracy z listami w rękę.

3. Nie trzeba odrębnych badań socjologicznych, aby stwierdzić, że wiedza uczelnia osłabła podległymi i trudniej na temat dziejów Żydów w Polsce jest ślaba. W atroszowaniu owej ignorancji znaczną rolę odgrywało podręcznik historii. Można powiedzieć nawet, że często, w sposób zmierzający lub nie, przeważały antysemickie schematy. Działo się tak chociażby w przypadku tradycyjnego już przetworzenia „Życia z Żydami”. Czyniąc innym, jeśli nie kontynuacją tendencji do szafowania etykietką „żół” jest mówienie w tym kontekście o polskich paszach artystycznych. Schuda, Strzykowski, Wat, Leifman, Turan, Lewkow, Iliczewca i inni posiadają polskimi autorami, zawsze jednak mianami nie łączą z tym, że w jakimś bliżej nieokreślonym momencie, wypierają się im smakiem pochodzenie. Ale za spokójem młodym się do dziś w szkole o szczeni milionów Polaków zamierzonych w czasie ostatniej wojny, podczas gdy prawie połowę z nich stanowią polscy Żydzi, których mordowano bynajmniej nie za polskie obywatelstwo. Iary przykroli. Przeglądając podręcznik autorstwa Andrzeja Leszka Szczęsniaka *Historia 1918-1919* zauważamy można, iż mieszczą Polskę (w omówieniu zawartym w rozdziale) postawę przemian radu brytyjskiego. Laysa George'a i, próbowe się tłumaczyć jego żydowskim pochodzeniem.

Dziś tegoż trzeźwa mowa i uszy o chyceniu? Barbara Engelking w swej książce pisze, iż w przypadku zagłady można do wyznaczenia z trzema rodzajami pamięci, której deprecjuszami są ofiara, tak i świadki. Robert Szaucha, autor jednego z artykułów zamieszczonych w *Tematach Żydowskich*, dodaje jeszcze do tych kategorii uczynów polskich szkół, dla których wyparciu holocaustu stanowi odległą przeszłość, ale powiomi ponawia i praktyczny wstędy o tym, czego żaden ze świadków za kilkadziesiąt lat nie będzie mógł uśfakowemować. Oczywiście można wymieniać także i inne różnie ważne powody (by wspomnieć chociażby przestrzeg przed konsekwencjami nacjonalizmów i kamoflami narodowej), dla których mówienie o obłach jest świętą koniecznością we współczesnej polskiej szkole. Ojciec jedenym w rozmowie z Ewą Magal wspomina Konstanty Giebert. Bartusia jest rodzajem spudku, który otrzymujemy wraz z całym bagażem chrześcijańskich ucztych, ale twin niezakazanie od tego, czy się na to godzimy, czy nie. Odnieśliśmy gwarantowanie naszej przeszłości, ujawnię jej we właściwych proporcjach to zadanie do rozwiązania, którego jednym z elementów jest zagmatwana i trudna problematyka stosunków polsko-żydowskich na przestrzeni kilkadziesiąt lat, a w szczególności w okresie II wojny światowej.

Wielu ludzi, nawet tych, którzy są prozajami wobec Żydów, potrzęga ich głównie przez przyzmat martyrologii. Tymczasem – jak stwierdza Konstanty Giebert – *Zapewnego punktu widzenia wygląda nie-winnym w doświadczeniu żydów nie-liczące miliona nowego. Nie-tematami wstędy w doświadczeniu badach. Dlatego o zagładzie nie można przekazać mówić, ale nie należy na niej badać w żydowskiej ostudności, bo na rozumie jest głębiej i bogatsze. Jak się rygnąć historii Żydów? Wobec redukcje do historii jest rzucić, to jest to onochronić i czyżka nieprawa. To historia jest nieczypliwą duchową przynędo, a możliwość uczestniczenia w niej jest czynem fascynującym. Zastąpienie takiego fundamentalizmu żydowskiej istotyściem fundamentalizmu obywatelnym z przetrzymaniem i modelem wykładu nie się obawiam. Bezładnie często nie wygłania się ośmielności kulturowej Żydów, na cały komentarz przyjmując jedynie zdjecia ortodoksalne do w. się zaprawiających. Jakże często ich stroje są przetwarzane jako przejaw zacofania, ciemnoty, nie mówiąc już o wagałach estetycznych. Sfera duchowości judaizmu korpuzona jest niebezpieczną z kabala, której i kielci przeciętli Polacy nie utraczają bynajmniej z metafizycznymi doświadczeniami na temat Boga i powstania świata. Poprawnie odnieć kultury jest niezbędnym warunkiem się akceptacji. Książka wydana przez Wspólnotę Kulturową Borussia, której wybrane rozdziały są omówione, jest waznym krokiem na tej drodze.*

Tematy żydowskie, pod red. E. Traby i R. Traby, Wspólnota Kulturowa Borussia, Chłpin, 1999, ss. 310.

ROBERT KUWALKE

ŻYCIE ŻYDOWSKIE NA LUBELSKOZYNIE W OKRESIE WIELKIEJ WOJNY

Conat cępkując w historiografii polskiej, zajmującej się tematyką żydowską sięga się po tematy, które wykraczają poza okres dwudziestolecia międzywojennego i II wojny światowej.

Książka Konrada Zdzisińskiego jest przejawem tej tendencji. Autor skoncentrował się na okresie I wojny światowej i jej wpływie na społeczność żydowską Lubelszczyzny, dokładniej tej części regionu, która ponosiła w latach 1913-1918 pod okupacją austro-węgierską. Warto w przybliżeniu rozszerzyć badania na wciąż dosyć słabo badany Lubelski i Lublandę, która znalazła się pod okupacją niemiecką (głównie Prusy). Przewidywalnie nie uzyskalibyśmy dzięki temu interesującą prawniczkę, jak wyglądały procesy kulturalne i się świadomości narodowej i politycznej Żydów na Lubelszczyźnie pod władzą dwóch różnych okupantów.

Autor, bazując na rozlicznych źródłach, pochodzących z kilkadziesiątletniej zaprawy witalnych pracałowni w Warszawie, Lublinie, Krakowie i Zamostku, wykorzystując także przy tym fragmenty listów wspomnień i pamiętników (również tych, które zostały opublikowane w językach żywych i hebrajskim) w książkach pamięci początkujących miast i miasteczec z terenu Lubelszczyzny, uzupełniając je prasą, ukazującą się nie tylko w regionie, ale także w Galicji, a nawet w zbiorach prasakim oraz bogatą literaturę fachową, odwozuje bardzo dokładnie obraz życia żydowskiego nie tylko w takich większych miastach jak Lublin, Chelm czy Zamostek, ale także w małych miasteczkach, a których przeszłość nie znajdujemy wiele informacji w historiografii polskiej obecnej. Historię polską czarną kępcę sięgnął po książkę pamięci, wykorzystując je na równi z materiałami archiwalnymi, których dla omawianego w studium okremu nie był. Tym konkretnym przykładem można do czytelnika z bardzo interesującym uzupełnieniem się różnych żywych źródeł, co daje obywateli obraz omawianych problemów. Autor nie waha się przed porównaniami i sytuowaniami hipotez tam, gdzie tych źródeł brakuje.

Cała praca ma bardzo czytelny układ, wychodzący od rytmu statystycznego i gospodarczego historii żydowskiej na Lubelszczyźnie, informację następuje o życiu społeczno-politycznym i religijnym ligie społeczności, a następnie charakterystyce działalności kulturalnej. Daje to więc pełny obraz funkcjonowania mniejszości żydowskiej w Lubelskim w okresie I wojny światowej, w czasie, gdy społeczności ta przechodziła bardzo gwałtownie przemiany społeczne, polityczne i religijno-kulturowe.

Warto tu dodać, że w przypadku wielu drobnych faktów (a także przywołanych ich badania słabo i on istotnie, nie odwołując się ich nadmiernie) autor nie ograniczył się jedynie do czasu Wielkiej Wojny, jak ją wtedy nazywano. Pisząc o takich procesach jak kontrowersje w żydowskiej życa politycznego czy kulturalnego, sięgnął po wcześniejsze materiały, nawet z końca XIX w. Wtedy to właśnie w większych miastach, jak Lublin, Chelm czy Zamostek, zaczęły powstawać się zakłady przynależnych żydowskich partii politycznych. Oczywiście, w tym przypadku badania wazny dla Lubelszczyzny okremem była rewolucja 1905 r., kiedy to na znakomitym Polaków, a także innych Żydów okazało się, że ci ostatni są w stanie zaangażować się w masowe ruchy społeczno-polityczne i posiadają niezmiernie gwałtowny charakter narodowy. Doświadczymy jednak czasem dla kulturalnego i żydowskiej istotyściem w prowincjonalnych miasteczkach regionu lubelskiego była i wena światowa. To wtedy do takich miejscowości jak Markuszów, Bilgoraj, Hirtenbergo czy Tomaszów Lubelski dotarła świadomość ojsyściem, ujawnienie czy kontrowersje. W tym też czasie dokonywało się młode pokolenie, dokonujące wreszcie rewolucji, zabierając kulturę, jak i religijną, występując obywateli prawnicy ortodoksalnych czy wręcz chłaskim rozłożem.

Wszystkie te procesy znalazły odzwierciedlenie w omawianej książce. Czytając ją, odnosi się wrażenie barwnego paszorytu (o charakterze historycznym, etnograficznym i socjologicznym) społeczności żydowskiej na omawianym terenie. Obok bowiem omawienia wyrażało wypono historycznych, jak porównanie lokalnych kamoflami partii, nakładanie i przekazywanie historii kulturalno-świątecznych czy też szacownym, mamy to do czynienia z charakterystykami ich działalności. Są też cenne fragmenty opisujące życie codzienne żydowskich mieszkołackich większych miast i prowincjonalnych miasteczek. Autor uwypukla specyfikę historii żydowskiej Lubelszczyzny na do innych regionów Polski. A była to społeczność zdecydowanie bardziej religijna, z bardzo silnymi wpływami charyzmatu, którego

kozenie sigaty II połowy XVIII w., a tym samym budząc konserwatywny niż analogiczne społeczności w Warszawie, Łodzi czy zachodnich guberniach Królestwa Polskiego.

Przy swoim konserwatywnym Żydzi na Lubelszczyźnie był grupą o niskim stopniu wykształcenia, i bardzo nieliczną warstwą intelektualną w wielkich miastach. Warto w tym miejscu wspomnieć o nig nie na cenzurę żydowskiej żywi kulturalnego na La-belszczyźnie. Traktują o tym przede wszystkim rękodźstwa dotyczące bibliotekarstwa i upowszechniania książki, a także opisujące możliwości teatralną Żydów. W większych ośrodkach upowszechnianie szeroko rozumianej kultury wśród Żydów zajmowały się w tym czasie lokale środowiska żydowskiej inteligencji, niebyleścienne, ale za to aktywne. W tym przypadku należałoby pokazać się budującą drogą analogii tych środowisk. Przykładem może być chociażby Zamość, gdzie środowisko żydowskiej inteligencji było znacznie większe i silniejsze, jeszcze przed wybuchem II wojny światowej. Inteligencja tam mały był takro wśród Żydów polskich i zagranicznych jako miasto, które wydawało bardzo wiele wybitnych działaczy żydowskich, związanych w I połowie XIX w. w Haskalę, a w późniejszej okresie z asymilacją czy żydowskim ruchem narodowym. Oczywiście, brak opracowań dotyczących historii poszczególnych żydowskich ośrodków lub na Lubelszczyźnie w XIX w. straszała tego typu analizie, jednakże istnieje literatura dotycząca takich oboj jak Lechak Lubusz, którego rodzina początkowo w Zamościu po jego przeniesieniu się do Wieruszowa czy wczesnej Samuel Eitinger, który był jednym z pierwszych animatorów nowoczesnego życia kulturalnego wśród zamojskich Żydów. Działalność Eitingera i Eitingerów w tym prowincjonalnym ośrodku procesowała później aktualność miejscowej inteligencji żydowskiej, niejednokrotnie powiązanej z tymi ludźmi stosunkami osobistymi. Autor wyraża w swej pracy Janoska Perca, jako jedyną zabytkową żydowską biblioteczkę w Zamościu. Janoska Perca był bratem Lechaka Lubusza.

Jak już wspomnieliśmy, żydowska inteligencja koncentrowała się głównie w Lublinie, Zamościu i Chełmie. Gorzej było w innych ośrodkach powiatowych na Lubelszczyźnie, które w przypadku społeczności żydowskiej nie miały również ani do zupełnie malenkich miasteczek i osad, gdzie nowoczesne żydowskie życie kulturalne i polityczne zaczęło pojawiać się dopiero w okresie II wojny światowej, a nawet po jej zakończeniu. Trudno było w takich miastach, jak Urziszewo lub Bilgajm dotrzeć się w nowoczesny inteligencji żydowskiej. Lubelszczyzna generalnie była regionem, w którym wolniej zachodziły procesy asymilacyjne niż w innych częściach kraju, o czym decydował nie tylko konserwatywni żydowscy czy ubogie położenie wiejskiej Żydów, lecz zwłaszcza w okresie II wojny światowej, ale także konserwatywny prowincjonalnej społeczności chrześcijańskiej, w tym głównie polskiej. Różnica ta staje się szczególnie widoczna, gdy porówna się nasz region z sąsiednią Galicją, gdzie oboj asymilacyjnych się lub ścisłychjszych składowi nie brakowało nawet w małych miasteczkach. Nieowry, jednak dokładnych badań porównawczych dotyczących życia Żydów polskich w poszczególnych dzielnicach kraju powoduje, że to ważne różnice niejednokrotnie nie są dostrzegane dla badaczy problem.

Zadaniem zaprezentować w swojej książce ważny wątek stosunków polsko-żydowskich, czy też w ogóle chrześcijańsko-żydowskich, bowiem na Lubelszczyźnie, oprócz Polaków, Żydzi żyli także z Ukraincami, a także w okresie wojny z Niemcami utrapkami administracji austro-węgierskiej. W owym czasie prasy austriackie były w naszym kraju za porównawcze. Chętniej było napisania i wzajemnie uprzedzenia. Z jednej strony Żydzi spotykali się z nacjonalistami polskimi, którzy sztandarywnymi hasłami stawiali się antysemityzm. Z drugiej strony Polacy również negowali na katalizującą się świadomości narodową Żydów, czepiając się z nacjonalistami austriackimi. Warto zwrócić uwagę, że te złożone procesy nie mają w omawianej książce jednorodnej oceny, bo takiej może nie ma. Były one skomplikowane i prawdopodobnie wymagają dodatkowych badań. Nie ograniczamy się tylko do antysemityzmu gospodarczego, o podobnie autor, ale mały także oraz częścią charakter teologiczny.

Warto byłoby w tym miejscu wspomnieć, że to nie I wojna światowa przyczyniła się do wzrostu natrąty antyżydowskich wied Polaków czy Ukraińców, a z drugiej strony narodowa wśród Żydów. Oba jedynie są zanalizowanymi i przypisywana. Skądże, za autor opisuje te procesy, nie zwrócił uwagi na wzrost podobnego nacjonalizmu od czasu rewolucji 1905 r. i coraz bardziej gwałtowniejsze otwieranie wódkę straszków polsko-żydowskich, zwłaszcza od lat 1911-1912, kiedy to na przemyśle na ziemiach polskich Narodowa Demokracja rzuciła hasło ogólnego bojkotu Żydów. Miało ono bardzo głęboki odzew na konserwatywnej i prowincjonalnej Lubelszczyźnie. To, co działo się w stosunkach polko-żydowskich w okresie I wojny światowej miało niejednokrotnie swoje korzenie w wcze-

niejszych wydarzeniach. Bogato o tym informowała ówczesna prasa prowincjonalna. Takim problemem była chociażby kwestia asymilacji Żydów. Lubelska prasa z okresu poprzedzającego I wojnę światową, ofiwnie w dyskusje na temat asymilacji i stosunku do Żydów. Z powodu braku odrębnej prasy żydowskiej ci lubelscy Żydzi, którzy przez pewien czas byli zwolennikami asymilacji, wyprzedzali się na temat polskości i polskości z polskimi autorami, wyprzedzając ich w środowisku narodowym. Można znaleźć w tym materiale wiele sugestii i propozycji, czym powinna być forma asymilacji Żydów w Lublinie. Dyskusje dotyczyły bowiem głównie tego środowiska, a czym w efekcie się nie stała ze względu na głęboko różniwąco poglądy Polakami a Żydami.

Przykładem może być postawa dr. Mieczysława Zajączkowskiego, znanego okulisty lubelskiego, który przed 1914 r. był zwolennikiem całkowitej asymilacji w kierunku kultury polskiej. Zajączkowski odrzucał nawet formalną przynależność do judaizmu, ale nigdy nie zdecydował się na konwersję religijną, zresztą publiczne przed nią protestował. W okresie I wojny światowej nie całkowicie zganiłowymi inteligent żydowski na skutek coraz szerszych tendencji antysemickich przeszedł całkowicie na stronę syjonizmu, był w końcu, w okresie międzywojennym stał liderem Organizacji Ogólnych Syjonistów w Lublinie. Przeminęła ta matura zaobserwować na podstawie lubelskiej prasy, a także literatury, a Młody Kwartalnik Żeliński korzystał, przegrywając swoją pracę. Takie przemiany były dość częste wśród żydowskiej inteligencji i o szersze autor zwracający. Przytoczenie dokumentów wyborów politycznych i światopoglądowych nastąpiło między innymi dzięki pojawieniu się na Lubelszczyźnie żydowskich działaczy i inteligentów zwracających z tenasu austro-węgierskiej Galicji, gdzie pryncy kształtowała się żydowska żywi narodowego nastąpiły już przed I wojną światową.

Cytowane przez autora dyskusje na temat zsyjonizacji „Młody Żydowski” były niejako pokłonem dawniejszych dyskusji na temat asymilacji wśród Żydów lubelskich i świadczyły o sychu populacji tei idei. Dowodem tego było pojawienie się w roku 1918 dziennika „Lubliner Tagblatt”, którego założycielem stał już na pozycjach narodowych i wywodził się z rzeźbi lubelskiego, całkowicie odróżczającego syjonizm. O powołaniu spółki „Młody Żydowski” autor napisał słus, natomiast przybliżył się dokładniejszemu wyjaśnieniu przyczyn sukcesu nowego żydowskiego czasopiśmi, które wydawało było w języku jidysz. Przyczyną tą nie była tylko kwestia powstania „Lubliner Tagblatt”, ale szluzie zauważył Żeliński, dopowiadając do czytelnika prowincjonalnego. Decydowały o tym także względy polityczne i kulturalne. W niwo późniejszy okresie „Lubliner Tagblatt” prezentował także opinie środowiska związanego z syjonizmem, o czym informację można znaleźć w materiałach archiwalnych z lat międzywojennych.

Nasza się w tym miejscu pewna sprawa o charakterze ogólnym. W regionalnej historiografii lubelskiej polityczne, nastroje, scenografi, która charakteryzowały powstanie i rozwój żydowskiego życia kulturalnego i narodowego na Lubelszczyźnie. Dopiero w oparciu o tego typu prace można byłoby pokazać, w jaki sposób społeczność żydowska w skali regionu podlegała przemianom. Żydzi Lubelszczyzny 1914-1918 mogą stać się podstawą do podjęcia badań na ten temat. Kwartalnik Żeliński precyzyjnie zwrócił, jak wielkie intymnie różnice w powstawaniu powstających ośrodków żydowskiego życia politycznego i kulturalnego w skali regionu. Poszerzenie tych badań o okres poprzedzający I wojnę światową, a także o czasy międzywojennej wykazałoby, że proces ten był duży i bardziej złożony. Nie tylko wypadki wojenne dały początek aktywności społeczno-politycznej wślad miejscowych Żydów. Przykładem może być Chełmszczyzna, gdzie – poza samymi Chełmami – małe miasteczka posiadały własną orbitę działalności politycznej jeszcze w drugiej połowie lat dwudziestych. Natomiast w Chełmie niekiedy parły polityczne, jak chociażby Biał, były bardzo aktywne już w latach dwudziestych 1905 r. Decydowały to i inne przyczyny, między innymi kwestia uwarunkowań środowiskowych. W odniesieniu do głównych ośrodków komunikacyjnych miasteczek, jak na przykład Wójciwów lub Świątce, trudno było o stworzenie środowiska żydowskiej inteligencji. Proces ten był praktycznie niemożliwy z tego powodu, że miejscowi Żydzi nie tylko byli ortodoksyjni, ale przy tym bardzo ubodzy, co naturalnie hamowało możliwość zdobycia nawet podstawowego, świeckiego wykształcenia. Naszek chasydzkich lub Konserwatywnych środowisk był zbyt wielki, by utrwalił się z poglądami innymi niż te, które prezentował oboj. O tych problemach autor wspominał w przypadku innych miejscowości, opisując swymy konflikty pokoleń w okresie I wojny światowej. Konflikt ten jednak rozwarł się w wielu częściach Lubelszczyzny przez cały okres międzywojnia. Nie jest to temat z stosunku do autora, że nie włączył tutaj typu problemu. Jak już wspomnieliśmy, na rynku lubelskim brakuje

w ogóle pracy na ten temat i nie mogą jej zastąpić artykuły dotyczące poszczególnych organizacji politycznych, ponieważ niejednokrotnie i one wymagały pogłębienia i nowego opracowania.

— Nie brakuje natomiast w książce Żelińskiego przykładów współpracy polsko-żydowskiej oraz postaci, które były pochodzenia żydowskiego, świadomie angażowały się w polskie życie społeczno-polityczne. Chociaż ośmiobitki zawet w samym Lublinie było mieszanie i spotykały się one często z niechęcią ze strony polskich kół prawicowych, to jednak ich aktywność wykształcała poza ramy miasta cząstkę regionu. Warto również podkreślić, że mimo oficjalnych hasel antysemickich same żywy wyznawali utrzymywanie poprawnych stosunków chrześcijańsko-żydowskich, zwłaszcza w małych miasteczkach, gdzie niejednokrotnie Żydzi stanowili zdecydowaną większość mieszkańców. W tej sytuacji obydwie społeczności powiązane były siłami wewnętrznymi zaobscurezającymi, gospodarzącymi czy też zwyczajnie sąsiadskimi. O tym też znajdujemy informacje w tej pracy.

Książkę uzupełniają liczne zdjęcia w postaci tablic i fotografie, niejednokrotnie o wartości unikatowej, odtworzone z archiwaism i kolekcji prywatnych. Uważam jednak, że błędem było umieszczenie tabel obrazującej obecny stan żydowskich cmentarzy na Lubelszczyźnie. Analiza ten oparty jest co prawda na literaturze przedmiotu, ale zawarte są w nim liczne błędy. Ważny się one są, że autorzy wykorzystanych opracowań niejednokrotnie nie byli sami w opisywanych miejscowościach, więc nie mieli z dostoją staru zachowania żydowskich obiektów. Nie można też wymagać od autorów omawianie książki, by sam doznany historii tych obiektów w terenie. Nie mniej niewiadome powtarzanie tych błędów wydaje się niecelowe, zwłaszcza że można było się posłużyć materiałami archiwalnymi z okresu międzywojennego, które dla Lubelszczyzny posiadają Związek Miasteczkożydowski Lubelszczyzny gmin wyznaniowych, zarówno z okresu I wojny światowej, jak również bezpośrednio po niej.

Mimo tego uchybienia, książka przedstawia bardzo wysoką wartość i wnoszą wiele nowych informacji do badań nad społecznością żydowską, nie tylko na Lubelszczyźnie, ale w ogóle na ziemiach polskich. Dzięki opracowaniu Komenda Żelińskiego przetrzymano na Żydów polskich nie przez pryzmat wielkich miast, takich jak Warszawa, Kraków, Łódź czy Lubów, lecz przez pryzmat społeczności prowincjonalnej i regionalnej.

Kawalec publikacji: *Żydzi Lubelszczyzny 1914-1918*, Wydawnictwo Lubelskiego Towarzystwa Naukowego, Lublin 1995, nr 372.

I Turniej Poetycki im. Józefa Łobodowskiego

22 listopada 2000 roku Lubelski Oddział Związku Literatów Polskich nadał nagrodę Turniej Poetycki im. Józefa Łobodowskiego, w którym premiowane są wiersze o tematyce lubelskiej oraz dotyczące pogranicza narodów i kultur.

W publicznym głosowaniu nagrodę główną przyznano Waldemarowi Michalskiemu.

Drugą nagrodę otrzymała Urszula Gierston,

a trzeciymi podzielili się Marian Janusz Kawalko i Ryszard Kornecki.

muzyka

LUDWIK GAWROŃSKI

Opera *Chłopi* według Reymonta

Noblowska powieść Władysława Stanisława Reymonta (1867-1925), miała nie tylko wielką poczytność, ale docekalą się wielu adaptacji scenicznych, filmowych i muzycznych. W roku 1906 wystawiono *Chłopów* w Warszawie, jako „obraz muzyczny” w pięciu aktach według adaptacji autora. W roku 1926 warszawianie ponownie ugrzepli tę powieść na scenie, jako dramat w czterech aktach w opracowaniu Jerzego Zwirskiego. W latach 1926-1929 muzykę do *Chłopów* skomponował zapomniany dziś Eugeniusz Walkiewicz do libretta Jana Sroki.¹

Eugeniusz Walkiewicz, urodzony 20 grudnia 1880 w we wsi Ocicie, pow. radomski, syn Tomasa i Marianny z Kosińskich, gry na organach i zasad muzyki uczył się początkowo u ks. Eugeniusza Kruberskiego w Plocku. W latach 1904-1906 był uczniem szkoły muzyki kościelnej w Ratyzynie (Niemcy). Jako prace dyplomowa Walkiewicz był organista w Łodzi, napisał *mszę na chwałę matki, która została wykonana* (15 lipca 1906 r., przyp. L.G.) na zakończenie semestra. *Ks. dyk Haberl wynagrodził panu Walkiewiczowi talantu kompozytorskiego i radził donęć między oddać do druku...* Następnie Walkiewicz zastąpił chwałowo profesora Rennera, organistę katedralnego, korzystającego z Lurpou. Zastępstwo to dało chłabne świadectwo o zdolnościach p. Walkiewicza, który nie poprzestając na studiach raryzatorskich, pragnie w dalszym ciągu kształcić się języcze w Monachium.² Po studiach w tym mieście, im. in. u prof. Thalera i Regera, w roku 1909 wyjechał na stałe do Ameryki, gdzie zamieszkał w Plover (stan Wisconsin). Tegorok roku wyjechał w Chicago dwie kompozycje: *Missa z Michałkiem Archangelu i Hymn Ymi Creator na chrz. czterogłosowy z towarzyszeniem organów*³. Napisał wiele kompozycji muzyki religijnej i świeckiej, m. in. operę *Quo vadis* według Sienkiewicza i operetkę *Adwokat*. Zmarł w roku 1946 w Plover.⁴

Oto historia powstania opery *Chłopi* w relacji Bolesława Józefa Zaleskiego, redaktora naczelnego i wydawcy miesięcznika „Echo Muzyki” wychodzącego w Chicago w latach 1923-1937.

Znając od kilkunastu lat p. Eugeniusza Walkiewicza i ceniąc wysoko jego talent kompozytorski — wspomina dr. Zaleski — namawiałem go nieraz do

¹ *Nywy Korbut*, Warszawa 1978, s. 374.

² „Śpiew Kościelny” R. 11: 1906, nr 15-16, s. 194.

³ „Śpiew Kościelny” R. 14: 1909, nr 5, s. 75.

⁴ *Publikacje o operze*, „Dziennik Chicagowski” R. 64:1954, nr 286, s. 5.

napisania opery. Walkiewicz tłumaczył się brakiem odpowiedniego libretta, gdyż te, jakie mu rozmaici poeci nadawali nie nadawały się w jego wyobraźni pod muzykę. Daj mi pan rzecz odpowiednią, mówił mi, a narychmiasz zabiorę się do pracy.

W styczniu 1925 r. red. Zalewski poznał polskiego poeę amatora Jana Sroka, a znając już po trosz jego twórczość poetyczną, zaproponował mu napisanie libretta do przyszłej opery, opartej na reymontowskich *Chłopach*. Początkowo Sroka odmówił, ale po długich namowach dał się przekonać i przyrzekł napisanie libretta. Praca trwała prawie rok. Zalewski orzekł, iż Sroka stworzył libretto dobre, godne pióra najlepszego nawet kompozytora (...). Choć libretto nie trzymał się ściśle treści oryginału powieści, dał nam jednak piękni prągni i szczerą, piękną ręką się wpatrz i serca ludu...

Wkrótce red. Zalewski zawiadomił Walkiewicza, iż ma gotowe libretto. Odpowiedział była krótka: Mam dożyć tych librettów rozmaitego kalibru – pisał kompozytor – nie wątpię więc, że to i, o którym mi Pan wspominał, jest lepszym od poprzedniego. Zresztą, przypominając sobie przejęcia Moniuszki i Wagnera, nie mam wcale ochoty narazić się na podobne.

Sroka tak przejął się odpowiedzią kompozytora, iż osmal nie zniszczył tekstu libretta. Po kilku tygodniach od tego wydarzenia Walkiewicz zawiadomił Zalewskiego, że wybrał się na parę dni do Chicago. Zalewski uprzedził o tym Sroka, aby zjawił się wraz z librettem na oznaczony dzień i godzinę.

Pierwsze chwile spotkania obu panów były nader chłodne: Jan Sroka przeszedł wczesniej, w ubraniu malarza pokojowego, wsiadł na krzesło i oczekiwał cierpliwie na zjawienie się kompozytora, który wedle jego wyobraźni miał wyglądać co najmniej jak hrabia, albo jako wieki i ozdobny profesor. Jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył w drzwiach odzianego w farmerski kożuch i furczak czapę gaździ. Walkiewicz zwrócił na niego wzrokiem, nie wiążąc się jednak wcale, dopóki ich wzajemnie nie przedstawił. Wtedy podał mu rękę od niechciana, udając się po rozmowie, jakby chciał powiedzieć: Gdzieśby ten czelczyzna zdołał napisać libretto... Zapomniałem p. Walkiewicza i wyśpina dając Zalewskiemu – aby chociaż jeden akt libretta – rzeczy przeczytać.

Z uwagi na niewyżnane pismo libretto zaczął czytać autor. Po odczycaniu pierwszego aktu Walkiewicz powiedział: Jedź pan dalej, do samego końca. Po odczycaniu całego libretta kompozytor podał rękę autorowi i rzekł: Jesteś mi pan darty, to biorę i robię, ale przypięz mi to pan na czysto, bo oryginał nie jestem w stanie odczytać.

W tydzień później, tj. w lutym 1926 r. Sroka wysłał libretto Walkiewiczowi. W kwietniu kompozytor zawiadomił Sroka, iż napisał już uwerturę do opery. W miesiąc później autor libretta odwiedził Walkiewicza, skąd wysłał list do red. Zalewskiego

Płowce, 31 maja 1926 r.

Szanowny Panie Zalewski!

Pierwsy akt pierwszego opery „Chłopi” gotowa. Zależy mi nieco, że nie jestem jak Pan maczkiem, bo dopiero wówczas mógłbym doświadczyć i zrealizować całe piękno kompozycji p. Walkiewicza. Może to właśnie słowo, nię w muzykę, tak mnie wprawił, może jestem zazwyczaj, jak każdy głupiec, kłębowa wdoła się coś nadzierać. Ale nie, nie. Jam wiele bardzo mały wobec jego człowieku. Ja do niego tylko byłoby do tego jakiegoś białego, który nie miałby w sobie ręki sprawdzić, a artysty. Jestem jednak bardzo wdowiowolny, że wój straciłby, choć na tyle się owadł. Wkrótce będę w Chicago, to obierzmy o tym porozumiewamy.

Z szacunkiem
Jan Sroka

Z początkiem czerwca Sroka powrócił z Płowca do Chicago, gdzie odwiedził p. Zalewskiego w redakcji „Echa Muzycznego” i rzekł: Oto masz tu pan kanwałek opery. Chór dziewcząt przy oczepinach. Odprawiłem to z rękopisu, jak

smiałem, bo z Walkiewiczowych grymotów nie mogłem poznać, czy nuta na, czy nuda, czy też, pod jaką liniją się znajduje.

Po uważnym przjrzeniu owego chóru red. Zalewski orzekł Sroce, że opera powiadzie się kompozytorowi nadspodziewanie.

Kiedy w lipcu 1926 r. obaj panowie odwiedzili Walkiewicza w Płowce, pierwszy akt opery był już gotowy. Po uwerturze orkiestrowej akcję rozpoczyna chór dziewcząt śpiewając:

Zasłał słonka za górniczą,
Sięgał sięgiem na sielniczkę,
Wyleł kielki po winniczkę,
Od dół białezki gospodarzicy
Włanka z raki, i cynamoru,
Utago migroś dla czeperki,
Biał Maciejki już Janowiczu,
Płaczek, jezuzur raz, jedyni!

KOBIETY

Sielceś mielisz na mielnie
Cass jak Jagód na ciebie!
Pociel czoła w komarze –
Maciejki śielceś pomote!

DZIEWCZĘTA

Kwiaty kwitną na grzędzie,
Wiosna śród dołkami,
Kąśi zrasną nie białezki
Ich na wiosnie do czoła!

Po kilku tygodniach red. Zalewski powrócił do Chicago, a Sroka pozostał nadal, bowiem kompozytor potrzebował go „o różnych miast i poprawek”. Był jednak w kontakcie z Zalewskim, którego informował listownie o postępach w pracy nad opera.

Płowce, 26 sierpnia 1926

Szanowny Panie Zalewski!

Donożył Pana, że pan kompozytor wstał się nurczak do drugiego aktu; przed rozpoczęciem drugiego o mało nie zszepścił się po walce na słowo wzdół na pięć. Rozszło się o san i piew Włankę przy odgłosie sukajki. Pan Walkiewicz chciał zignorować wój słonkę, jako osobę nie czołką wspólnego nie mającą i zapobież w operze nieporównanie. Zgadziłem się, że opacił w przedmiun skroczki i b i i rzeczenie bysła, jako żeń skroczenie moich prućich sielniczek – srok, brukowicie wron, gawronie i krawacie, nie mogłem jednak przebaczyć temu czelczemu nieśledzą ludołki arcyście, że nie chce wstać w niego melodi – skargi, płażący i brudny gębony brudnego sielony przed Bole trony. Po długich te mój dżurich wstał się jednak do tych strużki, zaś po ich ukroczeniu, przczłonił mi niestr, że był rozczepić ogonem, kłępie się te mój o rzec, kłępie jest godną włożoną nie o gmatuż czaki kompozycyorkowej!... Nie wstał, co kła w tych tomach odzynie, ale mnie się zdaje, że przez Włankę skrzy się nieluka czoła zbiorowa, szeli list napisano i krawczyżona darta Chłopczy. Kiedy p. Walkiewicz przegzał mi nie kilka ułotek, napisółem, że cały ten łuch się rozpędn, nie może to skarga sielony za serce chwycić... Gdy Pan mi to żagru na skroczkach, to spędył mi wstę, pędził się do melodi p. kompozycyorku, a Pan ruczygo go zamieścić w „Echu”. Dotychczas melodi są już gotowe i kłępie wstać drugiego aktu, o t. p. Walkiewicz czuje dobrze, więc i prace posowno się szybko naprzód.

Z szacunkiem
J. Sroka

Następny list datowany jest dopiero z 10 października tegoż roku, w którym Sroka pisze m. in.:

¹ „Echo Muzyczne” Chicago R. 6:1929, nr 1, s. 7.
² Tamże, nr 7, s. 7-8.

Drugi Panie!

Przepraszam Pana za tak długie milczenie, które mogę usprawiedliwić jedynie tym, że nie byłem w stanie nawet myśli zrobić, aby choć parę słów skłamać z powodu ciągłych kłopotów z panem Walkiewiczem. To ma ostatni tekst, to uprosi, to znowu po kilka wierszy dopisać. Miałem skłonić, jak mi zagadł, bo sprzeciw się, zaczęło nierzadko całą dotychczasową pracę naszego kompozytora. (...) Kłósnę się nawzajem, bo i ja nie bardzo chęć temu głosowi ustąpić, ale jak się gołdziej i proca powoła nie dawno mój... Akt trzeci dobiega już końca. Sądzę jednak, że po jego skończeniu właśnie Walkiewicz od planował, a ja od szczytu i zabieram się do odcia kłębary-dex kłębary! 15 aków (okr - 04 ha) w polu szary... Pogałem w panu Walkiewicz nie tylko wielkiego kompozytora, ale człowieka z sercem złałohotem, na wielki aczestwie przyniemy, jak u polskiego, i doprowadzi nie wiem, co więcej w nim czuć, muzyka czy człowiek (...). Imię Walkiewicz, choć może jest wielkim muzycznym, no jednak Polonia nasza mało wie o tym farmerze, który dala od wieńców świata zagrzebał się w ziemi i jak robak pracuje, nie tylko przekraczając pługiem laso tej Małki zwyciężki, ale rzucił wokół polami dżiwni ciele białej pisklowej kwiatołki melodi. Kwiatołki znowu z letnich cieni, ziemi, jak słońce pol... Walkiewicz bowiem pisze operę nie długą, aby ma jaką materiał do korzystać przepiętka, nie długą, aby za tydzień laury zbierać, bo wreszcie mi pozwoli, że opłonie zjawił krytykę nie muszę się czegoś więcej spowiadać, nak ja za dżiwno, jak on za muzykę. Niech się dzieje co chce, niech nawet pay no nas wierzą, nam to przykomanie, że zgodnim zjawić dżiwni, a p. Walkiewicz jeszcze lepiej, która pierwszy czy później zajmie miejsce na parniste naszej sztuki muzycznej.

Zalewski odpisał, aby obaj twórcy opery byli dobrej myśli i nie zrażali się trudnościami w tworzeniu dzieła.

W połowie listopada 1926 r. Sroka przybył z Płover do Chicago, natychmiast odwiedził red. Zalewskiego, któremu proponował wspólny wyjazd do Walkiewicza, aby wspólnie omówić pewne szczegóły warsztatowe opery. Sroce wyjazd ten był na rękę, bowiem w pobliskim Fancher miał malowanie plebanii, zaś Walkiewiczowi był pod ręką – jak sam wspominał – o ile ten mnie zażądał do jakiej poprawki lub wkladki, bo to operę pisać, to nie cząpkę grzązek zjeść...

W grudniu tegoż roku red. Zalewski powrócił z Płover do Chicago, zaś Sroka do wspomnianego Fancher wyjechał, skąd w lutym 1927 r. zawiadomił Zalewskiego, iż „opera dobiega końca”. Sam zaś zrobił jeszcze kilka drobnych poprawek, ale prawie nie nie znaczących, bez których mogłaby się zapisać odczyt. W zakończeniu listu dodał, iż wrócić zamierza w Płover, aby uzyskać od twórcy i rozpocząć pisanie.

Dwa miesiące później red. Zalewski otrzymał kolejny list od Sroki, który cytujemy w całości:

Płover, kwiecień 1927

Drugi Panie!

Niedługo, bo za parę dni Walkowem. Dział wieczarny byłam świadkiem, jak p. Walkiewicz, wderzył po raz ostatni w klawisz operowej melodii i ostatniu nutę w rękopisie kłębary. Kiedy to skończył, rzucił mi z wielkim namaszczaniem: No, panie Sroka, musimy teraz zaśpiewać wesoło i z całej siły, a także i zjeść po pół kopy twięczonych jaj i wspanię go gura za sumogoni, bo opera już gotowa. Czyli mnie jeszcze proszę nad wyjątkiem fortissimo wym i orkiestracją, ale to będzie. Pozem podał mi niedobry rękę i rzekł: Daję cię piana za cierpliwość i przepraszam za przykre może nieraz dla piana słowa, ale mogę pana śmiało rzec:

Zebym nie ja, żeby nie ty,

Nie byłoby tej muzyki,

Obaj my się domogli!

Staliśmy, jak my mogli,

Przedwiecie chłopackie zakończenie chłopackiej opery – mówił dalej kompozytor – chłopackim przystępem. Szczęść mi Boże w dalszej pracy. Życzę piana wesołego

Tamże, s. 17.

allegro, bo ja nie miałem chyba w życiu wesołego, jak w tym roku. Śmiało i wesoło wzbichwał się błąd w piśmie ludu. Wesoły nam dziś dzień nastoi!

W roku 1929 partytura opery *Chłopki* według Reymonta była gotowa do druku. Nie znany daty jej przepiętury, ani miejsca wykonania. W Polsce nie była wystawiona, a szkoda.

Cała twórczość kompozytora Eugeniusza Walkiewicza poszła dziś w niepamięć. Jego muzyka do *Chłopów* była zjawiskiem w swoim czasie dostojnym, że nie podzi się, aby nazwisko jej twórcy uległo zapomnieniu, tym bardziej że chodzi tu o muzykę polskiego, który stał się głosem poza swoim krajem. Różnorodność form muzycznych w twórczości Walkiewicza jest wystarczającym powodem, by znaleźć się na należnym mu miejscu na kartach historii muzyki polskiej i by pobudzić zainteresowanie tą twórczością w kółach muzycznych wykonawców, dyrygentów operowych, instrumentalistów, śpiewaków solistów, zespołów śpiewaczy czy muzyków kościelnych – organistów.

Ludwik Gawronski

Tamże, s. 18.



Stanisław Huzarski. Czarnodziejka Kirke (cykl *Odyseja*)

Voo Voo robi Oov Oov, czyli nowa stara twarz Wojtki Waglewskiego

Plasnąć o muzyce jest jak zaklecie o architekturze – to stwierdzenie jednego z polskich krytyków muzycznych odnosi się w pełni do nowego zamieszania o najnowszej muzyce znanego i nieślabego zespołu Voo Voo. Tu istniejąca od wiała lat na polskiej scenie muzycznej formacja ma już za swoim koncie wiele albumów, z których każdy ochocze się rozpoznawalny zawsze stylem i klimatem, i o których zawsze można powiedzieć, że zawarta na nich muzyka jest ze wżech miar oryginalna. Wszystkie przedsięwzięcia muzyczne kłosa zespołu – Wojtki Waglewskiego – odznaczają się głępkim zapracowaniem i takomercyjnym podejściem do twórczości – wyobrazają tu przyrucheb ewolucji w skali światowej „armyck fruwającej ryby” innej grupy: Ooan. Tak też jest w przypadku *Oov Oov* płyty, która zachowując wszystkie walory decydujące o niepowtarzalności i rozpoznawalności muzyki tego zespołu, w każdych warunkach i dowolnej konfiguracji czasu i przestrzeni, jest jednocześnie dokonaniem wykroczenia w jej wyznaczone wroble. Zamięgłpłyty etap *piosenkawy i zabierany się za notowanie muzyki dla dorosłych* – powiadał w wywiadzie dla muzyki.com. Tylko rock? Waglewski to stwierdzenie wydaje się jak najbardziej adekwatne do tego, co usłyszycie na płycie. Rzeczywiście – większość utworów zgromadzonych na tym krążku to improwizacje, blisko dziesięciominutowe kompozycje, nagrane w studiu muzycznym i po części dopiętowane. Ta ostatnia forma twórczości jest charakterystyczna dla grania koncertowego i rzadko zdarza się, by wykonawcy przygotowywali płyty w ten właśnie sposób. Ci, co mięk okazuje być na koncercie Voo Voo, mogli usłyszeć, jak improwizuje ten zespół i w jaki sposób ich zabawa z dwiema gitarami potrafi wyprawić słuchającego w emocjonalny bluzgłaz i dać mu porcję energii potrzebnej do życia. Zespół zagrał oczywiście utwory z *Oov Oov*, był po koncercie koncertu zaproszonym publiczności właśnie piosenkę, te najbardziej znane ze swego repertuaru. Ale według gitarzysty, autora tekstów i muzyki tej grupy, *piosenka też był w tym dziełem sztuki*. I w tym przypadku na pewno jest.

Wspomniałem już, że ta płyta zawiera w sobie dużo elementów, które wskazują na pewien zwoy etap w twórczości zespołu. Na pewno są nimi wytykowane przez perkusistę Piotra Zyrzylewicza vel Stępc skomplikowane rytmy o wyższej prowencji i muzyki tektro oraz trójpłose wznoszące wznoszące skrzeczami, których autorem jest syn Waglewskiego – Piotrak, jako muzyki utrzymujący się pod patronatem DJ M.A.D. W połączeniu z formami, że zawarte na płycie utwory to prawie zawsze efektywne mieszania stylów i gatunków muzycznych – tutaj po jazzowym ewangielizmie może tan zakodować ciężki, metrowy siemialni riff – aż do sytuacji, w której muzyka zespołu chce być totalna, wyzwoleńca od schematów i ograniczeń. Nie zawsze oznacza to zadawaniejny artystycznym efektom – mieszania, bardzo rzadko, ale jednak – sążybi rytm i ta techno staje się druzniny da ucha, podobnie eksperymentalny motyw *muzyki granej na gitarze przez właściciela cały czas trwania utworu (Puzt się)*. Jednak muzyce zespołu potrafią to wszystko skomłowac kolejeiny dwójkami, które kopczą się na przykład ze smutnymi krzykożebami melodykaskich pustyni (*Cadzie*) lub też przywołują na myśl instrumentalne dokonania Led Zeppelin – to w utworze *Pręty Cif*.

Tym, co tak naprawdę charakteryzuje muzykę zawartą na tej płycie, jest fakt, że mimo utycia wielu instrumentów – gitara, bas, bębny, sakofon, trąbka, okaryna, żyrule Piotra Waglewskiego – sobotnia się w niej muzyczna przestrzeń, nie jest to muzyka przedławiana niepotrzebnymi dźwiękami, czeń w niej sobotnio oddech i wewnętrzne ciepło. Tu oczywiście bardzo nieprzystający i modyfikacyjne skrzekłsła, ale przy ich pomocy chyba łatwiej jest usłyszeć o architekturze dźwięków. Smutna i bardzo eksperymentalna Małuska Poprzezaległego na saksofonie, jedyna w swoim rodzaju gitara Waglewskiego, stonowanie i precyzyjnie dźwięki basu i naprawdę nie do podrobienia rytmy Stępc – wszystko to sprawia, że całkowicie wyjątkowy efekt jest imponujący.

Tęraz może kilka słów o poszczególnych utworach. Otwierający płytę *Dwo* w jednym (*tempo amp*), chyba najpiękniejszy muzycznie, stonowany i bardzo melancijny, Nut,

dźwięki, pod wodzą węgłpami forma mazygowego i życiowego manifestu Wojtkesa Waglewskiego. To nowe połączenie z nadź dźwiękowych za każdym razem w inny kłakł czasem *złotylosa gawiełdł sprawa*, *te nutek staje się madoł locz wroćcy przyprowadził mi kadeł z przykazadł tworząc moją kadeł, manifest był w czasie pacwołi undniadł* – *niezaczęlogo obęga wydzoradł* (...), piosenkowe *Wzgorze* z niezamierzonej smutnia i piękna partią wokala, Katarzyny Nosowskiej, wspomniany już, chyba najmniej udany utwór *Puzt się* z tekstem Wlekaego, czy też nastrojowe i spokojne *Cadzie*. To tylko cześć z siedmiu zamarych tu utworów.

Tęraz warto przyrzec się bliżej tekstem autorstwa Wojtkesa Waglewskiego. Zazwyczaj krótkie, należa do tej klasy utworów, których stworzenie wymaga wielkiego talentu – są jednocześnie lekkie, i mądre. Sam autor przyrzaje w jednym z wywiadów, że zalety ma mocno na jakosci: *Na przykład na tekstań pracuję bardzo długo i mozolnie, bo zalety znajdują w nich pol banali. Wystarczy jedno delbno sformułowanie i tekst pada. Utwory wazna tu przyrzecyć coś o poezji Waglewskiego. Tak brzmia tekst ostatniego utworu z tej płyty – *Pręty Cif*.*

*Ludzie, mowicie kony w wazach szmer
spozta twozich ramion staję się
ten namowilo był, co wgrzys się w czuazki tył
mowię, że dziszaj byłę tył*

*Jesno, jesniel, bielo, ostru biel
coko piekło, niebo, wadziszę się
ten namowilo był, co wgrzys się w czuazki tył
mowię, że dziszaj byłę tył*

Ta dłałość o słowny przekaz wychodzi na dobre muzyce granej przez Voo Voo. Mówię jednak, że teksty Waglewskiego są lekkie, man na myśl to, że równo tutaj się one o opozycji do banalnych, popowych produkt, jakich wiele, jak i daleko im do pseudointellectualnego zjadła niedobrych zespołow startu ani rock czy black metal.

Na koniec jeszcze sprawa tytułu. *Oov Oov* – muzyczne przygłazanie się w historii czy rozpoznacze czegoś z drugiej strony? Na podobnie sformułowane pytanie Wojtek Waglewski odpowiada dziennikarzowi miesięcznika „Tyko rock”: *Ten rytm został już dawno wyryflowy z muzyki Tobi wygłp. Mam nadzieję, że muzycy Voo Voo będą podobnie wyryflowy się jeszcze na przynajmniej kilku równie adanych płytach i że znowu stworzą one cenną alternatywę dla nąpkajego w formie i treści grania, które dylekał wazdzic.*

Krzysztof Bańka

Voo Voo: *Oov Oov*. Muzyka, tekst: Wojtek Waglewski (opracowanie: Marek Wilkowiak). Masz. Curator Records, 1998

Książki nadesłane

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Łukasza Górnickiego w Białymoku

Włodan Kaznieceki: *Koniec epoki barbarzyńców*. 2000. s. 118.

Elżbieta Michalak: *Tu jest Ta, Tam jest Tam*. 2000. s. 54.

Wojciech Zapalecki: *Tykanie słowoznaczno argona*. 1999. s. 108.

Dariusz Adam Zeller: *Sopraniki*. 1999. s. 52.

Z *Księgi Nadziei*: *Antologia poezji inspirowanej Biblią*. Pod red. Jana Leocińskiego, 1999. s. 125.

Teresa Wólczyńska: *Moje słowo*. 1999. s. 52.

teatr

BARTEK KRUK

Lubelskie święto teatru

W kulturze współczesnej coraz większą rolę odgrywa przekaz wizualny, słowo zdaje się ustępować imym, bardziej pierwotnym formom przekazywania myśli. Podstawowymi mediami w dzisiejszym świecie są telewizja i sieć komputerowa. Jakże miejsce ten sposób komunikacji zostawia dla ludzkich emocji, odwiecznych pytań, wątpliwości i kłopotów dotychczas niejasna człowieka w świecie, a także relacji z drugą osobą? Od takich treści się ucieka, za bardzo się chyba boimy tego, że o to jakies pytanie może przestać bez jednoznacznej odpowiedzi, jakies zachowanie może nadzwyczaj wier w wielkość naszego gatunku. Tymczasem teatr od samego początku swego istnienia mówi właśnie o takich kwestiach, stawia na nowo odwieczne pytania i próbuje na nie odpowiadać wciąż innym językiem, w miarę jak zmienia się nasza cywilizacja.

Widać to wyraźnie podczas takich wydarzeń jak lubelski Międzynarodowy Festival Teatralny „Konfrontacje Teatralne”, który w roku 2000 miał swoją piątą edycję w dniach 4-7 października. Za każdym razem artysty prezentują niezwykle różnorodny charakter współczesnej sztuki scenicznej, mówiąc językiem zarówno tradycyjnego teatru, jak i awangardy. Trudno także nie dostrzec, jak wielki wpływ na dzisiejszą sztukę teatralną wywierają takie zjawiska, jak popkultura, poszukiwanie nowej tożsamości kulturowej, a co za tym idzie, stosunek do tradycji, także do religii i mitologii. Czasami teatr próbuje się śladem współczesnej sztuki filmowej, czasem szuka inspiracji w kulturach innych niż europejska, czasem wręcz się dostrzega ponadczasowość tradycyjnych form, zakorzenionych w twórczości ludowej. Za każdym razem jednak okazuje się, że teatr wciąż jest sobą, nie potrzebuje się „autokryzjinić” jedynie po to, aby przyciągnąć „masowego odbiorcę”. Na lubelskich Konfrontacjach nie było przedstawień, na których widów by było tysiąc mejsca na widowni – po raz piąty okazało się, że dzisiejszy człowiek, zwłaszcza młody, odczuwa głód sztuki poszukującej odpowiedzi na poziomie białynie pytanie: jak żyć w „ciężkich czasach”. I dlatego na parę festiwalowych dni w Lublin się zmieniła, przez miasto ciągnęła tłumy ludzi zmierzających na kolejny spektakl. Przypominają się czasy starożytnej Grecji, gdzie czas przedstawień teatralnych był dla miasta czasem wielkiego święta.

Twórcy i organizatorzy tegorocznych Konfrontacji, szczególnie ich dyrektor, założyciel lubelskiego Teatru Provisorium, Janusz Omyrzak, położyli szczególny nacisk na udostępnienie twórczości teatralnej, powstającej za naszą wschodnią granicą. Mielisliśmy zatem wyjątkowo okazję poznać sztukę aktorów z Litwy, Rosji, Białorusi czy Ukrainy. Wyślakło to nie tylko ze względów czysto artystycznych, ale i z pewnego poczucia misji, jakie zdaje się przyswiecać wielu ludziom związanym z lubelskim życiem kulturalnym. Chodzi

o traktowanie tego miasta jako swegoistego pomostu kulturowego między Wschodem a Zachodem. Taki zamysł docenili Czesław Miłosz i Jerzy Giedroyc, którzy niezwykle serdecznie i z wyrazami aprobaty odpowiedzieli na prośbą program Konfrontacji. Obaj podkreślali, że nie tak jak sztuka nie prowadzi do zbliżenia między narodami.

Już od dłuższego czasu wyraźnie można dostrzec, zwłaszcza w teatrach awangardowych, zwiększającą się rolę gestu, ruchu scenicznego, często pantomimy, które niejednokrotnie dominują nad przekazem słownym. Tendencja ta wykracza poza tradycje kultury europejskiej, a inspiracje dla poszukiwań nowych środków wyraża odnajdywane są między innymi na Dalekim Wschodzie. Podczas piątych Konfrontacji Teatralnych po raz kolejny mogliśmy podziwiać japońską sztukę tańca *butoh*. Polega ona na zawarciu całego przesłania spektaklu w perfekcyjnym, nasyconym emocjami tańcu czy też pantomimie – wszelkie europejskie określenia raczej nie przystają do japońskiej tradycji artystycznej. Tętno ciała tancerza, jego posty i mimika, jego ból i uniczenie, którymi i nas obdarowuje, są czytana przez nas księga.

Przed rokiem w ten sposób czarował nas Daisuke Yoshimoto przedstawiając *Niewinność*. Tym razem swą opowieść tańczył Atsushi Takenouchi w spektaklu *Karnie*. Jego gra przykuwa uwagę widza od pierwszych chwil. W miarę jak narasta dynamika odprawianego przez niego misterium, co sygnalizowane jest niezwykłą, choć bardzo prostą w formie tradycyjną muzyką, publiczność zaczyna łączyć się z aktorem, zaczyna odzwierciedlać to samo, co on opowiada ruchami swego ciała, choćby dźwiękami pojedynczego miernika. To zespolenie dokonuje się niemal dosłownie, kiedy tancerz szuka w nas bezoporne oparcia, pomocy. A wszystko w jakimś magicznym sposób zwraca naszą myśl ku pełnej wewnętrznej walce *ellan vital* Natury, jej wiecznemu trwaniu i niezmienności jej praw. Kiedy za wszelką cenę staramy się dostrzakiwać w artystycznym przekazie akrytych znaczeń, głębszych podtekstów, okazujemy się jedynie racjonalnymi, trzeźwymi Europejczykami. Taniec *butoh* zdaje się dotykać czegoś, czego wszelkie określenia byłyby jedynie młotem odbiciem. Obszary z opowieścią o znaczącą najbardziej przywołujemy, jakich nie potrafimy pojąć rozumem, choć tak głęboko je przeżywamy w podświadomości. O tym wszystkim Takenouchi w sposób mistrzowski mówi bez żadnych słów, czyniąc nas uczestnikami magicznego obrzędu na cześć życia. I oczywiście w żaden sposób przebiegu samego spektaklu nie da się opisać, trzeba w nim uczestniczyć.

Inspirację tancem *butoh* widac bardzo wyraźnie w przedstawieniach literackiego teatru Glińca. Benas Sarka, jego twórca, reżyser, scenograf i aktor w jednej osobie, mówi o swym programowo biednym, dziecięcym teatrze, że *najważniejsze jest to, aby wszystko pozostało nie wypowiedziane do końca. Poetza jest między słowami, musi unosić się w przestrzeni. Na scenę wchodzi dźwięk aby poczuc smaku innego życia. Cała gamma moich przedstawień, cała partytura wywołana jest z dzieciństwa. Przedmiot bierze jak wien. Jak obrz. Dając o to, by nie przesadzić, z przedmiotu należy wyznaczyć tło, aby zaczął żyć na scenie. Przedstawia Sarka mając oś z dziecięcymi zabaw w pianiskowki, ale i z pierwotnych zamszańskich obrzędów zaklinających dookółne przedmioty. Aktor stara się widza wciągnąć do wspólnej gry czyniąc ze swego ciała instrument przekazywania wszelkich emocji. A jednak nie osiąga tego, co potrafił tancerz *butoh*, w tych swoich plasiach i tańcach, w tym odwróceniu się od tradycyjnego pojmowania sztuki posiadając jednak Europejskim za wszelką cenę udwadnianym, że nie chce nim być. I dlatego widza oglądając jego spektakl *Pisopły* po jakimś czasie zamiast z podziwem łączyć się z emocjami przesyłanymi mu przez aktora, zastanawia się z rosnącym zmierzchniowaniem, co ten on jeszcze wymyślił, jaką może przybrać jego wymyślniastkowe ciało i w jaki sposób użyty zostanie rekwizyt. Sarka pozostaje sam ze swym racjonalnym umysłem, który za wszelką cenę chce przysłonić maską prymitywizmu i naiwności. Przez tę maskę wyraźnie widac, że jego*

prawdę oblicze jest inne, to, co oglądamy, jest zaprzeczeniem lekkości dziecięcych zabaw – jest posą. A aktor za wszelką cenę przekonujący, że poza jest stanem całkowitej naturalności, może ponieść klęskę – jego przekaz nie dociera do widza. Siła teatru gestu i mimiki opiera się przecież w znacznej mierze na autentyczności przeżywania.

Całkowicie inny charakter miało przedstawienie *Zabawki Bertranda* rosyjskiego teatru blackSKYshine. Latwo można było dostrzec nawiązanie do sztuki ulicznych mimów, ale tych wesołych, pochodzących właśnie z Rosji, dokonujących cudów ze swymi ciałami. Na te posępnej, industrialnej scenografii mogliśmy podziwiać, jak Marcela Soltan i Andrej Iwaszhen upodabniają się do poruszanych niezwykle szybkimi ruchami przez jakiegoś oszalełego reżysera marionetek. Z pomocą scenicznych szkieletów i odpowiednich strojów artyści chcieli stworzyć atmosferę makabreski, nie przestając jednak cały czas porównywać cudów nrugado do widza. A więc wracanie było doprawdy pionierskim. Historia opowiedziana przez aktorów nie miała żadnych konkretnych ram, konkretnego czasu i treści. Dopiero po chwili, kiedy mimęto już pierwsze oszołomienie, widz mógł dostrzec, że to traktowanie człowieka jak marionetki, ta zabawa okaleczonymi kulturowymi symbolami, jak Arlekin czy Pinokio, wreszcie ten stan stopniowego rozkładu i transu, w jaki zapadają postacie na scenie, wiele mówi o tym, skąd pochodzi teatr blackSKYshine. To jakiś okrutny świat, odarty ze wszelkich słodów Natury, pozabawiony choćby szczątkową perspektywą Nieba, o którym chwilami postacie sceniczne zdają się sobie przypominać. Zdumiewające, jak postawny językiem gestu i ruchu awangardowy teatr potrafi dotrzeć do świadomości widza mówiąc mu o niemożliwym w gruncie rzeczy kwestiach, jakich ten na dzień dobry nie widzi. Podobnie jak w przypadku takich butów widzący zdaje się, że to poruszenie w nim zostały najbardziej pierwotne uczucia i myśli, znajdujące się całkowicie poza kontrolą rozumu, a nawet nowego zjawiska.

Nie tylko jednak cywilizacja zachodnia znajduje inspirację w sztuce dalekowschodniej. Qi Shu Fang's Company to zespół teatralny z Chin na stałe mieszkający w USA, przedstawiający tam tradycyjne formy Opery Pekinńskiej. Uczestnikom lubelskich Konfrontacji dane było zobaczyć w jego wykonaniu dwa przedstawienia: *Jedwabny taniec* oraz *Malyi Iwsi*. Bardzo wyraźnie dało się zauważyć, że mamy do czynienia z amerykańską recepcją tradycyjnego teatru chińskiego – ma być egzotykiem, ale zarazem lekko, zabawnie i porażająco. Po prostu perfekcyjnie wyprodukowana rozrywka zakonercionowa o niedwuznaczny charakter dalekowschodniej sztuki teatralnej – o mistrzowski łączeniu wielu teatralnych form, o silnym wpływie legend buddyzmu, o maestrii wykonawców. Na pewno publiczność była przygotowana na kontakt z egzotykiem, na całkiem inne od naszego myślenie o sztuce. Jednak to, czego byliśmy świadkami, przerosło nasze wyobrażenia. Niestety, nie zawsze w zrywnym sensie.

W obydwu przedstawieniach zdecydowanie duży wpływ miały cyrkowe akrobatyki i baletu niż teatru. To wracanie nie wynikało bynajmniej z błędnego rozumienia obecnej sztuki – kierującą zespołem Qi Shu Fang w życie amerykańskim stylu powiedziała publiczności, kiedy i w jaki sposób ma wyrażać swój zachwyt nad perfekcją wykonawców aktorów (tancerzy? akrobatów?). *Jedwabny taniec* to właściwie cykl bliźnich historijek, których prościuka fabułka jest jedynie pretekstem do przedstawienia baletowych figur z komediowych momentami wręcz jarmarcznych papaw, gdzie głównym elementem „śmiechotwórczym” było posażanie oka do widowni. Nigdy, nawet przy maksymalnej ilości dobrej woli nie dałoby się zobaczyć w tych występach czegoś więcej.

Podobnie było w *Malpin krotku*, wschodniej legendzie, której treść została nam w paru słowach przedstawiona. Jednemu trudno zaprzeczyć – aktorzy chwilami w niezwykle wręcz sposób potrafili zapanować nad takimi rekwi-

zjami jak chusty, drążki czy miecze. A jednak znowu każda scena, każde wypowiedziane w egzotykiem języku słowo (nie było ich zresztą zbyt wiele) zdawały się jedynie wstępem do kolejnych akrobacyjnych popisów. Owszem, patrzenie na skoośników, kolorowo odzianych tancerzy chwilami stanowiących ze sobą niemal organiczną jedność, wykonujących niezwykłe wręcz figury, sprawiło przyjemność. Pozostaje tylko pytanie, czy naprawdę Opera Pekinńska nie posiada w swym repertuarze czegoś, czego nie potrafiłabyśmy obejrzeć na baletowym pokazie lub w pierwszym z brzoza objadawczych wyku.

Nie ulega wątpliwości, iż kultura masowa, młodzieżowa, przenika do kultury dawniej nazywanej wysoką i sztuka teatralna musi w ten czy inny sposób na to reagować. Najbardziej widoczne okazało się to w przypadku lubelskiego Teatru Porwycyca Ciał. Jego odrębność wśród zespołów awangardowych polega na tym, że od samego początku jego przedstawienia stanowily komentarz do zmian zachodzących w świecie i związanych z nimi ludzkie postawy, jednym słowem do tego wszystkiego, co w dobie powszechniej informacji dotęciara do każdego mieszkańca Ziemi bez względu na jego kulturowe korzenie. Teatr Porwycyca Ciał czyni to jednak operując właśnie tymi elementami, które są nam dobre znane z telewizyjnego ekranu czy ulicznych billboardów. Rok temu Katarzyna Pawłowska i Maciej Adamczyk przedstawiły *Technologie sukcesu*, swoistą tragifarsę o zaniżającej potrzebie naturalnych uczuć wobec społecznego przymusu dostosowywania się do „nowego stylu życia” – ekologicznego, estetycznego, ukierunkowanego na osiągnięcie jak najwyższej pozycji, pozbawionego wolnego czasu, a w efekcie skrajnie płytkiego i śmieszego. W roku 2000 Porwycyca Ciał postawił przedstawienie współczesnej młodzieży, zwykłych młodych ludzi z *kinowego ekranu, z pubu z regimem i tego teatru*. Grają zatem samych siebie, a jednocześnie stają się odbiciem wszystkich najbardziej charakterystycznych postaw tzw. Generation X – uzależnienia od telewizji, braku jakichkolwiek wielkich ideałów, dążenia do zaspokojenia materialnych potrzeb, a przy tym totalnego braku kontroli nad własnymi emocjami i niemożności porozumienia się z drugim człowiekiem. Trudno zatem dostrzec, co w *Vol.7* jest teatralną fikcją i tak naprawdę treścią przedstawienia, a co tylko własnymi wcieleniami pary aktorów. I być może to było powodem, że w naszym kraju popalarnie, młodzi ludzie przedstawienia zostało, a jednocześnie nie było w nim takiego napięcia emocjonalnego i utożsamiania się ze scenicznymi postaciami, by i można było mówić o jakiejś formie katharsis. Po prostu widzieliśmy tam trochę siebie, trochę sąsiadów z podwórka, trochę zupełnie obcy dla nas świat, i którym jednak nie wшыczy się utożsamiamy. Tak więc chyba jedynie ci, którzy rozpoznali się w wykreowanej przez Porwycycę rzeczywistości, mogli w pełni docenić kunst autorów przedstawienia.

Podobny świat ukazał Oskara Korsunowa w sztuce pt. *Shopping & Fucking*, która adaptacja już zdobyła w naszym kraju popalarnie. Młodzi ludzie na przedwie wzięli się – świadomi tego, że w dzisiejszym świecie są całkowicie zbędni, oklamywani przez słodkie obrazny przez ze skłanego ekranu, posiadający wszelką wiedzę na temat łatwego zarobku – gotowi są nawet sprzedać samych siebie, aby w takim świecie przetrwać, zdobyć uznanie i majątek. Nic w takiej rzeczywistości nie ma normalnego, wszystko jest chore, nawet seks bez skrupuła przetrzywanym na scenie. Pusty świat pozabawiony jakiejkolwiek metafizycznej perspektywą, nie tylko bez Boga, ale i jakichkolwiek norm postępowania. O tym samym właściwie mówili Porwycyca Ciał, o ile jednak w ich przypadku można było dostrzec artystyczne poszukiwania, teatralny eksperyment, próbę nowego sposobu angażowania widza, to w przypadku lubelskiego teatru Korsunowa jedynie nowym polem na obecności na scenie obdarzone wulgarnymi, nieczłowiecznie obczyszczonymi, a zarazem pełnym nie do końca uzasadnionej brutalności, *Sex, drugs & rock'n'roll* to właściwie podstawowy temat tej sztuki (może z wyjątkiem ostatniego, bowiem widz atakowany jest co chwila ogłuszającym rytmem techno). Młodzi ludzie, nie

znajdują oparcia w swych uczuciowych hetero- i homoseksualnych związkach, zostają wyprzeżeni w handel narkotykami prowadzący przez telewizyjnego decydena, cynicznie ich przy tym wykorzystującemu. Nie potrafią wrócić pieniędzy, są szykanowani, płacą swoim ciałem i swoją młodością, wręczając jakoś odaje im się przeżyć. Oto cała historia. Dokładnie taka, jaką dziś znajdujemy na dziesiątkach kaset widów w telewizji po godzinie 23. Reżyser nie powiadał więc niczego nowego, nie próbował nawet sprokurować do innego patrzenia na rzeczywistość, chciał jedynie zaskoczyć wam, że nawet teat nie obronił się przed wszechobecną wulgarnością języka i brutalizacją życia. I dlatego poniósł klęskę. Wydaje się bowiem, że widz teatralny oczekuje właśnie tego, że teatr wciąż będzie ostoją, że potrafi się oprzeć modzie, że szlak scenicznac stać na dystans, na ciągłe przypominanie, że istnieje coś więcej niż to, co nas otacza i co na co dzień odrzucaamy. Tego dystansu w *Shopping & Fucking* nie ma, jest „filmowe” wręcz dokumentowanie rzeczywistości bez głębszych refleksji, jest wrzescie potocznie coraz bardziej witalności miłej przytulamywa koleżanek i talerzy. Nie tego oczekujemy chodząc do teatru. I dlatego między litewskimi aktorami a publicznością po prostu „nie zaskrzyło”.

„Ale świat pełen pulki i osamotnienia człowieka to nie tylko świat młodych ludzi. Cała nasza współczesność skazana jest lękiem człowieka, nie potrafiąc znaleźć sobie w niej miejsca. Mistrzowski dopowiedzenie tego wątku był monodram Petera Turrini *Nareszcie koniec* w wykonaniu Jana Peszka. Tym razem bohaterem jest mężczyzna w średnim wieku, jeden z tych, którzy wyrzekli już w swym życiu oszczędni, poznali świat od najlepszych i najgorszej strony, i oto teraz nie mają już przed sobą nic, są przez ten świat wypaleni. *Najbliższe wydanie człowieka to autonomiczne monstrum, autowoskonawca w jednoosobowej sztach przepiechanej tęsknotą za drugą osobą, pełnej sztach przed drugą osobą i pełnej gotowości obronnej wobec wszystkiego, co nie odpowiada wyobrażeniu tego monstrum – tak autor mówił w swojej sztach.* W postaci graney przed jednego z najlepszych polskich aktorów dostarczaliśmy zabawę w śmierć, ale jednocześnie ostateczną ucieczkę przed światem i przed samym sobą. Na scenie oprócz aktora widzieliśmy jedynie błądą świecąca żarówkę, zaś błądą słowcem, kiedy świat od najlepszej i najgorszej strony, które bohater w jednym tylko momencie zdaje się otworzyć. Jeżeli miało to być mieszkanie (własne?) bohatera, jego ostateczne schronienie i oaza, to nieprzypadkowo nie był w nim luzak. Bowsiem postać grana przez Peszka mogłaby się w nim po prostu nie obić. Do końca nie wiemy, czy pistolet trzymany w ręku dziesięcioletniego człowieka bez władności to zabawka czy narzędzie śmierci. Zaskuchani jesteśmy jedynie w miarowe odliczanie do tysiąca, które coraz bardziej zaczyna przypominać ogłaszanie wyroku. Między liczbami, niczym spowiedź skazanka, przedstawione jest życie trzymającego rewolwer. Właśnie życie człowieka bez twarzy, dobiegającego jolnowa popularność własno osoby, o uszanowanie swoich kumstrowanych konstruowanych poglądów. Nie ma tu miejsca na spontaniczne, na słuchanie własnego serca, na jakakolwiek chęć przeżycia CZEGOŚ WIECEJ. I być może dlatego gra, w której reżyzwytem jest nabyty rewolwer przyłożony do skroni, przestaje być gra, nie można się już z nią wycofać. Te wszystkie lęki, cała ta tędn ludzkiego życia w dzisiejszym świecie, aktor warszawskiego Teatru Studio przedstawił z właściwą sobie maestrią. Każdy ruch, każda pozycja jego ciała, a nawet każda wyliczona przez niego liczba miały swój sens, prowadziły do – nimis osobliwie – nieprzewidywalnego zakończenia. Jednocześnie dzięki reżyserii Zbigniewa Brzozy postać grana przez Jana Peszka pozostaje postacią do końca ludzką, wzbudzającą w nas nie tylko niesmak wobec „zabawy w śmierć”, ale i współczucie dla istoty ludzkiej, która przecz przed tym „ostatcznym końcem” tak czy inaczej nie umknie.

„Ale współczesny teatr to nie tylko kontestacja rzeczywistości, to także przypominanie o jej odwiecznych pryncipach, dzięki którym człowiek może nad

nią panować i odnaleźć w niej swoje miejsce. To także zwracanie naszej uwagi na coś więcej niż tylko dotykaliśmy świat. Taka wizja obecna była przed wszystkim (co wydaje się zmianne) w przedstawieniach odwołujących się do tradycji, a doskonałym przykładem może być wykonany przez Łódzki Teatr Nowy dramat Tadeusza Słobodzianki *Prorok II*. Jego temat jest dość charakterystyczny, dotyka bowiem delikatnej sfery, jaką jest religijność, ludzka wiara we wszechmoc własnej modlitewnej żarliwości traktowanej niemal jak zakłęcie magiczne. Tak z religii powstaje ideologia, a z najbardziej ortodoksyjnego fundamentalizmu – herezja. I wystarczy poczynać niedociespoma sprzedawane w parafialnych księgarniach, posłuchac niektórych kazani i wypowiedzi księży czy włączyć odpowiednią stację radiową, by się przekonać, jak bardzo jest to aktualny temat. Naturalnie chodzi tu głównie o sposób myślenia tzw. ludzi prostych, toteż sztuka Słobodzianki dzieje się na głębokiej prowincji. Oto zjawia się tam Boży człowiek, święty, prorok, który we śnie ujrzal zapowiedź końca świata. Zrozumiałam, zatem, że ma do spełnienia misję zbawienia ludzkości, pielgrzymuje więc od wsi do wsi, uzdrawia chorych, napomina grzesznych i głosi Dobrą Nowinę. Jednak dla prostych chłopów mowa o nadejściu Bozego Królestwa to abstrakcja, należy mocno doświadczać się błądą, trudem codzienności, upadkiem obyczajów. Łakną przy tym prostych prawd, zakorzenienia dla własnych myśli i pragnień. Wystarczy zatem byle sen i byle płochą, aby w wdrowym żydowskim kupcu ujrzeć Szatana, a w wdrowym świętym męża samego Chrystusa. Skoro zaś Chrystus na nowo przyszedł zbawić świat, trzeba go na nowo ukrzyżować – zdradzić, osądzić i umęczyć, a przybyty do krzyża na skraju drogi Boży Syn bronić będzie przed wszelką błądą.

W zadziwiająco spójny reżyser spektaklu Mikołaj Grabowski potrafił ukazać prowincjonalną mentalność mieszkańców wsi, tak bardzo okrutną w swym zaślepieniu i krótkowzroczności, a jednocześnie przecieć tak ludzką. Wielką w tym zadaniu aktorów, dzięki którym postacie te żyły na scenie, przekazywały widzom swoje własne emocje. I pewnie dlatego happy end wiodący do zwycięstwa nie miał w sobie nic z kiczowatości. Całości niezwykle urzeka dodawali wykonwane przez aktorów na żywo pieśni kresowe, śpiewane na wiele głosów niczym słowa z prawosławnej liturgii.

Najpełniej do teatralnej tradycji odwołał się warszawski Teatr Montewina w klasycznej komedii Moliere *Szczeniostwo Skapena*. Z jednej strony przedstawiał bardzo wiernie tekst dramatu w klasycznym przekładzie Tadeusza Zielińskiego-Boya, z drugiej zaś samą przestrzeń teatralną i zadania stojące przed aktorami potraktował na sposób awangardowy. Na scenie widzieliśmy jedynie czterech aktorów, z nich wiekscyórz z nich musieli zagrać co najmniej dwie, całkowicie za sobą kontrastujące, role. Przy czym widz dostrzegł minimalne zmiany w ubiorze aktorów i w rekwizytach, jakie przypisywane były danej postaci, natomiast jeden aktor wcielił się w kontrołowca do poprzedniej postaci, całkowicie zmieniając sposób mówienia i poruszania się i umi sposobu skazywania wyzwytiem, co dodawało stworzonym przez Moliere ludzkim typom nie zamierzony nawet przez Królewskiego Tapicera groteskowości. Ale to bynajmniej nie wszystko, czym warszawski teat zaskoczył widzów. W *Skapenie* każda niemal linijka dialogu jest okazją do ciągłego innowo komediowego gagu. Na takim przedstawieniu widz czuje się panem, to, jakby nawrócił do najstarszej tradycji komediowej, według której cała energia aktora ma służyć zobawieniu widza. Efekt jest – najkrócej mówiąc – taki, że widownia śmieje się niemal bez przerwy, mogąc się całkowicie skupić na aktorach, czemu sprzymocniły wyklike oszczędna scenografia (jedna duża skrzynia pełniąca w przedstawieniu najprzejrzyściejsze funkcje) oraz neutralne czarne stacje postaci „dookreślonych” drobnymi rekwizytami. Jedynym elementem teatralnym w tym przedstawieniu, uwiązującym aktorski kunszt twórców Montewina, jest fakt, że całość sztuki zespolona zostaje z próbą odwrócenia teatralnego przedstawienia według wskazówek samego Hamleta: *łapczyce akcje ze słowem, używaj*

gestów oszczędnie, mówić płynnie i swobodnie, unikać przesady, która kłóci się z celem teatru i – co najważniejsze – nie maćka rękami!

Jak zawsze w czasie lubelskich Konfrontacji, niezwykłym wydarzeniem dla wielu mieszkańców miasta, nie tylko stałych widzów tej teatru, było przedstawienie uliczne. W tym roku największe wrażenie zrobił zamykający występowo na lubelskim festiwalu poznański Teatr Omega. Dnia przedstawiając *Arkę*. Widowiska realizowane przez „Osmęki” zawsze mają coś z Apokalipsy – niezwykłą intensywność i dynamikę ruchu, niezwykłą konstrukcję, po których poruszają się aktorzy, zagadkowa symbolika poszczególnych elementów scenicznych, wreszcie niepokojąca muzyka Arnolda Dąbrowskiego. Przy czym te wszystkie elementy są przez widza doświadczane tym intensywniej, że nie ma żadnej granicy między sceną a widownią – spektakl *Arka* odbył się na Placu Zamkowym, po którym poszczególne poruszające się na lódkach konstrukcje przemieszczały się w coraz to inną stronę. Tak więc jeśli ktoś chciał cały czas być przy aktorach i podziwiać za nimi, miał poczucie pełnego zobowiązania w przedstawieniu. Poznański „Osmęki” doskonale zdążył sobie sprawić z wszelkich ograniczeń, ale i wielu nowych możliwości teatru ulicznego – sceniczne konstrukcje są zatem na tyle wysokie, że widak je doskonale z każdego punktu widoku tłumnej widowni, dzięki ciągłemu poruszaniu się całej „sceny” każdy znajdujący się na Placu Zamkowym amator teatralnych mocnych wrażeń miał możliwość bliskiego kontaktu z aktorami, z głośniejszym dominowała nad całym placem mroczna muzyka, obecne były efekty techniczne, a jednocześnie ze sceny (scen?) nie padło ani jedno słowo.

Nagle przelazła zaława weselna, wieczne rozdzielanie pary młodej, wygnany z ruin planowanego domu (miasta?) cywilizacji?, wielcy tułacz z tuzimiami tobolków, zeglarze ogromnej Arki zmagający się ze sztumikiem i brakiem nadziei, wreszcie szczęśliwi pielgrzymi odnajdujący własną drogę na uskrzydłonym okręcie... Takie obrazy dają nam było oglądać. Wzrost z nas mogło się pewnie utoaższyć i tymi, którym odebrano szczęście, wielu z nas panują ze swoja obojętnością i wrażliwością do dzisiejszej rzeczywistości. Wielu z nas pragnęłoby też pewnie dostać się na Arkę, próśb ludzkich podobnie czujących, takich samych wyznawców znających Nowego Wspaniałego Świata, Nowej Ziemi i Nowego Nieba, pod którym czaliby się szczęśliwi, które nazywaliby swoim Domem... Znowu zatem teatr stał się nie tylko komentarzem dla współczesnych lęków, ale i ucieleśnieniem naszych tęsknot i ucieczką w lepszy świat.

Zupełnie odmiennym pryzmą było przedstawienie *Sztuczne oddychanie* w wykonaniu Teatru Porywacze Ciała i Teatru Usta. Rzadko w sztuce scenicznej pojawiają się tak bezpośrednio wątki nawiązujące do science fiction.

Oglądamy tajemnicze, rotacyjne isoty ruchu z innej planety, ubranych w niezemskie stroje kumalów, a wreszcie ludzkie postacie – takie, jakie nas co dzień widzimy na ulicy lub na ekranie telewizora. Sztuczny raj, sztuczne zapożyczenie najbardziej skrywanym marzeń, ucieczka choćby na chwilę w kalkiem inną rzeczywistość, bodowia i naukowe badania nad nowym gatunkiem – człowiekiem, to elementy obecne w popularnej kulturze naszych czasów, które jednak zaskakująco wyraźnie wkraczają w odziedziczone naszych marzeń i niedosk obcowania ze sztuką. Wirtualna rzeczywistość, ucieczka od realnego świata i żądza realizacji skrytych pragnień to przecież także to wszystko, co nas otacza w każdej praktycznie reklamie, przed którą nie ma dzisiaj ucieczki. A wszystko to podporządkowane kontrolowanej uprawie człowieka. Zadażwiające, że takiego tematu przedstawienie teatr awangardowe nie podjął już wcześniej, tak doskonale przecież tłumaczy on naszą rzeczywistość, nasze wrażliwość co do rozwoju ludzkiego gatunku. Teatr Usta Usta jest grupą nową na lubelskiej scenie, dzięki temu być może dośwoda do całkiem innego potraktowania sztuki scenicznej i poruszanych przez nią tematów. Współpraca z Porywaczami Ciała, zawsze wnikliwe patrzyłomi na świat otaczający zwykłego człowieka, zaowocowała czymś zupełnie nowym. Być może fantaz-

tyka naukowa, od dawna zwłaszcza w Polsce trafnie interpretująca rzeczywistość, znajduje swoje miejsce także w sztuce teatralnej.

Przez cztery dni Konfrontacji Teatralnych Lublin staje się zupełnie innym miastem, a jego mieszkańcy innymi ludźmi. Nagle okazuje się, że wciąż poza współczesną kulturą obrabowaną istnieją teatry, które potrafią zaobserwować uwagę współczesnego człowieka. Ważne jest także to, że operując środkami charakterystycznymi dla sztuki awangardowej współczesny teatr wciąż jest czytelny dla każdego widza, jeśli tylko w pełni otworzy się on na teatralną rzeczywistość.

Ale kolejnym już festiwalu okazuje jeszcze jedną ważną rzecz. W trakcie jego trwania stałe przedstawienie w przedstawieniu w programie OFF. To najciekawszej amtrakcie teatru, przeważnie współtworzone przez dzieci i młodzież, nie mające absolutnie żadnych kompleksów, jeśli chodzi o dobór materiałów czy sposobów inscenizacji. Po prostu młodzi aktorzy traktują teatr jako sposób na życie, ważną formę wyrażania własnych przeżyć i uczuć. Tak jest choćby w przypadku Teatru 36 Złoty, którego interpretacja *Prawieka* Olgi Tokaruk, nasyciona ładowymi pieśniami, bezpretensjonalnym tańcem czy gimnastyką choreografką, świadczy o ogromnej wyobraźni nie tylko reżysera i opiekuna teatru Mirosława Wasiewicz, ale i wszystkich biorących udział w spektaklu. Aż gozto jest w nim od muzyki (tak różnej, jak religijne hymny i utwory rockowe Artma) i scenicznego ruchu. Okazuje się, że chyba każdy zespół tworzony przez ludzką wyobraźnię może być inspirowany do szukania w nim siebie. Tak rzecz ma się choćby z Komuna Otwock, anarchizującym współnosta o punkowych korzeniach, tworzącą niezwykle, niepodobne do żadnych znanych form spektakle, mające w sobie coś z poetyki obecnej dawniej na lamach „Bru Lionu”. Tak było wcześniej w *Zwycioce Stefana*, tak jest w powracającym do mitycznych źródeł przedstawieniu *Trzeba zabić pierwszego boga*, gdzie znowu możemy dostrzec czyste odwołania do naszej społecznej i kulturalnej rzeczywistości. Wygląda na to, że w prognozu nowego tysiąclecia właśnie teatry potrafią połączyć ludzi o wiele silniej, potrafią dać im poczucie wspólnoty daleko bardziej wyraźne niż telewizja, komputery czy dyskoteka. Jeżeli w przyszłym wieku ludzie nie będą osamotnieni, skazani na wzajemną kulturową izolację, będzie to przede wszystkim zasługa teatru.

Bartek Krak

Książki nadesłane

Pojezje

Zdzisław Tadeusz Łuczowski: *Trzy poematy*. Wyd. Śląskie Towarzystwo Kulturalne, Katowice 2000, ss. 48.

Krzysztof Matusewicz: *Epitrium pomazaniocy*. Wyd. Ślódlecka Grupa Literacka, Włók, Ślódle 1999, ss. 53.

Janusz Orlikowski: *Moskwa nastawo z pętyłło*. Wyd. Krakowski Klub Artystyczny-Literski, Kraków 2000, ss. 55.

Bogusław Latowicz: *Rozum na koncertowym*. Wyd. „Ars Nova”, Poznań 1999, ss. 77.

Lesław Jan Urbański: *Gdyśpsak cienia*. Wydawnictwo „Szteteta”, Stalowa Wola 1999, ss. 86.

Aleksander Janicki: *Święte drzewo*. Galiicyjska Oficyna Wydawnicza, Kraków 1999, ss. 78.

film

ŚLAWOMIR BOBOWSKI

Realizm i filozoficzny uniwersalizm Aktorów prowincjonalnych Agnieszki Holland

Debiut filmowy Agnieszki Holland z 1975 roku – *Wiedźra w Abdona* – to poetycki, telewizyjny film o niszczącym prowincjonalnym filozofie udręczonym pożądaniem do pięknej apłeczarowej i jednocześnie poczuciem niemożności zrealizowania swego krótkiego erotycznego marzenia ze względu na „meksa” pogardę dla mocy libido. Zalotny Abdon uciada przez milościca, która jest dla niego upokorzeniem, a autorka filmu śpiewa go filozoficzną balladą Krzysztofa Zaleskiego, śpiewaną przez Elżbietę Czerwińską, balladą o „nieukochanych i nieukochaniu”, a więc o człowieku i jego wiecznej orfaniycznej kondycji. O tym właśnie, o samotności człowieka, o alienacji, jego tragicznym błędzeniu, spowodowanym nieprzejrzystością świata i jego samego, o „wrzuceniu w byt” traktuje cała dalsza twórczość Agnieszki Holland.

Artystka jest bezwzględna, albo – jak sama to określa – zdróworozsądkowa, gdy stwierdza z całą mocą, że człowiek jest istotą samotną. *Bo przecież, tak naprawdę to wszyscy jesteśmy samotni. Nawet gdy mamy wokół siebie najbliższych, przyjaciół, znajomych, to w sytuacjach dramatycznych jesteśmy sami!* W rozmowie z dziennikarzami dowiedzieliśmy do tej egzystencjalnej tezy egzemplifikacyjny argument. Kiedyś, gdy przebywała w szpitalu, pewien człowiek zwierzył się jej ze swojej samotności, z tego, że nie może być szczerzy wobec najbliższych, którzy odwiedzając go udają, że wszystko jest w porządku, a tymczasem wszyscy wiedzą, że cierpi na nieuleczalnego raka.¹

Jesteśmy sobie obcy, świat dookoła jest dla nas taki sam, do tego absurdalny, bo nieprzenikalny. Życie zastopowane jest przez Heideggerowskie „bycie się”. Jaką receptę na taki stan rzeczy może być „wolność śmierci”? Heidegger: staruszek w *Aktorach prowincjonalnych* (1978) skaczący zokna, główny bohater tego samego filmu próbujący samobójstwa, młoda kobieta rozczarowana życiem po dwukrotnej próbie samobójczej w *Coś za coś* (1977), Kama z *Gorączki* (1980) radośnie wyzwalająca na moment, kiedy będzie wreszcie mogła rzucić się z bombą pod nogi carskiego urzędnika, kateka z *Kobylcy samotnej* (1981) zadający śmierć swojej ukochanej, by uwolnić ją od absurdu egzystencji, Róża z *Gorączki żółtej* (1985) wybierająca samobójczą śmierć jako lepszą od życia w samotności i upokorzeniu. Inną

znana receptę na absurd egzystencji, Sartre'owska propozycja zaangażowania w sprawy społeczne, Holland kompromituje kilkakrotnie. W *Gorączce* zaangażowanie jest postacią choroby, występuje w czasie historycznym, kiedy logika wycofuje się z miedzów i spogląda z daleka na to, co ludzie ze sobą wyrabiają.² Podobnie jest w *Zabici księdza* (1987) i w epickim bardzo dziele *Europa*, *Europa* (1990). We wszystkich tych obrazach zaangażowanie społeczne przypomina bezprzemyślane poddanie się zbiorowemu zamienieniu, „ludzkim zapaleniom”, a więc nie jest wyrazem bytu autentycznego, uwolnienia się od absurdu.

Jest jeszcze poczciwy Camusowski laicki tragiczny heroizm, bunt jako efekt świadomości absurdu, z natury dobowy, z natury do wolności, pasji życia. Rzeczywiście i to receptury można wypatrzeć w filmach Agnieszki Holland. Ale nie jest ona potwierdzona jako skuteczna w zwałczaniu naszego poczucia orfaničnosti. Rimbaud w *Całkowitym zamknięciu* (1995) nie przekracza w swym totalnym buncie żadnej granicy obcości, pozostaje nieodgadniony dla innych i dla siebie, ginie przypadkowo, a jego siostra próbuje sięrocować jego pośmiertną poetycką „kariery”. I przypominamy jeszcze zgorzchniętego Camusa pospolitością tego, co zrobił genialny Rimbaud w Abisynii – handlem bromu.

Jest też proba totalnego buntu, laickiego tragicznego heroizmu w wielkim filmie *Aktorzy prowincjonalni*, ale – niestety – tylko proba. Utwór ten – pełny samodzielnego debiutu kinowego Holland – został zrealizowany w 1978 roku, ale na ekranach kin pojawił się dopiero w roku następnym. Niemal całe 12 miesięcy przeleżał na półkach wstrząsany przez cenzurę. Janusz Wilhelm, ówczesny szef kinematografii, domagał się wycięcia obszernych fragmentów filmu. Nic dziwnego, utwór miał ostrą wymowę oskarżycielską pod adresem władz, ustroju PRL, mimo że traktował o środowisku prowincjonalnych artystów teatralnych. Ostra krytyka społeczna zawarta w tym filmie, jego sugestywność, a także ponadczasowość, uniwersalność czynią z tego dzieła jedno z najważniejszych w nurcie „kina moralnego niepokoju”.

Do prowincjonalnego teatru przyjeżdża – jak pamiętamy – reżyser ze stolicy, by wyrecytować *Wyzwolenie* Stanisława Wyspiańskiego. Fakt, ten, a także zapowiedź uczestniczenia zespołu teatru w festiwalu teatralnym zrodziła zawodowe nadzieje całej kasty artystycznej na czule z Krzysztofem, najlepszym jej członkiem, obiecującym, choć już niewolnym aktorem. Zauważmy zresztą, jak i *Kryształ* szybko rozczarowują się osoba reżysera, jego sposobem pracy, podejściem do teatru, aktorów, widzów. Jest zwykłym koniunkturalistą podłączającym się bezkrytycznie do awangardowych lub posodawangardowych trendów teatralnych, nastawionym przez to jedynie na efekt formalny, zewnętrzny, inscenizacyjny, mało zainteresowanym treściami ideowymi wystawianego utworu i nie liczącym się z widzem i aktorami.

Tylko Krzysztofa stać na bunt, choć trochę podszyty histerią i niekonsekwentny, a także – niestety – bez szans. Środowisko jego teatru jest zbyt zastite, bezwładne, bierne. Kozierki i frustracje wywołane konfliktami w pracy Krzysztofa przenosi na dom, czyli żonę Ankę. Nie mają dzieci, ponieważ przekazywałyby w samorealizacji zawodowej. Nieodstosowanie Krzysztofa polegające na psychomoralnym uwłaszczeniu na zakłamanie i nieuczciwość, kompleksy Anki, spowodowane wykonywaniem zawodu „gorszego” aktora – lalkarza, dokuczliwa ciasnota mieszkania (póły Gierek) – wszystko to wraz z drżającym konformizmem całej kasty teatralnej wywołuje alienację bohatera i w pracy, i w domu. Naprawdę narasta, malżeństwo

¹ Cyt. za S. Zawilataki: *Rejserka: Agnieszka Holland*, Warszawa 1995, s. 14.

² Tamże.

³ A. Strug: *Dzieje jednego poezika*, Warszawa 1980, s. 10 [Gorączki jest ekoinacją tej powieści].

ulega rozkładowi. Konflikty wybuchają także w teatrze, zwłaszcza z nieuczynnym rytzyerem-cwaniaczkiem, ale o premierę spektaklu jednak dochodzi. Wszyscy są raczej zadowoleni, co widać podczas bankietu popremierowego, oprócz Krzysztofa, którego w tym nastroju gąsienica jęcza znośna, stwierdzając, że wszystko było raczej średnie. Na skutek intrygi reżysera i dyrektora teatru Krzysztof nie dostaje angażu do pracy w teatrze wielkiego miasta, odchodzi od niego znośna, on sam próbuje popełnić samobójstwo. Potem pije, wywołuje skandal w teatrze, awanturowi się, a końcu kompletnie pijany recytuje niemałe na polanach znośny, która w pijanym stanie widziawszy w pracy, wierząc z *Wyzwolenia*, marzenie Konrada o „czyszczeniu kłoby dobrych ziół i zych”.

Niezwykle charakterystyczne dla życia w tzw. demokracjach ludowych było schizofreniczne rozdwojenie: sfera ideologiczna żyła swoim rytzyem książkowo-gazetowo-plakatoowo-akademickim, a sfera realnego życia swoim. Rzeczywistość społeczno-polityczna, która z założenia miała pasować do ideologii, wciąż zaprzeczala tej drugiej. Nie było przecież w Polsce Ludowej równości, powszechnego dobrobytu, redukcji postaw merkantylnych wśród obywateli i licznego wzrostu postaw precyzyjstawych – propetycznych, ideowych, co przecież z taką arrogacją zapowiadali ojcowie socjalistycznego sensu o raju na ziemi. W teatrze z filmu Holland, który jest metaforą PRL-u z końca lat 70., wszyscy pracują nad spektaklem, ale ucząca z okazji przemierzy osobno, maszyniki, bankietują w swojej pakarni z gołym politykiem. Nie ma w tym teatrze także śladu dobrobytu czy owego wyśnionego pomniejszenia zainteresowania jego pracowników materialną stroną egzystencji. Rywalizacja o podwyżki, wczesny zaręczanie, podkradanie sobie papierosów – to są problemy spaerzyczonej artystów, które były także dokucającymi życia miłośników Polaków w PRL. Część aktorów jawnie manifestuje niechęć do pracy, pogardę dla niej lub przynajmniej obojętność, skazując niestannie dodatkowych źródeł dochodu. Taki jest aktor, który wskazuje „dyma”, czyli ma w nosie, a jego monstraalnym niemal odpowiednikiem jest kolega Krzysztofa z Łodzi, który „Majakowskiego recytował już na akademii 300 razy”.

Jednakże niezaspokojenie materialnych tęsknot aktorów nie budzi w filmie zainteresowania, ale kłuje w oczy. Krzysztof, najwybitniejszy aktor zespołu gnieździ się z żoną w mieszkaniu, w którym ledwo można się poruszać. Są jednak tak, którym materialnie się powiodło. Anka, znośna, odwiedza w stolicy przypadkowo poznaną koleżankę ze szkoły średniej, a odwiedziny w jej domu stają się dla znośnego upokorzeniem, gdyż jej koleżanka żyje w luksusach. Nie chodzi o to, że kobieta dorobiła się swoich zbytków nieuczciwie (mówi po prostu, że udalo jej się), chodzi raczej o to, dlaczego w państwie „sprawdliwosci społecznej” jedni, ciekro pracując nie mają nic, a inni opływają w dostatki, a sprzednie niezasłużenie. Drastyczne różnice majątkowe w „ustroju równości i sprawiedliwosci” musiały być rażące i gorszące. Sąd wszelkie powodzenie majątkowe było traktowane w Polsce Ludowej przez zwykłych ludzi jako podejrzane, a słowa i wyrażenia typu „kariera”, „robisz karierę” brzmiały pejoratywnie. Działal mechanizm psychosocjalny, którego istota oddaje sentencja Konfucjusza: „W państwie źe rządzący myli być bohaterem jest wstyd”.

Różniwkę między ideologia a życiem w filmie Holland pokazany jest dosadnie. Bardzo efektownie wypadkają go reżyserka w dwóch zwalazanych scenach z przemowa dyrektora – przed przystąpieniem do prób *Wyzwolenia* i po premierze. Nadtę, szcześnie i niezyciowe frazesy przemawiającego rozchodzą się jakby w próżnię; aktorzy plukają między sobą, szepczą sobie coś do ucha, poronmiewają się na niego, skurpomują krytyki teatralne bez zenady palnizające darmowa przystawek, imni już myśla i rozmawiają o tym,

by się urwać, a – na dodatek – sam głos dyrektora, jego bezradnieję beznamiętny ton nie potwierdza rzekomej ważności tego, co mówi.

Już w okresie rozpowszechniania filmu *Aktorzy prowincjonalni* Holland pokłesłała, że rzeczywistosc prowincjonalnego teatru jest w tym utworze umowna: *Opowiada on o aktorach w teatrze prowincjonalnym. Oczywiście jest to tylko hańdo wywodzące, a chodzi mi przede wszystkim o to, by opowiedzieć w nim o ludziach, o rzeczywistosci i o pewnych sprawach, które mnie interesują* ⁴ Jest to właśnie film głównie o ludziach żyjących w schyłkowym okresie gierkowskiemu, przedświadczeniowemu PRL-u, zapisu stanu świadomości tych ludzi, ich kondycji duchowej – moralnej i emocjonalnej. *Chodzi o to, o powien stan ducha, o to, z czym się ludzie zmagali na co dzień.*⁵

Ow stan ducha oddala Holland niezwykle sugestywnie. Najbardziej dojmujące są w nim poczucie niemocy, brak woli zmiany, inbierność przy jednoczesnej nienawici do swojej kondycji i otoczenia. Bardzo wyonmą jest scena w przebieralni, kiedy to aktorzy narzekają na wszystko – na brak publiczności, na poziom artystyczny własnych przedstawień, na dyrektora. Liście narzekali, formułowali zarobitowie, ironicznie, zamyka głono wyrażane marzenie o możliwości zarząmnia, uświadamiając sobie teatrowie. Wówczas wszyscy miłną z zafascynowaniem, uświadamiając sobie bowiem, że żyją nienawiciem, że kwia w niszarnie. Ich teatr jest bardzo zły. Tak też było z „teatrem” PRL-u, ale nie nic można by zmienić, choć społeczeństwo czulo, że zmiany są konieczne. Niemoja i jednocześnie pragnienie przemiany to temat sztuk Antoniego Czechowa, z którym film Holland ma sporo wspólnego.

Ukazanie owego czechowianowskiego stanu iniercy, niemocy, zawieszenia nie byłoby takie przekonujące i dramatyczne, gdyby nie klasyczna konstrukcja fabuły opartej na romantycznym schemacie – jeden przeciw zła świata w imieniu wiaryści. Krzysztof to jedyny sprawiedliwy. On jeden stara się zrozumieć sens swojej roli w spektaklu *Wyzwolenie* i sens w ogóle inscenizowania tej sztuki. Potem, gdy zaczyna sobie zdawać sprawę, że reżyser jest po prostu cwanem konformistą i artystycznym bliźniaczem, że wykreśla z tekstu Wyspańskiego wszystko, co jest mu nie na rękę – politycznie czy jakkolwiek inaczej – w pustkę swego odcięcia tekstu wieszacza chce przykryć efekciarską formą zewnętrzna przedstawienia, Krzysztof zaczyna się buntować, staje się Lukkaszkosm bohaterem problematycznym, czyli indywiduum wywidzonym z obcości bohatera wobec świata pozahwionego „punktów orientacyjnych, według których kierować by się mogło życie”.

Krzysztof żyje w świecie zdegradowanym, pozabwionym autentycznych wiczi międzyludzkich, zdeintegrowanym. Wartości naczelne ignoruje się w nim lub wypiera ze świadomości albo ulegała one utajeniu, schodzą do rzędu abstrakcyjnych pojpy. Niki poza Krzysztofem nie zwrócił uwagi, że reżyser wykreślił ze sztuk słowa „czysta, wolność, patriotyzm. Nikomu też narby nie przeszkadza wyrażanie brak jasnego koncepta artystycznego przedstawienia. Nikt nie myśli o efekcie calościmym pracy na scenie, każdy przemyt jest tylko swoją rolą, a i to niebzyt rzetelnie.

W tym zdeintegrowanym środowisku bohater próbuje znaleźć własne wartości, by nadać sens temu, co robi, i swojej egzystencji. Ale nie jest to możliwe, ponieważ sytuacja w teatrze przypomina to, co w większej skali społecznej nazywa się kryzysem kultury albo jej dezintegracją. *Dezinte-*

⁴ Cyt. za: „Filmsowy Serwis Prasowy” 1979, nr 434, s. 3 (nie podano autora opiniaowania).

⁵ Sztuka reżyserska. Rozmowa z Agnieszka Holland [w:] *Wzrost polskiego kinu*, red. Marek Hendykowski, Konin 1998, s. 245.

⁶ M. Janin-Departowa, *Fotografia inicjacja bohatera. Miłode kino kin siedzielniczych wobec zaleceni programowych Między Kultury [w:] *Człowiek z ekranu. Z antropologii postaw filmowej*, red. M. Janin-Departowa, M. Przyłucki, Kraków 1996, s. 106.*

gracja kultury burzy lub przynajmniej narzuca uprzedmiotowy system społecznych odniesień. Dyskredytacja modeli, zachowanie nien, zaturcie wzorów pozabawia członków grupy busoli i pianu dążeń i działań, prowadzi do zachwiania poczucia bezpieczeństwa, rozi napięcie nerwowe i wewnątrzgrupowe konflikty.¹⁷ Tak pisała o kryzysie kulturowym socjolog Antonina Kłokowska. Natomiast postawę Krzysztofa z *Aktorów prowincjonalnych* można scharakteryzować słowami psychiatrii Antoniego Kepkińskiego, opisującego relacje uniwersalna między jednostką a otoczeniem: *Człowiek musi wyprzedzić narzucając otoczeniu własną strukturę czynnościową, gdyż to wynika potrzebnie z faktu, że ewolucja wyposażyła go nieproporcjonalnie wielkimi w porównaniu ze światem zwierzęcym możliwościami w tworzeniu tych struktur. Musi więc je realizować, gdyż inaczej jego życie byłoby smut lub najaktem schizofrenicznym.¹⁸ Znamienne jest, że Krzysztof, zmęczony już szamotaniami się, walką z cieniem, zwraca się z napięciem, że ma wrażenie, iż wszystko mu się dni. Wzrasta w nim także zmęczenie nerwowe, lekowódzintegracyjne, co przejawia się w jego niepokojonym śnie lub bezsenności. Oporó środowiska powoduje ów lek, sprawia, że bohater ma wrażenie „jakby poruszał się w smole”¹⁹. W *okresach dezintegracji społecznej i kulturowej* – wywodzi profesor Kepkiński – *zwyde wzrastają opory środowiska, w takim stopniu jest coraz trudniej realizować siebie.²⁰**

Liczne filmy „kina moralnego niepokoju” prezentowały sugestywnie kulturo-społeczną degenerację. Film Holland jest jednak szczególny. Udało jej się stworzyć utwór o PRL i o człowieka spełniamym przez sieć minaj, lub bardziej absurdalnych ograniczeń charakterystycznych dla tej krainy, ale zrealizowała także dzieło filozoficzne, w którym potrzeba sensu i poczucia odpowiedzialności ścierają się z bezosobowym, wyobcowanym absurdem – tak mniej więcej ujął, i bardzo trafnie, wymowę tego filmu Tadeusz Szyma, recenzent „Tygodnika Powszechnego”.²¹ Spośród filmów tego nurtu może tylko *Barwy ochronne* Krzysztofa Zamuskiego mogą się równać z *Aktorami prowincjonalnymi* pod względem „szerokości” znaczeniowej, uniwersalności znaczeń.

Holland postąpiła analogicznie do jej mistrza z czasów młodości Milana Kundery, który opisując loty bohaterów zrywających w komunistycznym Cechosłowacji, wyrażał jednocześnie swąja pemytymiczną koncepcję losów człowieka, jego kondycji – stworzonego do zwycięstwa, sukcesów, a jednak ich nie osiągającego, ukłaniana w twiat pełni antynomii – nierozwiązywalnych.²² *Powiedz* – pisał Kundera – *nie jest wynalazkiem autora, lecz odkryciem, czym jest życie ludzkie w pułapce, jaką stół się świat.²³* Ten ostatni w powieściach czeskiego pisarza jest rzeczywistość zawsze matnia dla bohatera. Podobnie w Holland. Stąd tak częste w jej filmach tragiczne, bo miłe i wiódące w niezachęcenie, rozpoznawane struktur rzeczywistości przez jej bohaterów, błądzenie. Jest to rzeczywistość, w której – jak w *Wielkiej lekkości bytu* (humaczonej zresztą przez Holland) – „szczęśliwy może być tylko pies”²⁴. Tylko w *Tojmińczym ogrodzie* bohaterowie znaj-

dają pełnię szczęścia, ale to przecież baśń filmowa. W pozostałych dziełach, a zwłaszcza w *Aktorach prowincjonalnych* ton artystki jest przeważnie gorzki. Postrzega ona istotę ludzka jako *był skazany na cierpienie i niemożliwość zaspokojenia niemożliwych pragnień*²⁵.

Świat, w którym funkcjonuje Krzysztof, jest pełen antynomii, nie pozwalających żyć w pełni i niepokonywalnych: wola jednostki i „bezwola”, inercja grupy; szczęście tych, którym się udało, i po prostu niezachęcenie innych; duch (idea dramatu Wyspiańskiego, nastawienie Krzysztofa) i materia (mankiewatwo środowisko teatru zainteresowane głównie bytem materialnym); wzniosłość i trywialność, poposilność; ciężar odpowiedzialności (postawa Krzysztofa i Anki) oraz „niemożna lekkość” egzystencji pozostałych bohaterów (stosunek do pracy, obowiązków, do życia).

Analogicznie do utworów Milana Kundery świat *Aktorów prowincjonalnych* pozbawiony jest opozycji Dobra i Zła. Nie sposób ją wyodrębnić, gdyż życie w sieci innych sprzeczności, które czynią ukazaną przez Holland rzeczywistość moralnie nieprzejrzystą. Krzysztof jest wprawdzie heroiczny w planie społecznym, ale prywatnie egocentryczny (nerwica i frustracja żyją w dużym stopniu efekt pożyicia z nim); koledy i koleżanki z teatru grzeszą wprawdzie poposilnością, gnusnością, bezwzględnością, ale przecież budzą sympatię, bo potrafią być miłe, serdeczne, wzbudzając także współczucie czy bezstronność wobec losu, sympatyczna suflerka jest jednocześnie, co można wywnioskować z jej opowiadania i migawkowego portretu jej męża, człowieka zalkahnego, pośledniego, despotycznego megiara w małżeństwie; w końcu sam reżyser – rzeczywistość może odpychać, ale i on ma swoje „ludzkie wejścia” – przynajmniej w rozmowie z Krzysztofem, jest jej konformista, usprawiedliwiający się tym, że po prostu inaczej nie można, że każdy – według niego – na swój sposób prostując się i że w końcu praca i jej efekty (następne spektakle, czy też zewnętrzne przejawy aktywności) liczą się najbardziej. Ale zwrócić jeszcze raz uwagę na Krzysztofa – oprócz neurotycznej dezintegracji żony „ma na swoim sumieniu grzechy” – inne. Tak naprawdę nie stać go na prawidłyby bunt. Ma osobowość raczej kategoryczną, potrafi jedynie mrozić się efektownie, niejako na pokaz, trochę habitystycznie, co przejawia się w sposób widoczny w tym, iż nieustannie wypowiada się przy pomocy fragmentów Konrada z *Wyzwolenia*, która to postać odgrywa. Krzysztof nie wybiera Heideggerowskiej „włolności mierzyć” mimo głębokiego uczucia absurdu egzystencji – siarżelba, którą w pierwszej scenie filmu zawieszca na haku w łazience, mimo że przyłożona do głowy, nie straszy i nie dalego, że jest nieprawną lub nieambitną. Trezza także dodać, że Holland bierze swojego bohatera w ironiczny cudzołowy, sam fakt, że mówi cytatami, kompromituje go (wtreb pozorom co też zje widuje Heideggerowskiej formaly „że się się”), ale oprócz owych cytatów ośmieszca go także ukryty ironiczny komentarz, który bezpośrednio skierowany jest do natrętnego, idealistycznego Adasia, maszynisty zwolnionego z pracy w teatrze, ale w rzeczywistości odnosi się też do Krzysztofa. Zniecierpliwiony brygadista mówi do Adasia: „Najgorzej są ci, co dobrze chcą. Tu nie trezza chęci, tylko trezza słuchać, trezza robić”.

Film Holland oddaje zwłaszcza rzeczywistości, jej nieprzejrzystość, to, co rozszerzają aprowbawo w 1979 roku w jednym z wywiadów, nieco znużona wówczas publicystyka psychologiczna wielu produkcji w ramach „kina moralnego niepokoju”: *Trebla by seraz robić filmy, które składowywały (...) rzeczywistość w jej totalnym skomplikowaniu – indywidualnym, historycznym, psychologicznym i społecznym.²⁶*

¹⁷ A. Kłokowska, *Kultura mowota*, Warszawa 1983, s. 56.

¹⁸ A. Kepkiński, *Lęk*, Warszawa 1977, s. 257.

¹⁹ Tamże.

²⁰ Tamże, s. 258.

²¹ T. Szyma, *Aktorzy prowincjonalni*, „Tygodnik Powszechny” 1979, nr 37.

²² E. Graczyk, *Człowiek Kundera* [w:] *Kundera. Materiały z sympozjum zorganizowanego w Katowicach w dniach 25-26 kwietnia 1996 roku*, red. J. Ilg, Londyn 1988, s. 73.

²³ Cyt. za E. M. Cabałnicę, *Filozofia Kundery i jego stosunek do historii* [w:] *Kundera. Materiały z sympozjum zorganizowanego w Katowicach w dniach 25-26 kwietnia 1996 roku*, red. J. Ilg, Londyn 1988, s. 69.

²⁴ J. Gronek, *Sczęśliwy pies* [w:] *Kundera. Materiały z sympozjum zorganizowanego w Katowicach w dniach 25-26 kwietnia 1996 r.*, red. J. Ilg, Londyn 1988, s. 82.

²⁵ E. Graczyk, *dz. cyt.*, s. 79.

²⁶ Cyt. za M. Janisz-Dopietowa, *dz. cyt.*, s. 101.

Nieprzypadkowo w dialogach filmu pojawia się nazwisko Martina Heideggera (Krzysztof ironizuje w rozmowie z przyjacieleni przez telefon na temat lektur swojej żony). Bohater Holland, tak jak i jego koledzy z teatru, jest zagrożony przez Heideggerowską „bezwładny by w sobie”, brak autentyzmu egzystencji, przez wspomnianą już wcześniej „zwoje się”. Jego bunt jest pozorny. Nie stać go na jest jego sądnia, samotnego starszaka, który – stwierdzając z całą pewnością i przekonaniem swą „nieprzydatność”, a więc także absurdalność swego życia, będąca wynikiem społecznego odrzucenia – popelniał samobójstwo. Z tym że – oczywiście – sytuacja sasiada z Krzysztofem była klarowniejsza: starość, niedołężność, całkowita samotność. Nasz bohater nie jest stary, był może małżeństwem, podopieczne przez jego egocentryzm i historyczność, da się odbudować (Krzysztof przychodzi w końcu do żony „wyplakać się”), być może coś się jednak w jego życiu zmieni. Fragment wypowiedzi Konrada z *Wyzwolenia*, który Krzysztof reżytuje na koniec filmu pobrzmiwa nadzieją, Krzysztof chce wierzyć, że nadejdzie „czas kobity dobrych zyl i zych”.

Kino Holland jest gorzkie, jak go celnie określiła Mariola Jankun-Dopartowa²⁴, ale nie jest kinem rozpaczki. Większość jej utworów wieńczy akcent nadziei. Zakochanie *Aktorów prowincjonalnych* sugestywnym wierszem Wyspiańskiego można rozpatrywać wreszcie jako motyw profetyczny – zapowiedź roku 1980 i lat następnych z 1989 włącznie. Mówiąc nieco patetycznie – zapowiedź „czasu kobity dobrych zyl i zych”.

Dlaczego *Wyzwolenie*? Po wielu latach od premiery *Aktorów...* reżyserka wyznala Markowi Hendrykowiemi: Z „*Wyzwoleniem*” zetknęłam się wcześniej, kiedy z *Laco* [Adamiakiem – przyp. M.H.] dostaliśmy propozycję przeniesienia krakowskiej inscenizacji Konrada Swinarskiego na ekran telewizyjny. (...) „*Wyzwolenie*” było sztuką, którą przeanalizowaliśmy w najdrobniejszych szczegółach.²⁵ Trudno się dziwić – można by dodać – bo przecież Holland należał do „pokolenia '68”, dla których bohater Mickiewiczowski – Konrad, powołany na nowo do życia przez Wyspiańskiego w *Wyzwoleniu* był symbolem idei i dążeń.

Dramat młodopolskiego wieszcza z dyskurs artysty na temat możliwości wyzwolenia narodu polskiego z rąk niemieckiego i bezwładni, którego symbolem w *Weseliu* był taniec chochoła, oraz na temat możliwości wyzwolenia Polski z jarzma zaborów. Przyczyny wykorzystania przez Holland motywu inscenizacji *Wyzwolenia* wydają się oczywiste. Prowincjonalny zatyłczy światki teatralny stanowi odpowiednik „masek” Wyspiańskiego – ludzi zaklamanych, których tłumia własna myśl. Bronią do siebie dostępu prawdy, skryli się pod maską pozorów obiegowych²⁶. Krzysztof, stając na scenie odgrywa Konrada, jako bohater filmowy także jest „Konradem”. Walczy mniej więcej o to samo co bohater Wyspiańskiego, czyli zwłaszcza o przebudzenie rodaków z marazmu, o obudzenie w nich woli zmiany, woli czynu. Krzysztof reżytuje sam sobie znaczące fragmenty sztuki: *Kochanka moja zwie się Wola*, *Mamyśmy coś zrobić, co byś od nas zależeło*. (...)²⁷

Charakterystyczne jest, że bohater Holland przemawia często tekstem Konrada, jakby nie potrafił oderwać się od swojej roli. W pewnym momencie, po pierwszej sceny z przyjacieleni, wygłasza nawet do kolegów i direktora teatru, ku obrzydzeniu wszystkich, chyba najbardziej agresywny monolog Konradowski do Masek: *Warcholy to wyl – Wg, co licicie obywateli wrogów podłozie, czolpizgę się w obcych rzędów i calnie najjeździćcom kapu, uznając*

*w nich prawdziwych wam królów. Wy hokota, którzy nie czulicie dany nigdy, chyba wobec biedy i nędzy, której nieszczęście potracaliscie sycim brzochem bezczelności i pięćci sługi. Wy lokaję i figury cudzego pyszałstwa, którzy bezczelnośći dloni chętny po pienieżce (...)*²⁸

Wskazano, o obudzenie w środowisku woli czynu, Krzysztof bije się także, a może przede wszystkim, o swoją wolność, nie chce być spętany przez zbiorowość, zawsze skłonna do inercji i bezwładza. Dlatego wygłasza w samotności nad rzeką na otwartej przestrzeni boiska swego sosenicęgo bohatera: *Ja tu ogłaszam się woli i nie ducha mego skropować nie zleża*²⁹. Ponośi jednak porażkę, jak jego bohater-holland. W sztuce Wyspiańskiego „aktorzy wyszli z ról”, nie się nie zmieniło i nie się nie zmieni. Miotałnie się Krzysztof także nie spowoduje istotnej metamorfozy, jeśli już, to na gorsze – w jego życiu prywatnym, które przecież się wali.

Wyzwolenie jest także pamfletem politycznym na okryte już sławą stronictwo zachowawczo-konserwatywne „Stalczyków” z okresu cesarstwa Franciszka. Przede z dramata Wyspiańskiego, w którym zwały dopinają się rysy Stanisława Tarnowskiego, wygłasza także oto kompromitację: *A teraz, pogodni zasięgnę do waszego stęzi i pominięciu jedno: nie wymawiac nigdy słowa: Polska*³⁰. A oto słowa Krzysztofa skierowane się dyrektorowi teatru na poczynania reżysera: *Przecież tego nie można skreślać (...)* Dyrektoro, ojczyzna, los, człowiek, wolność... nie ma! nie ma! *masz 15, 11, 8 – nie ma!* Warcholy to wyl... – nie ma! 250 Film Holland to także w dużym stopniu pamflet atakujący elity kierujące PRL-em.

W innym dziełem teatralnym, z którym obrazil Holland ma myślowo, nastroszono i formalnie pewien istotny związek jest dramaturgia Antoniego Czechowa. Wszak pierwszy scena filmu z Krzysztofem wzywającym strzelbę na haku w walenie stanowa czytelna, ironiczna abstrakcja do ręki nęglu reżydera dramaturgicznego, której sformalizowanie przysięga się temu pisarzyni: „Jeśli w wirywarzym akcie pojawi się na scenie strzelba, to w ostatnim powinna wystrzelić”. Z kolei w wywiadzie z Hollandem przeprowadzonym przez Hendrykowskiego pada informacja, że w pierwszej scenie filmu *Aktorzy prowincjonalni* byli filmem o wiele dłuższym. Krzysztof jeździł po domach kultury i donosł starszaki z monodramem *Wspaność: grał „Iwanowa” przy herbarcie i pączku, a potem popelniał samobójstwo*³¹. Wątek ten został wycięty, gdyż narby wydział film i kiliodwadźmiematycznie z *Wyzwoleniem*. Ale analogia między fabułą Czechowa a historią Krzysztofa wydaje się wyraziasta. W *Iwanowa* autor skoncentrował się na zasadniczym wątku – samotności i konflikcie bohatera z otaczającą go rzeczywistością,³² jak napisał René Sitwowski: *Iwanom, szlachcie z wykształceniem, podobno do wielu*, *jak pisał Czechow w jednym z listów do Siemowa, człowiek inteligentny, uczelwy i szczerzy*, *dobry i ujmujący, przy tych wszystkich czynach sprzeciwu nieszczęście na najbliższe otoczenie, na ludzi go kochających, czynięto do bezwładnie, bez rozmyślań*³³.

Podobnie, można by zauważyć, jak Krzysztof z filmu Holland, który „chce dobrze”, ale w sumie „wychodzi mu źle”. Również i taki passus z tekstu Sitwowskiego na temat *Iwanowa* można zastosować do dzieła Holland: *Ne uwierwidawiliczyj, bynajmniej swego bohatera. Czechow pokazał w tej*

²⁴ *Gorczy kino* – tak brzmiał tytuł przygotowywanej do druku książki Marioli Jankun-Dopartowej o Agnieszce Holland.

²⁵ *Sztuka i jej historia. Rozmowa z Agnieszka Holland*, dz. cyt., s. 246.

²⁶ A. Lepecki: *Wstęp* [w:] S. Wyspiański: *Wyzwolenie*, Ossolineum 1970, s. XVII.

²⁷ S. Wyspiański: *Wyzwolenie*, ed. cyt., Akt I, w. 203; Akt II, w. 461.

²⁸ Tamże, Akt II, w. 43-50. Ciekawostka: Ten sam fragment wyrecytowała Agnieszka Holland, w twarz Janusza Wilhelmskiego, w roku 1978, sprzeciwując się cenzuralnym opiniom. Patrz: *Sztuka i jej historia*, dz. cyt., s. 250.

²⁹ Tamże, Akt II, w. 809-810.

³⁰ Tamże, Akt II, w. 508-509.

³¹ Tamże, s. 204-205. Wywiad z Krzysztofem.

³² *Sztuka i jej historia. Rozmowa z Agnieszka Holland*, dz. cyt., s. 247.

³³ René Sitwowski: *Wstęp* [w:] A. Czechow: *Wybor dramaturgii*, Ossolineum 1979, s. XXVII.

³⁴ Tamże, s. XXVII-XXVIII.

szkice, iż w życiu nie ma najczęściej bezpośrednich winowajców. Odpowiedzialność za jednostkę ponosi nie tylko sama jednostka, zdaje się mówić dramaturg, lecz i otaczająca ją rzeczywistość. Nie ma więc „ładnego lotra, ładnego anioła”, nie ma barw czarnych ani białych. Jest człowiek ze swym skomplikowanym wnętrzem psychicznym, nie potrafiący znaleźć sobie odpowiedniego miejsca w życiu, z reguły nieszczypliwy, gdyż na drodze do jego zrzecenia stoją zawsze jakby przaskówki, wobec których jest bezradny, nie zważa się z dobrem, ale to bierze najczęściej górę.¹⁸

Barzdó Czechowski wiec w filmie Holland o aktorach prowincjonalnych, zresztą nie tylko w tym, owo organiczne połączenie planu społecznego z psychologicznym, które daje w efekcie skomplikowane, nieprzekliniony obraz rzeczywistości. Realistyczny, jak najbardziej w duchu barzdowski-krauscaerowski. Rzeczywistość śledzi się po to, by odkryć jej tajemniczość, nieprzeklinoność.¹⁹

po mistrzowsku są zrealizowane u Holland sceny „sotolowe”, jakby inspirowane również Czechowskimi wzorami. Nastrojowo falują. Atmosfera sielanki, liryzmu przepłata się w nich z groteską i autentycznym dramatyзмом. Caby film zresztą ma taką strukturę. Jest w nim dramata niepełniennie. Anki i Krzysztofa, sameobjęca śmierć ich sąsiada-stanowca, są liryczne chwile między parą głównych bohaterów, dramatyczne napięcia i konfliktowe sytuacje w ich domu, a także w teatrze, ale nie brak też leżących scen, gestów, słów po prostu zabawnych, mocno satyrycznych, jakich chodzą Holland także o satyrę na środowisko teatralne. Sądzę, że to również wpływ fascynacji reżyserki Czechowem, którego w którymś z wywiadów wymieniła jako jednego z najbardziej ocenianych przez nią pisarzy.²⁰ Czechowem, który zyskał się bardzo, gdyż próbowano jego sztuki interpretować nazbyt łzawo, melodramatycznie, podkreślając ich komizno-satyryczne akcenty; Czechowem, u którego element komizny i tragiczny; komizny i liryczny nie wykluczają się wzajemnie w obrębie jednego utworu, lecz stępują się w sposób naturalny jako *nieodrodne przejawy życia*.²¹ Analogicznie jest w *Aktorach prowincjonalnych*. A wydanie się to istotnie również dlatego, że to w jednym filmie Holland tak silnie czechowski – w zadnym innym utworze nie ma tak intensywnego i harmonijnego jednocześnie wymieszania owych pozornie sprzecznych pierwiastków – liryzmu, komizmu, dramatyзму. Również tragizmu, tak samo pojmanego przez artystkę jak przez rosyjskiego dramaturga, u którego nie przybrała on formy tragedii: u *Czechowa tragizm łączy się, zlewa się z nim, co jest przypadkowe, niedoręczne, a więc śmieszne*.²² Przypadkowości i śmieszności w świecie Krzysztofa jest bez liku. Wszystkie niemal osoby z jego środowiska są napiętowne w śmieszności, ale jednocześnie budzą litość, choćby przez to, że nie mogą być inne. Sam Krzysztof też nie jest pozbawiony śmieszności. O jego kabbalistyce już była mowa, a także o niezamierzonym podobieństwie do głupawego Adama. Dodatkowo kmpromitacja go fakt, że żona opuszcza go, podczas gdy zaleca się do niego kolega homoseksualista z pracy.

Agneszka Holland ma wielokudzy, czespirowski stosunek do swych bohaterów. Obnaża ich słabości, ale z całą mocą podkreśla ich ludzkość, samotność, obcość we wrogim świecie, nieprzejrzystość jego świata i bohaterów dla nich samych. To co pisał Siłowski o stosunku Czechowa do

jego postaci można odnieść do relacji między Holland a jej bohaterami. *W istocie, w stosunku autora do swych postaci jest wiele współczucia, zaprawione wesołako (...) spory dożąd ironii*.²³ Choć bywa, że perspektywa patrzenia na postać jest jednoznaczna, pozbawiona litościowego żartu. Anka jest postacią tragiczną, najpoważniejszą osobą pośród menażera *Aktorów prowincjonalnych*, kims kto złożył ofiarę (możemy) ze swego życia – z tego się nie żartuje. Z kolei recenzent palający oskarżając bezczelnie darmowa przystawkę na przyjęciu pomierowym, walcujący po chamsku o wodę, bez zenady oskarżający aktora o kradzież papierosów to chyba najczarniejsza postać w całej twórczości Holland. *za pół litra napisze każdą recenzję* – napisał o nim redaktor „Kina”²⁴ Po prostu kanalia. Zdarza się więc jakas, nawet ostro, opozycja między Dobrem a Złem w utworach Holland (można tu przypomnieć film *Zabici kłopotem*). Wpływy mistrza z Pragi, Milana Kundery, nie okazały się gruntołowe, totalne.

Slawomir Bobowski

¹⁸ Tamże, s. XLVII.

¹⁹ B. Mrnak: *Smutna bajka o prowincjonalnym teatrze*, „Kino” 1979, nr 8.

Książki nadesłane

Poezja

Jan Leontczak: *Zapomniałem was drzewo moje. Wybór wierszy z lat 1970-2000*. Wybór i wstęp Tereza Zaniewska. Wyd. Mistrz Press, Warszawa 2000, ss. 270, 5 nfb

Zbigniew Dąbrowski: *Nadsiarż. Wydawnictwo „Zielona Sowa”, Kraków 2000, ss. 39. Świadanie białki wianki. Antologia poezji. Wyd. Kasyzniska Otrędek Kultury, Kasyznyn 2000, ss. 69*

Robert Kuperzyński: *Odwroć*. Wyd. Kasyzniska Otrędek Kultury, Kasyznyn 1999, ss. 54

Jan Leontczak: *Jeszcze jedno imię*. Wyd. Prymat Białystok 1999, ss. 45.

Jack Podsiadły: *Cłoboko. Wiersze, opowiadania*. Wyd. Redakcja „Kartek”, Białystok 1999, ss. 46.

Dariusz Kucielowski: *Szkiełce*. Wyd. Redakcja „Kartek”, Białystok 1999, ss. 48

Bię się młotem. Album Ogólnopolskiego Konkursu Poezyjkiego i Filozoficznego. Wyd. Polihymnia, Lublin, 2000, ss. 68

Mikołaj Szarycki: *Ty albo zapłonieś iność obłąd*. Wyd. Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocław 1999, ss. 40. Seria: Dykta. Biblioteka Poetycka, t. 2

Stanisław Rogali: *Wolność to Marib*. Rysunki i opracowanie graficzne książki Agnieszka Smaga. Wyd. Agencja Wydawnicza GENIS, Kielce 2000, ss. 45

Stanisław Żurek: *Bieżeszły Przewodnił poetycki*. Wdł 3 mierzono. Wyd. Lubelskie Biurowo Literackie, Lublin 2000, ss. 82

Stanisław Legowicz: *Wdł wolności czasu*. Wybór wierszy i wstęp Wiesław Grodzki. Wyd. Muzem J. I. Krzywocznego, Rzeszów 1999, ss. 83

Monika Czerniewska: *Arkański pismo*. Wyd. UJ. H.E.I. O. Gdańsk 2000, ss. 67+5 nfb. W postawie fragmenty listów Wydziałowa Historia do autorki

Franciszek Tanderus: *Kruszki. Na ścieżkach podziemia*. Wybór Stanisław J. Król, wstęp Ryszard Kormacki. Wyd. Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łonkiej, Białe Podkaszowiec 2000, ss. 120.

²⁰ Tamże, s. XXVIII.

²¹ Taką jest koncepcja realizmu totalnego w kinie autorkowa Andrej Bazin i Siegfrieda Kraussera. Zob. A. Bazin: *Film i rzeczywistość*, przeł. B. Michalek, Warszawa 1963, s. Kraussera: *Teoria filmu. Wywołanie miserialnej rzeczywistości*, przeł. W. Werten-stein, Warszawa 1975.

²² Zob. S. Zawilinski, *dz. cyt.*, s. 21.

²³ B. Siłowski, *dz. cyt.*, s. XXXIX-LX.

²⁴ M. Gronow, *cyt. za* R. Siłowski, *dz. cyt.*, s. XL.

podróże

WOJCIECH ZALEWSKI

Dayakowie i Batakowie, rozważania pątnika

Dayak
Kalimantan (Borneo)

Rzeka -

wzrost nie mieszka człowiek (należący do wielu szczepów określanych wspólną nazwą Dayak) zawiązujejący jej życie. Ona dyktuje styl życia, karmi i poi, czyści i wyznacza wierzchnią i mity. Bez niej i poza nią jest śmierć. Jest ona życiem a nie grobem, tędy nie płyna prochy przodków.

Dziungla -

jej odłogcy, jej śpiew są biciem serca Dayaków. Karmiący owoc roślinie hojnie i drako. Landung, poletko wydarte dziungli, zapewnia ryż. Praca jednocy w jednej osobie konsumenta i producenta. Za rzeką i wioską lub morderezy świat. Zagubionego w niej samotnika czekała śmierć. Dziś rabuje ją człowiek, odkrywając bezwstydną nagotę jalojowej, bezpłodnej ziemi, suchych kikutów drzew, które nieprzydatne jako budulec, pozostawione samotnie nuchają. Złotażca, choć w dziungli ciągle jeszcze śpiewa życie. Wśród tej wspaniałej symfonii, z dala dolatuje wyciep pilnacych drzewo jak metalowy grzebień ciągnący po sokie, jak nadszarpnięte tępki nieprzyjaciela, przed którymi nie ma schronienia. Z wolna ustaje śpiew, puls życia. Kto wzdął zdewastowany las, był na cmentarzu Życia. Ten widok można przeżyć tam, tym boleśniej, że jest on spowodowany ręką najeźdźcy, silnego ekonomicznie obcego eksportera. Dumni zwiercznik zagubionej w dziungli wioski mówią, że wieś się nie wyłudnia. Za wsia przebita droga, piaszczysta, wieje się przez porożelisko dziungli, łącząc nieznanie sobie szczepy, języki, zwyczaj. Postępuje elektryfikacja lub akumulatory otwierają telewizyjne drzwi na świat. Antena satelitarna i dziungla. Dzieci z zapadłych wst kończą uniwersytety.

Betang,

tak zwany długi dom, dom wspólny, a życie toczy się w miejscach publicznych. Choć tu tylko małżeńska intymność ma swoje prawa, codzienność nie ma tajemnic. Dziecko jest darem społecznym, wszędziebyśskim, zaciekwionym zaciekwionym przybyszem i jego niezdarnym cywilizacyjnym podarunkiem. Równi, nieustający upał wyznacza minimum ubioru. Człowiek żłany ze społeczności, daleki jest od pruderyjności, choć dbały o czystość krwi.

Inicjacja do życia społecznego jest momentem przygotowawczym do praktykowania życia, czyli najważniejszego momentu w życiu społecznym. Dopiero w tym momencie podkreśla się różnice seksualne, mimo iż dzieci rosnące wspólnie, nad rzeką, znają swą cięską odmiennost. Małżeństwo nie jest powiązane z ceremonią religijną, nie wiąże się z nią i poród.

Religia

Dayaków nazywa się Kaharingan, czyli Życie. Uniwersalnym bogiem jest Ranying Mahatala Langit lub popularnie Hatala, bóg męski, mieszkający na wysokości, symbolizowany jako ptak, dzioborożec (Tingang). Jego przepłatanie biało-czarno-białe pióra symbolizują sprawiedliwość-grzeszność-czystość. Czerwony dziób niesie krew zmarłego w zaświaty. Luce nie kosmologia jest tu najważniejsza a Życie. Mężczyzna przekazuje kobiecie przymioty poznawcze, zdolność myślenia, kobieta nadaje im elementy somatyczne, a Hatala ten zlepek ożywia dając ducha Życia. Lustrzany jakoby odbiciem Hatali, a tworzącym z nim jedność jest bóg żeński Jata (Bawin Jata Balawang Bulan, czyli żeńska Jata ze złotych drzwiami, eufemizmem pochwy, gdyż *bulaw* znaczy pochwa oraz złoto). Jata nie żyje na jakiejś nieokreślonej wysokości, lecz tu, w rzecce, w karmielce. Jej symbolem jest wąż wodny (Tambon). Dziś z rzeki Kaharian wydobywają złoto, piśkicne maszyny przesiewają piach dna, zagłuszając głosy dziungli, stare wierzenia, może zabijając dusze młodych chłopaków i małżenstw, które spędzają dnia w całonocnym huku, a noc w skłoczonych wież pomiędzy konsumentem a producentem. Sheleham opowieści starego religijnego przywódcy o religii Kaharingan przy huku tych maszyn i czulem szrygt między starym - pięknym a nowym - bezlistnym. O Jata mówi się z usmiechem żalenizowania, nie wiem, czy dlatego, iż wymaga tego skromność, czy też jest to wyrazem męskiej dominacji ubierającej element żeński w symbol weża przynoszącego nieszczęście. A może Jata jest tylko źródłem złośliwości. Myślę, że właśnie Jata zawiera w sobie tajemnice Życia. Tu jest wieczność, realna, dotykalna, nie mistyczna, trwałość Życia w uniwersalizmie, nie w jedności. To, co obca, ma relacje do Życia i wymaga szacunku, bo jest współwzrostem ze światłem. Hatala i Jata przedstawiane są również jako jedynostwo w drzewie Życia, symbolu zwanym całym las na grobach, jak i na domach, muzeach i pomnikach.

Konieczność przeżycia we wspólnocie i potrzeba nowego życia dla tej wspólnoty determinują religie jako zjawisko społeczne. Być może wyznawcy Kaharingan nie modlą się prywatnie. Badacze nie są zgodni w tym, czy Dayakowie mają świątynie. Mają jednak miejsca „szacunku”. Realizm przodków widoczny jest przez grobowce, *sundung*, stojące przy domach, na rodzinnej parceli, związane z człowiekiem, którego życie jest pasmem pokoleń, odzwierciedleniem idealnej społeczności zamieszkiwanej w zaświatach przez przodków. Jednostka wymiarów doczesnego i wiecznego. Droga ku społeczności nie jest prostą, jak nie jest prostą życie. To śmierć, bezczelnie, zakopuje się ciało, a duch wędruje po wertepach, póki nie zostanie przywołany ceremonią pogrzebową Tivo (Tiwah). Ta odbywa się przy uczestwie licznie zebranej rodziny i sąsiadów w rok lub dłużej po śmierci człowieka. Długo trzeba oszczędzać, by móc wyprawic wystawny pogrzeb. Kości zmarłego wykopuje się i po kilkudziesięciu ceremoniach składa się w sandugno. Ubożsi urządzają pogrzeby wspólnie. Dawniej trzeba również było upolować człowieka lub zabić niewolnika, którego wyprawiona czaszka słałała błędne dżę, a basir przeprowadzał go do społeczności przodków. Obecnie czaszke zastępuje skorupa orzecha kokosowego. Zabijano też zwierzęta ofiarne, które przywoływano do pola zwanego *sapundiu*. Ponie-

wał przy jednym pulu zabijano jednego wlo, ilosc pali do zici stojacych przy grobach swiadczy o zasobnosci rodziny i okazalosci Tivy. Sapundu u gory zlobiony jest rzeza, czasem w formie męskiego członka. Twał i uroczystości dziedziczne za zniwa (te ostatnie podobno łączy się z tancami, religijna obrzędowa powodowana narkotykami i orgiami) są, jak rozumiem, jedynymi obrzędowymi wyrazami religijności Dayaków. Obie ceremonie są okazjami do radości z osiągniętego celu, z życia i obu przewodniczy *basir* mający związek ze światem niepozwanym, pomost pomiędzy światem doczesnym a światem duchu. Nawiasem dodam, iż bawo Dayaków nie pełni roli udrzawiciela jak szaman w innych częściach świata i nie chce być nazywanym szamanem. Czaszki „upolowanych głów” swiasty również odpędzaniu złych duchów. W tym celu wkładane były w fundamenty nowo wybudowanego domu. Darowane naręczono w dowód miłości, męskiej odwagi i siły, służyły jej jako talizman zawieszany pod sufitem. Tak więc polowanie na głowy miało wymowę religijna. Wypadki polowań na głowy podobno zdarzaly się jeszcze stosunkowo niedawno, choć są ścigane prawem prawie do stu lat.

Dzisiaj

wpływ globalizacji cywilizacyjnej powoduje rozluźnienie więzów społecznych, czyli zmniejsza kulturowa spójność kłanu. Zwiększa się natomiast zależność od szerokiej struktury społecznej, co wymaga inicjatyw indywidualnej, czyli zdolności zarobkowych. Ekonomicznie i społecznie są to procesy znie i oczywiste, lecz w Kalimantan są one naozce. Rezultatem jest postępowe wymieszanie społeczne i etniczne. Za nimi idzie zmiana profilu religijnego.

Ludzie wychodzący ze swoich środowisk traca funkcjonalność religijna stanowiąca zespół tradycji wiążących lub wymagających społecznie, natomiast nie traca potrzeby przynależności religijnej i oparcia społeczności, które współnota religijna daje. Następuje religijny wybr w zależności od okoliczności, w których nie dana jednostka znalazła. *Basir* mający szczęście ojca powiedział, iż tylko najstarszy syn pozostał przy wierze i tradycji ojca, by zająć jego miejsce, podczas gdy każde inne dziecko przyjęło różne religie lub wyznania. Jest to już religijnosc zaspokajająca potrzeby jednostki w kontekście społecznym, a nie, jak uprzednio, potrzeby społeczne jako warunek bytu jednostki. Pracujący w Kalimantanie księża katolicy podkreślili, iż proces chrystianizacji i wybór innych religii nie dokonuje się poprzez prozylizmy, lecz przez życie społeczne: szkołę, rodzinę, w tym głównie małżeństwo, otoczenie i powiązania zarobkowo-ekonomiczne. Tym niemierni widziałem charzmatycznych misjonarzy: Polak, ojciec Marian z Wielunia, powiedział, iż masażem uśpiwoli kobietę chorą na raka. Mimo iż nie jest lekarzem, choroby przychodziły do niego prozimo: o pomoc. W oczach misjonarzy dostrzegalem wiary w swoje złałania i miłość, zadowolenie z niej i świadomość potrzeby obecności, zrzęta odzwajenniona. Obserwowane przez mnie postawy ludzi, tak w kościołach, jak i rozmowy po mzy świętej, świadczy o niedokładnej głołosci i powadze religii. Oczywiście grupa katolicka, która miałam moznosc zaobserwować, jest grupą mała, ale rozwijającą się, głównie wśród warstwy urzędniczej naphyjącej do miasta Palangkaraya, położonego w centrum wyspy Kalimantan, być może wynajmującego się centrum administracyjnego Indonezji.

Dominiąca religia w Kalimantan jest muzułmanizm. Wynika to z tradycyjnego osadnictwa muzułmanów, głównie na wybrzeżach wyspy. Przy tolerancji religijnej istnieje również presja państwa, którego muzułmanizm jest oficjalna religia. Wyraża się ona na przykład w dotacjach na mszcy oraz wymaganiu prawa, by małżeństwa mieszane o jednej stronie muzułmańskiej

były muzułmańskie. Kolonizatory holenderscy wystawili Indonezję na protestanckie wpływy misyjne, katolikom pozostawiając tylko wyspę Flores. Stąd też większa część wnętrza kraju jest protestancka. Atrakcja chrześcijaństwa dzisiaj polega na braku formalnych zobowiązań typowych dla islamu, np. wymagań częstej modlitwy i restrykcji dietetycznych, takich jak wstrzymanie czy alkoholu. Przewagę katolicyzmu nad protestantyzmem stanowi tolerancja religijna. Przewagę katolicyzmu wobec pierwotnych zwyczajów i ilości kleru katolickiego przewyżniająca narybek pastorałów protestanckich. Większość kleru jest ciągle jeszcze europejska. Jest to jednak kler starzejący się. Rodzimym kler katolicki, stosunkowo młody i dynamiczny, pochodzi z bogatej w polowania wyspy Flores.

Przemięcie się punktu ciężkości z religii społeczności ku religijnosci indywidualnej, z religii zwyczajowej w religię z wyboru uważać można za laboratoriam, gdzie doświadczalni zmiennicy są się mentalności i struktury społecznych. Być może, dostrzeż to można paralelizm z fenomenem rozwoju wczesnego chrześcijaństwa wychodzącego z tradycyjnej religii społecznej – judaizmu, a wchodzącej w etnicznie i ekonomicznie zróżnicowane społeczeństwo Azji Mniejszej, w którym indywidualizm i decydowanie o profilu własnego życia był waznym czynnikiem codziennego bytowania.

Batak Północna Sumatra

Kraj aktywnych wulkanów, plantacji drzew kakaowych, kawowych, gumowych, bananów i pól ryżowych. Uroczaje jeziora Toba leży w kraterze wulkanu na wysokości 900 metrów ponad poziomem morza i otoczone jest górami. W środku jeziora położona jest duża, górzysta wyspa Samosir. Na wyspach kojąca plemiona niektórych szczepów Bataków utrzymują tradycje swoich dawnych wysołdżniczych siedzib w północnowej Mongolii. Przybyli one tu bowiem przez Burmę, pod naporem Czyniżi-chana Z zrazem (i liczybowym wzrostem młodości) podzieliły się na wiele grup, w większosci schodząc na laskawe rdzności jeziora. Podczas gdy Dayakowie są dziećmi rzeki, profil duchowy i styl życia Bataków podyktowany jest ich zróżnicowaniem z górami, jeziorem i koczownicwem.

Krajobraz Sumatry usiany jest jakby symbolami dwóch światów, nowego – świata kulturowego i tradycyjnego – świata etnicznego w stylu sandong w Kalimantanie. Te ostatnie prestiżowo są również wazne jak domy mieszkalne i czestokroć bardzo okazale. Na wielu dachach widnieją krzyże, gdyż Sumatra (głównie wnętrze wyspy) jest w znacznej mierze chrześcijańska. To pokojowe zlewianie się kultur religijnych jest ujmujące.

Rumah adat,

czyli tradycyjny dom Bataków (używany powszechnie do 1942 roku, gdy większość ich spalił okupujący Sumatrę Japończycy), jest drewniany, ma charakterystyczne dachy siodłowe, wejście z obu stron domu, mała okna. Wnętrze domu jest wiec duże ciemne, chłodnie przed upałem. Większość frontonów jest bogato zdobiona rzezbą w drzewie. Domy stoją na palach. Umożliwia to trzymanie bydląt pod domem, zamiast w oborze. Ten sposób budo był zaowocowany ciemnia, jest nie tylko źródłem pokarmu, lecz również ochroną przed robactwem i owadami, a także zjada domowe nieczystości. Tradycyjny dom nie ma pokoi i przedr. Zależnie od wielkości zamieszkiwany jest przez osiem do dwadziestu rodzin, a przestrzeń rozdzielna wyznacza materac, palnik kuchenny i ustawione w rzędzie stensły domowego

użytki. Dorastająca młodzież wyprowadza się z domu rodzinnego i do okresu małżeństwa chłopcy i dziewczęta mieszkają w osobnych domach.

Kobiety rodzeli siedząc na wystającej z progu domu na zewnątrz belce (może nawet specjalnie na tę okoliczność wbudowanej), wychodzący na małą platformę nie schodzą wiodącymi w dół domu. Nie skrywają swojego bólu i chyba swoją radość (tak rodzi się nasz trzydziestokilkuletni przewodnik, dziś podobno ustąpił się parawan zlanianąją matkę), bo życie przeżywa się we wspólnocie i jest wartością uniwersalną.

Religia

Azczolwiek istnieje najwyższy bóg, Debatu Malajadi na Boloem, Początek Istnienia, krótko Debatu (lub Dewata), Najwyższa Siła, niepersonifikowany narwet w symbolach abstrakt, to zwracać się do niego można tylko poprzez dachy przodków, bega, które przekazują problemy Debatcie. Wynika z tego konieczność troski o groby, gdyż ich zaniobienie jest najcięższym powodem zemsty przodków, nieszczęście, które sprowadzają na człowieka lub rodzinę. Źródło nieszczęścia interpretuje dukun. W ceremonii zwaną *peramukabega* (*peramuh* – dom, *begu* – duch), odbywającej się przy grobie przodka, duch występuje w jednym z uczestników (nie zawsze dukuna), wywinia, dlaczego nieszczęście nastąpiło i podaje środki naprawcze lub zapobiegawcze na przyszłość. Ceremonie pogrzebowe podobne są do Kaharingan: długi odpust czasu pomiędzy śmiercią a pogrzebem i forma grobowca – *gritena*. Świąt duchów, *begu* (nie tylko przodków) jest bardzo złożony, a są to dachy złotych. Dodac można, iż jedną z funkcji dukuna jest leczenie. Mimo jego braku wiedzy lekarskiej die dzi zwracają się do niego ludzie z takimi wypadkami jak na przykład złamanie nogi.

Na wyspie Samosir ludożerczo odbywalo się ceremonialnie (nie wszystkie szczyty Bataków były ludożercze). Związane ono było z wymiarem kary, a więc miało podłoże etyczne. Człowiek osadzany był za przestępstwo kryminalne (np. kradzież lub zabójstwo) albo społeczne. Przekładem estetycznego było złamanie wierności małżeńskiej, które przejaw się mogło nawet w takich gestach jak rozmowa z teściową lub bratową. Oskarżony lub kilka oskarżonych, stawiany był przed sędzią, którego przewodniczyli król i dukun w obecności licznie zebranych okolicznych szczytów. Po wyroku określającym winę i wyznaczającym karę śmierci, nacimano jeszcze żywego skazanego i król oraz dukun pili jego krew, po czym ceremonialnie ucinano mu głowę. Wierzone, że przestępca ma dużą siłę wewnętrzną, która przez spożycie przechodzi na uczestników uczy. Bardzo możliwe również, iż „biedsiadnicy” brali na siebie symbolicznie odpowiedzialność za decyzje „jednośczie się” z ofiarą. Głowe przestępcy wrzucano do jeziora i pozostawo przez siedem dni nie przyjmując w ogóle pokarmu i nie pijąc wody z jeziora. Ostatni ceremonialny kambalihan odbył się podobno w 1823 roku, choć tak wczesna data wydaje się nieprawdopodobna. Siędmiodniowe uroczystości nad jeziorem do dziś mają miejsce w lipcu. Oczywiście prawo zwyczajowe jest bardzo złożone i nie każdy wyrok kończył się śmiercią.

Spoleczeństwo

Nie miejsce tutaj, by omawiać strukturę społeczną Bataków, tylko złożyć zarysowyw fakt, iż społeczeństwo składa się z trzech cast wzmiannie się przemakających: najwyższej Kalimbaba, średniej Senina i najniższej Boru. Przynależność kastowa poddyktowana jest urodzeniem, lecz awans społeczny nie zależy od niej. W tradycji istnieje pamięć, iż błogosławioną rodziną jest taka, która ma 16 cerek i 17 synów, albowiem córki zwiększają szanse rodziny na przetrwanie się przez małżeństwo do kasty wyższej, natomiast synowie zabezpieczają rodzinę starość. Kobiectie, która widać wszędzie

pracując, nie stawia się *griten*. Na co dzień kobieta ponosi odpowiedzialność, podczas gdy mężczyzna ma autorytet, jak powiedział z uśmiechem przewodnik.

Należy zatem pamiętać, iż Kalimantan i Sumatra zamieszkiwane są przez szczyty o zróżnicowanych językach, dialektach, zwyczajach i obrzędach religijnych. Jeżeli w tej różnorodności istnieje jakiś wspólny mianownik, to jest to – w moich oczach – apoteoza Życia, podkreślana przez wizerzenia i obrzędowości.

Globalizacja informacyjna wsiała jednak w dżunglę jak w gąbkę. Docierają tu programy telewizyjne, rodzime, malajzyjskie i australijskie. Ogładac można BBC, amerykańską zawodową korespondentkę, sprawozdania ze stacji ryneków światowych oraz kalejdoskop zachodniego stylu życia. Świat wtrawiający dżunglę wyprowadza człowieka ze środowiska natury, prowadząc go w świat współczesnej konkurencji i rozczłonkowanej walki o życie. Naturowie tekst ewangeliczny: „Jestem Droga, Prawdą, a więc Życiem”. Na Drozde, pozostając. Prawdy tęskniemy za pełnią Życia. Może tam, w Kalimantanie, gdzie padają dziesiąte stulicy pod współczesny budżet, a serca związane z ziemią wyciągają ręce już nie po owca o po grosz, pytanie, czy droga wiedzie do Życia jest pytaniem nacozywym, mimo iż jest to droga jednokierunkowa, bezpowrotna.

Wojciech Zaleski

Autorka spędziła trzy tygodnie podobać się po południowym Borneo i północnej Sumatrze w marcu 2002 roku zainteresowan głównie religii. Przyjaldy Instytutu Etnologii die zainteresowanym podaje poniżej. Zwroćcie uważnym uwagę na fakt, iż tubylczy światokowie religii wymyśla, a prakcje wierzeń coraz rzadziej przechodzi z ojca na syna. Mięszko zaciem wizerzenia i znajomości religii własnego szczytu. W niektórych przypadkach stanę pytań budzący otywano dyskusję między tubylcami, która zdradzałaby różnicę poglądów. Niestety, tłumacze nie był w stanie jej uchwycić.

Przykładowa literatura przedmiotowa (dalsza bibliografia cytuję niżej wzmiankowan autorki):
1. Hans Scharer: *Nagala Religion, the Conception of God Among a South Bornean People*. Translated by Rodney Needham. With a pref. by P. E. De Josselin De Jong. The Hague, M. Nijhoff, 1963.

Hans Scharer spędził wiele lat wśród Dayaków szczytu Nagaju i opisał ich religie. Zebral on również teksty wizerownicze. *Der Totenkult der Nagaju Dayak in Süd-Borneo. Mythos von Totenkult und die Toten zum Totenkult*, s. Orvenstange, Martins Nijhoff, 1966, w. 2.

O religii Bataków *Arvestadnie się można z:*

1. J. Wanecek: *Die Religion der Batak. Ein Parallelaum für die animistischen Religionen der indonesischen Archipele*. Göttingen 1909. Autor jest jednym z pierwszych badaczy religii Bataków i stworzył podstawę dla wielu następnycy.
2. J. C. Végouziou: *The Social Organization and Customary Law of the Toba-Batak of Northern Sumatra*. The Hague, M. Nijhoff, 1964. Holenderski dyplomata, badacz i prawnik, wydał swoją pracę w 1933 roku.
3. B. Stange: *The Toba-Batak High God, Transcendence and Immanence*. St. Augustin, Anthropos Institute, 1981.

Literatura populatnarsko-naukowa:

1. W. R. Geddes: *Five Dayak Nights*. London. Oxford University Press, 1961.
2. A. Sibeth: *Living with Ancestors. The Batak Peoples of the Island of Sumatra*. London, Thames and Hudson, 1991.

ROZMOWY

Really zaświat

Jedynym naszym bohaterem, jak zwykle
jak samo życie, jest teatr.

Stanisław Ignacy Witkiewicz

Mingło właśnie piętnaście lat od narodzin Teatru im Stanisława I. Witkiewicza w Zakopanem. Urodził się, jak zwykle, zostali znaczone przez zespół kolejnymi premierami – tymi szarem były to: *Arsenal* wg według Luigi Pirandello w reżyserii Bartłomieja Wysockiego i *Korba wołowa* w reżyserii Andrzeja Dąbki. Było mnóstwo niespodzianek – wystawy, koncerty: Bachledy i Gasienica, napoje były teatru Marek Wrona, koncertowe wspomnieli namдного kompozytora teatru – Jerzego Chwiścińskiego, Marcin Śmiegielska (spędzając poręczy, zespół Noo Vivo oraz fortepian, który okazał się orzechowym, srodzajnym fortep.)

Twórcą Teatru im. Stanisława I. Witkiewicza jest Andrzej Dąbka, twórca teatru-legitymy, który rozal się z niezago, chociaż nie nieprawa – rodził się z zapalu, z wielkiej determinacji, z prawdziwą żądzą Szaka, z talenta kilkana młodych, którzy po ukłobieniu krakowskiej PWSi skupili się w wolności równe jak ora młodoego wiośnica reżysera. Okazało się, że to wytworzone – bez finansowy, bez sak teatrów) i potrzebego oprzyrządowania, natomiast bez warunków do życia. Był rok 1984 (pierwsza premiera teatru: *Pragnięcie* S. I. Witkiewicza). Ciężkie, czyżby mogłoby to wystarczyć?

GRZEGORZ WALCIAK: Wtem, to była paczka. Przekładam się swam od lat. Prwy takim oddaniem i takim napięciem, przy pomierzaniu życia ze sceną po jakim czasie można dostać *hejka*, bo przecież daje się z siebie wszystko – najwymowniejszą świadomość. Jak to jest? – powomam się z tym pytaniem do Doroty Ficoci, która dla Andrzeja Dąbki okazała się kimsz więcej niż pierwszą aktorką – została lat, jego żoną.

DOROTA FICOCI: Tak, czasem się doprowadzam do czepań, co już jest poza mną, to jakoby dżwinyj sfery domania. Dochodzę do granicy między mą, tą od trodka i tą, która odbiera wszystko z zewnątrz, od partnerów, między którymi powstaje niezycielkie napięcie i od ludzi, którzy nas otaczają.

G.W.: Odczuwać fałg twórczości od publiczności?

D.E.: Najbardziejowe są te sprawy na obręczach, na granicy, gdzie jeszcze tylko krok...
G.W.: Najbardziej jest chyba *narodził Andrzeja*? W nim się to wszystko zbiera, kumuluje, cała historia doznaci, cała sfera przyjęcia odpowiedzialności za wszystkich, w nim się krystalizuje koncepcja sztuki (to nie jest, ale całego życia Andrzeja, jeśli rozumiam, jest powierzeniem i współwzięciem swojego życia duchowego, artystycznego, permanentnego dialogu ze światem, ze światem, który wciął od nowa odczytuje nie tylko myślnych odpowiedzi, ale przede wszystkim czyste postawienie pytań.

D.E.: Myśle, że ciągle jesteśmy ludziami potrzebnymi, że jeszcze ciągle może się spotkać człowiek z człowiekiem w tej nieprawdopodobnej bezpośredności.

G.W.: Tym jest właśnie teatr. A jak było z twórcim wyborem teatru, zaraz po szkole? Dlaczego właśnie ten?

D.E.: Jeszcze na studiach pomyślałam sobie, że trzeba będzie odgrywać takie same role w takich samych teatrach, a wiedziałam, jak wyglądać może być np. u Kantora. Wolałam grać u niego krzesło, niż gdzie indziej... Pod koniec studiów wybrałam się na scenę grać i to było wspaniale. Tu można było dać z siebie wszystko. Tu nie było zwykłego odgrywania roli, tu nie ówilo się w jakimś opakowaniu, technicznym zamknięciu. Teraz są takie techniki same dla siebie, wybojcowujące człowieka, gdzie napięcia między ludźmi prezentują maczcy. Tworzy mnie wzięcia takiego świata, takiej sztuki. Mniej postągi jednocześnie się wokół jakichś sprawy. Na przykład jakiegoś, za nim idą tłumy... Co otwiera, prawdziwym i leży, to ma sens.

G.W.: Na czym polegały wasze „nekolokacje”, które chyba musiałeście „odprawić” już po dziesięciu latach?

D.E.: To rzecz naturalna. Przez lata musiało się wiele nawarwić, jak kurz. Trzeba było spojrzeć na to, co sobiny, od nowa. Po tylu latach jest się trochę innym. Ale nie tak nas nie związali, żadne przyglądanie się sobie, żadne wspólne seny, sprzątanie, jak praca nad nową sztuką. Wtedy była *na* *Prób* ognia (wg Czeczerewicz i Salek A. Miller). Chyba przesyłaliśmy je próbę. I powiem ci, że kiedy przeczuczyliśmy ten gróg, poszliśmy się pelna, poczuliśmy także radośnie nasycone.

G.W.: Zaspokojenie sztuki to też rodzaj zwycięstwa. A Andrzeja?

D.E.: Już po premierze czepań smaka, tak jakby obmyślali następca...

Rozmawiam z Piotrem Dąbrowskim (aktorem i reżyserem).

G.W.: Na czym polega odnowa w waszym teatrze? Czy w sferze estetyki, koncepcji programowych? Czy stanowili w linii reżyser – aktorzy?

Piotr Dąbrowski: Mingło kilkanaście lat i trzeba było spojrzeć już trochę z innej perspektywy na naszą pracę w zespole, trzeba inaczej się zająć. Aktorzy nie mogą już być wszytkimi, chociaż ta tendencja w rzeczywistości w nas pozostała. Ważne jest, by pewna ograniczona energia, jaka tkwi w człowieku, była wydolowana we właściwy sposób. Staramy się też, aby więcej czasu poświęcić przygotowywanej premierze, by był to owoc finały.

G.W.: Wtem, dawnoje premiera nie znałała końca pracy nad sztuką, tylko jakbyś się, po czym następowyly liczne korekty lub nawet głębsze przemiany. Też chcecie być bardziej perfekcyjni, jeszcze bardziej odpowiedzialni za przygotowywaną sztukę?

P.D.: Można tak powiedzieć.

G.W.: Jak to się stało, że obok Andrzeja Dąbki – waszego mistrza – stał się pan drugim reżyserem w Teatrze Witkiewicza. Wymieniamy pan się „Samotny wiewiór”, *Starożytnych Fundów*, *Ratuj się, kto może*, *Reya Coomera*, *Olimek*, *Mikolaj Gogola*, *„Boga” Woody Allena*, *„Tartuffe”* wg Moliere, *„Sztuka”* Yvanry Ręzy.

P.D.: Zaczęło się od Kabaretu Starożytnych Panów. Miałem okazję dzięki bezpośredniemu kontaktowi z Jeremim Przybora dotrzeć do tych wspaniałych utworów. Spodobała mi się tego typu praca. Pozwoliła mi spojrzeć na teatr i pracę aktorów z zupełnie innej perspektywy.

G.W.: Dobrze, że Andrzej Dąbka umożliwił namemu aktorowi podjęcie próby. Dobrze to świadczyło o nim i o zespole, który jest tak widowiskowo teatrczy. A sądzę po przedstawięniach, potwierdził pan swoje bliźniacze reżyserskie. Ciężkie, czy będą się powoli reżyserzy uzupełniać, konkurować, różnić programowo. Wamotni to odczytuje

osłabi zespół? W 1988 roku również Krzysztof Najbor (podobnie jak pan, członek zespołu – jeszcze z pierwszaj ekipy aktorów) podjął się reżyserii „PIF! PAF! PUF! – wiersze wolnych myśli”. Mam nadzieję, że wolne myśli będą wam zawsze kowczym i nie zagroją integralności zespołu. Z okazji jubileusza – pięćdziesiątka w naszej działalności – życzę wam dalszych sukcesów, ale szlachetnych artystycznie wybo-
now: kłódę prowadzący, że legenda naszego wiodącego białego żywa. Niech was „Mokob”, „Calligula”, „Mistrz i Malgorzata” będą czym więcej niż „wariacjami enigmatycznymi”, a „arsenał zjaw”, jakie się potrafiły wydobyć ze ścian naszego natchlo-
nego Witkacym teatru, niech zawsze zachwaja wierem wam publiczności.

Zwracam się do Andrzeja Dziuka.

G.W.: Chciałbym ci, Andrzeju, postawić kilka pytań. Oczywiście, każdy ma prawo do swojej tajemnicy. Jak nie chcesz, możesz nie odpowiadać.

ANDRZEJ DZIUK: ...

G.W.: Andrzeju, czy jesteś samotny? Nie pisan, czy cyklowo jesteś samotny? Wem z masz znow, obywatel twojego teatru, usłobienie wzięcia i kobiecy witalności. Pysm o samodzielną twórczość. Twójemu teatru znowyż czepie się z zespołu. Czy twoi aktorzy są dla ciebie instrumentami, czy czym więcej? Ale teraz!

Kantor nie potrafił się od swoich aktorów oderwać. Użył ich, traktował jak lwa, jak niesfornie dzieci. Był hegemonem i dilerem. Bez nich wyszoby z niego powierze. Czy masz kogoś, z kim się możesz dzielić intelektualnie, na równym poziomie, kogo mógłbyś postuchać? Kiedyś była Julia Werwin. Farzaz w dylematy. Kim jest dla ciebie Piotr? Czy jesteś dilerem? Czy jesteś hegemonem? Czy jesteś samotny?

A.D.: ...

G.W.: Gdzie nie twoje korzenie? Kto wyciągnął na tobie nacyzmatycznie piętno, wpłynął najfistotniej – Twójcy – pisarce, wlecy reżyserzy, którzy szkoly przyły. No, krótko mówię, kto poza Witkacym?

A.D.: ...

G.W.: Czy jesteś wlemy swoim poczuciem, korzeniem? Czy się od nich oderwałeś i porządkimn pobił samodzielnym? Czy nie myścis więcej nyma? Teatr to zawsze jakak powiastalność. Jak się przed nią bronić? Jakich demansów się najfistotniej obawiać?

A.D.: ...

G.W.: Co jest Erdalem twojej wiary w zstanie? – Czy ona noma? Bo przecie, wiesz, że to przekleństwo. Jak długo można być fabrykantem smół? Żeby tak głęboko być zszakę, trzeba stracić do niej dystans, a może i do rzeczywistości, trzeba być szlachetnie stakimym. To się w końcu obnaży przecie nam, to się cznie. Jak się bronić? I co ci się jeszcze marzy?

A.D.: ...

z współtwórcami Teatru im. Stanisława Ignacego Witkiewicza
w Zakopanem rozmawiał Grzegorz Wałczak

noty

STANISŁAW CHYCZYŃSKI

NOWAKA POEZJA RELIGIJNA

Roman Brzandziej, Karol Weylich, Jan Twardowski, Władysław Opatowski, Wojciech Bak, Marek Skwarczyński, Janusz Patołek, Zbigniew Jankowski – to nazwiska kojarzące się z tradycją religijną. I chociaż termin ten nie jest precyzyjny (określa się nim zarówno krytyk konfesyjny, poetyzując zagadnienia metafizycznych, jak i pieśni „hologocystyczne”, nawet parafrazując dywagacje), to do powyższego grona poetów nikt bez wahania nie zaliczyłby Tadeusza Nowakę – słynnego twórcy „pasymów” i „pacierzy”. (Biorąc w rachubę nie tylko tematy, ale znaczące odniesienie kateryjnych ich słów, omaczających w twórczości Nowakę zwaną formę poetyckiego wysznu). Nie tylko dlatego, iż wóym wymiarem tworzą, kładąc autorską katolicyzm, ale też z innych, bardziej metafizycznych względów. Właśnie w tej sytuacji byłoby jak najbardziej uzasadnione, ponieważ są krytycy literacy (np. Stanisław Barbaś), dla których poezja Nowakę jest specyficzną formą liturgii oraz modlitwy, ale są i tacy (np. Jan Zieliński, Brudnicki), którzy widzą w niej wyłącznie zjawisko o czyście laickim charakterze. Dla mnie z kolei „pasymy” Tadeusza Nowakę to przykład najpełniejszej poezji religijnej, jaka kiedykolwiek powstała. Jako poeta, jaki czyta się z dezachemem przebiegającym po płaszcach. Spróbujmy dowiedzieć, iż półna poezja autora *Pacierzy i pasymów* można znaleźć do poezji religijnej przy ocieceniu.

Gatunek zwany „poezją religijną” upowszechnił się w Polsce na początku lat 80., kiedy to do szeregu książek-poetów dołączył niemalże laikat, zdolny głowicie z „amatorem”, aczkolwiek nie tylko, bowiem niektóre niemożliwe twórcy również zdobyli się na dokonania nabytkowego zwrótu w swoim poetycznym rozwoju. Łączyły się to z próbami wielostronnego sportretowania pisarza Polaka, stworzenia wizerunku narodowego męczennika kąpienia Jerozozę czy spopularyzowania pielgrzymki na Jannę Odrę. Poezja „plebejka”, tradycyjna, prochocześniastka zaczęła przeżywać swój renesans, spełniała ważną socjologiczną rolę. Jednak z tym fenomenem społecznym nie łączymy twórczości poezji Tadeusza Nowakę, jako że poeta ten nigdy nie wstąpił na koniec 127 „pasymów”, czyż stworzył bardziej najbardziej zakomunikowanych przez religijną charakterystyką. Autor *Kolęd stręczywał* pisał swoje „pasymy” dokładnie od 1971 roku, natomiast po wydaniu przez PZWR *Pacierzy* w styczniu (nrk 1980) przystąpił do pisanja *Pacierzy i pasymów* tylko z pozoru bliźniacz podobnych do wierszy poprzednich.

Tematyka religijna może być w poezji obecna na różne sposoby, np. w formie obrzawy poetyckiego, cytatu, aluzji, parafrazy czy też po prostu skrajnej symboliki, będącej zbiorowem (Erich Fromm) Mieczysław Eliade, jak wiadomo, przypisuje tym ostatnim praz-
kandyficyjny wymiar). Właściwie w półnej poezji Tadeusza Nowakę treści religijnej przaz-
wają się na wszystkie wymienione sposoby, z tym że cytaty występują tu w postaci oszczę-
kowej, jako krótkie zapoznyczenia z najpopularniejszymi modlitwami katolickimi. Oczywiście byłyby absurdem zaliczać Tadeusza Nowakę do pastorału autorów katolickich, niemniej jednak jego „pasymy” i „pacierze” mogłyby stać się wspaniałym zestawem pielhnikarstwa poezji dla wiary „ateistycznej” twórców ortodoksyjnych.
Wielce znowidacznym może być upodobanie danego pisarza do igrania zestawem „dy-
szelnych motywow” i rekwietyw, mimo to – miał eparywać wielość wólków staro-
testamentowych, liturgicznych i teologicznych, jako odwołanie można w poezji autora *Paci-
erzy* na wólków domowy – po prostu przytoczył cały ZESTAW WYRAZEN religijnych (lub

o podobnym odniesieniu) wprost z jego wierszy. Po pierwsze są to imiona lub skróta-
lenia określone dobrze znanych postaci: Pan Bóg, Bóg Czysta, Najwyższy, Pan, Chrystus,
Zawzięci, Dóty Syn, Ukrzyżowany, Maryja, Maria, Maryja, Janina, Matka i
Świeta, Matka i matka Syna, Adam i Ewa, Abel, Kain, Mojżesz, Dawid i Gad, Lot,
Ezechiel, Jakub, Izmael, Ilioh, Lanzer, Herod, Judda, daniel oraz święci Jan, Magdalen,
Sebastian, Jurek, Wojciech. Po drugie – znaczące miejsca, jak: Ziemia Obcozna, Jordan,
Sodoma, Jerozolim, Berlejem, Goryż, Golgota. Po trzecie – cytaty i zmodyfik. Ojciec Nasz,
Zdrówca, są wieki wieków, amen. Wreszcie po czwarte – rekultywacji i inne sformułowania,
których rodzajem jest oczywisty: Biblia, Księga Rodzaju, Ewangelia, Opłaczność, Opłacz-
ność oko, ała i otąga, Władca, opłacz krowy, dziesięć procent, Janek, Janek,
kanyżki, niecypory, kępcy, ławca, paryski, pociąg, etniczność, reżim, podłoznawie, wiat-
ki, jezuita, psobster, słowacki, fiwacja, Ciała Chrystusa, homia, białe ciało, archanioł, anio-
łowie, apostołowie, dwunastu, chrześcijaństwo, święci, prorocy, anioł pański, kardynał,
biskup, kapłan, proboszcz, wierni, świątki, madonna, krzyż, trzy gwiazdki, błogosławieństwo,
pięskotrąca rana, pięt rana, bok przekłady, przeważenie siły i nogi, trzy Białe, trzykoloro-
we pianie kępcy, loty po prawicy, loty po lewicy, cyła wielkość, pociąg, wjadki, koscielek,
kapłanika, kłosa, mianek, ornaz łoty, groźnica, Władca.

Zapewne nie wypaczalam lektuinalnego świadectwa zawartego w przedmowie niniej-
szych rozważań, myślę jednak, iż jego bogactwo mówi samo za siebie.

A skoro jesteśmy przy warstwie lingwistycznej omawianego zjawiska, warto podkreślić,
iż najlepsze wiersze Nowaka pisane są językiem niezwykło sztywnym, płaszczyznym,
celowym, z wykorzystaniem rzadko spotykanego słownictwa (ze przykładem tylko kromowka,
pląsk, gonczak, wykusz, wierzki, białki, białki, osieki, woszczonka, osobolek, żrebca,
chabryk, budygusz, wczesk, pankator, muzyka i żegielce). Jedynym lekko rzucającym
mankamentem sztuki poetyckiej twórcy *Jasnowłosa* niekiedy wydaje się być dosłowne
repetycje, najwięcej ewidentnie przypadkowo czepistolwo. Mian tutaj na myśl przy-
chodzi wyrażenia takie jak: „jutrznie” oraz powtarzane jakby mimowolnie „ganięcie rozpę-
”, „szwane białogę”, „Janekata wron”, „jeli łakuchy”. Ale to tylko wroga na marginesie.

Wracając jednak do głównego wątku należy zaznaczyć, iż słuzie i symbolo religijne dają
licznie pojawiając się już w trzecim tomiku poetyckim Tadeusza Nowaka (*Prorocy już
odchożą*, 1956), jednak dopiero w „pałnawie” (1963) zracującej się w osy zoczy-
kocznosci, by w ostatnich wierszach ponownie zacząć nawiązywać lub przejąć swą rolę
metamorfie (por. *Mój wiersz* – *mój wiersz*, 1992). Nie ulęga wątpliwości, iż
najlepszy wątek chrześcijański wygrywa w nich zaciąg z irreducyjnego doświadczenia
i poety, czyli w „pałnawie”. To właśnie metafizyka „pałnaw” zbliża się najbardziej do
chrystocentrycznej wizji świata. Po analizie semantycznej wierszy doszedłem do
wnioski – wbrew prawie powszechnej opinii – że panteizm nie wygrywa ich filozoficz-
nej interpretacji. Trzeba unieść przede się przez próby podobieństw do stanowiąca
Lefmana czyż Erzeny, by w całokształcie „pałnaw” dostrzec COS WIECIEJ niż tylko
pamiętny obraz świata. To trudne do wyeksplicowania COS WIECIEJ pojawia się
przez istnienie w poetyckim świecie „zainicjowa” Boga (pod postacią Boga Ojca
i Chrystusa), w którym zawierają się nawiązanie mianem, loty, zwierzęta i ludzie, ale
i zktórym Bóg nie jest tożsamy. Zgodna, Nowak jako poeta nie rozumie wyjątku o transcenden-
cji i osobowej naturze Boga. Wzalecho z tego, iż potrafi widzieć sakralny wymiar
ziemi, kępczy brzozy, „młodziego się” kłosa, topionego psa, sprawozdanie konia, biał-
kiego łosa etc. – nie wynika jeszcze, że pojmuje Strzywek jako byt zrodzony w do Natury.
Może za przykładem średnio-wiecznego mistyka Eckharta poeta (w jego myśleniu), analogiz-
ujący człowieka i światła doskonałe, że w nadprzyrodzoności świętego Boga zapie-
nowaniej jest milczące? A milczenie daleko do negatywnego twierdzenia, że „poza Przyrodę
nie ma Boga”.

A zatem w portyckim kosmosie Nowaka jest Bóg i to Bóg cierpiący, jednocześnie
przekraczający wyjątkowo i bardzo ładki. Na ogół reprezentuje On Chrystus i jedność,
samotność, siłmista wyjątki. Cały świat, objawiony i niobjawiony, parzytywa w
Bosym cierpieniu, w Boszej samotności, i w Boszej pełni. W ogóle w poezji Nowaka odno-
wiony został niesamowicie tragiczny świat, w którym samemu miecza się z profanum,
rozkosz zaprawiona jest bólem, wiana sągaduje z rozpacz, życie zmierzda do śmierci, same
lato pomylić z niezamem, kłótnie współubytwa z ukruczeniem, a mądrość to tylko
zakamuflowana postać głupoty i co najwyżej – w świecie tym „nie ma pozycjonera”.
Jestem przekonany, że właśnie dzięki temu ta religijna poezja jest bliżej życia, bliżej prozai-
czności – bliżej człowieka i jego codzienności. Egzystencjalny pesymizm autora „pał-

now” tedy radikalizacji w cykl „pałnaw”, w których wywzyna się tęsknota poety do
nieobecnego Doba i Miłobę. Wzalecho tenk *Pacierz* i *pałnawki* nie jest jeszcze aktem
„artywizmu”, wręcz przeciwnie: porówna w sum mójwe sztucznej diagnozy (wobec jakiego, że
z jej okolicy Bóg się wyprzedza)? Mniejszej najbardziej budowlanym, najniebezpiecznym,
obstawianym wierszem Nowaka – próbowywałbym za słyszym *Przyjęciem* Stanisława
Groszaka – jest do mnie *Pałnaw* podchwytliwy, który imonizy tytuł dawał strofom alby
wywzyna. Ale chociaż tenk „pałnaw” jest przeciwnie, rzecz niezdarda u Nowaka,
jego alba kontestacyjna nie przekracza granic przywołności.

Kadła poezja ewaluuje pod względem formalnym i tematyką; nie inaczej było
z twórczością belatara niedawno sikon. *Przyjęcie* i *pałnawki* przyniosły wydatne
zmiany i znaczące „smatki religijnej” na łosach wadów politycznych i historycznych
(ustalane pierwsze ich wyjęcie z roku 1988 zostało znacznie okaleczone przez cenzurę!).
Natomiast wiersze z ostatniego tomiku pt. *Mój wiersz* – *mój wiersz*, wbrew
swojemu tytułowi, prawie milczą o Najwyższym i sprawach pokrewnych. Trudno
się dziwić, poe, dotykają ciężka choroba i osobista tragedia, jak tylko w osy swojego
wzrytu przygotowywał się do rychłego spfikania z CZYMŚ WIECIEJ.

Stanisław Chyrczyki

ELŻBIETA CICHLA-CZARNIAWSKA

O LITERATURZE I SZTUCE XX WIEKU Z OKAZJI JUBILEUSZU PROFESORA TADEUSZA KLAKA

Profesor dr Tadeusz Klak od wielu lat związany z Uniwersytem Śląskim obchodził
nieudaną czterdziestolecie swojej pracy naukowej. Z tej okazji przyniosłem wybitny
ortwoski i redakcyjnie wydał *Kwart. Prac. filozoficznych* Uniwersytetu Śląskiego, która zawiera
osiemnastocześnie publikacji zmarłych współpracowników literatury. Materiał podzielony został
na dwie części, których tytuły sugerują sferę zainteresowań Nowaka: *W kręgu awangardy*
i *W kręgu innych zagadnień*, co nie znaczy, że są to granice nieprzekraczalne. Terminy
„awangarda” i „awangardizm” mają pojętny zakres, zatem w odniesieniu do konkretnych
zagadnień zawsze wymagają uściślenia.

Zestaw poematów z cyklu artystyczny opina Mława związana z osobą belatara.
Nie jest to jednak uściślenie, a raczej okolicznościowo namaszczone. Redakcja tomu zamie-
ściła na 44 porządkowych stronach *Bibliografię publikacji Tadeusza Klaka 1951-1991*,
przygotowaną adrapunktem, w porządku chronologicznym przez Annę Kluczkę. Wśród
ceteris paribus znajdujemy dwa zwrote, negatywne, recenzje, artykuły, wydruki; publi-
kacje o charakterze cytowanym (katalogi i teksty ogólnie w znanym). Prace te mają
charakter zarówno analityczny jak typowy „opiecznik”, gromadząc bezczynnym czasem ma-
teriał potrzebny choćby *Monografi* do dzieł awangardy czy *Czasopisma awangardowe*.

Zakres zainteresowań Tadeusza Klaka jest imponujący: nie tylko historia i krytyka
literatury, lecz także problematyka ogólnokulturowa i regionalna, analizy polskiej poezji,
pracy i dramatu i w odniesieniach do literatury światowej i w odwołaniach do innych dzied-
zin sztuki, jak muzyka, malstwo, teatru, film. Obszerna prezentacja czasami głównie
dwudziestolecia międzywojennego, dla takiego okresu wczesniejszego, drugą wiałość, lata
nad powojenną i bliższe dni dzisiejszego. Piszące szczególnie fascynują Tadeusza Klaka
to Josef Czechowski, Julian Przytycki, Tadeusz Rózewicz, Ewa Śnelberg-Zaremska, Maria
Kunecowska, ale przecież i Stefan Żeromski, i Bohdan Ptas, by wymienić tylko niektóre
nazwiska. Dorołek Profesaon obejmuje prace polioeczone awangardzie kłomskiej, wi-
lełkami Zagaron, Kwadryde, lecz także zwrotoce ko ogólniejszym prądom literacko-
filozoficznym, jak katostrafizm, surrealizm, egzystencjalizm, cyklki ku osobom poety-
cznym awangardowym dwadziestego wieku. Sygnalizuje tylko niektóre problemy, obca

podkreślił ogromną rolę w historii i jakości tego dzieła. Sama bibliografia publikacji Tadeusza Klaka jest bowiem interesująca lektura. I jeszcze jedno z gwiazdek istoty i i piaroch o ustalono randre nie wzbraniai się również pisac o debiutach udułdarze im kredyit zaufania.

Na uwagę zasługuje szkice Krytycy Urban i Krytycy Zabierkowskiej zażyłtawozu Cynięcy Rolozau (w przysiait informacja. Odułdarze i omosnosy yduł. Jęcyku jęzono- nosubowego Tadolozu Klako). Teo roludza zagadnienia są podobno srazo dzieła liter- lektorskiego, radziej przywołuje się je omawiając teki naukowe, chociaż istnieją wiele psc podjęmoych owo problem. W przypadku doorku Tadeusza Klaka sprawa wydaje się szczególnie ważna, ponieważ jego prace lica w sobie rzetelność naukową z finezją piaroch, co badacze nigdy niezapnogo: „... [i]notowai aduje się je pełni powikauz matierie naukowey z amokoznawczych pę jęcykoso- przeloznowozim. Swięd sąd Urban i Zabierkowskiej poparty licznym dowozdmi. Według nich do są wyoznawczych elementów narracji autora Opowia Świato należał m. in.: „pęny badania i zaledniebia chłoko badawczego”, „naukowe- wymy innymi dziedzinami sztuki, zakolezenie aniz w ozdenności, wykorzystywanie sytuacji sytuatych, umiętność formułowania atrakcyjnych, wiele mówiących tytułoch, specyficzna „gra z odbiorcą”, czyli nieokno weiganie go o rolę artystyczną zainteresowa badawczych poprzez ps. stnowanie charakterystycznych konstrukcji słdkowozim”, „jak- imlowanie dialogu, powitowozna, wykrzykniki, co stowca zdudzenie wspólnoty między autorem i czytelnikiem.

Wartościowe teki Tadeusza Klaka, według autorów szkicu, dąpy do naukowej obiektyw- zoty sędów, nie do okapaney dyskusya, co znowo poparte zostały przywołanem szeptu „Zahęgów”, mających służyć sprawie oceny teki poddawanej analizie. Ważne jest podkolezenie, że w jego tekstach nie pierozny plon wyrazu się wariowozanie pęcytowej. Tadoloz Klak: „nie ma tylo wierły zdułdzo i dułdzo i ich dokonau, ale też lobi i ceni matierę, kłóty język”. Urban i Zabierkowskie: „Nie zapomnieli, że cytowany teki nie tylo krytyki i historycy literozny, nie tylo dułdzo i autorzy powiey”. Wskła w tym zagałku naukowych mistrzów autora. Pisak z wglę - profesorów UK. Inesy Świ- stawskiej i Czestawa Zgorzelekiego. Pozostali pracy naukowej Tadeusza Klaka przebhęty też pod patronatem Kazimierza Wyki.

Przydatny jednak do omówienia problematyki „prze ofiarowanie”.

Grzegorz Gładka w szkicu *Awangarda i literozna język odnowozna* na przykładzie kon- taktoch zmagawozich wpoliznowozim twórcówy dokonał literackich (tęzota nie tylo literackich) w gręki język i gręki chłoch roduylich (głównie polskim i rosyjskim) na terenie Europy Wschodney. Podkreśla ważne w rozwoju warsztat europejskich istnienie w latach 1919-23 grupy artystyczno-literackiej Język język z siedzibą w Łodzi. Oprócz tu skłupała przede wszystkim malarzy i piaroch zdułdzo i ozawozkiej wipi przylotey sztuki. Wymyena autor wide innych grup działających na terenie Europy Wschodney, charakte- ryzując ich programy, czapozima i ewoluację poględów.

Konstytuowanemu pęcytoso literackiemu grupy Sędka Kozowca zajmuje się Roberta Tokarek. Przy okazji omawia podstawowe założenia konstruktywizmu i - co szczególnie istotne - podkreśla ogromny wpływ tego kierunku na awangardę krakowską i wide innych grup artystycznych oraz na twórczość języki (zduchy Władysława Strzemińskiego, Karoliny Kobro, Juliana Przybosa czy Jan Brzozowski).

Krytyka Heiko-Kwasniewska porusza sprawę zainteresowań Juliana Przybosa teatrem. Omęchwony on zarówno poczynania teoretyczne jak i praktyczne poety. Pół pracy prze- niemyca w professa S. Władysława o języki-ozawozkich Fredy, wzbudł ogarniam kwali- fikacyo o Języko wędlozo-konstytuacji A. Mikołowskiego, powozno zmycał od tematyki Geometrię piaroch (w tekście sam zmycał). Podkolewaua także o tematyce teatralnej głównie w „Dialogu i i Teatr”, otmęte dyskutował publicznie o sztukach wpoliznowozim, był nie tylo widem, ale i oszyc, otmęte wydawał wozkwozich scenograficznych i reży- tonicznych, interesęgo choć specyficznie reżyrował utwory poetyckie. Wykoce ceni kląpkę teatru starożytny, Kozawoznowoz, Nowozda. Teatn najrozny ranga miał być według twórcy teatru „sarku słowa mówozego”. Nie lubił na scenie opki.

Stanisław Gwoliński podkolewau w wędpliwoty sęd badaczy o rzadności określenia „Druza Awangarda” w odniesieniu do następców Awangardy Krakowskiej proponuje socjologiczną interpretację poety, która to interpretacja pozwoliłaby ułożyć na podstawie „dowozów rzeczowych” pojemiście i zasadę tego określenia i wyoznając wziozki natury historyczofilozofickiej.

Sprostowanie Wojciecha Ligęty o znaczeniu, roli i symbolice mitu w twórczości Cze- sława Miłosza można sprostować do czasu z zakończenia szkicu o rebielnie: *Obraz świata dotychczas budowlany: celowości i zachowania w życiu. Jedynak światowe miasto przemienione zostaję w inne obrazy poezji i baśni, obrazy, gdzie nie dozwolony historycz- na zmięka. Powozęcy do miasta niedługo, przywołuje obrazy innych mitów, powie kroje wity sędł zdułdzo wyoznawozanie ludej rzeczy - pisze autor. U Miłosza tym miastami-zmiankami są przede wszystkim: Wino, Kraków, Paryż i miastę Ameryki.*

Nad umiętnością „potrzeba przez obrazy” - ku celowości? zastanawia się Robert Cieślak w swoim szkicu *Leżęcy wosozpewnie - Poęzy Tadeusza Różewicza wobec sęd- woznawczy - powoznowozim. Powozęcy się na M. Heideggera teozę, „Awiatobozny” autor podkolewau, iż kłozawoznych poetyckich „Świato Różewicza” mogły być dziełami historycz- nymi, poety zgodne z powozem, „opisć cwiłdwo”. Proca twórczy powozim zmycał się nie od transdyscypliny, lecz od konkretu. Rządzą tym proceem narok dynamiki, konstruk- torycznego ruchu, zmierzchnioma człowieka wobec iemoty. Poeta zmycał wiozki kontekst i czoł- wozim, od „przed-zawoznawczy”, od spotkania z nim, by potem, odzyskując zapamiętany wzioznek przemęto go niejako na siebie samogo. Obrazu świata nie uzyskuje się poprzez budowanie jego odułk, ale przez „wyozyć” siebie samego z własnej świadomości, i pamięci, a to jest możliwoty jedynie dzięki zachowanemu obrazowi. U Różewicza autorpoezyt jest sys- temem „Awiatobozny”. Problem ten rozpuzaje Cieślak, na rozmaite elementy poezji Różewi- cza (np. powót jeazyki dziecinotau jako zapamiętanych obrazów, rytmowoznych przy- pomocy przy światła, ciemnia, kolono). Dopiero obraz i jego kompozycja stają się źródłem informacji ikonologicznych, a to krejący sowy zwioty poetyckie.*

Interpretowanie całokształtu twórczości Tadeusza Różewicza przez przywołanie skazanego w niej mitu i świata i deintencjonowanie całokształtu wydaje się niewystarczające. Krzysztof Kozminski. W pracy *Przygotowanie do „Czapozna bięgiak” Tadolozu Różewicza* autor sztuki podkreśla, że ostatnie trzy wierszy poety z Wrocławia zawierają wady integracji wokół wartości uniwersalnych i tradycyjnych. Wiesz Czystynie bięgiak jest według Kozminskiego dowodem przeciwnym szlachetności i katastrofizmowi, choć rolę poety wyo- zyma w „bięgiak” utwory określiti można mało optymistycznie: poeta staje się wpoliznowozim „producentem tekturowy kultury”. Jednak omawia to dla Różewicza nie było pisane wierszy, ile „zyciowozim” - „gotowoty do wyoznawozim wozoznowozim sęd poetyckiego w sytuacji codziennęj egzystencji, skłoznowozim „zduchowej biografii artysty”.

Analizę wspan „dojdujących sędów” Stefana Grabińskiego (1877-1936), prekursora polskich utwórców fantastycznych, dokonuje Tadeusz Śliwko w obszernym szkicu zażyto- lowanym *Demoz Grabińskiego. Próba fenomenologiczno-literacka* „Owo „demoz”, to nie tylo tytuł *Demoz* racha Grabińskiego, ale ogólnie fenomen wyznakuo kono XIX wieku - loko zalednie i związanych z tym wynalazkiem problematny natury także psycho- logicznej.

Ewa Wólkowska dokonau w swoim szkicu interesującej analizy działalności Teatru Gier- dzieca. Istoty tego teatru dopatrzy się ażetka w podstawowym założeniu jego twórcy Włodzimierza Stanisławskiego - poznażwanu „rodowozima naturalnego teatru”, w przyję- cie przesłanki drogi, wędowoty czy wyprawy. Konsekwencją stają silne powiazanie Gierdzieca z dawną kulturą wiejską, z tradycją, przy jednoczesnym uniesieniu „pępeli filozoficzno”. Wzdułdnowany teatn w tym tenozie jako wopoliznowozim spekulacje władzę się go w wyrazie teatralnym „Śmięka się kowoznawczy, „oboznowozim”. Ciekawoty jest porównawca smaga Wędowoziej. *Popozuz amoznowozim „Świato języki” Widy bywa przewę językiowoty - „Światoem teatralnym”. Podkolewaua się tu do teatru. W *Teatrze Laboratorium* (Otrawoz- kiego) dala się otmęte wyoznawozim kłozawozim niejako odemoty. Przypoznający wziozki K. Koz- minskiego detęzycę „zyciowozim” Różewicza.*

W drugiej części książki znajdujemy pracę Jacka Łukasiewicza o *Boku w Opozie Juliana Tuwima*. Autor ma zamiar utwór powozęcy się na pracę J. Hlubięty *Homo ludus. Zdużauo jako źróduo baśni*. Podkreśla, iż zdużauo i cępyozno „zdużauo odobowey się wędpliwoty sęd zmych anoz, stęti „ozęgnęzoty” małki szklawoznowoz poety w ten sposoby, by zakoleznowozim symbolizację kosmosu świata, na co zęsta porwała wewnetrnia i zewnetrzna przestrzeń pomatu. Stanisław Baraszkę portretuje jak Tuwimozą z balami Mikołowskiego, Węd- piastego czy Berenę podkolewau jego charakter opokapęczyony odwrotnie niż Języko Świata, która zakoleznowozim pomatu zdużauo za obraz krowi „Świato języki” i za jej koncepc- ją opowiadu się Łukasiewicza. Zmyca on też uwagę na aktualność groteskowej wipi ut- wory Tuwima w kadłej rzeczywistości społeczno-politycznej.

Malgierza Krakowiak omawia znaczenie programowego esaju Karżmiera Wyki, który uważa za jeden z najważniejszych tekstów krytycznych profesora. Jest to *Tragiczność, drwina i realizm*. Prawdą nad nim rozpoczął Wyki w 1942 roku, a więc w okresie okupacji, ale odwołuje się dopiero w październiku 1945 roku w „Twórczości”, by pełniej sprostować zupełności, zmienił także i włączył go do *Prognostyka powieści* wydanej w 1948 roku. Dany są ważne, jeżeli wzięć pod uwagę przemiany polityczne dokonujące się w kraju na przestrzeni tych lat. Autorka pracy obiektywnie zauważa nieoczekiwane pozycjonowanie *trzy krytyki w stronę marksistowskiej nauki o literaturze w nowej wersji esaju*, ostentacyjnie wyrażona jednak uwaga, że Wyki *niezależnie od odmiennej indywidualności twórczych, nie stał się źródłem porównań swoich krytyk na powieści realizacyjnej bliższe do zmiany w 1948 roku liberalizmowi ocalki „Tragiczność i realizm” od dramatyzacji i zapowiedzi [...]*.

Problem narratora i narracji w *Dziennikach* Zofii Nałkowskiej i Marii Dąbrowskiej interesuje Renatę Jochymek. Autorka po obszernej analizie obu tekstów stwierdza, że w dłuższych fragmentach wyrażona jest świadomość odpowiedzialności za słowo, za konstrukcję czasu i tematyki. W *Dziennikach* łatwo można się dopatrzeć krowianizm w postaci „miła” na własny temat z myślą o publikacji w „Przekrościu”, ale to „Annozero znieślenia” każdego pamfletu jest do pewnego stopnia mitygowane tym, że Wroc. z obłąkanym ziewaniem [autorka] *pragnie przeobrazić pewne wady swojego przekazu w siły i funkcję*. Oba powieści wyróżniają w zapiskach chęć kształtowania własnych osobowości, poszukiwania siebie i sensu życia, przy czym – jak stwierdza autorka – *obce iście notamiernie określenie: być sobą*.

Pierwsza, brulionowa (fragmentaryczna) wersja *Polskiej Jestoni* Jana Józefa Szczepanika opisana i porównana z tekstem wydanym Stefan Żabłonowskim. Chęć skrupulatnego dążenia powieści do jej ukształtowania się w 1955 roku w okresie państwowej odwilży. Wreszcie opisano pracę skrupulatnie pracowal nad tekstem, wprowadzając zmiany, wykreślając zbędne, jego zdaniem, fragmenty, sfinalizując tytuł. Zniżył się w kierunku nadania wyższej rangi dialogowi niż relacji sprawozdawczej, pamiętnikarcejskiej, dotyczyła również większej kondensacji faktów. Ale właśnie wersja brulionowa odkrywa przed czytelnikiem specyficzne cechy warstwy twórczej J. J. Szczepanika. Na uwagę zasługują stwierdzenie Żabłonowskiego, iż owo tekstów znajdujemy [...] *metaforyzacja i uproszczenia postępciej awangardy, krótkość wypowiedzi, pod której wpływem była twórczość Szczepanikowska*.

O próbie ocena tradycji narodowej w twórczości Stanisława Stabry przez Wiesława Dymala w tekście zaktualizowanym *Słusznym sntawowej tradycji*. Autorka powołuje się na kilka tekstów wiarygodnych, spośród których najważniejszymi wydaje się jej utwory *Gdzie się tona*. Podkreśla, że wprowadzając w owym wierszu scenariusz i ducha młodszej epoki w podział rekwizytów „z zakresu heroiki wojennej” – *natomiast poeci w panice i czynie walczyło, to, co wykreślano było odosobnio po 1944 roku*. Zarówno Dymala, iż powieści Stabry i wiersze jego rówieśników (głównie przedwojennych Nowej Fal) z tego właśnie powodu tak często przywoływane umiemy, gdyż imi niejako pierwsielsztwo przed przynajmniej w oceniej praca (niezwykle racjonalnej) przez zwrócenia uwagi. Wyrzucił też poczucie nobilitacji tożsamości i wydzierżawienia, świadomość, że „podcięcie korażca prowadzi do zamierzenia drzewa”.

Z tą problematyką korespondują zagadnienia dotyczące kwestii sterowania twórczością przez poetów po 1948 roku. Na przykładzie scenariuszy filmowych omawiane jest w wierszonym akcie Alana Madel. Pierwsza część tytułu tego skłosa, *Ważnym jest przywołanie sądów oboj odpowiedzialności w życiu za twó. politykę kulturalną*. *Zawsze wyczuła można odmienić*, jest wyznaczającym określeniem sytuacji w okresie, kiedy negują było domaganie się od autorów przerobek tekstów scenariuszy i wprowadzenia dalszych zmian. Z kolei autorzy poddający się naciskom literarii na możliwości wykonania swojego nazwiska i czwórki filmowej, jak dowodzą kwitnie autorka przyr. Tak zamykało się kolo filozofii.

W problematykę kin, ale jako przykład scenariusza, wprowadza tekst *Dziennika Miłki*, skłaniając autora wybrzeżeniści osnowy *Rosowiczy*. W tym wyznaku tytuł skłonię jest kwintesencją zawartych w pracy spotrzeżeni i leżni: *Kino intelektualnie Krzyżozj Zauważaj, czyż o wyznaniu wiary *pochwałę bractwo myślenia i pozostawienie dzikostwa oraz potępienie owolawania*. Oczym tę było spełnienie uwaga Miłki, iż Zauważaj uwaga szła wreszcie dramatu współczesnego człowieka zajmując zawsze stanowisko wywyższające się z nęgli katolickiej, które podkreśla odpowiedzialność się naski i wiary, utylki i kigali w twórczości wstępi świata.*

Wreszcie prace Henryka Czajki zaktualizowana: *Konwinciozja mitu pogankatego i chrześcijańskiego w folklorze Słowian*. Badania wykazują, iż *z pogankatego folkloru Słowian odwołuje się przede wszystkim do, co nielmo uniwersalne i ponadstawowe znaczenie – pierwiastki*. Mieszanje się wariantów pogankatego i chrześcijańskiego w folklorze, a szczególnie w ludowej poezji (przez świadczące o interesowaniu przekawisto jednych do drugich, nawet krótkim pewnym „przeznaczania sensów”), co jest takto uchwycone t w zakresie modyfikacji dogmatów, dostosowywania przykaz i oceny chrześcijaństwa do potrzeb mitu pogankatego i odwrotnie – przenoszący się do kultury i tradycji chrześcijaństwa wierzeń i mitów pogankatego. Szczególnie okolicznie przedstawia się ten problem w dualistycznej koncepcji stworzenia świata i relacji dwiś światów: Boga – symbola dobrego i światła – symbola zła, czy t w krewacji świata świętych, który, *z folkloru żądał miejsce dawnych bóstw*”.

Elżbieta Chłoda-Czarnikowska

Zapoznawanie ówczesny folklor, 32. wydz. Prace filozoficzne. Teatr i Sztuka. Pod redakcją Stefana Żabłonowskiego. „Sztuka” Wydawnictwo Iskry, Katowice 2008, s. 371.

ELŻBIETA STOCH

DAWNE LUBELSKIE ADAPTACJE SCENICZNE PANA TADEUSZA

Rok 1999 minął pod znakiem premiery *Pana Tadeusza* w reżyserii Andrzeja Wajdy. Ogromny sukces tego filmu zachęca do przesłania pierwszych lubelskich adaptacji scenicznych powieści Mickiewicza. Wskazy można natomiast, że zanim zaczęto przekształcać dzieła literackie na znak filmowy na przełomie XX i XX w. w odniesieniu do tekstów epickich często stwarzono przedmioty sceniczne¹. Inscenizacje *Pana Tadeusza* na scenie lubelskiej są przy tym dotychczas przedmiotem studiów. Materiału źródłowego dostarcza lokalna prasa.

„Terminus a quo” do renowacji nad zagadnieniem opytym w tytule artykułu stanowi data IX 1905: Wtedy bowiem zagościł Człowiek Wielce-wskazy znanego autoru teatralny 1905/1906 wytworzonemu na przetrwanie w Lublinie. Pierwszą odwołanie się na scenie teatru znowego mieszczącego się przy ulicy Narutowickiej². Pomyślnie Mickiewicz zaprezentowano w czterech oddzielnych według potrzeb: Edwarda Pszczyńskiego. Należy zaznaczyć, że w Lublinie do 1905 roku, a wstąpi na scenę, a dzieł Mickiewicza inscenizowano tylko fragmenty *Dziadła*, które grane były jako drobne muzyczne (Władysław Stanisław Moniuszko).³ W wprowadzaniu na scenę *Pana Tadeusza* było możliwe dzięki liberalizacji, po rewolucji 1905 r., polityki cenzury wobec mieszkańców Księstwa Polskiego. *Przemiar* [teatralny] – jak pisał S. Kruk – *był czynnikiem sąspomogowym owych przemian*.⁴

Pan Tadeusz, w adaptacji Pszczyńskiego, zanim trafił na deskę teatru lubelskiego, miał swoją premierę – 26 VIII 1905 r. – w Warszawie. Wytworzył go zespół z Łodzi w Teatrze Małym (filharmonii)⁵. Inscenizacja oddzieliła ogromny sukces. Potwierdza to również *Gazeta Lubelska*,⁶ który ilustrował recepcję spektaklu – 30 IX 1905 r. – w reżyserii teatralnej *odwoławca*, *razem z wywołkiem ogromnie wywołano w świecie artystycznym i dołdajęca gruno jest z obłąkanym powodzeniem w Filharmonii warszawskiej przez teatr Małki, a w krótkim czasie wywołany był na teatr Rozłowski*.⁷

¹ Wreszcie inscenizacji grono to: genralistka i scenariusz H. Świebickiego, op. *Pan Tadeusz* w Warszawie, t. II, Olsztyńska i J. Chłoda, *Współczesny teatr* (Warszawa 1989), s. 321; 1899 r. Pan Tadeusz w Opatowie i w Lublinie, t. II, Filharmonia, nr 71 1899, s. 1; Egry J. Thorne w Warszawie (Warszawa 1910), t. II, 1899 r., *Teatr w Warszawie* i w Lublinie, nr 18 X 1900 i w w. *Strasze* / *Życiowe* w Krakowie i w Warszawie, *Współczesny teatr*, nr 12, 1902, s. 1. ² *Teatr nowy* (Teatr Mały) w Lublinie (Warszawa 1926), s. 1. ³ *Gazeta Lubelska*, *Ministerstwo* pod Władysławem Moniuszką (Warszawa 1905), s. 188; 1897 r. w *Współczesny teatr*, nr 11, 1903 i w *Warszawa* i w Lublinie, nr 11, 1903, s. 1. ⁴ *Gazeta Lubelska*, 1905, nr 4, s. 179. ⁵ S. Kruk, *Wskazy scenariusz powieści Mickiewicza* (Warszawa 1905), s. 116; 1905, t. II, *Współczesny teatr*, nr 12, 1902, s. 1. ⁶ *Gazeta Lubelska*, 1905, nr 208.

Widniewski zabiegali, by jego „złote nie srebro” wypadło równie dobrze jak w Warszawie. Nie udało to osiągnąć przez, na latach kilkanaście przed, że *dywizja nie zaczęła starzeć i kształt, aby sztuka odgrasa była jak należało*.¹¹ Antyepitet, by wsielniec premier *Pana Tadeusza*, zaprosił Stanisława Krakę-Zamojskiego, artystę teatru lwowskiego i krakowskiego, który z roli *Kapłana Rokoła* stworzył niezwykły *koncept sceniczny*. *Scena kameralna była wykonana mistrzowsko – wywarła też potęgę i niezachwianą na widzeń swadźmie*.¹² W spektaklu udział wzięli również: Justyna Zbistka (Zosia), Rolandowa (Tefimka), Czesław Widziński (brak informacji, jaki kreował rolę), Władysław Gloger (Czesław), Wiesław Dobki (Podkowcezy), Stanisław (Irena), Stefan, Władysław (Tadeusz), Władysław Bernatowski (Wojcik), Władysław Biederski (Asanor), Gracjanowski (Janulek). Uznanie krytyki zyskał Gloger grający *Krzyszka Gurgusza*, wzmiankę w *doświadczeniu wykonania tej roli wykonał wiele zaledwie i ryzny sceniczny*.¹³ Poentami aktorzy uzyskali także pozytywne uwagi – Rolandowa pochwalono za precyzyjne odwołanie postępi Tefimy, Zbistka na równanie białego symbolicznego widzenia Zosia, Bernatowski za „swobodę ruchów” i dobrą charakterystykę. Podkreślano także, że publiczność doceniła wagę tej inscenizacji i iżanie przyżyła do teatru.

Następne wystawienie *Pana Tadeusza* miało miejsce dwa dni później (3 października). Jego rangę podnosiła obecność Edwarda Pachulskiego, autora scenicznej adaptacji Mickiewicza wspaniałej epopei. Honorowy gości wziął udział w spektaklu i iżaniem wypowiedział *prolog do akta 2-go „Polowanie”*.¹⁴ Inszenizacja zakończono sukcesem w wykonaniu solistów zespołu, a publiczność nie straciła ochoty *arystokrat*. *Widcy wyrażali się o trych nie dookreśleń. F. Roland w roli Tefimy i P. Pawłowski otrzymał laurki*.¹⁵ Zysłała liczna widownia na tym przedstawienniu potwierdziła trafność oceny sformułowanej przez recenzenta po premierze sztuki.

Lubelska adaptacja *Pana Tadeusza* była sukcesem Czesława Widzińskiego, zarówno pod względem artystycznym jak i kasowym, czego dowodem jest opinia Zdzisława Ptasiekiego, który dokonywał podsumowania sezonu 1905-06 w „Kalendarzu Lubelskim” podkreślając, że *tytuł inscenizacji [...] odznacza się marzną wywołaną niepowtórzoną połączeniem polskości i zastawianiu obywatelskiej, do czego przyczyniły się trybki fabrycznej, rzemieślniczej i części miast*. *O balach nowy nie było, toteż zaledwie węgusław; dwie tylko sztuki dawaly dobry rezultat kasowy – „Pan Tadeusz” i „Obrotu Czesłowa”*.¹⁶ Dodad należy, że sztuki Lubelskiej z 1905 i 14. czerwca 55. rocznicy śmierci Adama Mickiewicza zorganizowali w teatrze uczonyj społeczę *z udziałem całego Towarzystwa w postawach i gępiach i pismotwórcy*.¹⁷ Wówczas, w trakcie której uwieczniono jego postać. Można domniemywać, że *akta 2-go „Pan Tadeusza” wsielniec był w uszczęśliwieniu*.

Kolejną próbę teatralną *Pana Tadeusza* na scenie lubelskiej podjął Henryk Czarnycki w sezonie zimowym 1910/11. Premiera odbyła się 23 X 1910 i, na przedstawieniu popołudniowym, w teatrze zwanym już wówczas Teatrem Wielkim, a reżyserem spektaklu był Henryk Haliński. Poemat wystawiono w czterech aktach, sceny, zgodnie z tekstem rozgrywały się w Soplicowie, na zamku Horeszków i w zakamku Berezyn. Inszenizacja umiarkowanie spowolniona, porfani obywateli, łapani i zw. zrywem obrotom (Konert Janulek).¹⁸ Akt II popierała „akcja myśliwska” w wykonaniu chóru, akt III „pięć wierszy” – *aktowa Studnia Karłowickiego; Podkowcezy (Podkowcezy) popowadził poleceń w akcie II. Reżyser w swojej koncepcji przedstawienia *Koncert Janulek* umieszczył w akcie III, a spektakl zakończył obrazem pt. *Wyjazd na wzniesienie i śmierć Rokoła*.¹⁹ Główne postacie grał: Henryk Haliński (kapłan Rokoł), Antoni Wawrzykowski (Sędzia), Edmund Bieracki (Tadeusz), Janusz Siedziwowski (Wojcik), Kozłowski (Podkowcezy), Henryk Kłamek (Widziński), Julia Galińska (Zosia), Michałowa Solińska (Tefimka), Konstancja Proszowska (Gurgusz).²⁰ Anonimowy recenzent „Gazety Lubelskiej” domniemywał, że inscenizacja, *świadczył, że przeszkóby wyrazem „bez zarzutu”, a sztuki z całym pomyślnym, należnym Mickiewicza (...) odwożony sw rze*.²¹ Spośród wyko-*

nowości najwykroże uznaje zyskał: Bieracki, Galińska, Solińska, Proszowska i Haliński za *królowej księżki Rokoła, Katarzyna Zbiskowa deklamująca *Koncert Janulek* dokonywał wyrażała się z tego zadania, a mulo-widnicy obcy *zwycięzcy konceptu przyżyły był długo nienaturalny okoliczności*. Nie wypadł zaś dobrze poleceń, *nie było w nim niska i części może – jak analizował sprawozdawca – wobec ciemności na scenie i powoda zastawienia jej stolowa do obrotu nazywany*.²² Widownia przyżył spektakl z apłobą, ale publiczność nie przyżyła tak dobrze, jak to miało miejsce w 1905. 2. Motyw, że przyżyła tego była lubelska premiera *Złoty czułek* Józefa Słowackiego, która wystawiono dzień wcześniejszej, tj. 22 października. Analiza bowiem recenzji dotyczących repertuaru prezentowanego w sezonie 1910/11 wykazuje, że z kilkunastu najwykroże nisko odnosił wzmiankę Słowackiego *Złoty czułek*, *Sw srebrny Salomei* (premiery 3 grudnia 1910 r.) i *Nawa Deklamacji* (premiery 21 marca 1911 r.) – wszystkie grane po raz pierwszy na scenie lubelskiej.*

W drugiej adaptacji scenicznej *Pana Tadeusza* godny odnotowania jest tak, że, jak tekst epopei tak i inszenizacja do Tomazusa Władysława do napisania libretta opary post tym samym tytułem. *Pan Tadeusz* jako dzieło operowe miało swoją premierę 22 stycznia 1907 r. w teatrze lwowskim.²³ Nie posiadamy żadnej informacji, by w takiej formie został wystawiony w Lublinie.

Należy podkreślić, że adaptacje dzieł Mickiewicza realizowane do 1918 r. były zawsze przez *współczesnych za rekompensat niezobowiązani na crenach oryginalny autorów dramaturgicznych Adama Mickiewicza*.²⁴

W dwadzieścia laty później wierszom irodniczym teatralnie skomponowano się na wielkim dramacie romantyzmu i stylu jego inscenizacji.²⁵ W koncepcyjnej adaptacji scenicznej *Pana Tadeusza* odezwał na plan dalszy, zwołano je realizatorom teatralnym amatorskim oraz kinematografii. Dodajmy, że w 1928 r. Zdzisław Oedyński, w oparciu o scenariusz Ferdynanda Goetia i Andrzeja Struga, nakręcił film *Pan Tadeusz*, który miał popularność dzięki Mickiewiczowi. Lubelska grupa przyżyła ten film niezbyt pochlebnie. Na koniec warto zaznaczyć, że kwestionaria teatralnych dotyczących dzieł lubelskiej adaptacji scenicznej *Pana Tadeusza* wykazuje, że poemat Mickiewicza powrócił na scenę teatru zawodowego dopiero po wielu latach. 2. października 1975 r. w scenie kameralnej Państwowego Teatru im. J. Osterwy przyznano go Ewa Berezse. Artystka odezła jednak od formuły parafrazki scenicznej na rzecz epiki deklamacji.

Elżbieta Stoch

¹¹ Ibidem.

¹² A. Władysław Oedyński, *Mickiewiczowski adaptacje utworów Adama Mickiewicza w teatrze lwowskim do 1918 roku*, „Językoznawstwo” 1999, nr 1, s. 47.

¹³ Ibidem, s. 47.

¹⁴ Na przykład Stanisław Władysław Oedyński wytworzył na scenie lubelskiej *Dziady* (premiery 22 X 1905 r.)

W poprzednim numerze – Czytanie Ukrainy

- Dniostro Pawłyszko: wiersze • Wolodymyr Jawerski: *Północne liły z Diamentowego Cesarstwa i Królowa Ziemi Północnej* • Haiyna Pietrosiak: wiersze • Mykola Ryzhenko: *Od „Makaroni” do „Indonazopy”*. *Ukrainatki stereotypy* • Wolodymyr Cybulko: wiersze • Jewhen Brusztynowski: *Kalendarz 1996* • Siergiej Zdanowicz: *Ludmila Sierij: Adam Mickiewicz w krytyce i przekładach Maksyma Ryłakiego* • Wyrly Machno: wiersze • Roman Matusz: *Ukrainatki: powstanie aktualności literackiej* • na kartach trzeciego tomu: *Ukrainatki: encyklopedia literackiej* • Ludmila Taran: wiersze • Dniostro Pawłyszko: *Moja antologia poezji polskiej* • Lechosław Lameński: *W Międzynarodowym Triennale Sztuki Młodszych 2000* • Myłda Opoka: *Wiosna szczył obit w naturze* • Joanna Biernacka: *Na każdym natem ten pierwszy raz (opowiesć o Bohdanie Gierguliu)* • Arnold De: *Mariusz doskonaly* • Mariusz Drzeglowski: *Stara Praga, Kąfka i czeskie diucio-poli* • Waldemar Michalski: *O współczesnej przykrzyżkiej iżmaczonym w latach 50.* • Urszula Ołhrowska: *„Tam, gdzie łwy srebrne jale plyną...”* • Recenzje • Noty •

¹⁵ Ibidem.

¹⁶ „Dziennik Lubelski” 1905, nr 210.

¹⁷ „Dziennik Lubelski” 1905, nr 212.

¹⁸ „Dziennik Lubelski” 1910, nr 253.

¹⁹ „Dziennik Lubelski” 1910, nr 253.

²⁰ „Kurier” 1910, nr 261.

²¹ „Dziennik Lubelski” 1910, nr 112.

²² Ibidem.

²³ „Dziennik Lubelski” 1910, nr 113.

Informujemy naszych Czytelników, że sprzedaż bieżących i dawnych numerów AKCENTU prowadzi m.in. księgarnie:

Labelite Centrum Tajnej Książki „Lotus”
Krakowska Proszmienica 53
20-076 Lublin tel. 532-54-41

Księgarnia „Łop”
Krakowska Proszmienica 62
20-076 Lublin tel. 532-56-15

Księgarnia Medycyna
Krakowska Proszmienica 29
20-002 Lublin tel. 532-61-53

Księgarnia ORPWA
Plac M. Curie-Skłodowskiej 5
20-031 Lublin tel. 537-54-13
Księgarnia prowadzi sprzedaż wydawnictwa „Akcent”

Księgarnia „Biblistyka”
ul. Narutowicza 27
20-004 Lublin tel. 532-20-32

Klub MPK
ul. Krakowska Proszmienica 59
20-076 Lublin tel. 534-36-99

Galeria ZPAP
Krakowska Proszmienica 62
20-076 Lublin

Księgarnia „Akcent”
Rynek Kociuszki 17
15-421 Białystok tel. 745-59-54

Księgarnia Wydawnictwo Naukowych „Eklepsa”
Podwale 6
31-118 Kraków tel. 422-90-57, 422-37-17

Księgarnia Akademicka
ul. Św. Anny 12
31-008 Kraków tel. 422-04-11 w 167

Księgarnia ORPWA
ul. Młyńska 27-29
61-725 Poznań tel. 852-45-16

Księgarnia ORPWA „BUS”
ul. Twarda 5155
00-818 Warszawa tel. 697-88-35
Księgarnia prowadzi sprzedaż wydawnictwa „Akcent”

Główna Księgarnia Anasowa im. B. Pasa
ul. Krakowska Proszmienica 7
00-068 Warszawa tel. 826-18-35

Księgarnia „Odessa”
ul. Bota 19
00-521 Warszawa tel. 621-80-69

Księgarnia „Czytelnik”
ul. Wilejska 14
00-490 Warszawa tel. 621-36-55

Księgarnia WSP
Al. Wojka Polskiego 69
65-625 Zielona Góra tel. 326-35-20 w 220

Tu do nabycia m.in. umowy:

z 1995. 1 – m.in. eseje Anny Osa, krytyczny notabie „Ilerlogosin”, dokumenty wojennego Państwa III, z wspomnieniami o Marku Haase, 3-4 – poświęcony literaturze niemieckiej i związkom polsko-niemieckim.

z 1996. 1 – opowiadania M. Głowickiego, szkice o Bronisławie Szulcu i Jehnie Caga, 2 – artykuły o K. Korwicz, prezentacja literatury „cyberpunkowa” i redakcja J. Makowskiego z Nowogrodziny, 3 – powieści (A. Sosnowski, D. Poka, W. Wyrupa, K. Brakotnicki, W. Michalski), wiersze K. Głucha, 4 – eseje R. Kapuścińskiego, prezentacja polskiej lektury kobiecej i współczesnej twórczości Indian amerykańskich;

z 1997. 1 – m.in. szkice o twórczości Marusa Chagalla i „Nove postov” B. Zaky; 2 – polsko-angielskojęzyczna twórczość „polskich Amerykanów”, 3 – nagrośowa esetyka, poezja i proza skrajności, 4 – poezja debiutanta i szkice o Harbercu, Kuznecowej, Kosińskim;

z 1998. 1-2 – nowa powieść W. Młynarskiego, opowiadania M. Głowickiego, D. Mostniaka, M. Pankowskiego, eseje K. Dalszaj i Ch. Słomczak, 3 – pt. „Kard Wyltyła – poeta, dramaturg, filozof”, 4 – „Berlin – Lipsk – Wiedeń”;

z 1999. 1 – proza E. Mirkowicza, S. Pokorni, A. Wiedemann, korespondencja E. Stachury, listy Zofii Kosmick do J. Birkentzeny, 2 – sylwetka Władysława Maja, notatki, Esmery Zagrodziana, rozmowa z G. Herington-Grodzicką, grafika Urszula Magurka, 3-4 – 10 polskich poetów, szkice o profesorach ks. J. Twardowskiego, o kulturze Australii, poezja Władysława Siedmiogroda.

Zainteresowani zakupem archiwalnych numerów mogą się zwracać także bezpośrednio do redakcji „Akcentu”.

Wykaz salonów prasowych oraz wybranych punktów sprzedaży „Akcentu” w sieci RUCH SA

Andrychów, ul. Lemartowicza
Bielsk Podlaski, ul. Orzechowa 34
Bielsk Podlaski, ul. Raginisa 9/10
Bielsk Podlaski, ul. Mickiewicza
Bielsk-Białe, ul. Warszawska 28
Bydgoszcz, ul. Krzywicka (Geant),
ul. Długa 11, ul. Podwale 11,
ul. Magazynowa 6 (ETC)

Chełm, ul. Lubelska 70
Ciechanów, ul. Warszawska 62
Czestochowa, Al. Polkuja
Elbląg, ul. 1 Maja,
ul. Dubieckiego

Gdańsk, ul. Długo Targ,
Podwale Grodzkie,
ul. Złota Brama
Gdańsk-Zabowce, ul. Gdynska
Gdynia, ul. Świerzyńska,
ul. Świętokrzyska

Gorzów Wlkp., ul. Sikorskiego 126/128
Jasło, ul. Baczyskiego 15

Jelenia Góra, Pl. Ratuszowy 26
Kalisz, ul. Narutowicza 9
Kazimierz, Al. Korfałowa 9,
Dworzec PKP – hall główny,
Dworzec PKP

Katryny, ul. Powstałów Warszawskich
Kielce, ul. Paderewskiego 11,
ul. Warszawska 5
Kłobucki, ul. Rodziana 42
Kozłówek, ul. Warszawska
Kraków, ul. Bora Komorowskiego 37,
ul. Andersa 9,
ul. Kociuski,
ul. Pivna 20

Leszno, ul. Rynek,
Osiedle Armii Krajowej,
ul. Leszczyńskiego

Lublin, ul. Kilińskiego
Lublin, ul. Zamajski 24,
ul. Brana Warszawskich 2,
ul. Piawickich 10,
Brana Grodzka 21,
Dworzec PKP (peron 1)
Kielkowiec Piłsudski (Ogród Suki)

Łomża, Al. Legionów 59, par. 8
Łowicz, ul. Browarna 9
Łódź, ul. Dąbrowskiego 20,
ul. Świerkiewicza 59,
ul. Żyrska 26

Malbork, ul. Dworcowa
Mazurki, ul. 3 Maja
Mazowiec, ul. Królówowska
Nowy Sącz, Rynek 17

Olsztyn, ul. Dylowski, ul. 1 Maja
Opole, ul. Ozimska – „Opolanka”
ul. Piastowska (Olsza Włoc.)
Ostrołęka, ul. Głównego 5 (Księgarnia
UNDERGROUND)

Pila, ul. Matujowa 16 B,
Hotel Rado

Płock, ul. Kobylińskiego 2
Poznań, ul. Stary Rynek 83,
ul. Osmana 11,
ul. Orzechowa/Maszyńska

Radom, ul. Centralna 10
Pawłowice, ul. Toruńska 1 (E.Ledero)
Rzeszów, ul. Zygmontowska 5,
ul. Podwale 6/4

Sandomierz, ul. Mickiewicza
Sandomierz, ul. 3 Maja
Sopot, ul. 3 Maja
Starogard Gd., ul. Paderewskiego,
ul. Sikorskiego,
ul. Haldy

Staszów, ul. Rynek 16
Staszów, ul. Władysława 18
Staszów, pl. Hołta Pruskiego 8,
ul. Czackiego 3

Tczew, ul. Dąbrowskiego,
ul. Saperska
Toruń, ul. Grudziądzka 45,
ul. Kaszewskiego 10,
ul. Grudziądzka 162

Wałbrzych, ul. Pańska
Warszawa, ul. Albatrosa 12,
ul. Cieszyńska 12,
ul. Mikolajczyka 12,
ul. Wąpczowska (par. 4),
ul. Kłobucka 8,
ul. Pagniska 14,
ul. Dobca 56-66,
Al. Jana Pawła II Elitarna,
ul. Ekologiczna 8,
ul. Kochanowskiego 39,
ul. Ostrobramska 75A,
ul. Rembilitanta 6

Wieliczka, ul. Miedziana 2/4
Wodzisław, ul. Księżnej Konstancji 123,
ul. 24 Marca

Wrocław, ul. Kiełbasińska 7a,
Pl. Kociuski 11,
Pl. Solny 67a / Runka 68

Zamość, ul. Partyzantów (Nowe Miasto)
Zabłockie Śląskie, ul. Rynek 31
Zielona Góra, ul. Bohaterów Wester-
plania 15a
Złotów, ul. Wójka Polskiego

W latach 1992-2000 udzielili redakcji wsparcia:

Fundacja im. Stefana Batoro, Fundacja Kultury, Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich z Toronto, Fundacja „Pro Helvetia”, Rada Miejska Lubartowa, Rada Miejska Lublina, Rada Miasta i Gminy Zierzyniec, Rostoczański Park Narodowy, Rada Miasta Naleczowa, Ambasada Amerykańska, Ambasada Węgierska.

Dziękujemy!

Wdzięczni jesteśmy wszystkim Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów za swoje publikacje w „Akcentie”.

Wschodnią Fundacją Kultury AKCENT składa gorące podziękowania wszystkim, którzy dokonali wpłat na jej działalność. Byli to m.in.: Ambasada USA w Warszawie, Ambasada Węgier w Warszawie, Ambasada Ukrainiska w Warszawie, Aharon Appelfeld, BIG Bank S.A., Stanisław Bask-Mostwin, Tadeusz Chabrowski, Anna Fralich-Zajac, Krystyna Frelich, Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich, Benjamin Harshav, Ferdynand Hebal, Malgorzata Kaczorowska, KONSULT R.O.K. – Kancelaria Prawnicza, Alina Kochanicki, Adam Lizakowski, Ryszard Lów, Sofia Majdańska, Wojciech Młynarski, „Montex” SA, Danuta Mostwin, Jacek L. Mostwin, Alina Nowicka, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Mira Pucak, Joanna Romaszewska, Magdalena Rudnik, Krystyna Rudzka-Przychoda, ks. prof. Tadeusz Styczeń, Western Union, Towarzystwo Miłośników Lublina, Zamojskie Fabryki Mebli, Wład Chalko.

Dziękujemy poetom i krytykom, którzy w całości lub w części przekazali na konto Fundacji swe honoraria za udział w „wernisżach literackich” AKCENTU:

Monice Adamczyk-Garbowskiej, Elżbiecie Cichli-Czarnińskiej, Tadeuszowi Chabrowskiemu, Markowi Danielkiewiczowi, Kate Delaney, Leszkowi Długoszowi, Józefowi Fertowi, Krystynie Glowak, Mariannie Grzelczakowi, Michałowi Jagiellu, Ryszardowi Kapuscińskiemu, Tadeuszowi Karaboniewiczowi, Mariannie J. Kawalko, Tadeuszowi Kowcickiemu, Istvánowi Kovácsowi, Henrykowi Kozakowi, Janowi Leonczakowi, Ewie Mazur, Waldemarowi Michalskiemu, Regine Möbius, Edzie Ostrowskiej, Bronisławowi Pietrakowi, Stanisławowi Popkowi, Tadeuszowi Sokolotowi, Jerzemu Świąchowi, ks. Alfredowi Wierzbickiemu, Bogusławowi Wróblewskiemu, Bohdanowi Zadarczemu, Adamowi Zelińskiemu.

Wschodnią Fundacją Kultury „Akcent” serdecznie dziękuję Kancelarii Prezydenta RP za pomoc okazaną w 2000 roku.

BO OR

*Regularne otrzymywanie „Akcentu”
zapewnia prenumerata!*

BO OR



Polska Telefonia Komórkowa Centertel Sp. z o.o. jest operatorem dwóch sieci telefonicznej komórkowej: analogowej NMT450i (Centertel), z której korzysta ok. 150 tys. abonentów, oraz cyfrowej Idei z 1.200.000 mln użytkowników. W ogólnopolskiej, dwuzakresowej (GSM 900/1800) sieci Idea dostępne są: usługa bezabonamentowa POP, kompleksowa oferta OPTIMA oraz wyjątkowa oferta dla klientów biznesowych – MERITUM.

Udziałowcami PTK Centertel są: Telekomunikacja Polska S.A., posiadająca 66 proc. udziałów oraz France Telecom z 34 proc. udziałów.

Więcej informacji uzyskać można w Internecie: <http://www.idea.pl>.



IDEA – krążeń informacji, krążeń wartości

Polska Telefonia Komórkowa Centertel – operator sieci Idea – stara się wspierać potrzebujących oraz obejmować swym mecenatem ważne wydarzenia kulturalne i sportowe. W 2000 roku PTK Centertel sponsorował m.in.: Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, Polską Akcję Humanitarną, akcję ekologiczną „Sprzątanie świata”, Teatr im. Stanisława Ignacego Witkiewicza oraz konferencję „Miasta w Internecie” w Zakopanem, Festiwal Piosenki Aktorskiej w Wrocławiu, Międzynarodowy Festiwal Filmów Dokumentalnych i Krótkometrażowych w Krakowie, Festiwal Gwiazd w Międzyzdrojach, Mistrzostwa Europy w Kajakarstwie w Poznaniu, turniej tenisowy Idea Prokom Open, Trójmiejski Maraton Solidarności, Idea Gdynia Olympic Sailing Days, Wschodnią Fundację Kultury „Akcent”.



IDEA – spoiwo kultury

Kwartalnik „Akcent” od początku swego istnienia (1980 r.) drukowany jest przez Lubelskie Zakłady Graficzne - obecnie działające pod zmienioną nazwą MULTIDRUK S.A. Firma ta istnieje już ponad 50 lat. To, że co kwartał możecie Państwo otrzymać nasze pismo w niezmiennie starannej szacie graficznej, zawdzięczamy fachowości, doświadczeniu i solidności pracowników tej firmy. Także Wy możecie skorzystać z ich usług!

Redakcja „Akcentu”

MULTIDRUK

SPÓŁKA AKCYJNA W LUBLINIE



20-950 LUBLIN, UL. UNIOKA 4
TEL. (0-81) 747 14 37, 747 35 00
FAX. (0-81) 747 14 37, 747 15 21

OFERUJE USŁUGI POLIGRAFICZNE
W ZAKRESIE DRUKU:

- KSIĄŻEK
- KALENDARZY
- FOLDERÓW
- PLAKATÓW
- GAZET
- ETYKIET

- W TYM NA MATERIAŁACH SAMOPRZYLEPNYCH
ORAZ INNE WEDŁUG ŻYCZEŃ ZAMAWIAJĄCEGO